

J.T. GEISSINGER



**BEZWZGLEDNE
SERCA**

KRÓLOWE I POTWORY #3



J.T. GEISSINGER

**BEZWZGLĘDNE
SĘRCA**

KRÓLOWE I POTWORY #3

**TŁUMACZENIE
AGNIESZKA NIKCZYŃSKA-WOJCIECHOWSKA**

OŚWIĘCIM 2023

Tytuł oryginału
Savage Hearts
Copyright © 2021 by J.T. Geissinger
All rights reserved
Copyright © for Polish edition
Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne
Oświęcim 2023
Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:
Angelika Oleszczuk
Korekta:
Karina Przybylik
Edyta Giersz
Maria Klimek
Redakcja techniczna:
Paulina Romanek
Projekt okładki:
Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-716-2

Spis treści

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

EPILOG

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE

INNE POWIEŚCI AUTORSTWA J.T. GEISSINGER

PLAYLISTA

Przypisy

I zapalczywą, chociaż wzrostem małą¹.
William Shakespeare, *Sen nocy letniej*

Dla Jaya, mojego sensu wszystkiego.

ROZDZIAŁ 1

RILEY

Kiedy dzwoni mój telefon, jestem w trakcie redagowania manuskryptu, z którym mam zaległości, więc nie odbieram i pozwalam, by ktoś nagrał się na poczcie.

Sekretarki i telefony stacjonarne są już staromodne, wiem, ale nie mam komórki. Nienawidzę świadomości, że każdy mój ruch mógłby być śledzony. W dodatku, moim zdaniem, to całe oprogramowanie Siri jest po prostu przerażające.

Telefon mądrzejszy niż ja? Nie, dziękuję.

Po tym, jak dzwoniący słyszy informację, że jestem obecnie na innym planie astralnym i powinien zostawić wiadomość, a ja wrócę, gdy ponownie zamanifestuję się w ciele, następuje sygnał dźwiękowy. Po nim rozbrzmiewa ciężkie westchnienie.

– Riley. Tu twoja siostra.

Posyłam automatycznej sekretarce na mojej komodzie po drugiej stronie pokoju spojrzenie pełne szoku.

Siostra?, myślę przez chwilę. *Nie. Z pewnością się przestyszałam.*

Głos Sloane zmienia się na rozkazujący.

– Wiem, że słuchasz, bo jesteś jedyną osobą na świecie, która wciąż posiada automatyczną sekretarkę. Dodatkowo nigdy nie wychodzisz z domu. Odbierz.

To niesamowite, że myśli, że obrzucanie mnie obelgami i rozkazywanie mi zadziała. Zupełnie jakby mnie nie znała.

Och, czekaj. Teraz pamiętam! Ona mnie *nie zna*. To absolutnie nie moja wina, ale Sloane taka jest – dzwoni znienacka i zachowuje się, jakbym była jej winna pieniądze.

Kręcąc głową z obrzydzeniem, odwracam się do ekranu komputera i wracam do pracy.

– Riley. Poważnie. To jest ważne. Muszę z tobą porozmawiać. –
Milknie na moment, po czym jej ton staje się przyjaźniejszy. –
Proszę.

Moje palce zastygają nad klawiaturą.

Proszę?

Sloane nie mówi *proszę*. Nie sądziłam, że w ogóle zna to słowo.
Diwy nie mają go w swoich słownikach.

Coś musi być strasznie nie tak.

– O cholera – rzucam, spanikowana. – Tato.

Pędzę do telefonu i przykładam słuchawkę do ucha.

– Co się stało?! – krzyczę. – Co jest nie tak? Czy coś się stało
tacie? W którym szpitalu jest? Jak bardzo jest źle?

Po krótkiej przerwie Sloane odpowiada:

– O rany, nie za bardzo przesadzasz?

Po jej tonie mogę stwierdzić, że z naszym ojcem nie dzieje się nic
złego. Przez pół sekundy czuję ulgę, a potem jestem wkurzona.

W tej chwili nie mam czasu na jej bzdury.

– Przepraszam, dodzwoniła się pani pod nieosiągalny numer.
Proszę się rozłączyć i spróbować ponownie – odpieram, zirytowana.

– Ach, sarkazm. Ostatnia deska ratunku dla bezmyślnych.

– Mówiąc o bezmyślności, nie jestem w nastroju do walki z
nieuzbrojonym przeciwnikiem. Odezwij się do mnie, gdy wyrosnie ci
mózg.

– Dlaczego upierasz się przy udawaniu, że nie jestem geniuszem?

– Uczony idiota to nie to samo co geniusz – ripostuję.

– To, że ukończyłaś college Ivy League z wyróżnieniem, nie
oznacza, że jesteś mądrzejsza ode mnie – burczy, niezadowolona.

– I mówi to osoba, która kiedyś zapytała mnie, ile ćwiartek jest w
dolarze. – Parskam, znudzona tą rozmową.

– Jeśli jesteś taka mądra, powiedz mi jeszcze raz, dlaczego
pracujesz jako redaktor freelancer, bez ubezpieczenia zdrowotnego,
gwarancji zatrudnienia czy składek na emeryturę?

– Wow. Prosto do pieniędzy. To musi być wygodne, nie mieć
duszy. Sprawia, że ci wszyscy biedacy, których przezuwasz i
wypluwasz, są o wiele łatwiejsi do załatwienia, co?

Przez moment trwamy w pełnej napięcia ciszy. W końcu Sloane odchrząkuje i mówi:

- Właściwie to właśnie w tej sprawie dzwonię.
- Chodzi o pieniądze?
- O mężczyzn. Szczególnie o jednego.

Czekam na wyjaśnienie. Kiedy nie nadchodzi, zwracam się do Sloane:

– Będziemy grać w dwadzieścia pytań czy powiesz mi, o czym, do cholery, mówisz?

Siostra bierze głęboki wdech. Następnie głośno i powoli wydmuchuje powietrze. Potem, takim tonem, jakby sama prawie nie mogła w to uwierzyć, oznajmia:

- Wychodzę za mąż.

Mrugam niepotrzebną liczbę razy. Nie pomaga to w zrozumieniu czegokolwiek.

– Przepraszam. Myślałam, że właśnie usłyszałam, jak mówisz, że wychodzisz za mąż.

- Tak było. Biorę ślub.

Zaśmiałam się z niedowierzaniem.

- Ty. Penisoholiczka. Mężatka. – Parskam.

- Tak.

- N-nieemożliwe – dukam beznamiętnie.

Nieoczekiwanie ona się śmieje.

– Co nie? Ale to prawda. Przysięgam na mały paluszek. Wychodzę za mąż za najwspanialszego człowieka na świecie – odpowiada, rozmarzona.

Jej westchnienie jest miękkie, zadowolone i całkowicie kurewsko śmieszne.

- Czy jesteś teraz na haju?

- Nie.

- Czy jesteś naćpana?

- Nie.

Szukam jakiegoś innego wyjaśnienia tego dziwnego obrotu wydarzeń, lecz nie mogę wymyślić nic poza tym.

– Czy ktoś trzyma pistolet przy twojej głowie i zmusza cię do powiedzenia mi tego? Zostałaś porwana czy coś? – pytam poważnie.

Wybuchają głośnym śmiechem.

– Dlaczego tak cię bawi moje zakłopotanie? – dopytuję.

Śmieje się i śmieje, aż znowu wzdycha. Wyobrażam sobie, jak ociera łzy radości z twarzy.

– Opowiem ci później. Chodzi o to, że wychodzę za mąż i chcę, byś go poznała. Ślub będzie spontaniczny, nie będzie to wielkie wydarzenie ani nic takiego. Na razie nie znam dokładnej daty, ale może się to stać lada dzień, więc chcielibyśmy, żebyś odwiedziła nas jak najszybciej.

Odwiedzić *nas*?

Nie dość, że wychodzi za mąż, to jeszcze najwyraźniej mieszka z tym facetem. Otwieram usta, żeby odpowiedzieć, jednak nie opuszczają ich żadne słowa.

– Wiem. – Brzmi na zakłopotaną. – To niespodziewane.

– Dziękuję, że masz tyle przyzwoitości, by zdać sobie sprawę, jakie to dziwne.

– To jest dziwne. Wiem. Ze wszystkich powodów. Ale... – Znowu odchrząkuje. – Jesteś moją siostrą. Chcę, żebyś poznała mężczyznę, z którym spędzę resztę życia.

– Proszę, poczekaj chwilę. Wrócę, jak tylko uporam się z tym udarem, którego właśnie dostałam.

– Nie bądź niemiła – beszta mnie.

Och, jak bardzo mogłabym jej na to odpyskować. Ho, ho, ho, ile istnieje wiązańek, które mogłabym puścić. Ale wybieram zachowanie się na poziomie i zadaję następne oczywiste pytanie:

– Co z Nat?

– A co ma być?

– Dlaczego nie dzwonisz do niej w sprawie tego faceta?

– Ona już go poznała – wyznaje niepewnie, łamiącym się głosem.

W jej tonie jest coś dziwnego, co sprawia, że robię się podejrzliwa.

– I wie, że zamierzasz za niego wyjść? – dociekam.

– Tak.

– Więc co ona o tym wszystkim myśli?

– Prawdopodobnie to samo co ty – informuje. Odzyskuje opanowanie i ciągnie: – Poza tym cieszy się moim szczęściem.

Rany, ta rozmowa to pole minowe. Będę miała szczęście, jeśli przetrwam ją ze wszystkimi kończynami w nienaruszonym stanie.

Starając się nadal zachowywać na poziomie, wyjaśniam:

– To nie tak, że się nie cieszę, Sloane. Jestem po prostu w szoku. A także zdezorientowana, szczerze mówiąc – mamroczę.

– Że w końcu się ustatkuję?

– Nie. Cóż, tak, ale nie to mnie tak bardzo zaskoczyło.

– Co w takim razie?

– Że wyciągasz do mnie rękę – wyznaję, jak zawsze wprost. – Że opowiadasz mi o tym. Że zapraszasz mnie do siebie. Chodzi mi o to, że nie łączą nas bliskie relacje.

– Wiem – mówi miękko. – Myślę, że to moja wina. I naprawdę chciałabym sprawdzić, czy możemy to naprawić.

Po długiej przerwie dodaje:

– Co teraz robisz?

– Leżę płasko na plecach na podłodze, wpatrując się w sufit, i żałuję, że nie wzięłam tego ecstasy na Burning Man w zeszłym roku.

– Nie masz przez to złych doświadczeń z powodu narkotyków – oznajmia beznamiętnym tonem. – Powinnaś się cieszyć.

– Uznajmy, że się nie cieszę.

Sloane wyczerpała się nieskończona ilość cierpliwości. W końcu pokazuje swoją prawdziwą naturę, warcząc:

– Przyjedziesz nas odwiedzić. To już ustalone. Wyślemy po ciebie odrzutowiec...

– Przepraszam. Odrzutowiec?

– ...w piątek wieczorem.

Siadam gwałtownie. Pokój zaczyna wirować. Rozbestwiła mój mózg całą tą nonsensowną gadką o małżeństwie.

– Czeka, czy masz na myśli ten piątek? – dopytuję. – Ten za trzy dni?

– Tak – odpowiada. Jestem pewna, że kręci przy tym głową z rozczarowaniem.

– Sloane, mam pracę! Nie mogę tak po prostu odlecieć do... Gdzie miałabym się udać tym odrzutowcem, który przyślesz?

Waha się.

– Nie mogę ci tego zdradzić – odpiera śmiertelnie poważnie.

– Rozumiem. To wiele mówi o naszej relacji.

– Przestań być wrzodem na tyłku, Riley, i powiedz, że przyjedziesz! Staram się być dobrą siostrą! Chcę, żebyśmy się do siebie zbliżyły. Wiem, że po śmierci mamy było trudno i nigdy tak naprawdę nie byliśmy, no wiesz... – Milknie.

– Przyjaciółkami to słowo, którego szukasz – mówię kwaśno. Oddycha spokojnie, pewnie formując w głowie odpowiedź.

– Okej. To, jak mnie traktujesz, jest sprawiedliwe. Należy mi się – stwierdza. – Ale chciałabym to zmienić. Proszę, daj mi szansę.

Kolejne *proszę*. Znowu leżę, całkowicie zdezorientowana. Kimkolwiek jest ten facet, za którego wychodzi, musi być naprawdę kimś wyjątkowym, aby zmienić największą na świecie złošnicę w takiego mięczaka.

Postanawiam dla kaprysu, że się z nim spotkam. Założę się, że dodaje valium do porannej kawy Sloane, geniusz zła! Dodaje xanax do jej popołudniowego wina!

Boże, dlaczego nigdy na to nie wpadłam?

– Okej, Sloane. Wchodzę w to. Widzimy się w piątek.

Piszczy z podekscytowania. Trzymam telefon z dala od ucha i wpatruję się w niego.

Nie mam pojęcia, co się dzieje, poza tym, że kosmici najwyraźniej wprowadzili moją siostrę i zastąpili ją szalonym żonorobotem.

Cóż, ta podróż powinna być interesująca.

W piątek wieczorem siedzę w poczekalni dla VIP-ów w terminalu prywatnych odrzutowców na międzynarodowym lotnisku w San Francisco, rozglądając się dookoła. Jestem totalnie zachwycona, lecz staram się tego nie okazywać.

Do tej pory udało mi się zobaczyć dwóch celebrytów, wypić tyle samo Ketel One i OJ-ów z darmowego baru, zjeść kawior i bliny z *crème fraiche* od uśmiechniętej hostessy w salonie oraz cieszyć się masażem na tym absurdalnie ogromnym, skórzanym fotelu, w którym siedzę. Wibruje na całej powierzchni po naciśnięciu przycisku.

Jeszcze jeden kieliszek wódki OJ, a będę w stanie usiąść okrakiem na tym cholernym fotelu.

Z mieszkania odebrała mnie limuzyna. Kiedy przybyłam do oddzielnego budynku dla prywatnych odrzutowców na lotnisku, przystojny młody człowiek w mundurze zaprowadził mnie do salonu VIP.

Nie było TSA², linii bezpieczeństwa ani zdejmowania butów. Mój bagaż został zabrany i odprawiony na lot bez konieczności robienia czegokolwiek poza podaniem miłej pani za ladą mojego nazwiska.

Nigdy nie imponowały mi pieniądze, ale zaczynam myśleć, że mogłam być w błędzie.

Przystojny młody człowiek wraca i z olśniewającym uśmiechem informuje, że mój samolot już czeka. Wskazuje lśniący biały odrzutowiec kołujący do odpowiedniego miejsca na środku asfaltu na zewnątrz.

– Proszę za mną.

Wlokę się za nim, kiedy wychodzimy z budynku, a potem kierujemy się do odrzutowca. Zastanawiam się, czy wyrzucą mnie z tego cholerstwa za noszenie kłapek i bluzy.

Jeśli tak, to nieważne. Życie jest zbyt krótkie, by nosić niewygodne spodnie.

Wnętrze samolotu jest ładniejsze niż jakikolwiek hotel, w którym kiedykolwiek się zatrzymałam. Rozsiadam się w miękkim jak masło skórzanym fotelu i zdejmuję kłapki. Stewardesa podchodzi i pochyla się nad moim miejscem.

– Dobry wieczór!

– Cześć.

– Mam na imię Andrea. Zajmę się panią dziś wieczorem.

Przyglądam się uważnie kobiecie. Jest bardzo atrakcyjna ta Andrea. Gdybym była facetem, już zastanawiałabym się nad tym, jak mogłaby się mną *zająć*.

Ta myśl jest przerażająca. Dziesięć sekund w prywatnym odrzutowcu, a ja już jestem zepsuta.

Dobrze, że nie mam kutasa. Pewnie wymachiwałabym nim przed twarzą tej biednej kobiety, zanim byśmy wystartowali.

– Hmm... dziękuję?

Uśmiecha się w reakcji na mój wyraz twarzy.

– Pierwszy raz leci pani prywatnie?

– Tak.

– Cóż, czeka panią niebywała uczta. Otrzyma pani wszystko, czego potrzebuje. Proszę po prostu dać mi znać. Mamy dobrze wyposażony bar i duży wybór jedzenia oraz przekąsek do dyspozycji – informuje.

– Czy chciałaby pani otrzymać koc?

Kiedy się waham, dodaje:

– Są kaszmirowe.

Prycham.

– Tylko kaszmir? Liczyłam na jakąś maleńką alpakę.

Nie tracąc czasu, mówi:

– Mamy też koc z wikunii andyjskiej, jeśli pani woli.

– Co to jest wikunia andyjska?

– Zwierzę typu lama z Peru. Wygląda trochę jak wielbłąd, ale jest ładniejsze. Ich wełna jest najbardziej miękka i najdroższa na świecie.

Ona mówi całkiem poważnie. Ta laska nie robi sobie ze mnie jaj. Patrzę na nią z otwartymi ustami, które po chwili zamykam, a później się uśmiecham.

– Właściwie... Zdecyduję się jednak na dobry, staromodny kaszmir, dzięki.

Unosi kąciuki ust, jakbym właśnie zrobiła dla niej coś niezwykłego.

– Doskonały wybór! Coś do jedzenia lub picia przed podróżą?

Co, do diabła. Jestem na wakacjach.

– Czy macie szampana?

– Tak. Woli pani Dom Perignon, Cristal, Taittinger czy Krug?

Czeka, aż się zdecyduję, jak gdybym wiedziała, o czym mówi, po czym sugeruje:

– Pan O'Donnell preferuje Krug Clos d'Ambonnay.

Marszczę brwi.

– Kim jest pan O'Donnell?

– To właściciel tego samolotu.

Ach. Mój przyszły szwagier. Irlandczyk, jak słyhać. Bardzo *bogaty* Irlandczyk najwyraźniej. Pewnie jest dziewięćdziesięcioletkiem z demencją i bez zębów.

Moja siostra jest taka interesowna.

Odpowiadam stewardesie, że wezmę Kruga, a następnie pytam, dokąd, do cholery, lecimy.

Z kamienną twarzą odpiera spokojnie:

– Naprawdę nie mam pojęcia.

Po tych słowach odwraca się i odchodzi, jakby to wszystko było zupełnie normalne.

Dziewięć godzin później mam za sobą dwie opróżnione butelki szampana, a także trzy obejrzone filmy z Bruceem Willisem oraz dokument o słynnych perkusistach. Uraczyłam się też drzemką nieokreślonej długości i jestem przechylona na bok w moim fotelu, śliniąc się na bluzę, kiedy Andrea przychodzi, aby wesoło poinformować mnie, że wkrótce będziemy lądować.

– Niech zgaśnie. Nadal nie dowiem się, gdzie jesteście.

– Nawet gdybym wiedziała, panno Keller, nie mogłabym pani powiedzieć – oznajmia.

Mówi to uprzejmie, ale jej wyraz twarzy przekazuje w sposób niebudzący wątpliwości, że jej praca byłaby zagrożona, gdyby się wygadała.

A może coś ważniejszego niż jej praca... Na przykład jej życie.

A może to dwie butelki szampana sprawiają, że zaczynam tworzyć teorie spiskowe.

Gdy kobieta znika w przejściu, podnoszę zasłonę okna i wyglądam na zewnątrz. Powyżej jest czyste, niebieskie niebo. Poniżej widzę falujące zielone wzgórza. W oddali długi pas niebieskiej wody mieni się w popołudniowym słońcu.

To ocean. Atlantyk? Pacyfik? A może to jednak Zatoka Meksykańska?

Samolot zaczyna schodzić do lądowania. Wygląda na to, że kierujemy się na wyspę u wybrzeży.

Patrząc, jak ziemia przybliżyła się na spotkanie z nami, mam mroczne, potężne przecucie, że dokądkolwiek zmierzam, nie ma już odwrotu.

Później będę pamiętała to uczucie i dziwiła się, jak dobrą mam intuicję.

ROZDZIAŁ 2

KAGE

Milczący mężczyzna ubrany całkowicie na czarno, w ciężki, wełniany płaszcz pokryty wieczornym deszczem, wpatruje się we mnie pozbawionym emocji wzrokiem, który w jakiś sposób przekazuje również zdolność do ekstremalnej przemocy.

A może myślę tak tylko ze względu na jego reputację. Spotykamy się po raz pierwszy, ale ten człowiek jest legendą w Bratwie.

Jest prawie tak samo legendarny jak ja.

– Usiądź, Malek – mówię po rosyjsku, wskazując krzesło obok niego.

Kręci głową, co mnie irytuje.

– To nie była sugestia.

Jego zielone oczy błyskają, mięsień szczęki się przesuwają, a wielkie dłonie zwijają się na krótko w pięści, po czym znów napinają, jakby mężczyzna musiał coś rozbić. Szybko jednak opanowuje gniew i siada.

Najwyraźniej lubi, gdy wydaje mu się polecenia, tak jak ja.

Przez chwilę spoglądamy na siebie w milczeniu. Zegar tyka złowieszczo na ścianie, jak gdyby odliczał do wybuchu.

Nie ma grzecznego powitania. Nie ma przyjemnej pogawędki. Nie ma żadnego wysiłku, by się poznać. Gość po prostu siedzi i czeka, cierpliwy i niemy niczym sfinks.

Wyczuwam, że moglibyśmy tak trwać bez końca, więc zaczynam:

– Moje kondolencje z powodu twojej straty. Twój brat był dobrym człowiekiem.

– Nie chcę twojego współczucia – odpowiada po angielsku. – Chcę, żebyś mi powiedział, gdzie mogę znaleźć człowieka, który zabił Michaiła.

Jestem zaskoczony, nie słysząc u niego akcentu. Jego głos jest niski i równy. Pozbawiony emocji, tak samo jak jego oczy. Jedynie puls bijący z boku jego szyi daje jakiegokolwiek dowody człowieczeństwa.

Jeszcze bardziej dziwi mnie, że ośmiela się mówić do mnie z całkowitym lekceważeniem.

Niewielu ludzi jest tak głupich.

Mój głos jest równie zimny, co moje spojrzenie, gdy mówię:

– Jeśli chcesz pozwolenia na operowanie na mojej ziemi, radzę ci okazać mi szacunek.

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia. Nie okazuję szacunku, jeżeli ktoś na niego nie zasłuży. A jestem tu wyłącznie dlatego, że powiedziano mi, że to ty masz informacje, których potrzebuję. Jeśli to nieprawda, przestań marnować mój czas i powiedz to – cedzi.

Szczerząc się, zgrzytam zębami i przyglądam się mężczyźnie.

Normalnie zastrzeliłbym człowieka za taki brak szacunku. Ale mam już zbyt wielu wrogów. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest armia Bratwy z Moskwy zjeżdżająca na Manhattan z zamiarem oddzielenia mojej głowy od ciała, ponieważ pochowałem złośliwego Hangmana, który służy ich królowi.

Nie żeby mogli. Nawet umiejętności tego ogromnego, brodatego dupka siedzącego naprzeciwko mnie nie dorównują moim. Gdybym zdecydował się go zabić, nie miałby szans.

Dodatkowo Malek wyświadczy mi przysługę, jeżeli załatwi Declana O'Donnella – szefa irlandzkiej mafii i człowieka, którego bardzo chciałbym widzieć martwego.

Ale i tak.

Mój dom, moje zasady.

Zasada numer jeden: okaż mi szacunek albo wykrwaw się na dywanie, skurwysynu.

Wytrzymuję spojrzenie mężczyzny i oznajmiam zabójczo miękkim głosem:

– Irlandczycy zamordowali moich rodziców i obie moje siostry. Więc kiedy mówię, że wiem, jak się czujesz, nie mówię z dupy. Ale jeśli nadal będziesz zachowywał się jak niemoralna cipa, odeślę cię do Moskwy w tysiącu krwawych kawałków.

Zapada chwilowa cisza.

– Wiesz, co by się stało, gdybyś to zrobił.

– Tak. Zapytaj mnie, ile razy coś spierdoliłem i ciągle żyję.

Bada mój wyraz twarzy. Waży moje słowa. Odrobina ciepła pojawia się w jego oczach, jednak umiera szybko, zdławiona przez ciemność.

Uspokojony, kiwa głową.

– Przyjmij moje przeprosiny. Michaił był moim jedynym bratem. Jedyną rodziną, jaka mi pozostała.

Odwraca wzrok, patrzy przez okno na deszczową noc i przełyka ślinę. Kiedy znów na mnie spogląda, jego szczeka jest zaciśnięta, a spojrzenie mordercze. Głos z kolei staje się szorstki.

– Teraz pozostała mi tylko zemsta – wyznaje.

To bardzo jasne: Malek zamierza sprawić, że Declan O'Donnell będzie żałował, że się urodził.

Pocieszony tą myślą, uśmiecham się.

– Przeprosiny przyjęte. Napijmy się – proponuję.

Z dolnej szuflady biurka wydaję butelkę wódki oraz dwa kieliszki. Wlewam odpowiednią ilość do każdego z nich, po czym oferuję jeden Malekowi. Bierze go i kiwa głową w podziękowaniu, a ja podnoszę swój.

– *Za zdorovie.*

Przysuwa kieliszek do ust, następnie pochłania jego zawartość jednym haustem. Stawia kieliszek na krawędzi biurka, siada z powrotem na krześle i kładzie wytatuowane dłonie na masywnych udach.

– Więc ten irlandzki bękart. Gdzie on jest?

– Podam ci jego ostatni znany adres, ale wiem, że już tam nie mieszka. W tej chwili jest duchem.

Nie informuję go o tym, że mój kontakt w FBI nie ma pojęcia, gdzie Declan obecnie przebywa. Ani o tym, że przetrzymuję byłego szefa Declana, Diego, jako zakładnika w jednym ze swoich magazynów w pobliżu doków.

Nie ma potrzeby pokazywać każdej karty, jaką trzymam w ręce.

Ten uparty drań Diego jak na razie i tak odmówił ujawnienia jakichkolwiek przydatnych informacji. Niemniej jeśli ktoś ma je z

niego wyciągnąć, będę to właśnie ja.

Niech mnie diabli wezmą, jeżeli oddam swojego jeńca w ręce tego aroganckiego przybysza z zewnątrz.

– Żaden problem – odpiera Malek. – Daj mi tylko to, co masz. Ja go znajdę.

Nie wątpię w to. Wygląda na to, że spaliliby każde miasto na Ziemi, żeby znaleźć Declana, gdyby musiał.

Nikt nie jest zdeterminowany bardziej niż człowiek żądny krwi.

Omawiamy jeszcze kilka szczegółów, które mogą być pomocne w jego poszukiwaniach, zanim poruszę delikatny temat.

– Jest z nim kobieta. W żadnym wypadku nie można jej skrzywdzić.

Uważnie obserwuję jego reakcję. Malek nic nie mówi, ale w jego milczeniu wyczuwam niezgodę.

– To nie podlega negocjacom. Jeśli zostanie choćby zadrapana, będziesz martwy – ostrzegam.

Ściąga brwi, patrząc na mnie z dezaprobatą.

– Od kiedy to straszny Żniwiarz dba o szkody uboczne?

Waham się. Doskonale zdaję sobie sprawę, jak źle zabrzmiało to, co zamierzam powiedzieć.

– Ona należy do rodziny – informuję w końcu.

Przetrawia to w kompletnej ciszy przez jakieś trzydzieści sekund, a później powtarza powoli:

– Rodzina.

– To skomplikowane.

– Nieskomplikowane dla mnie – mruczy.

Ignoruję chęć wyciągnięcia glocka z górnej szuflady biurka i zrobienia mu sporej dziury w czaszce. Zamiast tego nalewam nam więcej wódki.

– Moja kobieta jest blisko z Declanem.

Jedna z jego ciemnych brwi tworzy łuk, co wyraźnie świadczy o niedowierzaniu. Chciałbym wyrwać tę brew i wepchnąć mu ją do gardła.

Kurwa, ten kutas jest irytujący.

– W dzieciństwie byli przyjaciółmi – mówię przez zaciśnięte zęby.

– Oczywiście to poprzedza naszą obecną sytuację.

Malek wstrzymuje się przez moment z wypiciem wódki.

– Niewygodne położenie – odpowiada.

– Nawet nie masz pojęcia jak bardzo – przyznaję mu rację.

– A jeśli to będzie wyglądało na wypadek? – dopytuje.

– Jeżeli kobieta Irlandczyka nie dożyje zaawansowanego wieku, bez względu na przyczynę, będę pociągnięty do odpowiedzialności. – Wzdycham, zrezygnowany.

Wpatrujemy się w siebie.

– Przez swoją kobietę – mówi w końcu.

– Tak – potwierdzam jego przypuszczenia.

– W końcu by się z tym pogodziła – kwituje po chwili.

Uśmiecham się mrocznie.

– Nie znasz Natalie.

Zaczyna wyglądać na zdezorientowanego.

– Więc nie jesteś głową tej rodziny? Ona jest?

Zostało mu jakieś dziesięć sekund życia, a zegar tyka.

– Rozumiem, że nie jesteś żonaty – warczę, na co się krzywi.

– Oczywiście, że nie.

– W związku?

– Czy to żart? – Prycha, lecz nie ma w tym cienia wesołości.

– W takim razie nie zrozumiesz – informuję go.

Rozgląda się po pokoju, jakby próbował znaleźć kogoś rozsądniejszego, z kim mógłby porozmawiać.

– Nie musisz pojmować, Malek. Musisz tylko podporządkować się prośbie.

– Zabrzmiało to bardziej jak rozkaz – odpiera.

Mój uśmiech jest ponury.

– Nazwij to, jak chcesz. – Ponownie wzdycham. – Rezultat nieprzestrzegania tej zasady będzie taki sam: śmierć. Sprawię, że będzie powolna i bolesna – deklaruję.

Wpatrujemy się w siebie w napiętym milczeniu.

– Już dawno nikt mi nie groził – odzywa się wreszcie.

– Wierzę ci. To nic osobistego – szepczę, po czym puszczam do niego oczko.

– Oczywiście, że to coś osobistego – daje mi do zrozumienia.

– Jak już mówiłem, nie będziesz potrafił tego pojąć. Załatw sobie narzeczoną, a wszystko stanie się jaśniejsze.

Muszę przyznać, że wyraz niedowierzania na jego twarzy jest przewrotnie satysfakcjonujący.

Poświęca chwilę na zebranie myśli. Głaszcząc dłonią swoją ciemną brodę, obserwuje mnie wyrachowanym wzrokiem. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że zastanawia się nad tym, jak chciałby mnie zabić, ale ja po prostu czekam, aż zdecyduje, w którą stronę pójdzie ta rozmowa.

W końcu oznajmia:

– Narzeczoną. Przypuszczam, że przydałyby się gratulacje.

Uśmiecham się, bo zdaję sobie sprawę, że niemal przyznał, iż nie spróbuje przeprowadzić zamachu na moje życie, a także oszczędzi Sloane, gdy zabije Declana. Wiedziałem przecież, że wprost tego nie powie, jednak teraz było wystarczająco blisko.

– Dziękuję. Przyjdiesz na ślub, oczywiście.

Wygląda, jakby wolał zostać upieczony żywcem i rzucony dzikim psom na pożarcie, ale *w końcu* okazuje trochę manier.

– To byłby dla mnie zaszczyt – mówi uroczyście.

Wznosimy kolejny toast, po czym rozmawiamy jeszcze przez kilka chwil. Daję mu zdjęcie Declana i jedno, na którym jest Sloane, a on chowa obie fotografie do kieszeni płaszcza. W pewnym momencie niespodziewanie wstaje, a potem informuje, że musi już iść.

Bez pożegnania odwraca się i kieruje do drzwi.

– Malek.

Zatrzymuje się z ręką na klamce, aby spojrzeć z powrotem na mnie.

– Nie krzywdź żadnych innych kobiet, kiedy będziesz wykonywał zlecenie.

Wpatruje się we mnie w ten cichy, irytujący sposób, który sprawia, że chcę chwycić najbliższą maczetę i zacząć rąbać w jego szyję, choćby po to, by uzyskać jakąkolwiek reakcję.

– Po prostu nie zabijaj żadnych pieprzonych kobiet, które mogą być w pobliżu, gdy zajmujesz się swoimi sprawami, w porządku? – dopytuję.

– Co to za różnica?

– Będę mógł lepiej spać w nocy – kwituję.

– Właśnie dlatego mężczyźni w naszej branży powinni być sami, Kazimir – rzuca z pogardą. – Kobiety czynią cię miękkim.

Zanim zdążyłbym go zastrzelić, wychodzi przez drzwi i już go nie ma.

Na biurku dzwoni moja komórka, a na ekranie wyświetla się „Siergiej”. To zaufany członek mojej załogi. Odbieram połączenie i czekam, aż się odezwie. Kiedy to robi, jego głos jest napięty.

– Mamy pewną sytuację – zaczyna.

– Jaką?

– Jest pożar. – Robi przerwę. – W magazynie.

W magazynie, w którym trzymam Diego w niewoli, domyślam się.

– Jak bardzo jest źle?

– Nie wiem. Właśnie dzwonili z firmy ochroniarskiej. Jestem w drodze. Straż pożarna została wysłana.

– Dotrzyj tam pierwszy i wyciągnij go. Chcę go mieć żywego, zrozumiano?

– *Da.*

– Zadzwoń do mnie, jak będziesz go miał – oznajmiam.

Siergiej mruczy potwierdzenie i rozłącza się, zostawiając mnie, bym mógł zastanowić się nad tysiącem sposobów, w jaki to może pójść źle.

I czy może Malek miał rację, mówiąc, że kobiety czynią mężczyzn takich jak my miękkimi.

Dawny ja wpakowałby Diego kulkę w głowę tygodnie temu. Nie czułby też żalu, gdyby jeden z jego wrogów zginął w pożarze. Stary ja – osoba, którą byłem, zanim poznałem Natalie – uznałby myśl o Diego krzyczącym w agonii, kiedy płonie żywcem, za bardzo zabawną.

Nowy ja?

Niespecjalnie.

– Kurwa. Zanim się obejrzę, sam pobiegnę, by uratować Diego – mamroczę pod nosem, a potem wybucham śmiechem w reakcji na tę wizję.

Nalewam sobie więcej wódki.

Niedługo później biorę klucze i ruszam do magazynu, przeklinając to okropne nowe sumienie, które wyrosło mi po tym, jak się zakochałem.

ROZDZIAŁ 3

RILEY

Kiedy otwierają się drzwi kabiny, mrugam, oślepiona jasnym światłem. Jesteśmy na kolejnym lotnisku, całkiem malutkim w porównaniu z tym w San Francisco. Znajduje się tu kilka budynków gospodarczych i mnóstwo innych prywatnych odrzutowców, ale dostrzegam tylko jeden główny pas startowy. Nie widzę żadnych komercyjnych samolotów.

Gdziekolwiek jesteśmy, to lotnisko jest małe i ekskluzywne.

Jest też wilgotno jak w piekle. Choć moje włosy są związane w kucyk, już czuję, jak się kręcą.

Na pasie startowym czeka elegancki, czarny range rover z przyciemnianymi szybami i błyszczącymi felgami. Kierowca wysiada, gdy zauważa mnie u szczytu schodów.

Ma na sobie czarny garnitur tak bardzo opięty w okolicach krocza, że to niemal pornograficzne.

Chociaż przypuszczam, że gdybym miała takie wyposażenie między nogami, też nosiłabym garnitury szyte na miarę, by to pokazać. Ozeszkurka, ten facet jest nieźle *obdarowany*.

Uśmiecham się, starając utrzymać z nim kontakt wzrokowy i nie gapić się na jego dobra. Podchodzę do tego dobrze obdarzonego okazu męskości i wyciągam rękę.

– Cześć, jestem Riley.

Ogier podaje mi dłoń z tak poważną miną, jakbyśmy byli dwoma światowymi przywódcami na krytycznym spotkaniu dyplomatycznym ONZ, aby uratować ludzkość.

Ma ciemnoblond włosy, cudowne, orzechowe oczy, tatuaż z pajęczyną na karku oraz linię szczęki tak wspaniałą, że mogłaby wywołać płacz aniołów.

Jest uderzająco podobny do postaci z komiksów Marvela – Thora, nordyckiego boga piorunów.

– Witaj, Riley. Miło mi cię poznać.

Dobra, świat jest całkowicie niesprawiedliwy, bo Thor nie tylko jest ogierem wywołującym owulację, ale też ma gorący irlandzki akcent.

Założę się, że Sloane postanowiła wyjść za O'Donnella dla pieniędzy, a tego Thora pieprzy na boku.

Nienawidzę tego przyznawać, ale to dobry plan.

– Ciebie też miło poznać. Jak masz na imię?

– Spider odpiera.

Robię zdziwioną minę.

– Pająk? Nie. Twoja matka z pewnością cię tak nie nazwała. Jakie jest twoje prawdziwe imię?

Milczy przez chwilę, podczas której wygląda, jak gdyby próbował się nie uśmiechać.

– Homer mówi w końcu.

– Naprawdę? To super! Nigdy nie spotkałam nikogo, kto dostał imię po starożytnym greckim poecie – odpowiadam radośnie.

Zniża głowę i bada mój wyraz twarzy z taką intensywnością, że jestem zaskoczona.

– Czy powiedziałam coś nie tak?

– Nie.

– Więc dlaczego patrzysz na mnie w ten sposób?

– Twoja siostra powiedziała mi dokładnie to samo o moim imieniu, kiedy się poznaliśmy. Dosłownie.

– Och. Hmm. Dziwne.

– Aye.

O mój Boże, ludzie z Irlandii naprawdę mówią „aye”. To takie gorące. Przestań patrzeć na jego krocze.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, wolałbym, żebyś nazywała mnie Spider, mimo wszystko. Większość chłopaków nie zna mojego prawdziwego imienia.

Robi mi się dziwnie na wzmiankę o *chłopakach*.

Jeżeli tam, gdzie zmierzamy, jest więcej Spiderów, to przedłużam te wakacje w nieskończoność.

– Jasne. Możesz liczyć na to, że nie zdradzę tajemnicy. Jestem dobra w utrzymywaniu sekretów. Uśmiecham się do niego.

Rzuca mi niezrozumiałe spojrzenie, po czym odwraca się, by odebrać moją torbę od pracownika przenoszącego ją z samolotu.

Spider wrzuca torbę na tył SUV-a, otwiera dla mnie tylne drzwi i czeka, aż wsiądę do środka. Potem zatrzaskuje za mną drzwi i wsuwa się za kierownicę.

Ruszamy z taką siłą, że mocno uderzam plecami o siedzenie.

– Czy bierzemy udział w pościgu samochodowym, o którym nie wiem?

– Nie odpowiada. Dlaczego pytasz?

SUV wpada w zakręt, opony piszczą. Teraz lecę na bok i prawie walę głową w okno.

– Och, bez powodu. Po prostu pęknięcie czaszki nie jest uwzględnione w moim planie podróży.

Zerkając na mnie w lusterku wstecznym, marszczy brwi. Później bierze kolejny zakręt tak szybko, że muszę trzymać się klamki, żeby nie wałnąć w tylną szybę i nie wylecieć w kosmos.

– Stary, możesz się uspokoić? Jestem tu podrzucana jak piłka plażowa na Electric Daisy Carnival! krzyczę, zirytowana.

Mogę wywnioskować po wyrazie jego twarzy, że nie rozumie tego odniesienia. Ale zwalnia do poniżej tysiąca mil na godzinę, więc chyba trafił do niego ogólny przekaz, że nie jestem jedną z fanek nienormalnych prędkości.

– Dziękuję. Do licha burczę pod nosem.

Przez chwilę jedziemy, nie odzywając się do siebie.

Opieram się chęci zadawania mu pytań, głównie dlatego, że boję się, iż jego irlandzki akcent sprawi, że moje majtki pójdą z dymem.

Po tym, jak zaciekawiony Spider spogląda na mnie w lusterku wstecznym jakieś czterysta razy, wzdycham ciężko i poprawiam okulary.

– Wiem. Moja siostra i ja nie jesteśmy do siebie podobne.

– Ale macie tę samą charyzmę.

– Charyzmę? pytam, zdziwiona.

– Taaa. Pewność siebie.

– Ha! Nikt na Ziemi nie ma pewności siebie Sloane.

Wybuchają śmiechem.

– Aye. Może z wyjątkiem jej mężczyzny.

Choć nie zamierzałam zadawać pytań, ciekawość staje się silniejsza ode mnie.

– Masz na myśli jej narzeczonego? Bogatego, starszego pana O'Donnella? podkreślam.

Zerka na mnie groźnie.

– Czterdzieści dwa lata to nie jest starość, panienko rzuca, oburzony.

Dobra, dwie rzeczy. Po pierwsze, ma rację. Mimo że O'Donnell jest sporo starszy od Sloane, czterdzieści dwa lata to nie starość.

Po drugie, co ważniejsze, bycie nazywaną *panienką* to mój nowy ulubiony afrodyzjak.

Wychylam się za oparcie fotela pasażera i wpatruję w piękny profil Spidera. Po chwili on rzuca mi pytające spojrzenie.

– Przepraszam. Po prostu próbuję sobie wyobrazić, jak się żyje, gdy wygląda się w ten sposób rzuca.

– To znaczy?

– No wiesz. Macham ręką, by wskazać jego ogólny błysk. – To.

– Nie wiem, co masz na myśli.

Co dziwne, wydaje się mówić szczerze. Na jego twarzy naprawdę maluje się zakłopotanie. Ale jak to możliwe? Gdybym była tak zajebista, na pewno zdawałabym sobie z tego sprawę.

Tak jak Sloane.

Przychodzi mi do głowy, że być może Spider nie dostrzega wielu rzeczy, nie analizuje swojego wyglądu ani męskości. Może będę musiała mu to wyjaśnić.

– Chcę powiedzieć, że jesteś bardzo przystojny.

Ku mojemu zaskoczeniu jego policzki stają się jasnoczerwone.

Szybko rzuca jakieś bezsensowne zaprzeczenie, poprawia krawat i wpatruje się prosto przed siebie przez przednią szybę, mrugając komicznie.

Ooo. On jest wstydlivy! Wspaniały, dobrze obdarzony i nieśmiały!

Chcę wpełznąć na jego kolana, ale zamiast zrobić to, czego pragnę, uśmiecham się do niego.

– Musisz mieć duże powodzenie wśród kobiet, Spider.

Więcej intensywnego mrugania. W końcu opanowuje się na tyle, by powiedzieć sztywno:

– Nie mam czasu na związek.

Śmieję się z tego.

– Mam cię. Gdybym była tobą, też byłabym graczem. Po co trzymać te wszystkie ciasteczka w jednym słoiku, skoro można je rozdawać po całym mieście i uszczęśliwiać każdego?

– Zwariowałaś odpiera szorstko.

– Och, nie bądź zły. Prawię ci komplementy.

– Nie czuję się tak, jakbyś to robiła. Wręcz przeciwnie burczy.

– Wolałbyś, żebym stwierdziła, że jesteś brzydki i odpychający? Bo szczerze się cieszę, że mogę powiedzieć wprost, że jesteś czarujący, i zniszczyć przy tym to, że ty tak nie uważasz. Jesteś naprawdę wyjątkowo atrakcyjny. A twoje zakłopotanie jest przeurocze dodaję zgodnie z prawdą.

Cała jego twarz robi się jasnoczerwona: od szczytu wykrochmalonego, białego kołnierzyka po czubki uszu.

Ten facet jest absurdalnie pociągający.

Opieram się o tylne siedzenie i wzdycham.

– Dobra, jedź dalej. A może powiesz mi, gdzie jesteśmy?

– Bermudy.

Moje oczy prawie wyskakują z głowy.

Bermudy? Nic dziwnego, że powietrze jest takie wilgotne.

Zauważając mój wyraz twarzy, Spider oznajmia:

– To tymczasowe. Ostatnio byliśmy w Martha's Vineyard, ale były tam jakieś, ach... Robi dziwną minę. Pozwolę twojej siostrze to wyjaśnić.

Hmm. Fabuła się zagęszcza.

Mówię sucho:

– Czy z Martha's Vineyard wygoniła cię codzienna piechota wielbicieli Sloane walących w drzwi? Założę się, że jej narzeczonemu musi być trudno poradzić sobie z tym, jak każdy facet pada na kolana u jej stóp.

Zatrzymuje się na chwilę, po czym odpowiada cicho:

– Zazdrość do ciebie nie pasuje.

Jego słowa zapierają mi dech w piersiach. Patrzą przez okno na mijaną przez nas scenerię, a moje policzki płoną ze wstydu.

Przez jakiś czas jedziemy w ciszy, aż przyznaję z żalem:

– Zawsze, kiedy jest w pobliżu, ludzie patrzą przeze mnie, jakbym była niewidzialna.

– To dlatego, że ludzie są cholernymi kretynami – komentuje.

Jest dla mnie miły, bo dałam mu taki wylewny komplement.

Nieważne. Przyjmę to.

Uśmiecham się do niego.

– Dziękuję, Spider. Oprócz tego, że jesteś bardzo gorący, jesteś też bardzo słodki.

Kolor jego uszu zmienia się w ciemniejszy odcień karmazynu.

Potem skręcamy na długi, prywatny podjazd, a mnie zadziwia wielkość żelaznej bramy, która otwiera się powoli, żeby nas przepuścić. Jest ogromna, otoczona z obu stron wysokimi, kamiennymi ścianami oraz gajem drzew zasłaniających widok na zewnątrz.

Kiedy dostrzegam kamery bezpieczeństwa zamontowane na szczycie murów i wszystkich uzbrojonych strażników czających się pod drzewami, marszczę brwi.

– Spider?

– Aye, panienko?

– Czy narzeczony mojej siostry jest sławny?

Wykrzywia wargi.

– Coś w tym stylu.

– Nie bądź tajemniczy. Denerwuję się, gdy ludzie są tajemniczy wyznają.

– Pan O'Donnell jest... potężnym człowiekiem – wyjaśnia ogólnie.

Wahanie sprawia, że niepokoję się jeszcze bardziej.

– Jak potężnym? Jest politykiem czy kimś takim?

– Politycy chcieliby mieć jego rodzaj władzy – szydzi.

– O Boże. To brzmi strasznie. Czy on jest s-superzłoczyńcą? – dukam.

Uśmiech Spidera jest nieznaczny i tajemniczy.

– Nie posuwałbym się tak daleko – dodaje.

– Więc jest dobrym facetem?

Wzrusza ramionami.

– Odpowiedź na to pytanie zależy od tego, kogo zapytasz – oznajmia, znowu unikając bezpośredniej odpowiedzi.

– Poważnie? Zabijasz mnie!

Najwyraźniej uznaje moją kwitnącą panikę za zabawną, bo zaczyna się śmiać.

– To nie jest moje zadanie, żeby odpowiadać na tego typu pytania, panienko. Ale nie martw się: będziesz tu bezpieczna.

Przejeżdżamy obok faceta w czarnym garniturze trzymającego czarny karabin. Kuca w krzakach, obserwując nas zmrużonymi oczami. Podnosi rękę do ust i mówi do czegoś, co wygląda jak zegarek, ale najwidoczniej jest jakimś urządzeniem komunikacyjnym.

Takim, jakie miałyby szpieg.

Albo poplecznik superzłoczyńcy.

Mówię sucho:

– Och, tak, czuję się już całkowicie bezpiecznie. Potem sapię. O, wow. Czy to nasz hotel? Jest ogromny!

Kiedy Spider wybucha śmiechem, dociera do mnie prawda.

– Kurwa mać, jasna cholera. To jego dom?

– Aye.

Gapię się na rozległą, kamienną posiadłość na szczycie wzgórza. Widziałam mniejsze zamki.

– To jeden dom? Dla jednej osoby?

– Dla dwóch, jeśli liczyć Sloane.

Rzucam mu kwaśne spojrzenie.

– Śmiejesz się ze mnie.

– Nigdy bym tego nie zrobił.

Próbuje udawać niewiniątko, lecz kompletnie mu się to nie udaje. Daję mu kuksańca w ramię.

– Auć! Nie ma potrzeby stosować przemocy, panienko! Ale z ciebie wściekły borsuk!

Teraz śmieje się jeszcze mocniej, co za palant.

– Wsadzę ci wściekłego borsuka prosto w tyłek, chłoptasiu – mamrocę.

Jego ramiona się trzęsą, usta są zaciśnięte, oczy jasne, a ja mam zamiar go zatłuc.

Jednak momentalnie przechodzi mi żądza mordu, gdy dostrzegam Sloane wyłaniającą się zza wielkich, drewnianych drzwi wejściowych do domu. Za nią podąża mężczyzna, który sprawia, że moje usta otwierają się w szoku.

Wysoki, o szerokich ramionach, przybierający dumną postawę Micka Jaggera, ma włosy czarne jak północ, oczy niebieskie jak kobalt i chytry, zarozumiały grymas króla piratów.

Ten człowiek jest tak piękny, że sam diabeł byłby zazdrosny.

– To jest ten narzeczony? pytam zduszonym głosem.

– Aye. Jedyne w swoim rodzaju Declan O'Donnell odpowiada z dumą Spider.

Declan O'Donnell.

Słodki Jezu, nawet jego nazwisko jest gorące. Przy nim mój ostatni chłopak wygląda jak Shrek.

Gdy tylko skończą się te wakacje, wsiądę w samolot lecący prosto do Irlandii.

SUV się zatrzymuje, a Declan otwiera przede mną tylne drzwi, zanim silnik zgaśnie. Wyskakuję z samochodu i jestem zachwycona wzrostem partnera siostry. Muszę wyciągnąć szyję, aby na niego spojrzeć. To sprawia, że jego piękno staje się jeszcze bardziej imponujące.

– Riley mówi. W końcu się spotykamy. Twoja siostra tak wiele mi o tobie opowiadała.

Jego głos jest głęboki, jego uśmiech jest genialny, a mój poziom estrogenów gwałtownie wzrasta.

Następnie, żeby przeciąć wszystkie przewody w moim mózgu, Declan zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku, podnosząc tak, że moje stopy odrywają się od ziemi.

Zastanawiam się, czy siostra będzie miała coś przeciwko, kiedy zacznę nazywać jej narzeczonego tatusiem.

Gdy Declan stawia mnie z powrotem na nogach, spoglądam na Sloane. Stoi kilka stóp dalej, obserwując nas z niepewnym uśmiechem.

– Hej, Maluchu mówi łagodnie.

Jak zawsze prezentuje się niesamowicie. Idealne włosy, idealna twarz, idealne ciało. Moja wspaniała starsza siostra, nieustraszony lew, perfekcyjna flirtiera, konsumentka męskich dusz.

Życie zawsze było dla niej łatwe. Nawet w jej niezręcznej fazie nastoletniego emo pozostawała słońcem, wokół którego wszyscy inni się kręcili. Nigdy nie była zwyczajna.

W przeciwieństwie do mnie, która wygląda niczym jedna z latających małą z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Przynajmniej według niej.

– Hej, Hollywood mówię. Dzięki za zaproszenie. Twój mężczyzna to ropucha, a to miejsce to nora.

– Poczekaj, aż zobaczysz swoją sypialnię.

– Niech zgadnę: wsadziliście mnie na strych z duchami?

– Nie, umieściliśmy cię w piwnicy, żebyś nie straszyla duchów droczy się.

– Doceniam to, dziwko odpowiadam.

– Nie ma sprawy, trollu.

Uśmiechamy się do siebie. Mogę powiedzieć, że Declan jest zaniepokojony tą wymianą zdań, co każe mi przypuszczać, że nie ma siostry.

Nagle zapominam o jego rodzeństwie lub jego braku, bo podnosi mnie i przerzuca przez ramię.

Przerzucił mnie przez swoje ramię!

Piszczę z zachwytu, a potem zaczynam się trząść jak wariatka.

Sloane krzyżuje ręce na piersi i kręci głową z dezaprobatą.

– Sprawisz, że zwymiotuje, kochanie.

– Żartujesz?! krzyczę, wpatrując się w tyłek Declana znajdujący się na wysokości moich oczu. Muszę przyznać, że jest wspaniały. To niesamowite! Declan, masz moje pozwolenie na kontynuację!

Mężczyzna rechocze, Sloane przewraca oczami, a ja macham nogami w czystym szczęściu.

Dobrze, że spakowałam wystarczająco dużo swoich ulubionych słodczy na tę podróż, bo mam ochotę stąd nie wracać.

ROZDZIAŁ 4

MAL

Już mam pociągnąć za spust, by wpakować kulkę w głowę Declana, kiedy z samochodu wysiada kobieta.

Dzięki potężnemu powiększeniu z lunety karabinu ogarniam ją wzrokiem i szybko oceniam.

Młoda i drobna. Mysie blond włosy związane w niedbały kucyk. Szare, workowate spodnie dresowe oraz klapki. Okulary i niedopasowana bluza.

Coś w jej wyglądzie sugeruje, że jest bezdomna. Albo przynajmniej beztroska czy zaniedbana. Ubranie ma pomięte, włosy niechlujne. Sposób, w jaki spodnie zwisają z jej bioder, wskazuje na niedożywienie.

Może Declan adoptuje uchodźcę.

Z rosnącą irytacją obserwuję, jak obejmuje tę niechlujną sierotę. Gdyby zeszła z drogi, mógłbym się zająć swoją sprawą. Już od kilku godzin siedzę w tej rozpadającej się kościelnej dzwonnicy.

Pot spływa mi po karku, uda zaczynają drżeć z wysiłku. Powietrze cuchnie pleśnią i mysimi odchodami, a upał tylko wzmacnia ten smród.

Nie mogę się doczekać powrotu do Moskwy. Do zimna i ciemności, z dala od tej tropikalnej dziury.

Wszystko jest tu takie jasne. Tak kolorowe. Takie *radosne*.

Nienawidzę tego.

Kobieta stojąca z jednej strony Declana i nowo przybyłej to Sloane. Poznaje ją ze zdjęcia, które dał mi Kazimir. Jest wysoka, krągła i nie można jej pomylić. Obserwuje nową dziewczynę z wahaniem.

Ignorując ją, zwracam uwagę z powrotem na Declana.

Odsuwa się od sierotki, ale nadal nie mam czystego strzału. Ona znajduje się zbyt blisko niego. Potem podnosi ją i...

Odsuwam twarz od lunety, mrugam – żeby sprawdzić, czy nic mi się nie przywidziało – po czym znów mrużę oczy, wpatrując się w lunetę.

Nie pomyliłem się.

Declan przerzucił sobie sierotkę przez ramię.

Teraz kieruje się do rezydencji, trzymając Sloane za rękę, a jednocześnie niosąc inną kobietę do góry nogami. Trio znika razem w środku. Siadam na piętach i myślę.

Ta dziewczyna najwyraźniej nie jest uchodźcą. Może pracownicą domową? Nową pokojówką? Chłodny sposób, w jaki Sloane ją przywitała, nie wskazywał, żeby się znały, więc to miałyby sens. Wyglądało to tak, jak gdyby spotkały się po raz pierwszy.

Ale Declan obejmował ją z tak wyraźnym entuzjazmem... Obchodził się z nią z takim znanstwem, przerzucając ją przez ramię niczym własność...

Ach.

Ona jest dziwką.

To dziewczyna tak biedna i pokrzywdzona przez los, że musi się sprzedawać dziwaczny, bogatym parom, by mieć pieniądze na jedzenie.

– Pieprzeni Irlandczycy – mamroczę, zde gustowany.

Myślę o moim zmarłym bracie i o tej smutnej kobiecie w workowatych dresach – oboje są ofiarami bezwzględnego króla mafii.

Później, wściekły, ponownie siadam w fotelu, żeby czekać na okazję do kolejnego strzału.

Ten drań nie może zostać w środku na zawsze.

ROZDZIAŁ 5

RILEY

Wnętrze posiadłości, zamku, pałacu – czy jakkolwiek to nazwać – jest jeszcze bardziej imponujące niż wygląd budynku na zewnątrz.

Wszystko zostało wykonane z marmuru, kryształu lub polerowanego mahoni. Posągi Greków o pustych oczach czają się w oświetlonych wnękach w ścianach. Drogie bibeloty zdobią każdą dostępną powierzchnię. Pluszowe, tureckie dywany tłumią nasze kroki, podczas gdy białe, lniane zasłony, zaciągnięte przed sięgającymi od podłogi do sufitu oknami, uginają się pod wpływem leniwej morskiej bryzy.

Patrzę na cały ten przepych z dołu, ponieważ gdy tylko weszliśmy do środka, Declan postawił mnie na podłodze.

Nadal mu tego nie wybaczyłam.

Podążam za nim i Sloane, kiedy prowadzą mnie do pokoju gościnnego, w którym się zatrzymam. Prawdopodobnie ma własny basen.

– Więc, Declan, jaki rodzaj pracy wykonujesz? – zagajam.

On i Sloane wymieniają spojrzenia.

– Stosunki międzynarodowe – odpowiada mężczyzna.

Za oknami przechadza się para uzbrojonych strażników.

– Naprawdę? To ciekawe. Oglądałam kiedyś film z Denzelem Washingtonem, w którym mówił ludziom, że zajmuje się stosunkami międzynarodowymi, ale w rzeczywistości pracował dla CIA. Pracujesz dla CIA?

– Chcieliby – sztydzi.

– FBI?

Podnosi umięśnione ramię.

– Okazjonalnie.

– Tak, ja też. Jednak tylko wtedy, gdy wykręcą mi rękę – cedzę. –
O wiele bardziej wolę pracować dla MI5.

– Sześć.

– Słucham?

– MI6 to zagraniczny wywiad działający poza Wielką Brytanią.
MI5 jest krajowy.

– A, no tak. Zawsze zapominam. Trudno jest zapamiętać wszystkie
różne agencje wywiadowcze, dla których szpieguję – droczę się.

– Opowiedz mi o tym.

To sprawia, że unoszę kącki ust. Uwielbiam, gdy ludzie bawią się
w moje głupie gierki.

Na końcu długiego korytarza zatrzymujemy się przed
zamkniętymi drzwiami. Declan opiera się o ścianę, krzyżuje
umięśnione ramiona na piersi i uśmiecha się do mnie. Moje jajniki
wzdychają w zadowoleniu.

– Pozwolę ci się zadomowić i dam wam, dziewczyny, szansę na
nadrobienie zaległości. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, po
prostu użyj telefonu – poleca.

– Nie mam komórki. Moja filozofia życiowa sprawia, że
sprzeciwiam się technologii, która może mnie szpiegować i
monitorować – wyznaję zgodnie z prawdą.

– Miałem na myśli telefon obok twojego łóżka.

Kiedy marszczę brwi, Sloane mówi:

– To telefon domowy. Powiedz temu, kto odbierze, czego chcesz, a
oni to przyniosą – instruuje siostra.

Przenoszę wzrok z Declana na Sloane i z powrotem.

– Kim jest ta osoba, która odbierze?

– Kimkolwiek, kto jest na zmianie – odpowiada Declan.

– Więc masz też personel, a nie tylko armię ochroniarzy. Coś jak
Downton Abbey, tyle że z bronią – stwierdzam, kierując te słowa
bardziej do siebie niż do niego.

Declan się śmieje.

– Jesteś bardzo podobna do swojej siostry – oznajmia,
przyglądając mi się w skupieniu.

– Nie mów jej tego. Zerwie zaręczyny. A skoro mowa o
zaręczynach, Sloane, dlaczego nie nosisz pierścionka?

Declan odwraca się do niej i oznajmia łagodnie:

– Dobrze pytanie. Nie mogę się doczekać, aż usłyszę odpowiedź.

Ona przewraca oczami.

– Technicznie rzecz biorąc, nie powiedziałam jeszcze tak.

Prawie uderzam ją w twarz.

– Co? – warczę. – Czyś ty zwariowała? – Wskazuję mężczyznę obok niej, po czym kontynuuję: – Poprosił cię o rękę, a ty nie powiedziałaś „tak”? Co jest z tobą nie tak?

Tłumiąc śmiech, Declan odpiera:

– Amen.

– Ponadto... poczekaj chwilę. Czy nie zaprosiłaś mnie tutaj, żebym poznała twojego mężczyznę, z którym chcesz wziąć ślub? Twojego narzeczonego? – dopytuję, nie kryjąc szoku.

– Lada dzień weźmiemy ślub – odpowiada, zrozpaczona. – Kiedy w końcu powiem tak...

– Zachowujesz się, jakby to miało jakikolwiek sens. Uwaga na spoiler! Nie ma.

– Codziennie pytam ją, czy za mnie wyjdzie – przerywa Declan gardłowym głosem. – Zawsze odpowiada, że jeszcze nie. Ale pewnego dnia się zgodzi, a wtedy pójdziemy prosto do sądu i uprawomocnimy nasz związek.

Patrzy na nią gorącymi, półprzymkniętymi oczami.

Nie rozumiem, jak udaje jej się zachować pion pod wpływem tego tłącego się spojrzenia i nie rozpląnąć w płonącej kałuży hormonów.

Oburzona, zwracam się do niej:

– Czy ty celowo się z nim bawisz? Bo to nie jest fajne.

– Niefajne – zgadza się Declan, kręcąc głową.

Siostra przygryza wewnątrz wargi i wbija wzrok w podłogę.

Wahanie szalenie do niej nie pasuje. Nie przestaje myśleć, zanim odpowie. To mnie martwi. Sloane, którą znam, już dawno uderzyłaby mnie w twarz.

Mówiąc obrazowo. Z pogardą.

Patrząc na swoje stopy, szepcze:

– Nie bawię się nim. Po prostu teraz jest między nami tak idealnie, że nie ma możliwości, by było lepiej. Nie chcę tego zrujnować.

Declan patrzy na nią z taką troską i oddaniem płonącym w oczach, że jestem zażenowana, że tam stoję. Potem chwyta ją i składa na jej ustach namiętny pocałunek.

Odrywa się od Sloane, po czym wpatruje w jej oczy. W jego spojrzeniu dostrzegam mieszankę żaru i pożądania.

– Powiedz „tak”, a przysięgam, że każdy dzień będzie lepszy od poprzedniego, ty cholerna, uparta kobieto – warczy. – Masz moje serce. Moją duszę. Moje życie. Chcę, byś miała też moje nazwisko i nosiła mój pierścień, żeby każdy, kto cię zobaczy, wiedział, że należysz do mnie. Jestem tak dumny z bycia twoim mężczyzną, że chcę, by cały cholerny świat wiedział, że jesteś moja – deklaruje.

Obie jesteśmy zarówno oszołomione, jak i pozbawione tchu.

Ten człowiek jest po prostu...

Wow.

Muszę się zastanowić nad adekwatnym przymiotnikiem. W tej chwili brakuje mi słów.

Jeśli Sloane nie wyjdzie za niego w ciągu dwudziestu czterech godzin, będzie dla mnie martwa na zawsze.

Przepycham się obok nich do pokoju, zamykam za sobą drzwi, pochylam się do nich i mówię głośno:

– Świetnie cię poznać, Declan. Zadzwoń do mnie, gdy będzie pora kolacji. Zdrzemnę się na tym łóżku, które jest wystarczająco duże dla dziesięciu osób. Kiedy się obudzę, spodziewam się zobaczyć pierścionek na tym twoim palcu, Sloane. Ty idiotko!

Kładę się twarzą w dół na materacu, użalając nad sobą, że nie mam nawet jednej czwartej urody ani stylu mojej siostry.

Zasypiam, fantazjując, że jestem piękną królową z haremem Irlandczyków.

Gdy otwieram oczy, słońce już zachodzi. Sloane leży na podłodze nieopodal, opierając długie nogi na zaokrąglonym krześle, bawi się kosmykiem włosów i wpatruje w sufit.

Podnoszę się na łokciach, a potem spoglądam na nią.

– Ugh. Nienawidzę tego, że możesz wyglądać tak dobrze, kiedy jesteś zamyślona. Gdy ja się na czymś skupiam, wyglądam, jakbym musiała zrobić kupę – jęczę.

Zamyka na moment oczy i zaczyna się śmiać.

– Myślisz, że żartuję, ale tak nie jest. To całkowita prawda.

– Och, wiem – mówi, siadając. Giętka niczym kot, wsuwa nogi pod siebie i uśmiecha się do mnie. – Pamiętam te twoje miny. Masz je po tacie – wyznaje sentymentalnie.

– On jest dziwnie ekspresyjny jak na wojskowego, prawda? Można by pomyśleć, że zmilitaryzowali to z niego. Całe to maszerowanie, słuchanie rozkazów i tak dalej. Wiem, że z pewnością bym płakała, gdybym musiała to przeżyć. Pewnie dlatego żołnierze wyzbywają się emocji – stwierdzam.

– Declan był w wojsku, a nadal jest bardzo ekspresyjny. – Dwie słabe plamy różu pojawiają się wysoko na jej policzkach.

Mogę powiedzieć, że myśli dokładnie o tym, jak bardzo *ekspresyjny* jest. Teraz ja również o tym myślę, co mnie frustruje.

– Fuj. Nie muszę wyobrażać sobie swojej starszej siostry uprawiającej wszystkie rodzaje nadmiernie gorącego seksu, dziękuję bardzo. Poważnie, och. Mój Boże, laska, gdzie ty go znalazłaś i ilu ma braci? Chcę mieć dwóch, co najmniej!

– Jest niesamowity, prawda? – pyta nieśmiało. Trzepocze rzęsami i wzdycha jak wariatka. Albo przynajmniej jakaś *inna* osoba, jakaś romantyczna, słodka osoba z wyidealizowanymi wyobrażeniami o miłości, nie ona.

Przerzucam nogi przez bok łóżka, siadam i patrzę na nią zmrużonymi oczami.

– Serio jesteś w nim zakochana, prawda?

– Tak. To straszne. Znaczy, jest cudowne, ale i straszne, bo...

– Nie masz już kontroli – dopowiadam.

Przytakuje, krzywiąc się.

– A ja nigdy wcześniej nie miałam nic wartego utraty. Nigdy wcześniej nie dbałam o nic poza sobą. Teraz zależy mi na wszystkim. Jestem jedną wielką sentymentalną kulą troski. Płakałam, oglądając zachód słońca tamtego dnia, do jasnej cholery! – krzyczy, zirytowana.

Staram się nie uważać jej zagubienia za tak satysfakcjonujące, ale ono właśnie takie dla mnie jest.

Okropna ze mnie osoba.

– W każdym razie – macha rękami, żeby rozwiać tę część rozmowy
– musimy zrobić coś z twoimi włosami.

– A co jest nie tak z moimi włosami?

– To jest ohydne. Wyglądasz, jakbyś przegrała zakład.

– Och, dzięki Bogu! – wykrzykuję radośnie, klaszcząc w dłonie.

– Co? – Marszczy nos.

– Przez chwilę myślałam, że zostałam zastąpiona przez zmiennokształtnego.

Ktoś miękko uderza knykciami w drzwi.

– Wejź! – krzyczymy jednocześnie.

Do pomieszczenia zagląda Spider.

– Hejo. Mam twój bagaż, panienko. Czy to dobry moment, by go wnieść?

Gorący, nieźle obdarowany oraz uprzejmy. Przysięgam, znajdę naukowca, który sklonuje jego i Declana, aby zrobić dla mnie idealnego samca.

– Wchodź. Możesz go zostawić w dowolnym miejscu – instruuję.

Gdy przekracza próg pokoju, niosąc moją torbę i chromosomy moich przyszłych dzieci, kiwa głową na przywitanie Sloane. Odkłada torbę na podłogę, obok komody, następnie odwraca się, by wyjść.

– Czekaj – mówi Sloane. – Gdzie jest reszta?

– To już wszystko, proszę pani.

Sloane robi kwaśną minę.

– Co ci mówiłam o nazywaniu mnie w ten sposób?

Spider wygląda, jakby z całych sił powstrzymywał się przed uśmiechem. Teraz, kiedy wiem, że drażni się z moją siostrą, lubię go jeszcze bardziej. To wymaga jaj, których już wiem, że mu nie brakuje. Mam na to wizualny dowód.

Wbijam wzrok w mężczyźnę.

– ...Riley?

– Co? – Odrywam wzrok od pokaźnego wybrzuszenia w spodniach Spidera i patrzę na Sloane. – Przepraszam, nie słyszałam, co powiedziałaś.

– Zastanawiam się dlaczego – mówi drętwo.

Mrużę oczy i mentalnie telegrafuję groźbę, którą ona odbiera. Uśmiecha się protekcjonalnie.

– Pytałam, gdzie jest reszta twojego bagażu – powtarza, jak gdyby zwracała się do niesfornego dziecka.

– Nie mam nic więcej. To wszystko.

Wpatruje się z niedowierzaniem w podniszczoną torbę podróżną, którą kupiłam przed wyjazdem na studia lata temu.

– Zabrałaś ze sobą jedną torbę? – pyta piskliwie.

– Zachowujesz się tak, jakbym właśnie poinformowała cię, że jest wypełniona częściami ciała.

Ignorując mój sarkazm, kontynuuje:

– Jak możesz podróżować z jedną sztuką bagażu? Gdzie twoja torba na buty? Na kosmetyki? Na ubrania wizytowe? Wszystkie twoje ubrania? – wymienia.

Rozgląda się po pokoju, jak gdyby oczekiwała, że w powietrzu pojawi się zestaw kufrów z logo Louis Vuitton, pękających od etoli z nerek i sukni wieczorowych.

Unoszę kąciki ust.

– Zniszczę ci mózg, kiedy powiem, że mój laptop też tam jest. – Puszczam do niej oczko.

Spider zerka na mnie i mruga. Potem wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Sloane podskakuje, idzie do torby, schyla się, rozpiną zamek błyskawiczny, a później wpatruje się w jej zawartość. Grzebie w niej przez chwilę, po czym prostuje się i patrzy na mnie.

– O co chodzi z tymi wszystkimi pudełkami słodczy?

– Nigdzie nie podróżuję bez Twizzlersów. I nie wszędzie można dostać te arburowe Sour Patch Kids, więc ponieważ nie wiedziałam, gdzie jadę... – Wzruszam ramionami. – Lepiej być zabezpieczonym, niż żałować.

Siostra zamyka oczy, oddycha głęboko, zbiera się w sobie i znowu spogląda na mnie.

– Czy masz jakieś elementy odzieży, które nie są szare ani wykonane z polaru?

– Tak. No raczej. Majtki.

– Mój Boże. Nie mogę uwierzyć, że jesteśmy spokrewnione.

Jest tak przerażona, że odnoszę wrażenie, iż za chwilę zrobi znak krzyża nad swoją klatką piersiową. A może powinna wezwać księdza i oblać mnie święconą wodą z fiołki. To mnie rozśmiesza.

– Och, wyluzuj, Beyoncé. Pod cukierkami są inne rzeczy. – Kiedy patrzy z nadzieją na bagaż, dodaje: – Zabrałam ze sobą też białe koszulki i dżinsowe szorty.

Wyraz twarzy siostry wskazuje, że ta być może zaraz zwróci resztki lunchu.

– Widzę, że podczas twojego pobytu będziemy musiały także zrobić jakieś zakupy.

– Także?

– Oprócz osvajania tego zdziczałego skunksa na czubku twojej głowy – mówi z odrazą.

– Wybacz, ale nie każdy uważa, że trzeba wyglądać jak modelka.

– Musi być jakiś środek pomiędzy modelką a włóczęgą.

– Jeśli mówisz o ludziach, którzy nie mają domów, Cruello, poprawne określenie to „bezdomni”. „Włóczęga” jest superobraźliwe.

– Za długo mieszkasz w San Francisco.

– Czy możemy odłożyć na sekundę tę dyskusję, która na pewno przerodzi się w polityczny pojedynek, żebym mogła zapytać, kiedy będziemy jeść? Ostatnią rzeczą, jaką jadłam, był obrzydliwy skrzep oślizgłej, czarnej, rybiej ikry z jakimś zakrzepłym nabiałem na kawałku chleba wielkości ćwierćdolarówki. Jestem absolutnie głodna. Wy, bogacze, jecie jak ptaki – wyznają i kręcą głową z dezaprobatą.

Sloane milczy przez chwilę, po czym zakrywa twarz rękami i wybucha niepohamowanym śmiechem.

Mówię sucho:

– Cieszę się, że mój głód cię bawi.

– Po prostu zapomniałam, jaka jesteś zabawna. – Wciąż chichocze.

– Zabawna jako „zabawna” czy raczej „dziwaczna”?

– Zabawna. – Myśli przez moment. – A także dziwna.

– Dzięki za to. Zmieniając znowu temat: co Declan robi w życiu? I nie okłamuj mnie. Nie jestem jednym z waszych pieprzonych chłopczyków na posyłki. Wiem, kiedy nie mówisz prawdy.

Jej uśmiech blednie, a ona podchodzi niespiesznie do krzesła, o które wcześniej miała podparte stopy, siada i demonstracyjnie składa ręce między udami.

– Chcę ci powiedzieć, ale nie chcę, żebyś oceniała – wyznaje.

Śmieję się krótko, z niedowierzaniem.

– Oceniać? Stara, w zeszłym tygodniu poszłam na randkę z osobą, która ma penisa oraz waginę. I pokazała mi podczas kolacji jedno i drugie. Nie jestem typem osądającym. – Puszczam do niej oczko.

Sloane wygląda na zafascynowaną.

– Naprawdę?

– Tak. Jak sama powiedziałaś: mieszkam w San Francisco od dłuższego czasu. Nie ma już dosłownie niczego, co mogłoby mnie zszokować – kwituję.

– Dobrze. Cóż, jeśli musisz wiedzieć... – Waha się przez chwilę, a potem bierze głęboki wdech. – Należy do mafii. Właściwie to on jest mafią. On jest jak... jakby... To główny facet na ich czele – mamrocze nieskładnie.

Kilka rzeczy przeskakuje w mojej głowie, a ja kiwam nią w zamyśleniu.

– Hmm. To ma sens. A wracając do poprzedniego tematu: będziemy jadły przed czy po tym, jak pozwolę ci zrobić coś okropnego z moimi włosami, czego na pewno pożałuję?

Siostra milczy. Siedzi, wpatrując się we mnie, a jej oczy wypełniają się łzami, przez co wpadam w panikę.

– Och, cholera. Co się dzieje? Proszę, powiedz mi, że on cię nie zdradza. Nie jestem pewna, po czyjej stronie bym stanęła.

Wstaje gwałtownie z krzesła, biegnie przez pokój, aż wpada na mnie i zarzuca mi ręce na szyję.

Prawie zostaję rzucona z powrotem na materac. Pomimo mojego całkowitego szoku i siły uścisku Sloane udaje mi się utrzymać w pionie. Wtedy ona wybucha łzami, wprawiając mnie w kompletną rozterkę.

Pytam nieśmiało:

– Hmm, co się dzieje?

– Przepraszam, że to się d-dzieje – duka płaczliwie. – Byłam okropną siostrą, a ty jesteś taka miła. Nie mogę uwierzyć, że nie widziałyśmy się od twoich urodzin kilka lat temu! – łka.

Dokładnie trzy lata temu.

Nie żebym kiedykolwiek była w stanie o tym zapomnieć. Mój ówczesny chłopak rzucił jedno spojrzenie na Sloane i stwierdził, że umawia się z niewłaściwą siostrą. Zerwał ze mną na miejscu.

W środku mojej imprezy urodzinowej.

Kiedy parę tygodni później dowiedziałam się od przyjaciółki, że widziano ich razem, zadzwoniłam do Sloane, żeby dowiedzieć się, czy to prawda. Ta wyśmiała mnie i odparła:

– Kto? O mój Boże, już dawno skończyłam z tym frajerem.

Ten *frajer*, którego ledwo pamiętała, był moim chłopakiem przez ponad rok. Odebrał mi dziewictwo. Myślałam, że jesteśmy w sobie szaleńczo zakochani.

Potem zaczęłam mówić chłopakom, z którymi się spotykałam, że jestem jedynaczką.

Od tamtej pory nie widziałam Sloane.

Klepię ją niezręcznie po plecach.

– Okej, Hollywood. No już. Rozmażesz swój makijaż.

Odsuwa się, prychnając, i chwyta moje ramiona, jakby planowała trzymać mnie jako zakładnika.

– Powiedz, że mi wybaczasz – żąda. – Proszę. Niech to będzie nowy początek. Zaczniemy od nowa, od zera. – Wpatruje się we mnie błagalnie, na co marszczę czoło.

Kim jest ta osoba?

Kiedy jej wielkie oczy stają się zbyt duże, ustępuję.

– Dobrze. To nowy początek. Ale wstrzymam się z przebaczeniem do czasu, gdy zobaczę, co zaplanowałaś dla moich włosów – podkreślam.

Przygryza wargę, łzy nadal rozlewają się po krawędziach jej powiek, a ja próbuję zrozumieć, *co, do cholery, stało się z moją siostrą.*

Tatusz Declan musi być jakimś niesamowitym magikiem, skoro zamienił tego zimnego jak kamień dzikusa w taką słodycz.

W szczęśliwą sukę.

ROZDZIAŁ 6

RILEY

Powinna była wiedzieć, że będzie naprawdę źle, kiedy Sloane poprosiła o alkohol.

Nowy, gorący Irlandczyk przybył z dzbankiem margarity słodzonej owocami mnicha, a także nasyconej sokiem z limonek i jalapeños uprawianych w ogrodzie na zewnątrz. Szklanki były pokryte różowymi drobinkami soli himalajskiej i udekorowane zakręconą spiralnie skórką z limonki, tak długą oraz idealnie uformowaną, że zrobienie tego dobrze wymagało ekstremalnej koncentracji i prawdopodobnie dziesięciu prób.

Bo tak, to jest coś, co naprawdę wymaga skupienia i talentu.

Gorący Irlandczyk przyniósł też ciepłe tortille i pyszną salsę mango-ananasową, którą podobno sam zrobił.

Byłam bardzo sceptycznie nastawiona co do tego twierdzenia i powiedziałam mu o tym. Jakież było moje zdziwienie, kiedy wyciągnął komórkę, by pokazać mi filmik jako dowód.

– Gdzie znajdujesz tych facetów? – zapytałam Sloane, gdy mężczyzna wyszedł.

Pomachała mi, jakbym była głupia.

– To prezent. A teraz usiądź na krześle, które postawiłam przed umywalką w łazience, i bądź cicho. Będę musiała się skoncentrować podczas pracy.

Czerwona flaga numer dwa: potrzebowała *skoncentrować się*. Ostatnim razem, kiedy to się stało, w kontinuum czasoprzestrzennym wyrwano dziurę, która wciąż nie została załataną.

Ale umierałam z głodu, a salsa okazała się pyszna, więc byłam posłuszna i pozwoliłam siostrze pomalować moją głowę jakąś śmierdzącą mazią. Błędnie założyłam, że to odżywka. Siedziałam

potulnie jak baranek, kiedy Sloane myła, obcinała i układała moje włosy, co jakiś czas namawiając mnie do wypicia kolejnej smacznej margarity.

Gdy w końcu obróciła mnie na krzesło, tak abym siedziała przodem do lustra, zrozumiałam, dlaczego próbowała mnie upić.

Zawołałam z przerażeniem:

– Co ty, kurwa, zrobiłaś?!

A ona miała czelność powiedzieć z uśmiechem:

– Uratowałam cię przed tą tragedią, którą nazywałaś fryzurą. Nie ma za co.

Po tych słowach wyszła z łazienki, zostawiając mnie samą z moim załamaniem psychicznym.

– Nie włożę tego.

– Po prostu się w to ubierz. Podziękujesz mi później. – Wzdycha Sloane.

Wpatruję się z oburzeniem w maleńki skrawek materiału. Siostra usiłuje mnie przekonać, żebym wcisnęła go na siebie jako sukienkę, którą powinnam włożyć na kolację. Nawet chusteczki, w które wydmuchiwałam nos, były większe.

– Będę ci wdzięczna, jeśli przestaniesz próbować upodobnić mnie do dziwek z seksbiznesu. Wyrządziłaś już wystarczająco dużo szkód z platynową katastrofą na czubku mojej głowy – warczę.

– Żartujesz? Twoje włosy są niesamowite!

– Tak, jeśli jest trzecia nad ranem, a ja pracuję w kabarecie w Reno jako odtwórczyni roli Marilyn Monroe, w dodatku na tyle stara, że jeździła w trasę z Frankiem Sinatrą, a wszyscy na widowni mają problemy ze wzrokiem lub są pijani, to tak, wtedy są niesamowite. Ale w tym wymiarze rzeczywistości takie nie są – mówię kwaśno, szczerze wkurzona.

Ignorując mnie, odwraca się, by grzebać głębiej w skarbcu, który nazywa szafą.

– Czy nadal nosisz buty w rozmiarze trzydzieści sześć? – pyta.

Przewracam oczami do sufitu.

– Nie. Teraz noszę czterdziestkę szóstkę. Mam tę dziwną chorobę, która powoduje ogromny wzrost stóp.

Nie zwracając uwagi na mój sarkazm, mówi:

– Dobrze. Te będą idealnie pasować do sukienki.

Odwraca się i rzuca we mnie dwoma butami na wysokich obcasach. Nie łapię ich, więc odbijają się od mojego brzucha, po czym lądują na dywanie, w pobliżu moich stóp. Następnie siostra rzuca sukienką, która ostatecznie ląduje na czubku mojej głowy i zwisa przed moją twarzą jak welon.

Małeńki, prześwitujący welon z wycięciami na brzuchu. Sloane odchodzi od szafy, a później staje obok mnie.

– Kiedy się ubierzesz, zrobię ci makijaż – stwierdza, nie pytając mnie o zdanie.

Wściekła, ściągam sukienkę z głowy, żeby się jej przyjrzeć. Mogłabym dosłownie złożyć ją i schować do kieszeni bluzy.

Szczerze mówiąc, jak ona oczekuje, że będę to nosić? Równie dobrze mogłabym włożyć stringi, zażyć kilka pastylek i zakończyć ten dzień.

Sloane woła z drugiego pokoju:

– Pospiesz się, Maluchu, jestem głodna!

– Och, teraz to jest nagły wypadek, bo ona jest głodna. Królowa jest głodna, słuchajcie! Wszyscy w pogotowiu! – krzyczę i bluzgam do siebie.

– Słyszę cię.

– Jak ty w ogóle się w to mieścisz? Nie mogłabyś włożyć do niej jednego ze swoich wielkich cycków, a tym bardziej obu!

– Istnieje taki ciekawy materiał, który nazywa się elastan. Jest bardzo rozciągliwy. Słyszałabyś o nim wcześniej, gdybyś nie była zajęta gromadzeniem całego tego bawełnianego polaru. A teraz ubierz się albo zamknę cię w tej garderobie i zostawię bez kolacji.

Przymykam oczy i wzdycham.

Powinnam była zabrać ze sobą mniej słodczy, a więcej leków.

Przez pięć minut zmagam się z rozciągliwym sukienkowym koszmarem, aż udaje mi się w to wcisnąć. Choć ledwo, to jednak zakrywa moją kobiecość.

Potem wsuwam stopy w szpilki dla striptizerek i chwiejnym krokiem wychodzę z pomieszczenia.

Kiedy Sloane odwraca się, by na mnie spojrzeć, wyrzucam ręce w powietrze.

– Masz. Zadowolona? Jestem Julią Roberts w *Pretty Woman*, tylko z bardziej puszczałską garderobą i bez szczęśliwego zakończenia.

Siostra gapi się na mnie w milczeniu. Jej oczy są szeroko otwarte.

Zerwałabym z siebie tę głupią sukienkę, ale chyba będę potrzebowała nożyczek, żeby się z niej wydostać.

– Powiedz mi coś miłego, Hollywood, albo przysięgam na Boga, że cię potnę – grozę.

Mówi łagodnie:

– Wyglądasz pięknie.

– Ooo-ho! Dobrze. Idź na całość lub idź do domu, prawda?

– Nie, mówię poważnie. Wyglądasz pięknie.

Wzdycham ciężko, z obrzydzeniem.

– Oczywiście, że tak. Jestem tylko piękną prostytutką w drodze na wieczór romantycznych spotkań w alejkach, żeby zarobić garść przepoconych banknotów dolarowych. Miejmy to już za sobą i chodźmy coś zjeść. Poziom cukru w mojej krwi jest teraz niebezpiecznie niski. – Spoglądam na nią. – Jestem skłonna zadźgać najbliższą osobę.

– Wzięłaś ze sobą soczewki kontaktowe? – pyta z nadzieją.

– Nie, okulary zostają na miejscu.

Traci rezon, lecz szybko go odzyskuje.

– Dobrze, ale pozwól mi tylko... Małe machnięcie szminką i tuszem do rzęs...

Jestem zbyt głodna, by dalej się sprzeczać, więc ustępuję.

– Masz dokładnie sześćdziesiąt sekund. I nie używaj na mnie żadnego gówna w stylu podkładu! – oznajmiam, pragnąc kategorycznie się tego trzymać.

Sloane biegnie radośnie z powrotem do łazienki. Wyłania się z niej w mgnieniu oka z fioletową i srebrną tubką w dłoni. Pracuje szybko, co mnie pociesza, po czym podskakuje przede mną, klaszcząc z zachwyty.

– Siostro, całkowicie straciłaś rozum – mamrocze beznamiętnie.

– Tak samo będzie z każdym mężczyzną, który dziś wieczorem zawiesi na tobie wzrok.

– Założę się o sto dolców, że nawet jeden mężczyzna nie spojrzy dwa razy. Chyba że szuka smutnych i poniżających doświadczeń seksualnych za pieniądze z nieznajomą, ale to się nie liczy.

Sloane przechyla głowę i się uśmiecha.

– Przyjęłabym ten zakład, jednak wątpię, żebyś miała przy sobie taką gotówkę.

– Dobrze. Założę się z tobą o dwa pudełka Twizzlersów i arbuzowego Sour Patcha. Ale kiedy wygram, będziesz mi winna...

Rozglądam się po pokoju w poszukiwaniu inspiracji, a następnie wskazuję okrągły stolik, na którym znajdują się wyglądające na drogie kule oraz inne wymyślne ozdoby.

– To słodkie pudełeczko z pawiem na wierzchu.

– To szwajcarska srebrna budka dla śpiewających ptaków fusée z 1860 roku. Jest warta ponad osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

Unoszę kąciki ust.

– Uuu, wymiękasz?

Wystawia rękę, więc łączymy dłonie w uścisku i uśmiechamy się do siebie.

Potem celowo maszeruję za nią, gdy kierujemy się do wyjścia z pokoju. W połowie korytarza musi złapać mnie za ramię, żebym nie upadła.

– Kiedy ostatni raz chodziłaś w butach na obcasach? – pyta, pomagając mi odzyskać równowagę.

– Podczas rozdania dyplomów na ukończenie college’u.

– Jestem w szoku, że nie upadłaś płasko na twarz na scenie, gdy poszłaś odebrać swój dyplom.

– Kto powiedział, że nie? – Puszczam do niej oczko.

– Boże, jesteś beznadziejna.

– Proszę, bądź cicho. Moje wewnętrzne demony domagają się, żebym cię zabiła, i chcę usłyszeć, co jeszcze mają do powiedzenia.

– Dobrze, ale zanim się uciszę, muszę dodać tylko tę jedną rzecz – zagaja.

– Oczywiście, że tak. – Przewracam oczami.

– Dziękuję.

Brzmi to tak szczerze, że muszę rzucić siostrze podejrzliwe spojrzenie z ukosa, by zobaczyć wyraz jej twarzy. O dziwo, nie

dostrzegam oznak kłamstwa.

– Za co mi dziękujesz? – pytam, zaskoczona tym wyznaniem.

– Wiem, że robisz to tylko dla mnie. – Patrzy na mój kostium damy wieczoru. – Mogłaś odmówić i włożyć swoje ohydne, szare, sportowe ubrania, ale nie zrobiłaś tego. Więc dziękuję.

Grr. Ona jest miła. Nie umiem bronić się przed moją siostrą, kiedy zachowuje się w ten sposób.

To tak, jakby Dracula poświęcił chwilę, nim rozerwie ci kłami gardło i wysysie całą krew, aby powiedzieć kilka uprzejmych słów o twoim świetnym guście związanym z aranżacją wnętrza.

To dezorientujące.

Kiedy skręcamy za róg korytarza i ruszamy do foyer, Sloane zauważa Spidera. Przechodzi przez rozległy obszar marmuru – który nazywa *pokojem wypoczynkowym* – stukając butami. Pomieszczenie jest tak duże, że z łatwością mogłyby się tam odbywać śluby następców tronu domu Windsorów, na wypadek gdyby opactwo westminsterskie spłonęło.

– Spider! – woła siostra. – Czy mógłbyś tu przyjść na chwilę, proszę?

Mężczyzna trzyma w ręce puszkę wody gazowanej. W połowie przełykania odwraca głowę i zerka w naszym kierunku.

Patrzy na mnie.

Napój gwałtownie wystrzeliwuje z jego ust w ogromnym gejzerze, jakby Spider właśnie został mocno uderzony w brzuch. Wpatruje się we mnie, stojąc nieruchomo z rozdziawioną gębą, a woda kapie mu z brody.

Sloane zatrzymuje się i odwraca do mnie, uśmiechnięta.

– Jesteś mi winna dwa pudełka Twizzlersów – mówi z dumą.

Moje policzki płoną, gdy mamroczę:

– Daj mi spokój. To nie była pozytywna reakcja. Biedak tak się przestraszył, że prawie udusił się na śmierć.

– To, czego nie wiesz o mężczyznach, mogłoby wypełnić wszystkie trzydzieści dwa tomy Encyklopedii Britannica.

– Mają to teraz w sieci, babciu – droczę się.

– Sens jest taki sam. Gównu wiesz o mężczyznach. Chodźmy zjeść.

– Możesz dać mi sekundę? Potrzebuję chwili spokoju, by mentalnie przygotować się na moje nadchodzące publiczne upokorzenie.

Nie czekając na jej pozwolenie, ruszam w przeciwnym kierunku, w stronę otwartych szklanych drzwi prowadzących na patio.

Nie spuszczam wzroku ze Spidera – który wciąż stoi tam, gdzie wcześniej, kiedy zamieniłam go w kamienny słup w obcisłym, czarnym garniturze – i wychodzę na zewnątrz, prosto w orzeźwiające, wieczorne powietrze. Przysięgam sobie, że nie pozwolę Sloane zobaczyć, jak płaczę.

Płakałam z powodu tej bezdusznej dziwki już zbyt wiele razy w swoim życiu.

ROZDZIAŁ 7

MAL

Wychodzi na patio w wybuchu gniewnej energii, którą czuję nawet tysiąc pięćset jardów dalej.

Siedzę w oczekiwaniu. Wewnątrz tej samej opuszczonej kościelnej dzwonnicy, którą zwęszyłem dwa dni temu, kiedy przybyłem na wyspę.

Roztacza się z niej doskonały widok ze wschodu na zachód. Z tego punktu obserwacyjnego widzę zarówno przód, jak i tył posiadłości. Wystarczy, że odchyłę lufę karabinu w lewo lub prawo, by celowniki znalazły się na czaszce Declana na podjeździe albo podwórku.

W tej chwili jednak celownik jest skupiony na kobiecie, która chodzi tam i z powrotem po patio.

Jej włosy mają kolor platynowego blondu, sięgają do linii szczęki, są gładkie i kołyszą się. Przylegająca do ciała, czarna sukienka koktajlowa jest zaledwie skrawkiem materiału. A buty na obcasie raczej nie są dla dziewczyny wygodne.

Kilka razy, gdy obraca się, by pójść w innym kierunku, chwieje się i musi wyciągnąć rękę, aby odzyskać równowagę.

Jest młoda, szczupła i wyjątkowo nieporadna. Ma w sobie coś fascynującego. Nie mogę odwrócić wzroku. Ze względu na włosy i sukienkę na początku jej nie rozpoznaję. Ale potem zauważam okulary, które nosi, co sprawia, że gwałtownie wciągam powietrze. Wydycham je, sycząc wściekle.

Biedne dziecko.

Nie wystarczyło mu, że *jest* dziwką. Chciał, żeby też tak wyglądała.

Najwyraźniej kobieta się tym denerwuje. Albo czymś innym, co jej zrobił.

Czymś znacznie gorszym niż zmiana garderoby.

Złość gotuje się w dole mojego żołądka.

Co za skurwysyn.

Wiedziałem, że jest bezwzględny, kiedy zabił wszystkich przywódców różnych amerykańskich rodzin. Z wyjątkiem Kazimira, co nie jest zaskakujące. Niesamowicie trudno go zlikwidować. Setki ludzi zginęło, próbując tego dokonać.

Ale sprowadzić dziewczynę z ulicy do własnego domu, by zerznąć ją na oczach swojej kobiety, a następnie ją sponiewierać i kazać jej paradować tak, by wszyscy widzieli jej upokorzenie...

To nie jest bezwzględne.

To chore.

Mój gniew staje się coraz gorętszy, gdy nadal obserwuję kobietę. Ta nagle przestaje chodzić i opiera się o zakrzywioną kamienną balustradę tarasu. Zakłada ręce na piersi, zwracając twarz ku księżycowi w pełni, jak gdyby próbowała czerpać siłę z jego blasku.

Robiąc głęboki wdech, przymyka powieki.

Zaraz potem pochyla głowę, jakby w modlitwie.

Wściekły, postanawiam, że nie zabiję go na jej oczach. Już teraz wygląda na wystarczająco kruchą. Nie potrzebuje większej traumy.

Poczekam, aż z nią skończy, a ona odejdzie. Wtedy wpakuję mu kulkę w mózg.

Michaił by zrozumiał. Miał słabość do takich dziewczyn. Maltretowanych, bezbronnych dziewczyn. Kilkugodzinne czy kilkudniowe opóźnienie nie robi różnicy.

I tak dostanę to, po co przychodzę: krew mojego wroga.

Ramiona kobiety opadają, a ona odsuwa się od balustrady i niechętnie wraca do środka. Parę minut później grupa wychodzi przez frontowe drzwi.

Dostrzegam Declana, jego kobietę, tamtą dziewczynę oraz pół tuzina ochroniarzy. Wpadają do trzech SUV-ów i wyjeżdżają z podjazdu.

Obserwuję czerwoną poświatę tylnych świateł samochodów, zmagając się ze sobą.

W pewnym momencie schodzę z dzwonnicy, po czym wskakuję na motocykl czekający przed drzwiami starego kościoła. Wiem, że to, co zamierzam zrobić, jest zarówno głupie, jak i niebezpieczne.

Zdaję sobie także sprawę, że mój zmarły brat by to pochwalił.

ROZDZIAŁ 8

RILEY

Restauracja, do której zabiera nas Declan, jest tak elegancka i ekskluzywna, że czuję, iż powinnam mieć na szyi znak przeproszający za mój strój.

Znak ten winiłby za wszystko Sloane, oczywiście.

Nasza trójka siedzi w narożnej łoży, na tyłach dużej, oświetlonej świecami jadalni, natomiast Spider i pozostali ochroniarze zajmują miejsca przy dwóch oddzielnych stolikach nieopodal.

Za każdym razem, gdy spoglądam w stronę Spidera, on wpatruje się we mnie z surowym, niezachwianym skupieniem, jakby oceniał moje życiowe wybory.

Czyli jest nas dwoje.

– Więc, Riley, opowiedz mi o sobie.

Opierając się o kanapę, z jedną ręką przerzuconą przez ramiona Sloane, król dżungli Declan uśmiecha się do mnie. Jakim cudem ten mężczyzna potrafi emanować dominacją i seksualną sprawnością, po prostu siedząc, to jedna z największych tajemnic życia.

Tymczasem Sloane patrzy z rozmarzeniem na jego wyrzeźbiony profil. Niemal widzę czerwone serduszka w jej oczach.

Przysięgam, nigdy nie uwierzyłabym w to gówniane miłosne szaleństwo, gdybym się temu nie przyglądała.

– Jejku, od czego zacząć? – zastanawiam się na głos, skubiąc bułkę. Dobra, skubanie to kłamstwo. Gryzę ją jak zwierzę hodowlane. Jestem tak głodna, że mogłabym odgryźć sobie rękę. Jeśli kelnerka nie przyjdzie wkrótce z naszymi przystawkami, wtargnę prosto do kuchni i zacznę grozić ludziom tasakiem do mięsa. Po chwili kontynuuję: – Pracuję jako niezależna redaktorka, co uwielbiam. Głównie dlatego, że kocham książki, ale także dlatego, że mogę pracować w piżamie.

– I unikać wszelkich kontaktów z ludźmi – dodaje Sloane z uśmiechem.

– Tak, to największa zaleta – potwierdzam.

Declan marszczy brwi.

– Nie jesteś zbyt towarzyska, prawda?

– To nie tak, że nienawidzę ludzi. Po prostu czuję się lepiej, gdy nie ma ich w pobliżu – wyznaję zgodnie z prawdą.

Sloane się śmieje.

– *Ćma barowa*.

– Uwielbiam ten film. Mickey Rourke był taki odjechany, kiedy był młody – mówię.

Sloane krzywi się, patrząc na mnie.

– Nie mów odjechany. To sprawia, że brzmisz, jakbyś należała do pokolenia Z.

– Należę do pokolenia Z.

– Ugh. To wyjaśnia, dlaczego jesteś taka aspołeczna – mamrocze.

– Przynajmniej nie jestem milenialsem. Wy wszyscy jesteście narcyzami – kontruje.

– Nie jesteśmy! – krzyczy, oburzona.

Kiedy gapię się na nią z rozchyłonymi ustami, znów się śmieje.

– Dobra, masz mnie – stwierdza w końcu.

Declan wygląda na zainteresowanego zwrotem w rozmowie.

– A ja do jakiego pokolenia należę?

Chichoczę i mówię bez zastanowienia:

– Do pokolenia Wielkie D.

On kiwa głową, Sloane unosi brwi, a ja wycofuję się tak szybko, jak mogę.

– „D” nie oznacza *dick*³ – warczę momentalnie.

– A co to znaczy, Maluchu? – odpiera siostra.

Kurczę, twarz mi płonie. Wzruszam ramionami i kłamię potulnie:

– *Dude*⁴?

– Uuuu. – Odrzuca do tyłu głowę i śmieje się. – O Boże. Gdybyś tylko wiedziała, jak bardzo masz rację!

Declan patrzy to na mnie, to na nią.

– Pogubiłem się.

Sloane ściska jego udo.

– „D” oznacza *daddy*⁵, kochanie – wyjaśnia.

Mężczyzna zerka na jej dłoń, nim przeniesie wzrok na usta. W jego niebieskich oczach pojawia się żar, z kolei leniwy uśmiech jest niesamowicie seksowny.

A ja zachowuję się bardzo nie na miejscu.

Wstaję gwałtownie, prawie przewracając swoją szklanę z wodą, następnie poprawiam obszycie sukienki i mówię:

– Zaraz wracam.

– Dokąd idziesz?

– Do toalety.

– Spider. – Declan pstryka palcami, co sprawia, że ochroniarz zrywa się na nogi.

– Myślę, że dam radę sama się wysikać, dzięki.

Ignorując mnie, Declan wykonuje ruch ręką, aby wskazać, że Spider ma podążać za mną, gdziekolwiek pójdę.

Wiem, że nie mam nic do powiedzenia w tej sprawie, dlatego wzdycham i kieruję się w stronę tyłu restauracji. Nieustannie poprawiam sukienkę, licząc, że mężczyzna nie idzie zbyt blisko. Prawdopodobnie będzie mógł zobaczyć jeden z moich bladych pośladków.

Cholera! Dlaczego zgodziłam się włożyć tę głupią kieckę?, przeklinam się za to w myślach.

Wpadam przez drzwi do łazienki i zamykam się w kabinie. Siedzę na toalecie, opierając łokcie na udach, a brodę na dłoniach, aż wydaje mi się, że minęło wystarczająco dużo czasu, by Sloane obciągnęła Declanowi pod stołem. Albo że zdążyli zrobić cokolwiek, co zamierzali zrobić.

Idę do umywalki, żeby umyć ręce. Nawet jeśli nie sikałam, zawsze warto mieć czyste dłonie.

Kiedy zakręcam kran i sięgam po ręcznik papierowy, pospiesznie spoglądam w lustro nad umywalkami. Zamieram z przerażenia.

Bezpośrednio za mną stoi mężczyzna.

Jest *ogromny*.

Przerażająco wysoki i szeroki, stoi na rozstawionych nogach, a jego masywne ręce zwisają po bokach. Wszystko, co ma na sobie, jest czarne – łącznie z ciężkim, wełnianym płaszczem, którego kołnierz został wywinięty na wytatuowaną szyję.

Jego włosy i broda są gęste oraz ciemne. Na jednym płatk ucha błyszczą mały, srebrny kolczyk. Pod opuszczonymi brwiami jego oczy mają zaskakujący odcień bladej zieleni.

Emanuje od niego potężna energia przemocy i ciemności.

To jak przebywanie w pomieszczeniu z supermasywną czarną dziurą. Zaraz zostanę pożarta i zniknę na wieki.

Ten człowiek jest najpiękniejszą, a także najbardziej przerażającą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Nasze spojrzenia krzyżują się w lustrze.

– Nie musisz się sprzedawać, *malyutka* – mruczy.

Jego głos jest głęboki, bogaty. Hipnotyzuje.

Tak samo jak zapach. Ten mężczyzna pachnie jak coś, co żyje i poluje w lesie.

– Stać cię na więcej, bez względu na to, co od niego słyszysz – oznajmia.

Choć mówi po angielsku, nie dociera do mnie sens jego słów. Nie mogę myśleć. Nie mogę się skupić. Potrafię jedynie wpatrywać się w niego, obezwładniona przerażeniem i fascynacją. Moje serce bije jak szalone. Ciało jest jakby zamrożone.

– Weź to.

Podchodzi bliżej, wyjmując z wewnętrznej kieszeni płaszcza kopertę. To gruby, brązowy prostokąt z gumką na środku. Mężczyzna pochyla się i kładzie ją bezszelestnie na blacie obok umywalki. Spogląda w dół, w moje szeroko otwarte, nieruchome oczy.

– Nie wracaj do niego. Wyjedź teraz. Stwórz sobie lepsze życie – dodaje spokojnym tonem. Sięga w górę i muska knykciami mój policzek. Jego głos staje się jeszcze niższy. – Mogę powiedzieć, że nie jest dla ciebie za późno. W tych pięknych oczach wciąż jest nadzieja.

Szybko i cicho niczym pyłek, odwraca się, po czym znika za drzwiami, pozostawiając mnie oszołomioną i bez tchu.

Jestem spocona. Trzęsę się, zdezorientowana.

Co się, do cholery, stało?

Po kilku chwilach uruchamiam swoje dwie ostatnie komórki mózgowie i patrzę na kopertę. Podnoszę ją, ściągam gumkę, wsuwam palec pod klapkę i z niedowierzaniem spoglądam na stos szeleszczących banknotów studolarowych.

Mówię do pustego pomieszczenia:

– Czekaj. Poczekaj sekundę. Poczekaj tylko pieprzoną sekundę.

Przeglądając banknoty, szacuję, że w drżących dłoniach trzymam około stu tysięcy dolarów.

Mój mózg wykonuje serię skomplikowanych salt, a następnie przedstawia mi przezabawnie niemożliwy scenariusz: gorący, przerażający, bogaty nieznajomy właśnie próbował uratować mnie przed byciem prostytutką mojego przyszłego szwagra.

Ponownie analizuję to spotkanie w myślach. Potem jeszcze raz. A później znowu, dla porządku. Jedyłą inną możliwością, jaką mogę wymyślić, jest to, że Sloane zrobiła mi kiepski żart.

Albo po prostu nie chce przegrać naszego zakładu. Może to jest to.

Może zapłaciła jakiemuś facetowi, żeby tu przyszedł i namieszał mi w głowie.

Nie, czekaj. Wszystko mi się myli. Zakład polegał na tym, że *ja* wygram, jeśli jakiś mężczyzna pomyśli, że jestem dziwką z powodu tego, co mam na sobie.

Czyż nie?

Nie wiem. Nie mogę myśleć. Gigantyczny Gorący Niebezpieczny Nieznajomy uciekł z moim IQ.

Poza tym jak siostra miałaby znaleźć kogoś w tak krótkim czasie? Odkąd się założyłyśmy, byłam na patio tylko przez cztery minuty. Czy to wystarczający czas, aby zorganizować taki kawał?

Cóż, prawdopodobnie tak. Mówimy o Sloane. I wygląda na to, że ma tuziny tych dużych, niebezpiecznych facetów kręcących się w pobliżu.

I pewnie nosi tyle kasy w staniku.

Ale dlaczego miałaby to robić tak bezpośrednio? Nie było potrzeby, by Wielki Gorący Niebezpieczny Nieznajomy wspominał o Declanie. Nie żeby WGNN wymienił go z imienia, jednak zasugerował mi to.

Czy nie miałyby więcej sensu, gdyby po prostu podszedł do mnie i powiedział, że nie muszę się sprzedawać? A zakłada, że jestem prostytutką, biorąc pod uwagę mój strój?

Ponadto dlaczego zupełnie obcy człowiek miałby dojść do wniosku, że kobieta się sprzedaje, jeśli nie posiada dowodów? Czy też więcej dowodów niż zdzirowata sukienka i szpilki?

Wiele dziewczyn w moim wieku ubiera się tak, jakby chciały upokorzyć swoich ojców, a nigdy nie słyszałam, by jakiś mężczyzna podszedł do nich w damskiej toalecie i powiedział, że wciąż mają nadzieję w swoich oczach!

W swoich *pięknych* oczach, konkretnie.

Wstrzymuję oddech.

Czekaj... czy WGNN uważa, że jestem ładna?

Zastanawiam się nad tym przez parę sekund, aż wyrzucam ręce w powietrze, zirytowana własną głupotą.

– Wszystko w porządku, panienko?

Biorę gwałtowny wdech. To Spider, zza drzwi damskiej toalety. Musiał usłyszeć, jak warczę na siebie we frustracji.

Już zamierzam odpowiedzieć, że nic mi nie jest, ale powstrzymuje mnie świadomość, że jeśli Spider stoi tuż za drzwiami, to widziałby WGNN, gdy tamten wychodził.

A jeżeli widział WGNN... na pewno nie pozwoliłby mu po prostu przejść obok, jakby był na przyjemnym, wieczornym spacerze.

Choć nie wiem zbyt wiele o facetach w mafii, zdaję sobie sprawę, że gdyby Declan mianował Spidera na mojego ochroniarza i Spider zobaczyłby tę bestię wychodzącą z toalety, w której byłam, to postradałby rozum.

Wątpię, by go to nie zaniepokoiło i by nie przekazał tego swojemu szefowi.

Trzymając kopertę z gotówką za plecami, uchylam drzwi na kilka centymetrów i wyglądam na korytarz.

Spider stoi na warcie dwa metry dalej. Ostrożnie rozglądam się dookoła, lecz oprócz niego nikogo nie dostrzegam.

– Panienko? Wszystko w porządku?

– Już mnie o to pytałeś – przypominam.

– Wiem, ale twoje okulary są całe zaparowane.

Oczywiście, że tak. Duży, przystojny, przerażający mężczyzna właśnie podpalił mój system hormonalny.

– Nic mi nie jest, dzięki. Czy widziałeś, jak ktoś wychodził stąd minutę temu?

– Nie. Dlaczego?

– Och, bez powodu. On po prostu...

– On?

Spider szczerzy się jak Wolverine i robi krok do przodu. Jego oczy płoną. Wsuwa rękę pod płaszcz, sięgając do tyłu, gdzie – jak przypuszczam – znajduje się duża, naładowana broń.

Mówię szybko:

– Chodziło mi o nią! Przepraszam. Hmm, ona... kimkolwiek była... zostawiła coś na ladzie.

– Aha. Racja.

Zupełnie jakby coś w mgnieniu oka się w nim przełączyło, Spider ponownie przyjmuje zwykłą sympatyczną, atrakcyjną postawę. Składa ręce przed krocem i uśmiecha się do mnie.

– Jesteś gotowa wrócić do stołu, panienko?

Gotówka w mojej dłoni znacznie zyskała na wadze, odkąd otworzyłam drzwi łazienki. Nie mam pojęcia, co powinnam z nią zrobić.

Zostawić ją na umywalce?

Wsadzić w bieliznę?

Spróbować znaleźć jej właściciela?

Odrzucam wszystkie te pomysły tak szybko, jak tylko przychodzą mi do głowy, ale nadal jestem w rozterce. Nie chcę zostawiać takich pieniędzy w damskiej toalecie, lecz nie mogę jej też zatrzymać. I nie mogę jej przemycić ani opracować planu na później – nawet jeden banknot byłby niesamowicie widoczny pod tą nieprzyzwoitą kiecką, którą mam na sobie.

A co, jeśli ta kasa należy do Sloane?

W takim razie powinnam spłukać ją w cholernej toalecie.

Idę jednak na kompromis ze sobą i pytam Spidera, czy nie miałby nic przeciwko, gdybym włożyła jego marynarkę.

Waha się chwilę, a ja nie umiem rozszyfrować jego spojrzenia.

– Przepraszam. Chodzi o to, że bardzo zimno mi w tej sukience. Jest zbyt przewiewna i krótka. Sloane kazała mi się w nią ubrać. Chyba już złapałam zapalenie płuc – tłumaczę, licząc, że mi uwierzy.

Kiedy nadal się waha, rozumiem.

– Racja. Potrzebujesz marynarki, żeby zakamuflować całą broń, którą masz pod nią schowaną.

– Nikt z nas nie musi ukrywać swojej broni – oznajmia.

– Och. Czy na Bermudach panuje powszechne pozwolenie na noszenie broni albo coś w tym stylu?

Jego wyraz twarzy zmienia się na rozbawiony.

– Nie, mają tu surowe prawo dotyczące broni. Ale kto odważy się rzucić nam wyzwanie? – odpięra z dumą.

Wow. Musi być miło pracować dla króla dżungli. Z tego, co słyszę, wszystko jest dozwolone.

– Masz, panienko.

Spider zdejmuje marynarkę i trzyma ją przed sobą. Czeka, by pomóc mi ją włożyć. Wychodzę przez drzwi – ręce chowam za plecami – a potem odwracam się i pcham je do przodu, gdy mężczyzna zarzuca mi okrycie na ramiona.

Od razu robi mi się lepiej. Materiał jest ciepły i pachnie jak on, przyprawami i piżmem. To pewnie przez ten testosteron.

Chowam kopertę do wewnętrznej kieszeni, następnie odwracam się z powrotem przodem do Spidera i uśmiecham do niego.

– Dziękuję. Przystojny i dżentelmen – rzucam radośnie.

Jego policzki stają się rumiane. Odchrząkuje, po czym mówi szorstko:

– Nie ma za co. Ale zrób mi przysługę i powiedz Declanowi, jeśli zapyta, że to był twój pomysł.

– To był mój pomysł.

– Aye. – Zakłopotany, przeczesuje włosy palcami. – Po prostu nie chcę, żeby myślał... no wiesz... że ja...

Śmieję się.

– Spider, on nie będzie zły dlatego, że pozwoliłeś mi nosić swoją marynarkę. To po prostu miły gest.

Przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, potrząsa głową.

– Istnieją protokoły, panienko. Nie mogę... – Robi niejasny gest, wskazując nas dwoje.

Rozumiem, co chce powiedzieć, i natychmiast mnie to przeraża.

– O cholera! O mój Boże, nie wolno ci ze mną flirtować! Nie żebyś to robił, po prostu mówię. Będziesz miał kłopoty, jeśli nawet spojrzysz z boku na młodszą siostrę Sloane. Nic dziwnego, że czujesz się przy mnie tak niekomfortowo.

Przygląda mi się przez chwilę, zanim odpowie łagodnie:

– To nie jest słowo, którego bym użył, żeby to opisać.

Mrugam, zaskoczona.

Spider odwraca się i odchodzi tak szybko, że nie dostaję szansy na sformułowanie odpowiedzi. Ramiona ma sztywne. Czeka na mnie na końcu korytarza, zachowując się tak, jakby był zdesperowany, aby patrzeć gdziekolwiek indziej niż w moim kierunku.

Okeeej.

Zastanawiając się, czy może zjadłam jakieś żelki THC, o których zapomniałam, idę korytarzem, a następnie podążam za Spiderem z powrotem do stołu.

Kiedy docieramy do łóży, zauważam, że nastrój się zmienił. Napięcie jest niesamowicie wyczuwalne. Sloane jest blada, szczęka Declana twarda niczym granit, a ochroniarze przy innych stołach wyglądają, jakby mieli zaraz wyskoczyć ze skóry.

– Co się stało? – pytam, wsuwając się na swoje miejsce.

– Declan dostał telefon. Musimy iść – odpiera siostra.

– Teraz? Jeszcze nie jedliśmy!

Spojrzenie Sloane mogłoby stopić moją twarz. Unoszę ręce w ramach kapitulacji.

– Przepraszam.

Wstajemy i kierujemy się w stronę wejścia do restauracji. Wszyscy są tak spięci, że nie dostrzegają, iż mam na sobie marynarkę Spidera. Prawdopodobnie to dobrze, upiekło nam się.

Gdy idziemy, Spider pyta Declana niskim głosem:

– Co się stało?

– Znaleźli Diego.

– Co masz na myśli? Jego głowę? – docieka ochroniarz.

– Nie. Do kogokolwiek należało to ciało, które policjanci znaleźli na wysypisku, to nie był on. Źle je zidentyfikowali. Jeszcze nie wiadomo, czy to był wypadek, czy nie – wyjaśnia mój przyszły szwagier.

– Jasna cholera!

– Aye – mówi Declan mrocznie. – Ale to się staje dużo bardziej interesujące, niż przypuszczałem.

– Co masz na myśli?

– Diego wciąż żyje.

Szok Spidera jest widoczny gołym okiem. Ochroniarz prawie potyka się o własne nogi, gdy słyszy tę wiadomość.

Kimkolwiek jest ten Diego, z pewnością to ważna osoba.

ROZDZIAŁ 9

RILEY

Podróż powrotna jest dziwna. Wszyscy są spięci i milczą. Spider prowadzi samochód, jakby próbował się zakwalifikować do Indy 500. Sloane zerka nerwowo na Declana, który tak mocno i często zgrzyta zębami, że martwię się o jego trzonowce. Kiedy w końcu docieramy do domu, mężczyźni znikają w kuchni, a siostra odprowadza mnie do mojego pokoju.

Gdy tylko zamyka za nami drzwi, odwracam się do niej i żądam:

– Dobra, gadaj. Kim jest ten Diego i dlaczego wszyscy są tak przerażeni?

Sloane siada ostrożnie na krawędzi łóżka, bierze głęboki wdech, po czym wypuszcza powoli powietrze i komunikuje:

– Diego był szefem Declana. Dopóki nie został schwytany przez MS-13 i zamordowany. Dopiero teraz wydaje się, że nie został zamordowany, ale że ktoś celowo sprawił, że wyglądało to tak, jakby został.

Patrzy, jak grzebię w swoim bagażu.

– Co robisz? – pyta po chwili.

– Ogarniam sobie przekąski. To brzmi ciekawie. Mów dalej.

Czeka, aż usiądę naprzeciwko niej na krześle. Robię to, a ona kontynuuje, kiedy zdejmuję zębami folię z pudełka Twizzlersów.

– Był pożar w magazynie...

– Gdzie? Tutaj?

– W Nowym Jorku – oznajmia.

– Która część?

Sloane mówi cierpko:

– Chcesz, żebym narysowała ci mapę?

– Przepraszam. Po prostu staram się dobrze zobrazować akcję. Mów dalej.

Zjadam dwa Twizzlersy na raz. Przez moment Sloane obserwuje z zapartym wyrazem twarzy, jak żuję, po czym znów zaczyna mówić:

– Diego został znaleziony w magazynie, kiedy straż pożarna przybyła, by ugasić płomienie. Zabrali go do szpitala.

– Więc jest ranny? – dopytuję.

Przytakuje.

– Nie wiemy jeszcze jak bardzo – dodaje.

– Dlaczego ktoś miałby próbować upozorować, że został zamordowany, ale utrzymać go przy życiu? – Marszczę brwi, zdziwiona.

– Tego też jeszcze nie wiemy.

Przeżuwam w zamyśleniu.

– Założę się, że był torturowany dla informacji przez konkurencyjny syndykat – wysnuwam wniosek.

– To prawdopodobny scenariusz, tak – odpiera Sloane słabym tonem.

– Czy byłaś z nim blisko? Z tym Diego?

– Nie. Nigdy go nie poznałam. – Kręci głową.

– Więc dlaczego jesteś tak zdenerwowana? – dziwię się.

Przez chwilę milczy, starając się zebrać myśli, później przejeżdża dłonią po twarzy i oddycha głęboko.

– Diego... miał wiele informacji. O wielu ludziach. Tajnych informacji. Wiedział rzeczy, które mogłyby być niszczące, gdyby kiedykolwiek wyszły na jaw. Wiele osób mogłoby zostać dotkniętych.

Jej ton daje mi do zrozumienia, że mówiąc *dotkniętych*, ma na myśli *zabitych*.

– Jasna cholera.

– Właśnie.

Siedzimy w ciszy, podczas gdy ja pożeram kolejny kawałek cukierka. Wtedy do mojej głowy wpada straszna myśl.

– Czy Declan jest w niebezpieczeństwie? – pytam.

– On zawsze jest w niebezpieczeństwie – mówi miękko. Potem zamyka oczy, szczypie nasadę nosa i szepcze: – Kurwa.

Już mam podejść do łóżka i spróbować ją pocieszyć, kiedy rozlega się pukanie do drzwi.

– Wejdz.

Do pokoju wkracza Declan. Szuka wzrokiem Sloane. Zauważa ją siedzącą na łóżku i podchodzi bliżej.

– Muszę wyjechać – informuje.

Siostra wstaje, wyglądając na zaniepokojoną.

– Wyjechać? Kiedy?

– Teraz. – Wzdycha Declan.

Chwyta ją za ramiona i wpatruje się w jej oczy z dziką intensywnością.

– Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. W międzyczasie...

– Nie ma mowy, gangsterze – przerywa głośno, a jej twarz staje się czerwona. – Nie ma mowy, kurwa. Nigdzie się beze mnie nie ruszasz.

Wbija w nią poważne spojrzenie.

– Sloane.

– Jadę z tobą. To nie są negocjacje – oznajmia poważnym tonem moja siostra.

Jej głos jest ledwo słyszalny, lecz wyraz twarzy jest morderczy. Declan patrzy na mnie w poszukiwaniu pomocy.

Trzymam ręce w powietrzu.

– Jeśli uważasz, że mogę zmienić jej zdanie, to mi to pochwlebia. Ale kiedy ten koń wyjdzie ze stajni, nie da się na niego założyć siodła. – Krzywię się.

Sloane wzdryga się.

– Skąd bierzesz te głupie metafory? – Kręci głową.

– To było w ostatnim manuskrypcie, który edytowałam. Myślałam, że jest dobry.

– Nie jest. – Przenosi uwagę z powrotem na Declana. – Oto umowa: jeśli spróbujesz mnie zostawić, zarezerwuję lot komercyjny i ruszę za tobą.

– Rozkażę ludziom, żeby trzymali cię na terenie posiadłości – warczy mężczyzna.

Sloane unosi brwi. Wygląda jak królowa, gdy pyta:

– Naprawdę sądzisz, że posłuchają ciebie, a nie mnie?

Twarz Declana robi się czerwona. Na jego szyi pulsuje żyła. Szczeka jest twarda niczym kamień, a on znów zgrzyta trzonowcami.

Myślę, że jego głowie grozi eksplozja.

– Do diabła, kobieto...

– Koniec dyskusji. Chodźmy już – rzuca moja siostra. Wykręca się z jego uścisku i kieruje do drzwi.

On odwraca się, zerkając na jej plecy.

Zjadam kolejnego Twizzlersa, z niepokojem czekając na to, co będzie dalej. Najwyraźniej Declan zdaje sobie sprawę, że przegrał bitwę. Przeciąga palce pomiędzy swoimi gęstymi, czarnymi włosami. Mamrocząc przekleństwo, podąża za Sloane.

– Hej! – krzyczę.

W połowie drogi do drzwi odwracają się i patrzą na mnie.

– A co ze mną? Odstawicie mnie do domu? – pytam.

– Zostaniesz tutaj – odpowiadają jednocześnie.

– Tutaj? – Rozglądam się z przerażeniem po ogromnej sypialni. – Sama?

– Lubisz być sama, pamiętasz? – odpiera Sloane.

– Tak, w moim własnym miejscu ze wszystkimi moimi własnymi rzeczami. Nie w samym środku Trójkąta Bermudzkiego – mamrocę.

Declan mówi surowo:

– W tej chwili to jest najbezpieczniejsze miejsce dla ciebie, panienko. Nikt na Ziemi nie wie o tej lokalizacji.

Próbuje tym samym powiedzieć, że naprawdę źli faceci mogliby zrobić naprawdę złe rzeczy jemu i każdemu, kto jest w jego pobliżu. Gdyby tylko wiedzieli, gdzie on przebywa.

Po raz pierwszy rozumiem, jak niebezpieczna jest sytuacja Sloane. Ona dosłownie ryzykuje swoje życie, będąc tak blisko niego.

Ryzykuje swoje życie dla miłości.

Wpatruję się w nią z niedowierzaniem. W historii pełnej lekkomyślnych decyzji ta jedna jest najlepsza.

– Nie odejdziesz, Maluchu – warczy.

– Ale...

– Zabrałaś ze sobą laptopa, żeby pracować stąd, prawda? – pyta.

Zaczynam wpadać w panikę. *Nie chcę* zostać tu sama, w tym zamku, mając za towarzystwo wyłącznie echo.

Jestem dziewczyną z miasta. Moje mieszkanie ma niecałe dziewięćset stóp kwadratowych. Taka ilość otwartej przestrzeni przyprawia mnie o ciarki.

– Tak, ale sądziłam, że zostanę tylko na kilka dni. Jak długo was nie będzie?

Declan oznajmia:

– Nie wiem. – Wskazuje palcem podłogę, jakby zamierzał złożyć ostateczną, nieodwołalną deklarację. – Jednak dopóki ta sytuacja nie zostanie rozwiązana, zostaniesz tutaj.

Po tych słowach odwraca się i wychodzi, zatrząskując za sobą drzwi.

Dranie!

Ze zgrozą rozglądam się po pokoju.

– O mój Boże! Jestem jeńcem!

Zrywam się na równe nogi i biegnę do drzwi. Potykam się, bo wciąż mam na stopach te głupie buty na obcasach. Przeklinając, zsuwam je, rzucam na nie marynarkę Spidera, a potem na bosaka wybiegam z pomieszczenia i pędzę korytarzem.

Doganiem Declana i Sloane w salonie, który wygląda, jak gdyby odbywał się w nim właśnie zjazd gangsterów.

Wokół kręcą się dziesiątki krzepkich mężczyzn w czarnych garniturach. Mówią do siebie w języku, który, jak przypuszczam, jest gaelickim, i rzucają mroczne spojrzenia w stronę okien. Spider też tam jest.

– Chłopaki, czekajcie! To może być ważne! – krzyczę.

Mogę stwierdzić po zdeglustowanym wyrazie twarzy Sloane, że ta myśli, iż ponownie zamierzam się z nią pokłócić, ale mnie chodzi o coś innego. Ta sytuacja z Diego przeorganizowała kilka rzeczy w mojej głowie.

Nie jestem jednak pewna, czy wszyscy zebrani powinni usłyszeć, co mam do powiedzenia, więc czekam, aż stanę tuż przed nimi, i zniżam głos.

– Był taki facet, kiedy poszłam do damskiej toalety w restauracji. Myślał, że jestem prostytutką... – zaczynam.

Sloane warczy:

– Nie mamy teraz na to czasu.

Sądzi, że mówię o naszym zakładzie.

– Nie, posłuchaj. Był w toalecie, gdy wyszłam z kabiny. Był naprawdę duży i jakby, nie wiem... dziwny. Wiesz, jak niebezpieczny

dziwny.

Declan przybiera tę samą najeżoną postawę, którą Spider przyjął w restauracji. Niemal staje się większy, groźniejszy i tysiąc razy intensywniejszy. Jego niebieskie oczy błyszczą zimnym ogniem.

– Co się stało? – warczy, podchodząc bliżej. – Jak on wyglądał? Co powiedział? Czy cię skrzywdził?

Jestem trochę zdenerwowana tym, że czekał do ostatniego pytania, aby dowiedzieć się, czy jestem ranna, ale nieważne.

– Nic mi nie jest. Nie dotknął mnie, po prostu wystraszył. Powiedział, że nie muszę się sprzedawać i nie jest dla mnie za późno. Powiedział coś w stylu, że wciąż jest dla mnie szansa...

Przerywam, próbując przypomnieć sobie więcej o tej wielkiej bestii. Pamiętam przede wszystkim, jaki był delikatny, kiedy muskał knykciami mój policzek, i jak miękki był jego głos, gdy mówił, że moje oczy są ładne.

I jaki był wspaniały.

Mój Boże, ta twarz. Te usta. Te blade, przeszywające, zielone oczy. W zestawieniu z brutalną męskością delikatność jego rysów stała się jeszcze bardziej oszałamiająca.

Przy nim Declan wygląda jak Justin Bieber.

Rozwścieczona Sloane zwraca się do Declana:

– Nie było żadnego faceta. Chodzi o zakład, który zawarłyśmy przed wyjściem do restauracji – rzuca, zirytowana.

– Nie, Sloane, nie o to chodzi.

Krzyżuje ręce na piersi.

– Okej, więc gdzie poszedł ten dziwny, niebezpieczny facet po tym, jak przestał ci rzucać te cliwe teksty i ci się oświadczył? – Prycha.

Zaczynam się denerwować.

– On mi się nie oświadczył! – podnoszę głos. – Nie słuchasz...

– Spider!

Ostre wołanie Sloane sprawia, że ochroniarz natychmiast podbiega.

– Aye?

Sloane wskazuje mnie.

– Moja siostra twierdzi, że jakiś mężczyzna zaczepił ją w damskiej toalecie w restauracji. Czy zechciałbyś nam powiedzieć, co widziałeś?

Spider patrzy na mnie, marszcząc czoło.

– Mężczyzna? W damskiej toalecie? – pyta, zdziwiony.

– Byłeś z nią, prawda? – upewnia się Sloane.

Sprawia wrażenie zdezorientowanego, a ja teraz zaczynam być zdesperowana.

– Tak. Byłem z nią przez cały czas, stałem tuż za drzwiami – wyjaśnia ochroniarz.

– Czy widziałeś, jak jakiś mężczyzna wchodził lub wychodził?

– Nie. Nikt nie wchodził ani nie wychodził oprócz niej – odpowiada, marszcząc brwi.

– Kiedy wyszła, czy powiedziała coś o mężczyźnie będącym w środku?

Spider spogląda na mnie. Jego wyraz twarzy jest przepraszający.

– Nie.

Sloane odwraca się przodem do mnie. Nozdrza ma rozdęte, a usta zaciśnięte w wąską linię.

– Jezu, Riley. Za śpiewającą budkę dla ptaków? Jeśli tak bardzo potrzebowałaś pieniędzy, wystarczyło poprosić.

– Tu nie chodzi o zakład, Sloane!

– Gra skończona. Spider, zabierz ją z powrotem do pokoju.

Wszyscy w salonie gapią się teraz na mnie.

Na mnie, w mojej głupiej, zdzirowatej sukience, z moimi głupimi, rozjaśnionymi włosami i moim gorącym umartwieniem z powodu ukazania mnie jako kłamczuchy.

Przez moją własną siostrę, kretynekę, która chciała, żebym tu przyjechała.

Nie czekam, aż Spider upokorzy mnie jeszcze bardziej, chwytając za nadgarstek i odciągając od siebie. Zamiast tego odwracam się, po czym wychodzę, trzymając głowę wysoko, mimo guli w gardle i łez w oczach.

Tak mi dopomóż Bóg, to ostatni raz, kiedy się do niej odezwałam.

ROZDZIAŁ 10

MAL

Kiedy wracam na swoje miejsce w dzwonnicy, w domu Declana panuje niemal całkowita ciemność.

Jedyne światła na terenie posiadłości, które się palą, to reflektory na zewnątrz i lampy w trzech pokojach na pierwszym piętrze.

Jeden z tych pokoi to sypialnia.

Pod tym kątem nie widzę zbyt wiele, ale dostrzegam francuskie drzwi z zaciągniętymi zasłonami. Za pomieszczeniem znajduje się małe, prywatne patio ozdobione kwitnącymi kwiatami w doniczkach.

Uzbrojony strażnik przechodzi przez patio, trzymając karabin w gotowości.

Ochroniarze krążą po całym terenie posiadłości.

Jakby to miało jakieś znaczenie.

Nie wiem, czy Declan i jego świta poszli już spać, czy po wyjściu z restauracji udali się gdzie indziej, bo nie przyjechałam prosto tutaj. Jeździłam po wyspie, myśląc. Próbując przestać myśleć.

O niej.

O tej przybłędzie.

Jestem zły na siebie, że ją przestraszyłem.

Jeszcze bardziej jestem zły, że obchodzi mnie to, że ją przestraszyłem.

Przecież nigdy się tym nie przejmuję. Bez względu na płeć osoby, którą wystraszyłem.

Od tak dawna sprawiam, że ludzie się mnie boją, że to już nic dla mnie nie znaczy.

Ale w jej przypadku jest inaczej.

Nienawidzę tego.

Kiedy zamykam oczy, żeby odetchnąć, pod moimi powiekami pojawia się obraz jej przerażonej twarzy. Pozwalam sobie posiedzieć z nim przez chwilę, czerpiąc przyjemność ze szczegółów.

Wszystko w tej dziewczynie tkwi w szczegółach.

Nie jest wysoka, jak kobieta Declana. Nie jest krzykliwa ani krągła, ani seksowna, ani nie ma w sobie niczego oczywistego, co przyciągnęłoby wzrok mężczyzny.

Jest jak mały ptak, który na pierwszy rzut oka wygląda zwyczajnie. Dopiero kiedy dłużej skupisz na nim uwagę, możesz dostrzec niesamowitą misterność piór.

Pierścień złota wokół jej źrenic.

Plamki złota w słodkich, brązowych oczach.

Delikatny łuk brwi.

Idealny łuk górnej wargi.

Sposób, w jaki guzek na grzbiecie jej nosa sprawia, że okulary są lekko przekrzywione.

Sposób, w jaki światło odbija się od pozbawionej niedoskonałości skóry, powodując, że ta promienieje. Sposób, w jaki patrzyła na moje usta i sprawiała, że czułem się jak dzikie zwierzę.

Otwieram oczy, a ona znika. Robię wydech, oddycha mi się łatwiej.

Aż pojawia się ponownie, tym razem na patio sypialni na pierwszym piętrze.

Wciąż jest z nim. Nie wzięła pieniędzy i nie odeszła.

Serce zaczyna mi walić tak mocno, że muszę chwycić karabin obiema rękami, żeby się uspokoić. Wpatruję się przez celownik w jej powiększony obraz i obserwuję, jak powoli podchodzi do krawędzi patio.

Podnosi jedną z doniczek i rzuca ją za balustradę.

Nieuszkodzona donica ląduje na trawie po drugiej stronie i toczy się kilka stóp, zanim się zatrzyma.

Kobieta unosi kolejną doniczkę. Tym razem ciska nią o podłogę patio i odskakuje, by uniknąć ostrych odłamków gliny, gdy garnek rozbija się o kamień, po czym rozpada.

Następnie zaczyna chodzić w kółko.

Wygląda na to, że mówi do siebie.

Gniewnie.

Złość wzbiera również we mnie, tak gorąca jak południowe słońce na tej ohydnej wyspie. Nie z powodu pieniędzy, które jej dałem. Pieniądze nic dla mnie nie znaczą.

Gniew wynika z tego, że im dłużej będzie je miała przy sobie, tym bardziej będzie zagrożona przez jego chore apetyty.

I co on jej, kurwa, zrobił?

To, że jest wściekła, nie ulega wątpliwości. Czy jest też zraniona? Czy on ją pobił? Zgwałcił? Zaszantażował, upokorzył i zniszczył w sposób, w jaki potrafi tylko taki człowiek jak on?

Mogę być zabójcą o reputacji dorównującej moim umiejętnościom, ale mężczyzna taki jak Declan O'Donnell jest gorszy nawet ode mnie.

Każda osoba, która poczuła moc mojego karabinu, zasłużyła na to. Wszystkie miały krew na rękach. Były bardziej okrutne niż wściekłe wilki, co do jednej.

Nie były niewinne.

A ta dziewczyna, chociaż nadal się sprzedaje, jest niewinna. Jest łanią, a nie wilkiem. Widziałem to w jej oczach.

Jest ptaszkiem złapanym w pułapkę lwa.

I jeśli czegoś nie zrobię, jeśli nie spróbuję czegoś innego, zostanie pożarta.

Ona nie jest twoim problemem, Malek. Nie po to tu jesteś. Już starałeś się jej pomóc. Zapomnij o dziewczynie. Skup się.

Nie. Nie mogę się skupić, dopóki nie mam pewności, że jest bezpieczna.

Co jest z tobą nie tak?

Nie wiem.

Ale coś się dzieje. To do ciebie niepodobne. Nigdy wcześniej tego nie robiłeś. Co jest nie tak z twoją głową?

Jest wypełniona nią.

Porzucam kłótnię z samym sobą, a później wstaję i kieruję się w dół po schodach dzwonnicy, wzdychając ciężko.

Czas znów zrobić coś głupiego i niebezpiecznego.

ROZDZIAŁ 11

RILEY

Rozbijanie doniczek nie jest aż tak oczyszczające, jak miałam nadzieję, że będzie.

Wracam do sypialni, zamykam drzwi tarasowe i zasłaniam je zasłonami. Umieram z głodu – zjadłam tylko bułkę i trochę cukierków na kolację – ale niech mnie diabli wezmą, jeśli zamówię jedzenie przez ten głupi telefon domowy.

Nie chcę rozmawiać z żadnym Irlandczykiem do końca życia. Wszyscy oni to aroganckie dranie!

Dobrze, dobrze, wszyscy są naprawdę mili.

Prawda jest taka, że jestem zbyt zawstydzona.

Bardziej rozsądne wydaje się zagłodzenie się na śmierć niż mierzenie z rozczarowanymi, protekcjonalnymi spojrzeniami personelu Declana, kiedy przynoszą jedzenie kłamliwej młodszej siostrze Sloane.

Nie mam żadnych wątpliwości, że plotkują na mój temat, odkąd wcześniej opuściłam pokój w takiej hańbie.

Osądzające sukinsyny.

Postanawiam wziąć gorącą kąpiel, żeby spróbować zmyć z siebie upokorzenie. To nie działa, ale przynajmniej jestem czysta i już nie chce mi się aż tak bardzo płakać. Pochłaniam kolejne pudełko cukierków, spędzam milisekundę, martwiąc się o próchnicę, a potem myję i nitkuję zęby. Na końcu gaszę światło, po czym wchodzę do łóżka.

Musiałam zasnąć, bo jakiś czas później wpatruję się w ciemność z sercem walącym dziko od przerażającego przecucia, że nie jestem sama w pokoju.

Nie słyszę żadnego dźwięku. Nie widzę żadnego ruchu. Nie rejestruję ani jednego oddechu zakłócającego powietrze.

Wyczuwam za to wyraźny zapach lasu i wielką, pieprzoną obecność.

Siadam wyprostowana, w przerażeniu, przyciskając prześcieradło do piersi. Mam nadzieję, że jeden ze strażników Declana usłyszy mój krzyk, zanim moje ciało zostanie porąbane na milion kawałków.

Cała się trzęsę, oddycham z trudem.

– Nie krzycz, *malyutka*. Nie zrobię ci krzywdy. Daję ci moje słowo.

Głos jest głęboki, bogaty. Hipnotyzuje. Natychmiast go rozpoznaję.

O mój pieprzony Boże, to on! To on, to on, to on!

Jest w mojej sypialni! On naprawdę tu jest!

Zaczynam hiperwentylować tak bardzo, że boję się, iż mogę zemdleć.

– Dziękuję.

Mężczyzna dziękuje mi za to, że nie krzyczałam. To, czego nie wie, to fakt, że próbuję, lecz moje gardło nie chce współpracować. Jest zamrożone z przerażenia, jak cała reszta mnie.

Słyszając cichy szelest po prawej stronie, szarpię głową w tamtym kierunku. Niestety nie mam na nosie okularów, więc nawet gdyby pokój był oświetlony, nadal nie widziałabym nic poza wodnistą plamą, którą dostrzegam teraz.

Wiedziałam, że powinnam mieć operację laserową, kiedy mój okulista to zasugerował.

– Dlaczego nie wyszłaś, kiedy dałem ci pieniądze?

– Byłam zbyt zajęta bałaganem w swojej głowie.

Właśnie te słowa chciałam wypowiedzieć, ale to, co faktycznie wychodzi z moich ust, przypomina dźwięk, jaki wydaje słoń przy porodzie. Zawiera wiele niezręcznych chrząknięć i trąbienia.

– Oddychaj, *malyutka*. Nic ci nie grozi z mojej strony – przekonuje mężczyzna.

Poza niebezpieczeństwem, że moje jajniki eksplodują w tym samym czasie co moja głowa.

Nie rozumiem, w jaki sposób szorstki tembr jego głosu może być *jednocześnie* pobudzający i przerażający, jednak przypuszczam, że zawsze byłam dobra w wielozadaniowości.

Siedzę w łóżku, z prześcieradłem zaciśniętym w pięściach, oddychając jak podczas porodu. W końcu odzyskuję wystarczającą kontrolę nad krtanią i strunami głosowymi, by zapytać:

– Jak brzmi to słowo, którym ciągle mnie nazywasz?

Wiem, że to nie jest teraz najistotniejsze, ale jestem pod ogromną presją, więc potrzebuję dać sobie trochę luzu w tej kwestii.

– *Malyutka*. – Przeciąga je, powoli wymawiając sylaby. Jakimkolwiek językiem się posługuje, jest on męski, szorstki i seksualny.

Nienawidzę siebie za to, że to uwielbiam.

– Co to znaczy?

– Z grubsza... „mała”. Dziecko.

Przestaję być przerażona na tyle długo, aby to podziwiać.

Mam przezwisko?

Wielki Gorący Niebezpieczny Nieznajomy nazywa mnie dzieckiem?

Odchrząkuję, desperacko usiłując zrozumieć, co, do cholery, się dzieje.

– Hmm... Yyy...

– Czy Irlandczyk trzyma cię tutaj jako więźnia? – pyta mężczyzna.

– Ha! Jak na to wpadłeś?

Dobra, to rzeczywiście wyszło z moich ust. W dodatku z moją normalną ilością rażącego sarkazmu. Więc nie mogę być tak przerażona, jak mi się wydaje.

Tylko że jestem. Cholera jasna, boję się. Uciekłabym stąd sprintem, gdyby nie fakt, że moje cholerne nogi są sparaliżowane przez strach.

Jeśli spróbowałabym wstać z łóżka, z pewnością bym upadła, a uderzając o podłogę, straciłabym przytomność.

– Mogę ci pomóc. – Jego głos staje się niższy. – Chcę ci pomóc. – Słyszę lekki nacisk na słowo *chcę*, który sprawia, że moje ciało pokrywa się gęsią skórką.

Robi mi się zimno, potem gorąco, a następnie znów hiperwentyluję.

– JA... JA... – Sfrustrowana sobą, odchrząkuję i zaczynam od nowa: – Kimkolwiek jesteś, powinieneś odejść. Jest tu jakiś milion

uzbrojonych strażników.

– Wiem. Widziałem ich. – Jego ton jest spokojny. Jakby mężczyzna w ogóle nie przejmował się uzbrojonymi strażnikami.

Ciekawe.

Siedzimy w ciszy, dopóki nie przebiegam przez całą listę inteligentnych, przydatnych pytań, które człowiek powinien zadać w tego typu sytuacji. Wtedy odzywam się radośnie:

– Mam na imię Riley. A ty?

Niech ktoś mnie zastrzeli. Zastrzelcie mnie teraz i zakończcie moje cierpienie. Jestem najgłupszą ofiarą zbliżającej się brutalnej zbrodni, jaka kiedykolwiek żyła.

Z wodnistej ciemności wydobywa się dźwięk, który wysyła kaskadę dreszczy w dół mojego kręgosłupa.

To śmiech. Seksowny i męski, bogaty i głęboki.

Chciałabym, żeby rozbrzmiewał przy boku mojej szyi.

A może przy wewnętrznej stronie uda.

A może powinnam rzucić się na najbliższy ostry przedmiot i oszczędzić światu kolejnej sekundy mojej nieuleczalnej głupoty.

Nie jestem zaskoczona, kiedy facet nie odpowiada, więc oferuję bardziej niezwykły dowód mojego całkowitego braku inteligencji, mówiąc:

– Twoje pieniądze są na komodzie.

W jakiś sposób sprawiłam, że brzmi to tak, jakbym oferowała zapłatę zigołakowi, który właśnie mnie obsłużył.

Moje policzki płoną.

– To znaczy, zakładam, że dlatego tu jesteś. Żeby je odzyskać – mamroczę, zupełnie zażenowana.

Gdy wciąż milczy, dodaję potulnie:

– Prawda?

– Nie jestem tu dla pieniędzy – oznajmia, po czym kręci głową.

Oddychaj. Nie zemdlej. Płuca, jeśli mnie teraz zawiedziecie, zacznę palić dziesięć paczek papierosów dziennie, żeby się na was odegrać.

– To jednak dużo pieniędzy – oponuję.

– Nie dla mnie. Ale kwota nie ma znaczenia.

Siedzimy w nerwowej ciszy, podczas gdy w moich uszach rozlega się echo bicia serca, a całe łóżko drży pode mną. Wreszcie znajduję w

sobie dość odwagi, by zaryzykować.

– Więc jeśli nie jesteś tu po to, żeby odzyskać pieniądze, i nie jesteś... – Przełykam ślinę. – Nie zamierzasz mnie skrzywdzić... To dlaczego tu jesteś?

Nie spieszy się z odpowiedzią. Czuję, że się nad tym zastanawia.

– Nie wiem – odiera w końcu.

Brzmi na zdenerwowanego. Nie tak, jakby próbował kłamać, ale tak, jak gdyby szczerze nie miał pojęcia, czemu nagle znalazł się w mojej sypialni w środku nocy. Jego zakłopotanie sprawia, że się odprężam.

Przecież seryjni mordercy zwykle wiedzą, dlaczego włamali się do twojej sypialni, prawda?

Decyduję, że chciałabym zobaczyć jego wyraz twarzy, więc sięgam do szafki nocnej po okulary. Ale mój nagły ruch powoduje jego reakcję. Dzieje się to tak szybko, że nie mam czasu nawet mrugnąć.

Chwyta mój nadgarstek w swoją wielką dłoń i warczy:

– Nie próbuj mnie zastrzelić. Kula w jelitach tylko mnie rozwścieczy.

Góruje nade mną, wytwarza pole siłowe ciepła i napięcia obok łóżka. Jest tak blisko, że jego ciepły oddech muska moje ucho.

– Sięgałam po okulary! – wykrztuszam, panikując. – Nie mam broni!

Po chwili jego uścisk przestaje być taki silny. Następnie mężczyzna uwalnia moją dłoń i odchodzi, lecz staje na tyle blisko łóżka, że wciąż widzę zarys jego sylwetki.

Biorę okulary, wkładam je na nos i patrzę na niego z zimnym strachem.

Wzrost czyni go jeszcze bardziej przerażającym. Patrząc na niego pod tym kątem, czuję się, jakbym wyciągała szyję, aby spojrzeć na wieżowiec. Tylko że ten facet jest tak wysoki, że nie widzę jego głowy.

Nagle ukazuje twarz – do tej pory spowitą mrokiem – kiedy ugina długie nogi i klęka obok łóżka.

Nawet mimo ciemności zauważam intensywność w tych bladezielonych oczach.

Widzę, jak się we mnie wpatrują, analizują.

Jak płoną.

Wydaję z siebie beczący dźwięk niczym przestraszona owieczka. To mimowolne i nienawidzę siebie za bycie takim mięczakiem. Reakcja mężczyzny też wydaje się automatyczna.

Łagodnie mnie ucisza. Wyciąga rękę i pieści mój policzek, a towarzyszy temu strumień spokojnie wypowiedzianych słów.

– *Ty v bezovasnosti so mnoy, малыутка. Ya ne prichinu tebe vreda*⁶.

Rosyjski. To jest rosyjski. On mówi po rosyjsku.

Rozpoznaję ten język – nie wiem, jakim cudem – i prawie spadam z łóżka.

Reasumując: ogromny, przystojny Rosjanin włamał się do mojej sypialni. Wcześniej, dziesięć stóp od rzędu toalet, dał mi sto tysięcy dolarów i powiedział, że mam ładne oczy. Potrafi pojawiać się i znikać jak dym, pachnie jak starożytny las, a jego głos, ciało i twarz sprawiają, że chcę, by robił mi złe rzeczy.

Uważa mnie za więźnia. I prostytutkę.

Jest dezorientowany co do prawie wszystkiego innego.

Poza tym wciąż pieści moją twarz. Mam nadzieję, że będzie to robił już zawsze.

Mój głos drży, gdy mówię:

– Czuję, że powinieneś zdradzić mi teraz swoje imię. Muszę wiedzieć, jak cię nazywać.

Kłęcząc, z jedną wytatuowaną ręką rozpostartą nad swoim masywnym udem, a drugą na mojej szczęce, wpatruje się we mnie tak intensywnie, że odnoszę wrażenie, jakby prześwietlał mnie na wylot.

– Możesz wymyślić jakiś pseudonim, jeżeli chcesz – kontynuuję. – Albo ja wymyślę dla ciebie, jeśli wolisz. Po prostu nie mogę dłużej nazywać cię Gigantycznym Gorącym Niebezpiecznym Nieznajomym w mojej głowie. A zwłaszcza werbalnie, bo to za długie.

Jego kciuk przesuwa się tam i z powrotem po mojej kości policzkowej, tak powoli i delikatnie, że czuję się jak zahipnotyzowana.

– Riley.

Zamiast podać mi swoje imię, testuje na języku moje. Wypowiada je ponownie, jeszcze bardziej miękko niż za pierwszym razem. Mruga, marszcząc się, i lekko kręci głową. Widzę, że nie rozumie, co się dzieje.

Ja również nie rozumiem.

– Riley Rose – mówię bez tchu, czując się tak, jakbym została porażona prądem. Czując każde uderzenie serca i gorący puls krwi ryczący w żyłach.

Dlaczego nie krzyczę, by przywołać strażników?

Gdy tylko zadaję sobie to pytanie, znam odpowiedź: „Nie chcę, żeby strażnicy przyszli”.

Wpatrując się we mnie w taki sposób, jakby był świadkiem pierwszego wschodu słońca, delikatnie przeciąga kciukiem po mojej górnej wardze.

– Jesteś zrobiona z dobrych materiałów, Riley Rose – szepcze szorstko.

Jezu, kurwa, na żółte pingwiny, ten człowiek jest nierealny, rzucam w myślach, ponownie używając jakiejś bezsensownej mieszanki słów.

Czuję, że powie mi wszystko, co w tej chwili chcę wiedzieć, dlatego nalegam:

– Jak masz na imię?

Kiedy zwilża usta, wydaje mi się, że zemdleję.

– Malek.

Malek.

Jak Alek, tylko o wiele gorętszy.

– Czemu jesteś w mojej sypialni, Malek? Czego ode mnie chcesz?
– pytam, bo chcę poznać odpowiedzi.

– Niczego nie chcę – odpiera natychmiast.

Jego oczy jednak opowiadają zupełnie inną historię.

Nasze spojrzenia się spotykają, przez co czuję, że moja skóra płonie. Serce, głowa i lędźwie eksplodują ogniem.

– Panienko, wszystko w porządku? Wydawało mi się, że słyszałem głosy. – Dobiega mnie zza drzwi.

To Spider.

Kurwa! To Spider!

Odwracam głowę w kierunku wejścia i wołam:

– Nic mi nie jest, dzięki! Dobranoc!

Kiedy odwracam się, żeby spojrzeć na Maleka, jego już nie ma. Zasłony przed zamkniętymi francuskimi drzwiami przez moment lekko się poruszają, nim wrócą do poprzedniej pozycji.

Siedzę, oszołomiona, obserwując je.

On jest duchem. Albo wampirem. Albo kosmitą, który potrafi przechodzić przez stałe obiekty.

Albo wymysłem mojej nadaktywnej wyobraźni, co miałyby o wiele więcej sensu.

– Otwórz, panienko – oznajmia Spider ostrym tonem, który sugeruje, że ochroniarz może wejść do środka siłą, jeśli się nie podporządkuję.

Poświęcam chwilę, aby się opanować, po czym odrzucam na bok kołdrę i bosą idę po dywanie do drzwi. Odblokowuję je, otwieram, następnie opieram ramię o krawędź, mrużąc oczy w jasnym świetle z korytarza.

Napięty i podejrzliwy Spider zagląda obok mnie do ciemnego pokoju.

– Z kim rozmawiałaś?

– Dlaczego podsłuchiwałaś pod moimi drzwiami? Szpiegujesz mnie? – rzucam, zirytowana, zamiast odpowiedzieć na jego pytanie.

Taktyka działa. Jego policzki stają się rumiane, a on odwraca wzrok. Brzmi na zdenerwowanego, kiedy odpiera:

– Nie, panienko. Ja tylko... yyy... chciałem sprawdzić, co u ciebie. Upewnić się, że jesteś bezpieczna.

– Dlaczego miałabym nie być? Czy coś się stało?

Zerka z powrotem na mnie i potrząsa głową, ale wyczuwam wahanie.

– Wyrzucić to z siebie – żądam. – Co jest?

Przejeżdża ręką po włosach, patrzy w podłogę i wodzi palcem pod kołnierzykiem koszuli.

– To, co stało się wcześniej...

Wcześniej, czyli wtedy, gdy próbowałam powiedzieć Sloane o tym, że widziałam Maleka w damskiej toalecie w restauracji. Kiedy siostra upokorzyła mnie przy wszystkich, sugerując, że jestem kłamczuchą.

Czuję narastającą złość.

– Nie chcę o tym rozmawiać, dzięki – mówię sztywno.

Zerka na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

– Powiedziałaś on – odpowiada stłumionym głosem.

– O co ci chodzi?

– Kiedy otworzyłaś drzwi damskiej toalety i zapytałaś mnie, czy widziałem, jak ktoś wychodził. Najpierw określiłaś tę osobę jako mężczyznę. I wydawałaś się zdezorientowana – przypomina.

Moje serce zaczyna bić coraz szybciej.

– Do czego zmierzasz?

Wpatruje się we mnie. Mięsień w jego szczęce się napina.

– Czy tam, w łazience, był z tobą mężczyzna, panienko?

– Czy uwierzyłybyś mi, gdybym powiedziała, że był?

Rozważa to krótko w milczeniu, a następnie kiwa głową.

Nie wiem dlaczego, lecz to sprawia, że chce mi się płakać. Napinam się i patrzę w dal, mrugając.

– Dziękuję. Ale to nie ma teraz znaczenia.

Spider mówi miękko:

– Wręcz przeciwnie, panienko: ma. – Po chwili dodaje: – Spójrz na mnie.

– Nie mogę. Jestem zbyt zajęta udawaniem, że się nie denerwuję, żebyś nie pomyślał, że jestem szalona.

– Nie uważam, że jesteś szalona. Myślę jednak, że jesteś wystarczająco uprzedzona, by już mi nie ufać, ponieważ musiałem powiedzieć twojej siostrze prawdę o tym, co widziałem.

– Nie, rozumiem. Wykonywałaś tylko swoją pracę. – Wzdycham, pragnąc zakończyć temat.

Spider wydaje się niezadowolony z tego powodu. Przenosi ciężar ciała z nogi na nogę i ponownie przesuwając ręką po włosach. Robi wydech i ściska tył szyi. Potem potrząsa głową, jakby podjął jakąś decyzję.

Odchrząkuje, po czym mówi:

– Pozwolę ci wrócić do łóżka. Przepraszam, że ci przeszkodziłem.

Odwraca się i odchodzi korytarzem, mamrocząc do siebie po gaelicku.

Choć kładę się z powrotem do łóżka, długo nie śpię. W końcu zapadam w niespokojny, pozbawiony przyjemnych wizji sen. Budzę

się co jakiś czas, czując zapach cedru, sosnowych igieł oraz mgły przylegającej do starożytnych pni drzew w ciemnym, oświetlonym księżycem lesie.

Kiedy wstaję rano, na poduszce, obok mojej głowy, spoczywa biała róża o długiej łodydze.

ROZDZIAŁ 12

RILEY

Przez następne dwa dni nic się nie dzieje. Nie mam tajemniczych gości o północy. Nie mam więcej martwych, pozbawionych głowy szefów mafii, którzy jednak okazują się żywi i nienaruszeni po pożarze magazynu. Nikt też nie wręcza mi w toalecie koperty pełnej tony kasy, aby nakłonić mnie do porzucenia chujowego życia i rozpoczęcia od nowa.

Zostaję zamknięta w sypialni, gdzie próbuję pracować i nie myśleć o Maleku.

Pierwsza rzecz udaje mi się o wiele lepiej niż druga.

Trzeciego dnia pytam Spidera, czy zawiezie mnie do miasta, żebym mogła popracować w kawiarni. Nie mogę znieść ani minuty dłużej przebywania w tym zamczysku, siedzenia w sypialni gościnnej, oddychania z trudem oraz tęsknoty za kolejnym upojnym zapachem sosnowych igieł.

– Nie – odpowiada natychmiast mężczyzna beznamiętnym tonem.

Złapał mnie w kuchni, do której zaczęłam się skradać o dziwnych godzinach, by podkraść jedzenie z lodówki, w nadziei, że nie spotkam żadnego z pracowników i nie będę musiała znosić ich szyderstw.

Stworzyłam w głowie całą dziesięciosezonową sagę na Netflixu o tym, co wszyscy irlandzcy ochroniarze mówią o mnie za moimi plecami, odkąd Sloane z Declanem wyjechali.

To brzydkie. Nawet jeśli tylko dwa procent z tego jest prawdą, nigdy więcej nie mogę się z nimi zmierzyć.

Z natury nie jestem niespokojna, ale łatwo sprawić, że zaczynam się zamartwiać. Najdrobniejszy błąd – jeżeli zostanie popełniony publicznie – może spowodować, że będę miała ochotę umrzeć ze wstydu.

– Proszę? – zwracam się do Spidera, usiłując wyglądać na zdeterminowaną i pewną siebie. – Muszę się wydostać z tego miejsca. Tutaj jest za cicho. Zaczynam wariować. Potrzebuję trochę hałasu i gadających ludzi wokół, żeby mogła się skupić.

Ochroniarz spogląda na mnie surowo.

– Rozkazuję ci zostać tutaj, panienko.

– Rozkazy. Racja. – Przerywam, by zacisnąć wargi i przyjrzeć się mężczyźnie w poszukiwaniu jakiegoś pęknięcia w tej stoickiej postawie okalanej murem.

– Nie – mówi stanowczo.

– Co? Nawet nie wiesz, co chciałam powiedzieć.

– Cokolwiek to było, wiąże się z tym, że zrobię coś, czego nie powinienem robić na twoją prośbę – odpiera.

– Nigdy nie poprosiłabym cię o zrobienie czegoś, co mogłoby wpędzić cię w kłopoty – przekonuję.

Kiedy on tylko stoi, wpatrując się we mnie z rękami założonymi na piersi, wyznaję:

– Okej, prawdopodobnie bym to zrobiła, ale gdybyś wpadł w kłopoty, obiecuję, że czułabym się z tym źle. A może po prostu udamy się na przejażdżkę wokół budynku z włączonym radiem? Jestem pewna, że wolno nam to robić. – Wzdycham, licząc, że ulegnie moim namowom.

Wybuchą śmiechem i potrząsa głową.

– Jesteś tak bardzo podobna do swojej siostry – rzuca w końcu.

– Powiedz to jeszcze raz, a strzelę cię w tę twoją wielką głowę – grozę.

Udaje, że jest obrażony.

– Moja głowa nie jest duża! – broni się.

Śmieję się z tego.

– Owszem, jest. Jest tak samo ogromna jak reszta ciebie. – Wzruszam ramionami.

Patrzy na mnie, powoli unosząc brwi.

Moja twarz decyduje, że nadszedł czas, aby zmienić kolor na ładny, jasny odcień pomidorowej czerwieni.

– Nie to miałam na myśli...

– Nie? Więc reszta mnie jest mała? – droczy się.

On się ze mną drażni, palant. Pora zmienić temat.

– A co z biblioteką? Jestem pewna, że Declan zgodziłby się, że w bibliotece będę bezpieczna, prawda? – podejmuję, szukając jakiegokolwiek sposobu na jakąś rozrywkę w tym więzieniu.

– Nigdzie nie pójdziemy – stwierdza Spider.

– Dobrze. Jeśli mi nie pomożesz, ucieknę. To z pewnością nie wpędzi cię w żadne kłopoty. – Puszczam do niego oczko.

Tak naprawdę nie mówię tego poważnie. Po prostu dramatyzuję, bo nie udaje mi się dopiąć swego. Odwracam się i ulatniam z talerzem skrzydełek z kurczaka, które znalazłam w lodówce.

Dziesięć minut później Spider puka do drzwi mojej sypialni.

– Tak?

Zagląda do środka.

– W porządku, panienko. Chodźmy.

Siedząc na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, ożywiam się.

– Naprawdę?

– Aye, naprawdę – burczy, niezadowolony.

Chrupię skrzydełko przez chwilę, zastanawiając się, a potem potrząsam głową.

– To słodkie, ale ja tylko żartowałam, gdy wspominałam o ucieczce. I serio nie chcę wpędzić cię w kłopoty.

Śmieje się.

– Nie wpędzisz. Mam pozwolenie na zabranie cię na tę przejażdżkę – oznajmia, rozbawiony.

– Od Declana?

– Aye. – Jego uśmiech jest tak szeroki, że prawie mnie oślepia. – Jeśli ktokolwiek wie z pierwszej ręki, jak kobieta Keller może męczyć mężczyznę na śmierć, kiedy czegoś chce, to właśnie on.

Porzucając talerz ze skrzydełkami, mamroczę:

– Tak. Założę się, że tak. – Podskakuję, po czym zbieram swoje rzeczy.

Dziesięć minut później wyjeżdżamy przez wielkie, żelazne wrota, a ja włączam w sobie tryb przesłuchania. Najwyraźniej wolność czyni mnie gadatliwą.

– Więc jak długo pracujesz dla Declana? – zagajam.

– Długo.

– Czy to trudna praca?

– Zależy, co rozumiesz przez to określenie.

– Czy musisz zabijać ludzi? – wypalam.

Rzuca mi spojrzenie z ukosa, które oznacza: „Oczywiście”.

– Och. Wow.

Myślę przez moment o tym, jakie to musi być przykre mieć coś takiego w swoich obowiązkach w pracy, a potem puszczam to w niepamięć, bo nic nie mogę z tym zrobić.

Nie jestem osobą rozwodzącą się nad rzeczami, których nie da się naprawić.

– Czy od zawsze chciałeś być gangsterem? I nie dawaj mi jakiejś pośredniej odpowiedzi. Tym razem chcę konkretów.

Mogę powiedzieć, że stara się nie śmiać.

– Pośredniej?

– To znaczy wymijającej – dodaję.

– Wiem, co to znaczy, panienko. Po prostu czasami bawi mnie twój dobór słów.

Urażona, mówię krótko:

– Więc jestem maniaczką nietypowych słów. Pewnie, osądzaj mnie za to.

– Och, nie złość się. Jakie jest twoje ulubione słowo?

To mnie zatyka. Zastanawiam się nad tym przez chwilę, gdy jedziemy, mijając kolejne gigantyczne posiadłości położone za zamkniętymi bramami i wysokimi żywopłotami. Bermudy wydają się całkowicie zaludnione przez paranoicznych bogaczy.

– Serendypia.

– Serendypia?

– Tak, ze względu na to, jak brzmi, a także dlatego, że podoba mi się jego znaczenie.

Spider przytakuje.

– Szczęśliwy traf.

A ja myślałam, że to tylko następny przystojniaczek i nic więcej.

– Tak, właśnie. Lubię też słowo „miodopłynny”, bo kiedy używasz go w zdaniu, ludzie uważają, że jesteś superinteligentny. I jest ładne. Mio-do-płyn-ny. Brzmi, jakbyś intonował zaklęcie. Tak w ogóle to chciałam nią być, gdy dorastałam. W sensie czarownicą. Boże, to

byłoby takie złe móc rzucać klątwy na ludzi, nie sądzisz? I latać. Ale nie chciałabym latać na miotle. Miotła wbita w cipkę byłaby szalenie niewygodna.

Spider trzyma pięść przy ustach. Próbuje stłumić śmiech.

– Hej! Jestem całkowicie otwarta i szczerza! Mógłbyś przynajmniej mieć w sobie na tyle przyzwoitości, żeby zachować kamienną twarz.

– Czarownice powinny latać na miotłach bokiem, panienko, a nie z tą cholerną rzeczą wciśniętą między uda.

Przewracam oczami.

– Wybacz, że nie znam właściwego sposobu poruszania się za pomocą miotły. Przegapiłam ten dzień w Hogwarcie.

Spider śmieje się i śmieje, wyraźnie dobrze się bawiąc. Zastanawiam się, kiedy ostatnio tak szczerze się śmiał. Jego praca prawdopodobnie nie daje mu ku temu wielu okazji.

Obserwując, jak się szczerzy, pytam nagle:

– Czy oni sobie poradzą?

Wie, kogo mam na myśli.

– Declan jest bardzo mądrym człowiekiem, panienko. I niewyobrażalnie potężnym. Nie pozwoli, by twojej siostrze stała się jakakolwiek krzywda – zapewnia łagodnym głosem.

– Ale co z nim? Założę się, że jest wielu facetów, którzy chcą zrobić mu krzywdę, prawda? – dociekam, nie odrywając spojrzenia od profilu mężczyzny.

– Tak. Jednak on jest w tej grze od dawna, naprawdę od dawna. Zna wszystkie sztuczki w tej branży, nawet te, które jeszcze nie zostały wymyślone. Ma za sobą ponad dwadzieścia lat w tym świecie, a wciąż się trzyma. I będzie się trzymał przez kolejnych dwadzieścia, z łatwością, zapamiętaj moje słowa – podkreśla poważnym tonem.

Spider jest oczywiście bardzo dumny ze swojego szefa. Jego zaufanie do Declana wygląda na bezgraniczne. Dzięki temu trochę łatwiej mi oddychać, ale wiem też, że nikt nie jest niezwyciężony.

Nieważne, jaki jesteś mądry, zawsze znajdzie się ktoś mądrzejszy od ciebie. Nawet najwyższe i najbezpieczniejsze mury zamku mogą zostać naruszone.

Idealnym przykładem jest Malek.

Wchodził i wychodził, niezauważony przez strażników Declana. Zamknęłam drzwi na patio, a on jakoś odblokował je od zewnątrz. Nie słyszałam nic o uruchomionych alarmach czy naruszonych obwodach, ale on wkradł się na teren obiektu, nie sprawiając, że uniosły się czerwone flagi. Pojawił się bezszelestnie w mojej sypialni, gdzie mógł mnie całkiem łatwo zamordować.

Jednak nie zrobił tego.

Nazwał mnie dzieckiem i zamiast zabić, zostawił mi białą różę.

Nie zdecydowałam jeszcze, co zrobię, jeśli zjawi się ponownie. Nie jestem naiwna. Wiem, że to niebezpieczny człowiek. Przemoc jest częścią jego codzienności, tak jak woda kolońska. Ufając takim mężczyznom jak on, kobiety takie jak ja giną.

Ale coś potężnego niezaprzeczalnie mnie do niego przyciąga. Nieodparta naturalna siła, jak grawitacja. Kiedy uklęknął obok mojego łóżka i ujął moją twarz w swoją wielką, szorstką dłoń, moje serce otworzyło się niczym kwiat.

Najwyraźniej mam taki sam mózg, jaki Bóg dał pchle.

– Czy Declan powiedział ci coś o sytuacji z jego starym szefem, kiedy rozmawiałeś z nim o zabranii mnie na przejażdżkę? – pytam po chwili.

– Wysłał mi jedynie SMS-a w ramach odpowiedzi.

– Och – rzucam, zawiedziona.

– Ale rozmawiałem z nim wczoraj wieczorem.

Mogę wywnioskować ze sposobu, w jaki mówi, że ma jakieś informacje. Prostuję się w fotelu, biorę głęboki wdech, po czym dociekam:

– I? Co powiedział?

– Krótko mówiąc, bez wchodzenia we wszystkie krwawe szczegóły: Diego ma amnezję. Nie pamięta żadnej cholernej rzeczy, która mu się przydarzyła.

Wzdycham.

– No nie! To się nie dzieje.

– Aye. Widzieli go w szpitalu. Biedny sukinsyn nie rozpoznaje nawet Declana. Nie zna swojego imienia. Nie ma cholernego pojęcia, kim ani gdzie jest. – Kręci głową.

– To straszne!

Spider zgadza się ze mną.

– Wszędzie panuje niezły syf.

Przyglądam się jego twarzy.

– Brzmi, jakby chodziło o coś więcej niż amnezję.

Mężczyzna robi poważną minę i zerka w moim kierunku.

– Kiedy Declan myślał, że Diego został zabity... Powiedzmy, że nie przyjął tego na spokojnie – wyjaśnia.

– O rany. To brzmi, jakby chodziło o morderstwo.

– Tak. Odwet w naturze, kiedy szef zostaje zabity, to normalna sprawa. Ale teraz, gdy okazało się, że Diego żyje, wyszło na to, że pewne działania podjęte przez Declana były niepotrzebne. A skoro Diego nie jest w stanie przypomnieć sobie, kto go porwał i zamknął, cała sprawa to jeden wielki pierdolnik.

Rozumiem, że Declan będzie musiał zmierzyć się z pretensjami za to, co zrobił, by pomścić Diega, i nie sądzę, żeby to było sprawiedliwe.

– Ale Declan ma usprawiedliwienie. On naprawdę myślał, że Diego nie żyje. Było ciało i wszystko! – dodaję, broniąc przyszłego szwagra.

Spider śmieje się ponuro.

– Powiedz to reszcie rodzin.

– Wow, cieszę się, że potrafisz być tak spokojny w tej sytuacji. Ja chyba dostałabym ataku serca.

Wzrusza ramionami.

– Takie jest życie. W naszej branży nie ma nudnych chwil. Unikanie śmierci zatrzymuje człowieka w młodości. – Robi przerwę.

– Czemu tak dziwnie mi się przyglądasz?

– To, co właśnie powiedziałaś, jest prawdopodobnie najbardziej macho rzeczą, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– Dziękuję.

– Nie jestem pewna, czy to był komplement. O, patrz, księgarnia! Możemy tam wejść?

Wskazuję uroczy sklepik, który mijamy. Fasada została pomalowana na jasnoniebiesko. Czerwone pelargonie w doniczkach stoją przy dużym oknie wykuszowym. Kilka rowerów jest

zaparkowanych na zewnątrz, obok rzędu stolików w kawiarni. Ludzie popijają kawę i rozmawiają, ogrzewając się w porannym słońcu.

– Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem – mówi Spider, uśmiechając się, a potem skręca w prawo, objeżdżając budynek.

– W takim razie życzę sobie karnetu na cały sezon na mecze 49ers. Mężczyzna zaczyna rechotać.

– Ugh. Futbol amerykański.

– Co jest z nim nie tak?

– Wy, Jankesi, nosicie za dużo cholernych ochraniaczy. I kaski! – szydzi. – Żeby zakryć wasze delikatne, filigranowe mózgi.

– Ach. Widzę, do czego to zmierza. Masz zamiar wychwalać wspaniałe męskie rugby, prawda?

Spogląda na mnie, szczerząc się, następnie parkuje za sklepem.

– Wychwalać?

– Och, zamknij się – odpieram łagodnie.

Jak tylko Spider wyłącza silnik, otwieram drzwi, zabieram laptopa i wyskakuję z SUV-a. Kiedy się odwracam, ochroniarz stoi tuż przede mną.

Wzdrygam się.

– Co? – mówię, zdumiona.

– Powinnaś była pozwolić mi otworzyć drzwi i pomóc ci wysiąść, panienko – mamrocze, krzywiąc się.

– Dlaczego? Czy ja wyglądam, jakbym miała problem z opuszczeniem pojazdu? – Patrzą na niego, zaskoczona.

– Nie, ale ja jestem mężczyzną, a ty kobietą – wyjaśnia, jak gdyby to miało być usprawiedliwieniem.

Kiedy tak stoję, wpatrując się w niego ze ściągniętą twarzą, dodaje:

– Ponadto należy to do moich obowiązków. A ja teraz pracuję.

– Powinieneś był od tego zacząć – ripostuję.

– Dlaczego?

– Bo wtedy nie podejrzewałabym, że masz staromodne, nieelastyczne wyobrażenia o rolach płciowych. – Prycham.

Rechocze.

– Mam staromodne, nieelastyczne wyobrażenia na temat ról płciowych. Ale zaufaj mi, kiedy mówię, że wszystkie są na twoją

korzyść. Czy teraz pozwolisz mi otworzyć drzwi do tego cholernego sklepu z książkami, czy też twoje małe feministyczne ego będzie nalegać, żebyśmy się o to siłowali? – Przygląda mi się uważnie.

Unoszę nieco głowę i biorę głęboki wdech.

– Nie będę się z tobą siłować – odpieram po chwili.

Staram się być nadęta i niezainteresowana, ale on wykorzystuje moją odmowę, by kontynuować dyskusję.

– Oczywiście, że nie. Przegrałabyś. Chciałabyś wiedzieć dlaczego?

Zdając sobie sprawę, dokąd zmierza ta rozmowa, wzdycham ciężko i przewracam oczami.

– Bo jesteś silniejszy ode mnie – mamroczę, znudzona.

– Aye. A to dlatego, że...? – Ani na moment nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą.

– Prawda. – Puszczą do mnie oczko.

– Boże, jesteś wrzodem na tyłku.

– Nie jesteś pierwszą kobietą, która mi to powiedziała.

– Doprawdy mnie zaskoczyłeś – burczę.

Uśmiecha się i zamyka drzwi po stronie pasażera. Potem prowadzi mnie do sklepu, trzymając rękę na dolnej części moich pleców.

Rozmowy przy kawiarnianych stolikach zamierają, gdy przechodzimy obok. Jedna kobieta wpatruje się w Spidera z tak szeroko otwartymi ustami, że muszę stłumić chichot.

W księgarni rozglądamy się po urokliwym wnętrzu. Po jednej stronie, od frontu, znajduje się mały kontuar, na którym stoi ekspres do kawy, a dalej kilka małych stolików. Kasa jest po drugiej stronie. Za obydwojma rzędami ciągną się rzędy stłoczonych półek z książkami, aż do tylnej części budynku.

Niebo.

– Czy mogę postawić ci kawę, panienko? – pyta Spider.

– Jasne, dziękuję. Americano, bez cukru i śmietanki – instruuje.

Marszczy nos. Gdy robi to tak umięśniony facet, jest to urocze.

– Czyli w zasadzie czarna bez niczego. W więzieniu byłaś czy co? – Prycha.

– Zabawne. I dziękuję za ocenę moich preferencji napojów kofeinowych. Czy masz coś przeciwko, żebym przejrzała zawartość

tych regałów, zanim usiądziemy?

– Nie, śmiało, przeglądaj. Zaraz do ciebie podejde. – Posyła mi ostre spojrzenie. – Nie odchodź zbyt daleko.

Staje w kolejce, za starszym mężczyzną opierającym się mocno o laskę, a ja przechadzam się głównym korytarzem, aż dostrzegam dział podróżniczy.

Skrećam w tę alejkę pod wpływem kaprysu.

Jest to zaskakująco duży dział. Można tu znaleźć dosłownie wszystko: od przewodników spacerowych po Kioto do przewodników turystycznych na temat podwodnych jaskiń Nowej Zelandii.

Książki o Rosji znajdują się na końcu alejki.

Wertuję kilka z nich, nie wiedząc, czego szukam. Wtedy mój wzrok przykuwa duży, kolorowy tom na najwyższej półce. Jest wysunięty na parę centymetrów, wyróżniając się tym od reszty.

Decydując, że to właśnie jemu chciałabym się przyjrzeć, odstawiam laptopa na podłogę i chwytam drabinę półkową na kółkach, którą ktoś zostawił na środku przejścia. Przesuwam ją w odpowiednie miejsce, wspinam się po kilku stopniach i sięgam po książkę.

Już mam ją zdjąć z półki, gdy inna ręka po nią sięga, a potem zatrzymuje się nad moją.

Jest duża, męska, pokryta tatuażami.

Ramię, do którego należy, chowa się w rękawie czarnego, wełnianego płaszcza.

Kiedy gwałtownie nabieram powietrza, wyczuwam zapach sosnowych igieł.

Malek.

ROZDZIAŁ 13

RILEY

Spędzam parę chwil bez ruchu, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w jego dłoń obejmującą moją i próbując nie spaść z drabiny z szoku.

- Poszedłeś tu za mną? – pytam szeptem.
- Tak – odpowiada natychmiast niskim tonem.
- Obserwowałeś mnie?
- Tak – potwierdza.

Jasna cholera. On mnie obserwował. W jaki sposób? Skąd?

Z trudem przełykam ślinę. Malek stoi tak blisko mnie, że czuję ciepło bijące od jego ciała. On nim emanuje. Ten człowiek jest rozpalony. Jest własnym generatorem ciepła, ognia.

Chcę go zapytać, dlaczego, do cholery, ma na sobie czarny, wełniany płaszcz, skoro na zewnątrz jest jakieś dwadzieścia siedem stopni, ale rozpraszam się, kiedy pochyla się bardziej i przykłada usta do mojego ucha.

– Chodź ze mną, teraz – mówi nagłaco. – Mogę cię zabrać od tego strażnika. Zabiorę cię w dowolne miejsce na świecie. Gdzie tylko zechcesz. Możesz zacząć nowe życie.

Słysząc dźwięk pisku hamulców.

Cholera. Zapomniałam. On myśli, że jestem prostytutką, którą Declan u siebie przetrzymuje.

Odwracam głowę, by spojrzeć przez ramię, i napotykam jego oczy. Jego bladozielone, intensywne oczy, które płoną jak pochodnia.

Wow, to będzie supernieźręczne.

– Hmm... Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz – podejmuję.

Jego uścisk na mojej ręce się wzmacnia. Po chwili Malek oznajmia szorstko:

– Nie próbuję cię przelecieć. Próbuję cię uratować.

Gdy słyszę słowo *przelecieć*, moje policzki płoną.

Ale nie wiem, jak mam się odnieść do jego wypowiedzi. Powinnam być obrażona czy zadowolona, że jestem dla niego dziwką, tylko nie taką, której zapłaciliby za seks?

Dochodząc do wniosku, że ta rozmowa stała się już wystarczająco niezręczna – bez konieczności przedstawiania mu argumentów, dla których nie mogę uciec – odwracam się na drabinie i staję przodem do niego. Ponieważ jestem na drugim stopniu, nasze twarze znajdują się na tej samej wysokości. Stoimy oko w oko, a on z bliska, w świetle dziennym, jest jeszcze bardziej oszałamiający.

Dopiero moment później udaje mi się zmusić język do pracy.

– Chodziło mi o to, że nie jestem prostytutką – mówię w końcu.

Powoli wciąga powietrze. W jakiś sposób sprawia, że wygląda to seksownie.

– Nie oceniam cię, *malyutka* – odpiera łagodnym tonem.

Dobra, naprawdę lubię, kiedy tak mnie nazywa. Podoba mi się to do tego stopnia, że wydaje się aż nierealne. To nie jest zdrowe. Niemniej nie mogę się powstrzymać przed tym, co muszę powiedzieć.

– Nie świadczę usług seksualnych. I nie mówię tego dlatego, że boję się, że mnie ocenisz. Mówię to, bo taka jest prawda.

Między jego ciemnymi brwiami pojawia się bruzda.

To, że najwyraźniej mi nie wierzy, jest irytujące.

– Ocenianie mnie przez wyzywającą sukienkę jako osobę, która sprzedaje się za pieniądze, to wyolbrzymienie sytuacji.

– To nie było tylko przez sukienkę. – Krzywi się.

– Więc niby przez co jeszcze? Buty na obcasach? – Prycham.

Ignorując to, podchodzi jeszcze bliżej i rzuca:

– W takim razie kim jesteś? Dlaczego z nim przebywasz? Dlaczego powiedziałaś, że trzyma cię w więzieniu?

– Nie, ty zacznij. Dlaczego mnie obserwujesz? I co robisz na Bermudach? – odpieram.

– Obserwuję cię, bo lubię. I może tu mieszkam.

Tłumiąc krzyk, jaki wywołałby we mnie jego komentarz *bo lubię*, oznajmiam:

– Nikt, kto mieszka na Bermudach, nie ma czarnego, wełnianego płaszcza do kolan.

– Mogłem być na wakacjach – stwierdza.

– Myślę, że człowiek, który spędza czas na szpiegowaniu innych, wydawaniu gotówki jak z bankomatu i pojawianiu się znikąd w zamkniętych pokojach, zajmuje się czymś innym niż przebywaniem na wakacjach. – Kręcę głową.

– Więc może powinnaś przestać myśleć – fuka.

– Czyli mówisz mi, że jesteś dobrym człowiekiem? – Zerkam na niego, zdziwiona.

– Nie. Nie jestem dobry – odpowiada po dłuższej chwili, mrocznym tonem. – W rzeczywistości, Riley Rose, jestem najgorszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkasz.

Wpatruje się we mnie, jego oczy płoną, a ja wiem, że mówi prawdę.

Pocę się. Serce wali mi jak oszalałe. Kolana stukają o siebie tak głośno, że on pewnie to słyszy.

Mimo tego wszystkiego nie jestem przerażona.

Pod wpływem adrenaliny, owszem. Ale w głębi duszy tak naprawdę w ogóle się nie boję.

Jednak ustaliliśmy już, że jestem kretynką, więc to nie powinna być nowość.

Mówię bez tchu:

– Ale nie jesteś dla mnie zagrożeniem.

– Nie. Dla ciebie nie. – Sposób, w jaki wypowiada *dla ciebie*, potwierdza moje przypuszczenia.

Malek nie stanowi zagrożenia dla mnie, lecz dla innych ludzi już tak.

Na przykład takich jak mój przyszły szwagier, szef irlandzkiej mafii.

Zamykam oczy i zwilżam wargi. Kiedy unoszę powieki, mężczyzna wpatruje się ze skupieniem w moje usta.

– Declan – szepczę.

Jego brwi się unoszą, a zacięte spojrzenie wwierca się w moje. On sam nic nie mówi.

– To dlatego tu jesteś, prawda? Przyszedłeś po Declana. Ale potem zobaczyłeś mnie i odwróciłeś uwagę od zabicia go, próbując mi pomóc. – Przyglądam mu się uważnie.

Choć wyraz jego twarzy jest nie do opisanego, jedno udaje mi się wyczytać: mam rację.

Poskładałam do kupy ślady okrucieństw, wybiegłam ze swoją teorią jeszcze dalej niż on – niż mężczyzna, który stwierdził, że jestem prostytutką – z tym że ja nie myślę się w przypuszczeniach.

– Proszę, nie zabijaj go – mówię, czując, że zaczynam się trząść.

– Nie wiesz, o co prosisz – odpowiada gwałtownie. – I dlaczego cię obchodzi, czy on żyje, czy umiera? Kim jesteś?

– Jego przyszłą szwagierką – wyjaśniam.

Reakcja Maleka jest szokująca. Mężczyzna wygląda na tak oszołomionego, że równie dobrze mogłam go uderzyć w twarz. Jego nozdrza się rozchylają, natomiast źrenice rozszerzają. Gwałtownie robi krok do tyłu, jakby cofał się przed jadowitym węzem, i wpatruje się we mnie oczami pełnymi wstrętu.

Nagle słyszę wołanie:

– Riley?!

To Spider.

Jego głos rozbrzmiewa na tyle głośno, że wiem, iż ochroniarz jest blisko. W każdej sekundzie może się tu znaleźć. A kiedy to zrobi, stanie się jedna z dwóch rzeczy.

On zastrzeli Maleka albo Malek zastrzeli jego.

Myśl o tym sprawia, że tracę zmysły. Zeskakuję z drabiny, zgarniam z podłogi laptopa i zwracam się ponownie w stronę Maleka.

– Błagam cię. Proszę, nie rób krzywdy Declanowi. Wierzę, że mógłbyś, a to zabiłoby moją siostrę. Nigdy nie mogłabym pogodzić się z czymś takim – informuję go.

Odwracam się i ruszam w kierunku, z którego dobiegał głos ochroniarza. Wybiegam za róg, akurat gdy Spider dociera w to samo miejsce.

Zatrzymuje się. Trzymając w każdej ręce kubek z kawą, patrzy na mnie podejrzliwie.

– Skąd taki pośpiech?

– Musimy iść. Teraz.

Przechodzę szybko obok niego, nie oglądając się za siebie. W ciągu kilku sekund Spider jest tuż przy mnie.

Byłam pewna, że tak postąpi.

– Co się dzieje, panienko? – pyta.

– Powiem ci w samochodzie – oznajmiam, nie zwalniam kroku.

Wypadam przez frontowe drzwi księgarni i pędzę do SUV--a, przyciskając laptopa do piersi jak tarczę. Podążając za mną, Spider rzuca kubki z kawą na chodnik i wyprzedza mnie, aby otworzyć drzwi po stronie pasażera. Gdy wskakuję do auta, zatrzaskuje za mną drzwi, a potem biegnie, by zająć miejsce za kierownicą.

Wyjeżdżamy z parkingu z piskiem opon.

Kiedy ze zbyt dużą prędkością bierzemy zakręt, ochroniarz rozkazuje:

– Mów w końcu.

– Do księgarni wszedł za mną mężczyzna. Ten sam, który poprzedniej nocy wszedł za mną do damskiej toalety w restauracji. Jest tu, żeby zabić Declana – opowiadam.

Spider przyjmuje to wszystko ze spokojem. Po prostu jedzie szybciej, zerkając w lusterko wsteczne.

– Jest Rosjaninem. Ma na imię Malek – dodaję, a wtedy prawie zjeżdża z drogi i wjeżdża na krawężnik.

Ledwo unikając uderzenia w latarnię, krzyczy:

– Jezu, Mario i Józefie! Malek?!

Najwyraźniej się znają.

– Cholera jasna, Riley! Zrobił ci krzywdę? – pyta, oddychając głęboko.

– Nie. Proszę, powiedz mi, że nie zamierzasz zawrócić, by spróbować go zabić.

– Jakbym mógł! Ten drań to cholerny duch! Miałyby moją głowę na palu, zanim dowiedziałbym się, co mnie uderzyło! – Przystaje krzycząc i patrzy na mnie. – Dlaczego nie chcesz, żebym go zabił?

Bardzo dobre pytanie, rzeczywiście.

Przez moment zastanawiam się nad równie dobrą odpowiedzią.

– Nie chcę być w pobliżu, kiedy ktoś zabija kogoś innego, okej? – odpowiadam dyplomatycznie.

Musiało to zabrzmieć wystarczająco sensownie, bo Spider przenosi wzrok z powrotem na drogę. Jest napięty, wygląda groźnie i burczy coś pod nosem.

– Powiedz mi wszystko, co ci mówił. W restauracji i przed chwilą. Nie pomijaj ani jednego słowa. To ważne – podkreśla.

Robię, co w mojej mocy, aby przekazać mu wszystko, co pamiętam. Kiedy kończę, jest przerażony.

– Chryste. Wszedł do domu?

– Tak.

– Mógł cię zabić, dziewczyno. Mógł cię udusić we śnie! – krzyczy.

– Dzięki za tę informację – odpieram sucho. – Ale nie wyrządził mi krzywdy. I uwierzyłam mu, gdy zapewnił, że tego nie robi.

– To głupie! – wrzeszczy.

Jego oburzenie sprawia, że czuję, iż muszę się bronić.

– Głupie czy nie, był w zasadzie całkiem słodki. – Wzdycham.

Spider znów prawie zjeżdża z drogi.

– Słodki?! – grzmi. – Ten człowiek to cholerny zabójca! Jest najbardziej bezwzględny draniem, jaki istnieje!

Stwierdzam, że to nie jest odpowiedni czas, aby zwrócić uwagę, że on też jest słodki i też ma morderstwo w swoim zakresie obowiązków.

– Więc spotkałeś go już kiedyś?

Przeczesując włosy palcami, Spider wzdycha z frustracją.

– Nikt go wcześniej nie spotkał. Jest jak straszidło: koszmar, który istnieje wyłącznie dzięki reputacji. To prawa ręka moskiewskiego króla Bratwy. Człowieka, który głównie dzięki niemu doszedł do władzy. Malek jest niezwykle utalentowany w usuwaniu przeszkód.

A mówiąc o przeszkodach, ma na myśli wrogów.

Mężczyzna, który próbował uratować mnie od życia jako prostytutka i delikatnie ujął moją twarz w swoją dłoń – jakby była zrobiona z porcelany – to rosyjski zabójca o tak przerażającej reputacji, że sprawia, iż zwykli zabójcy, tacy jak Spider, trzęsą portkami.

Chowam twarz w dłoniach i jęczę. To sprawia, że ochroniarz zaczyna wariować.

– Co się dzieje?! – krzyczy.

Och, nic. Właśnie zdałam sobie sprawę, że pociąga mnie zabójca, który przechodzi przez zamknięte drzwi i sprawia, że Terminator przypomina Britney Spears. Takie rzeczy zdarzają mi się codziennie. Nie ma o czym gadać. To nic wielkiego.

– Panienko!

– Proszę, przestań na mnie krzyczeć. Mam małe załamanie nerwowe, to wszystko. W zeszłym tygodniu żyłam sobie spokojnie w miłym, przytulnym mieszkaniu w San Francisco. Od tego czasu odkryłam, że moja siostra wychodzi za mąż za szefa irlandzkiej mafii i że wpadłam w oko seryjnemu rosyjskiemu zabójcy, którego hobby to prześladowanie, pojawianie się znikąd, robienie szalonych, błędnych założeń o ludziach na podstawie ich stylu ubierania się i wręczanie dużych ilości gotówki nieznanym w toaletach. Ma też misję zabicia mojego przyszłego szwagra. To było kilka dni pełnych wrażeń – wyliczam.

Spider powoli wypuszcza powietrze, a później mamrocze serię barwnych przekleństw. Bierze ostry zakręt, żeby przedostać się z dwupasmowej drogi, którą pędzimy, na większą autostradę.

Nie kieruje się z powrotem do domu.

– Dokąd jedziemy?

– Na lotnisko – odpowiada beznamiętnie.

– Dlaczego?

Zerka na mnie. Jego szczeka jest tak samo twarda jak spojrzenie.

– Kiedy Hangman odkrywa, gdzie mieszkasz, znikasz, nim zdąży złożyć ci wizytę – oznajmia, po czym szybko się poprawia: – Kolejną wizytę.

Uderza nogą w pedał gazu, co sprawia, że pędzimy autostradą. Podnosi komórkę i wykonuje serię połączeń, za każdym razem podając zdawkowe informacje po gaelicku.

Siedzę na fotelu pasażera, powtarzając sobie wszystko w głowie.

Zwłaszcza ksywkę Maleka: Hangman.

Kat.

Staram się nie wyobrażać sobie, skąd ona się wzięła.

ROZDZIAŁ 14

MAL

Przyjeżdżają na lotnisko, paląc gumę, i z piskiem opon zatrzymują się przed hangarem.

Strażnik o blond włosach, z tatuażem na szyi w kształcie pajęczyny, wyciąga Riley z SUV-a, po czym ciągnie ją za rękę w kierunku budynku.

Znikają we wnętrzu hangaru.

Dziesięć minut później drzwi otwierają się. W środku dostrzegam duży, biały prywatny odrzutowiec. Silniki powoli budzą się do życia.

Nie dziwi mnie, że znaleźli pilota w tak krótkim czasie.

Szef irlandzkiej mafii to potężny człowiek.

Nie żeby jego potęga była w stanie go ochronić.

Nic na Ziemi nie jest w stanie go teraz ochronić.

Zgrzytając zębami, obserwuję z daleka, jak samolot wyjeżdża na płytę lotniska, skręca w dół głównego pasa i czeka na pozwolenie na start.

Patrzę, jak unosi się, błyszcząc w słońcu.

Widzę, jak się kurczy, aż staje się tylko małą białą kropką na tle morza niebieskiego koloru.

Przez cały czas zmuszam się do miarowego oddychania, aby opanować szalejący ogień wściekłości płonący w mojej piersi.

Ostatni raz byłem tak rozwścieczony, gdy dowiedziałem się o śmierci Michaiła.

To jest prawie gorsze. Ten szok łączy się z głębokim poczuciem zdrady.

Zagubiona istota, której chciałem pomóc, to szwagierka Declana.

Nie prostytutka.

Nie jego ofiara.

Jego szwagierka.

Rodzina.

Myśl o tym, co zrobię w następnej kolejności, sprawia, że czuję się o wiele lepiej.

Przypuszczam, że można to nazwać poetycką sprawiedliwością. Albo serendypią – słowem, które zawsze lubiłem. Niezależnie od określenia, rezultat będzie identyczny.

Declan O'Donnell zabrał mi coś ważnego.

Teraz moja kolej, żeby wziąć coś od niego.

Zdążyłem zapamiętać numer znajdujący się na ogonie odrzutowca, jeszcze zanim ten zaczął kołować po pasie startowym, a teraz ruszyłem z miejsca.

ROZDZIAŁ 15

RILEY

Gdy przybywamy do Bostonu, leje deszcz. Pogoda jest tak zła, że odrzutowiec musi krążyć nad lotniskiem przez godzinę, zanim dostaniemy pozwolenie na lądowanie. Kiedy koła wreszcie dotykają płyty, gwałtowny wstrząs powoduje, że przygryzam wargę aż do krwi.

Staram się jednak nie brać tego za zły omen.

Ale nagle wszystko wydaje się złym omenem. Odkąd wystartowaliśmy na Bermudach, towarzyszyło mi złe przeczucie. Przeczucie zagłady.

Brutalne turbulencje podczas lotu nie pomogły. Nie pomogło też stado gęsi, które zamordowaliśmy w trakcie podchodzenia do lądowania w Bostonie. Kiedy spojrzałam przez okno, zobaczyłam zamieć piór i zakrwawionych fragmentów ptaków przelatujących obok, co sprawiło, że zaciskałam dłonie na swoim siedzeniu, dopóki nie wylądowaliśmy.

Teraz Spider popycha mnie w stronę przejścia, ku otwierającym się drzwiom, z taką niecierpliwością, że prawdopodobnie byłoby łatwiej, gdyby zamiast tego podniósł mnie i wyniósł z samolotu.

– Pospiesz się, panienko – ponagła zza moich pleców. Popycha mnie do przodu, trzymając rękę między łopatkami.

– Nie mogę spieszyć się jeszcze bardziej niż teraz! Nie jestem w stanie! – gramię w odpowiedzi na jego frustrację.

Popycha mnie delikatnie.

– Spróbuj.

Fakt, że jest do tego stopnia zdenerwowany, sprawia, że *ja* również zaczynam odczuwać coraz większy niepokój. To on jest tym, który ma broń!

Na zewnątrz czeka na nas kolejny czarny SUV, którego silnik już pracuje. Spider zarzuca mi na głowę swoją marynarkę, żeby osłonić mnie przed ulewą, następnie podąża za mną w dół po schodach, dosłownie depcząc mi po piętach.

Wpycha mnie do samochodu, a zaraz potem sam do niego wsiada i zatrzaskuje drzwi. Wszystko to robi z prędkością tornada.

– Kieran. Dobrze cię widzieć, kolego. – Kiwa głową wielkiemu brutalowi na fotelu kierowcy, ubranemu w czarny garnitur, identyczny jak jego własny.

Brutal unosi podbródek.

– Spider. Jak tam?

– Minus za szaleństwo. Jesteś na bieżąco? – dopytuje ochroniarz.

– Aye. – Potakuje. – Declan miał niezły ubaw, kiedy dostał twój telefon.

Spider mamrocze:

– I nic dziwnego. To jest cholernie trudne.

– Desperackie w sumie – dodaje tamten.

Kieran spogląda na mnie w lusterku wstecznym, podczas gdy ściągam marynarkę z głowy i owijam ją wokół ramion, drżąc z zimna.

– Hejo, panienko – rzuca.

– Cześć, Kieran. Jestem Riley. Nie mam pojęcia, o czym dokładnie mówicie, ale brzmi to źle – podsumowuję.

– Takie jest. – Przytakuje. – Ale nie martwcie się. Teraz, kiedy nie będziesz spędzała każdej wolnej chwili z tym ponurakiem, sprawy będą układać się lepiej.

Ponownie kiwa brodą w kierunku Spidera, a ten mówi po gaelicku coś, co brzmi niepocholebnie.

Wymieniają zawadiackie uśmieшки, po czym ruszamy, pędząc, jakby goniła nas armia demonów.

Jedziemy w ciszy przez jakieś dziesięć minut, aż Kieran skręca z drogi. Jesteśmy w strefie przemysłowej, niedaleko lotniska. Ogromne magazyny ciągną się po obu stronach ulicy. Mijamy dziesiątki z nich, nim zwolnimy, zbliżając się do ogrodzenia z siatki łańcuchowej, zwieńczonego drutem kolczastym, które przecina koniec drogi.

Kieran wbija kod do małego, czarnego pudełka na metalowym stojaku obok jezdni. Chwilę później brama otwiera się, pozwalając nam przejechać.

Bezpośrednio przed nami stoi czteropiętrowy, kwadratowy budynek z czerwonej cegły. Na pierwszym piętrze nie dostrzegam żadnych okien, a te na wyższych kondygnacjach mają żelazne kraty i przyciemniane szyby. Z trzech cementowych kominów na dachu unosi się dym.

Wygląda to przerażająco, jak krematorium.

– Co to za miejsce? – pytam Spidera.

– Bezpieczny dom.

Nie dodaje nic więcej, co również uważam za przerażające. Czy nie powinien mnie zapewniać, że będziemy bezpieczni w bezpiecznym domu?

A może on ma wątpliwości?

Jedziemy dalej, aż zatrzymujemy się przed wielkimi, metalowymi drzwiami. Na górze, po obu ich stronach, są zamontowane kamery, których czerwone oczy płoną. Kieran wprowadza kod do kolejnej małej, czarnej skrzynki.

Zauważam ciekawy otwór na środku ściany, nad drzwiami. Ma około trzech stóp długości i może sześć cali wysokości.

– Do czego służy ta dziura w ścianie?

Kieran odpowiada:

– Karabiny maszynowe. Są zdalnie sterowane. Pięćdziesiąt pocisków na sekundę. Wystarczy naciśnięcie guzika i będzie cholernie wielka dziura w ziemi, w miejscu, w którym chwilę wcześniej stał intruz. – Kiedy widzi mój wyraz twarzy, wybucha śmiechem. – Czy wydawało ci się, że będziemy rzucać w naszych wrogów balonami z wodą?

– Nie. Chyba nie. – Uśmiecham się w reakcji na tę wizję. – Chociaż rzucanie ich może być całkiem zabawne. Wejdźcie na dach i sprawdźcie, kto zdobędzie najwięcej trafień balonami do wnętrza tej cholernej, wielkiej dziury.

Spider posyła mi dziwne spojrzenie.

– Co? – pytam.

– Niewiele cię przeraża, prawda?

Kieran prycha.

– Mała dziewczynka ma to po swojej siostrze. – Kiwa głową z uznaniem.

Następnemu facetowi, który powie, że jestem jak moja siostra, grozi utrata jądra.

Drzwi otwierają się, odsłaniając wnętrze budynku. Ściany są z surowej cegły. Podłoga to niewypolerowany cement. Z sufitu zwisa pojedyncza, goła żarówka.

Całe pierwsze piętro jest puste.

Wjeżdżamy do środka, a Kieran parkuje na środku przestrzeni. Metalowe drzwi, przez które wjechaliśmy, opuszczają się, uderzając o beton z hukiem odbijającym się echem od ścian. Nic więcej się nie dzieje.

Gdy spoglądam na Spidera, ten mówi:

– Czeka.

Już mam zapytać: „Na co?“, kiedy ziemia porusza się pod nami. Z szarpnięciem SUV zaczyna się zapadać. W ciągu kilku sekund cały pojazd znajduje się poniżej poziomu podłogi. Ze wszystkich stron otaczają nas ściany z cementu.

Jesteśmy w hydraulicznej windzie jadącej pod ziemię.

– Wooow – mówię, będąc pod głębokim wrażeniem. – To jakieś gówno niczym z *Batmana*.

– Obszary mieszkalne znajdują się wyłącznie pod ziemią – informuje Spider.

– Co jest na wyższych piętrach?

Kieran rechocze.

– Dużo i jeszcze więcej amunicji.

Wypuszczam głośno powietrze i przyciskam opuszki palców do przymkniętych powiek.

– Nie musisz się martwić. Nic ani nikt nie może dostać się do środka tego budynku, chyba że zostanie zaproszony – mówi Spider niskim głosem.

Założę się, że to samo myślał o zamku na Bermudach.

– Czy Declan i Sloane są tutaj? – pytam.

– Nie. Są w Nowym Jorku. Uważają, że najbezpieczniej będzie, jeśli na razie nie będziecie razem – wyjawia mężczyzna.

Odsuwam ręce od twarzy i patrzę na niego.

– Najbezpieczniej dla mnie czy dla nich?

– Dla ciebie, panienko. Declan jest tym, który ma cel na plecach.

W takim razie mam nadzieję, że gdziekolwiek zatrzymają się w Nowym Jorku, będzie tam bezpiecznie jak w Fort Knox. Z tego, co Spider powiedział mi o Maleku, Declan nie będzie bezpieczny nigdzie indziej.

Jakby odgadując moje myśli, ochroniarz mówi łagodnie:

– Sloane czuje się okropnie.

– Dlatego że nie uwierzyła w to, że jakiś mężczyzna był ze mną w restauracyjnej łazience?

– Aye. Declan twierdzi, że jest niepokieszona. Obwinia się za to, że nie wierzyła ci na słowo, i za to, jak zwracała się do ciebie przy chłopakach. Ogólnie za wszystko. – Robi przerwę. – Pewnie nie powinienem ci o tym wspominać.

– Nie martw się. Nie będę już nigdy rozmawiała z siostrą, więc i tak nie mogłabym tego powtórzyć – wyznaję grobowym tonem.

Uśmiecha się do mnie, kręcąc głową.

– Co?

– Wy dwie jesteście tak bardzo podobne – przyznaje.

– Powiedz to jeszcze raz, a upewnię się, że nigdy nie będziesz mógł mieć dzieci – oznajmiam poważnie.

Kieran prycha.

– Coraz bardziej udowadniasz, że ma rację, panienko.

– Och, nie. Nie mów mi, że jesteś takim samym wrzodem na tyłku jak on – mamroczę, krzywiąc się.

Spider udaje, że go uraziłam.

– Oy! Ja wciąż tutaj jestem!

– Uspokój się. Już cię tak nazywałam. Niejednokrotnie.

– Aye, ale wcześniej żartowałam.

– Jesteś tego pewien? – odpieram cierpko.

Starając się nie śmiać, ochroniarz przygryza wargę. Nasza podróż pod ziemię kończy się kolejnym nieprzyjemnym szarpnięciem. Kieran zjeżdża z pneumatycznej windy, parkuje SUV-a pod ścianą i wyskakuje na zewnątrz. Spider również wysiada, po czym obchodzi auto, aż zatrzymuje się z boku, by otworzyć drzwi po mojej stronie.

Kiedy opuszczam samochód, widzę, że jesteśmy w niewielkiej strefie garażowej, z parkingiem na może kilkanaście pojazdów.

Jednak obecnie znajduje się tutaj wyłącznie auto, którym przyjechaliśmy.

– Tędy – instruuje Kieran, przytrzymując otwarte drzwi.

Nasza trójka wchodzi do krótkiego, oświetlonego przejścia. Na jego końcu dostrzegam następne drzwi. Odblokowują się, gdy tylko Kieran wpisuje kod za pomocą klawiatury na ścianie.

– Panie przodem – mówi Kieran, gestem wskazując Spiderowi, by szedł przed nami.

– A żeby twoja matka dostała ospy wietrznej, szpanerze.

– Zamknij się na temat mojej mamy, ty pieprzony gnojku, albo cię rozwalę.

Ich przyjacielskie, niezrozumiałe obelgi kończą się, gdy przepycham się obok nich przez drzwi. Protestują głośno, jakbym złamała jakąś starożytną, żelazną zasadę macho.

– Musimy sprawdzić to miejsce, panienko! – informuje Kieran, niesamowicie zirytowany. – Nie możesz tak po prostu wejść jak cholerna królowa!

– Czekaj, co? Musicie sprawdzić kryjówkę? – dopytuję.

– *Aye!*

– Więc z definicji nie jest bezpieczna! – bąkam.

Spider znowu nerwowo przygryza wargę. Wiem, że myśli, że jest to coś, co powiedziałyby moja siostra, dlatego rzucam mu spojrzenie, które ma dać jasno do zrozumienia, że mały, wściekły borsuk zamierza go zaatakować, jeśli się odezwie.

Podnosi ręce w geście poddania się.

– Nie powiedziałem ani słowa.

– To bardzo mądra decyzja – stwierdzam.

– Poczekaj tu chwilę, panienko. Zaraz wrócimy.

– A możecie przynieść mi kanapkę? Umieram z głodu. Nie jadłam porządnego posiłku, odkąd tu przyleciałam. Żyję na słodyczach, które przywiozłam ze sobą – skarżę się.

Kieran jest zgorszony tą informacją. Odwraca się do Spidera, przerażony.

– Próbujecie zagłodzić biedną, małą dziewczynkę? – Ostatnie słowo wypowiada z irlandzkim akcentem.

– Właśnie, Spider. Próbujesz mnie zagłodzić? – pytam oskarżycielsko.

Ochroniarz nas ignoruje i kieruje się do środka, kręcąc głową. Kieran patrzy, jak tamten odchodzi, krzywiąc się.

– Nie martw się, panienko. Zajmę się tobą, gdy tylko skończymy sprawdzać teren.

– Dziękuję, Kieran. Od samego początku wiedziałam, że cię polubię. – Uśmiecham się.

Wypycha wielką klatkę piersiową i dumnie unosi brodę.

– Powiedziano mi, że jestem bardzo sympatyczny.

Chwilę później odchodzi za Spiderem, zostawiając mnie z pytaniem, czy to Sloane mu to powiedziała.

Biorąc pod uwagę, jak ostatnio wygląda moje szczęście, jest to prawdopodobne.

Spider wraca po jakichś pięciu minutach, akurat wtedy, kiedy mam zamiar usiąść na podłodze.

– Wszystko w porządku. Możesz wejść – informuje.

– Oprowadzisz mnie?

Wygląda na zaskoczzonego.

– Aye, jeśli tego chcesz.

– Chodzi o to, że nigdy wcześniej nie byłam wewnątrz mafijnej kryjówki. Hej, czy w ścianach jest ukryta gotówka? Są sztabki złota? Narkotyki? – wymieniam.

Mężczyzna parska.

– Nie.

Jestem tym niesamowicie rozczarowana.

Idę za nim do środka, rozglądając się z ciekawością. Wewnątrz wygląda to jak zwykły dom, tylko z dużo większą liczbą sypialni i bez okien.

Jedną z rzeczy wyróżniających to pomieszczenie od innych jest brak wyjścia.

– Czy ten garaż to jedyna droga, by dostać się do środka?

Oprowadzając mnie po sypialni, która będzie moja, Spider mówi:

– Jest tunel, możemy z niego korzystać w nagłych wypadkach. Biegnie pod tym budynkiem i kończy się po drugiej stronie parku przemysłowego. – Odwraca się, by na mnie spojrzeć. – Dlaczego pytasz? Znowu zagroźysz, że uciekniesz?

– Nigdzie nie planuję uciekać. Po prostu czuję się trochę klaustrofobicznie, nie mogąc widzieć tego, co jest na zewnątrz.

– Przyzwyczaisz się do tego po kilku tygodniach – oznajmia.

Słyszac to, zacznam panikować.

– Tygodniach? Chwileczkę... Mówisz mi, że utknę w tym podziemnym bunkrze na tak długo? – pytam piskliwie.

– To nie ode mnie zależy, jak długo tu będziesz, panienko – odpiera łagodnie.

– Nie o to pytałam! – krzyczę, przerażona perspektywą siedzenia tutaj przez parę tygodni.

– Priorytetem jest twoje bezpieczeństwo, niezależnie od tego, czy potrwa to kilka dni czy tygodni.

– To?

Wyraz jego twarzy staje się mroczniejszy.

– Poradzenie sobie z Malekiem.

Z tonu Spidera wnioskuję, że *poradzenie sobie* z nim nie będzie przyjemne. Ani łatwe.

Przypominam sobie odrazę w oczach Maleka, gdy wyznałam mu, kim jestem, i przechodzi mnie dreszcz strachu.

Może kiedy zapewniał, że nic mi nie grozi z jego strony, to dlatego, że myślał, iż jestem prostytutką.

Może bycie prawie szwagierką Declana zmienia zasady gry na gorsze.

I może powinnam była trzymać swoją wielką, tłustą gębę na kłódkę, bo może notoryczny rosyjski zabójca chciałby zmieść całą rodzinę Declana z powierzchni Ziemi.

– O cholera – mówię, szeroko otwierając oczy.

Spider marszczy brwi.

– Co się dzieje?

– Czy Malek ściga Declana za coś konkretnego?

Gdy mięsień w szczęce Spidera się napina, wiem, że będzie źle. Ale nie byłabym w stanie przewidzieć, że aż do tego stopnia.

– Aye. Declan zabił brata Maleka – wyznaje mężczyzna.

A ja zabiję swoją siostrę za wciągnięcie mnie w to wszystko.

Kiedy tak stoję, bez słowa patrząc na Spidera w przerażeniu, on chwyta moje ramiona i mówi stanowczo:

– Jesteś tu bezpieczna. Nic nie wiąże tego miejsca z Declanem. Nikt nie wie o jego istnieniu. Jesteś bezpieczna, panienko. Obiecuję – zapewnia z mocą.

Jest przekonany, że jego słowa są szczerze, ale w mojej głowie rozbrzmiewa zmartwiony głos przypominający mi, że obietnice składa się po to, by je łamać.

I już za parę godzin okaże się, że mam rację.

Bo budzę się z wielką dłonią Maleka zaciśniętą na moich ustach i jego zielonymi oczami wściekle wpatrującymi się w moje.

ROZDZIAŁ 16

RILEY

– Witaj ponownie, mały ptaszku. Zaczynaj hałasować, a skręcę ci kark
– wypowiada te słowa śmiertelnie miękkim tonem, który nie pozostawia wątpliwości, że w najbliższym czasie nie da mi kolejnej białej róży.

Moje serce zaczyna walić jak młotem. Spływa po mnie zimny pot. Nad całym ciałem kontrolę przejmuje panika.

Leżę nieruchomo, wpatrując się w niego w czystym przerażeniu, przekonana, że zaraz umrę.

Albo że stanie się coś mniej przyjemnego.

Małek zsuwa dłoń na moje gardło. Kiedy dyszę, zaciska ją.

– Śmiało – szepcze. Jego oczy błyszczą. – Krzycz. Uciszenie cię sprawi mi przyjemność.

Z jakiegoś powodu, zamiast bardziej mnie przestraszyć, ten tekst królewsko mnie wkurza. Lodowaty chłód, który najpierw mnie ogarnął, teraz zmienia się w piekący żar.

– Chciałabym ci tylko przypomnieć, że dałeś mi słowo, że mnie nie skrzywdzisz. – Mój ton jest tak pogardliwy, że sprawia, iż mężczyzna zaczyna mrugać.

Ale szybko odzyskuje rezon. Pochyla się bardziej, aż nasze nosy prawie się dotykają.

– Skłamałem – cedzi.

To powoduje, że mój gniew przybiera na sile. Wściekła, spoglądam na niego.

– Więc jesteś najgorszą wersją człowieka. Kłamcy są najgorsi. Wiesz dlaczego? Bo są tchórzami. No dalej, zabij mnie, ale bądź przygotowany na to, że mój duch będzie cię nawiedzał już zawsze. I kiedy mówię „zawsze”, dosłownie to mam na myśli. Trzymam urazę

jak młode matki trzymają swoje niemowlęta – wyznają, patrząc na niego bez cienia strachu.

Jego oczy się rozszerzają, tak samo jak nozdrza. Nie może uwierzyć w moją złość i pewność siebie. Ja też nie. Ale najwyraźniej zbliżająca się śmierć wydobywa z mojego wnętrza ninję, który chce spoliczkować każdego w zasięgu wzroku.

Oddychamy gniewnie, aż on w końcu warczy:

– Masz wielką gębę w tym małym ciele.

– A ty masz mały mózg jak na tak duże ciało. Nawet jeśli mnie zabijesz, czy naprawdę myślisz, że wyjdiesz stąd żywy? – Prycham.

– Twoi ochroniarze nawet nie wiedzą, że tu jestem – wyznaje.

– Właśnie tak myślisz. Już nacisnęłam guzik alarmowy znajdujący się obok łóżka. Masz dziesięć sekund na wyjście, zanim wejdą przez drzwi z bronią w ręku.

– Nie ma żadnego guzika alarmowego – odpowiada przez zaciśnięte zęby.

– Cóż, jeszcze chwila i się przekonamy, prawda? – Puszczam do niego oczko.

Wydaje kolejny warczący dźwięk. Ten pochodzi z głębi jego klatki piersiowej. Jest niski, dudniący i niebezpieczny, jak ostrzeżenie niedźwiedzia.

Mężczyzna sprawia wrażenie rozwścieczonego moją postawą. Ale przestał tak mocno zaciskać rękę na moim gardle, więc dochodzę do wniosku, że bezczelność to dobry sposób na odwrócenie jego uwagi.

– Jak się tu w ogóle dostałeś? To miejsce to forteca.

– Czy zawsze mówisz tak dużo, kiedy masz umrzeć?

– Tak. Rozmowy przed śmiercią są dla mnie relaksujące. Odpowiedz na pytanie.

Jego dłoń zaciska się mocniej wokół mojej szyi.

– Nie rządzisz tutaj, mały ptaszku – warczy.

Naprawdę chciałabym, żeby nie pachniał tak ładnie. I żeby nie wyglądał tak dobrze. Jego atrakcyjność jest denerwująca. Wpatruję się w jego płonące zielone oczy, zastanawiając się, jak to możliwe, że moja siostra i ja mamy tak fatalny gust, jeśli chodzi o facetów.

Dobrze, że nigdy nie spotkałyśmy Teda Bundy’ego. Charyzmatyczni, brutalni mordercy to najwyraźniej nasz typ

mężczyzny.

– Zdaję sobie sprawę, że nie jestem odpowiedzialna, ale jestem ciekawa. Wydaje się, że potrafisz przechodzić przez ściany.

– Stąd ten przydomek.

– Co przezwisko Kat ma wspólnego z przechodzeniem przez ściany? – Marszczę brwi.

Krzywi się, zerkając na mnie z góry.

– Mój pseudonim to Duch.

– Słyszałam inne określenie – wyznaję.

Milczy przez moment, żeby się zastanowić. Jego ręka nadal ściska moje gardło, ale nieco słabiej niż wcześniej.

– Kat?

– Tak. Pomyślałam, że nieźle radzisz sobie z pętlami.

– Nie. Nie mam pojęcia, jak zawiązać taki węzeł.

– Aha – mamroczę.

– Ale raz udusiłem człowieka jego własnymi jelitami. – Wzrusza ramieniem.

Czując mdłości, mówię:

– Jakie to twórcze.

– Dziękuję. Tak myślałem – odpięra z dumą.

Wpatrujemy się w siebie. Staję się dotkliwie świadoma masy jego ciała unoszącego się nade mną, ciepła jego skóry palącej przez ubranie, uczucia jego szorstkiej dłoni na mojej szyi.

– Minęło dziesięć sekund. Gdzie są twoi ochroniarze? – Kiedy nie odpowiadam, pochyla się blisko mojego ucha i niskim, ochrypłym głosem dodaje: – Kto teraz jest kłamcą?

Do moich nozdrzy trafia dziki, leśny zapach, a wzdłuż kręgosłupa przebiega dreszcz. Zamykam oczy i zwilżam usta, rozpaczliwie próbując się ogarnąć.

– Miałeś rację. Nie ma guzika alarmowego. Ale i tak zawsze będę cię prześladować, jeśli mnie zabijesz.

– Ludzie nie wracają z grobu – mamrocze.

– Nie masz pojęcia, jaka jestem uparta.

Odwraca głowę, co sprawia, że jego broda łaskocze mój policzek. Patrząc mi w oczy, przyciska kciuk do miejsca na mojej szyi, w którym szaleńczo bije puls, po czym nie robi nic przez kilka sekund.

Myślę, że liczy uderzenia mojego serca.

Mógłby też zdecydować, gdzie pochować moje ciało.

– Dlaczego się mnie nie boisz?

– Boję się ciebie.

Przygląda się mojej twarzy.

– Nie bardzo.

– Czy to rani twoje ego? – pytam wprost.

Wykonuje ruch głową, który nie oznacza ani *tak*, ani *nie*, ale bardziej przypomina *może*.

– Jeśli to powstrzyma cię od zabicia mnie, mogę zachowywać się, jakbym była bardzo przestraszona. Będę płakała i w ogóle.

Zaczyna wyglądać na sfrustrowanego.

– To jest dokładnie to, o czym mówię.

– Nic nie mogę na to poradzić. Naprawdę uwierzyłam ci, kiedy zapewniłeś, że nic mi nie grozi z twojej strony. – Zastanawiam się przez chwilę. – To znaczy, głównie o to mi chodzi. Jesteś dość przerażający. I bardzo duży. A Spider prawie się zesrał, gdy powiedziałam mu, że widziałam cię w księgarni.

– Spider to ten blond ochroniarz, który był z tobą?

– Tak. Mogę cię prosić o przysługę? Czy możesz go nie krzywdzić? Kierana też. To ten drugi ochroniarz. Ten większy. Obaj są naprawdę mili.

Malek wpatruje się we mnie z niedowierzaniem.

– Przepraszam. Czy to zbyt wiele? Chodzi o to, że nigdy bym się nie pogodziła z faktem, że zostali skrzywdzeni z mojego powodu. Oni tylko starają się dobrze wykonywać swoją pracę.

– Wiesz, kim jestem. Wiesz, co robię – odpiera po chwili ze złością. – Masz tego świadomość, prawda?

– Tak. Wprowadzono mnie w szczegóły.

– I leżysz tu sobie, z moją ręką zaciśniętą na twojej szyi, prosząc mnie, bym nie skrzywdził twoich ochroniarzy. – Mówi to tak, jakby mój rozsądek był kwestionowany.

– Wiem, że to może trochę niekonwencjonalne – podejmuję.

– Nie – odpowiada stanowczo.

– Proszę?

– Co, do cholery, jest z tobą nie tak? – warczy.

– Nie ma potrzeby, żeby od razu tak się złościć. Jesteś drażliwy – stwierdzam.

– Drażliwy?

– Ja tylko mówię. Nie musisz się o to wściekać.

Widzę, że ponownie się wkurza. Spogląda na mnie gniewnie, zaciskając zęby, i prawdopodobnie oblicza, jak wiele nacisku będzie konieczne, aby złamać kruche kości w mojej szyi.

Zanim zdążyłby to zrobić, mówię:

– Chcę też podziękować za różę, którą mi zostawiłeś. To było naprawdę miłe. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna nie kupił dla mnie kwiatów. Wiem, że to był tylko ten jeden kwiat, a także myślałeś, że jestem zniewoloną prostytutką, ale to było po prostu miłe. Przemyślane. Więc dziękuję. – Malek wpatruje się we mnie z miną wyrażającą ni to zakłopotanie, ni to zdumienie, ze zdrową dawką obrzydzenia na boku, a ja dodaję: – Teraz jest chyba dobry moment, żeby przypomnieć ci, że wciąż jestem tą samą osobą, dla której zostawiłeś różę. Więc gdybyś mnie zabił, zabiłbyś też ją. Pomyśl o tym.

– Czy ty jesteś pod wpływem narkotyków? – Przygląda mi się uważnie.

– Nie. W tej chwili nie. A co, masz jakieś? – odpieram entuzjastycznie.

– Coś jest z tobą nie tak. Umysłowo. Prawda?

To mnie rozśmiesza.

– Och, całkowicie. Mam kilka nierównych klepek pod sufitem. Przynajmniej tak mówi mój tata. Jednak on jest superspięty, nie ma wyobraźni, więc jego opinia się nie liczy. Nie żebyś się mylił, bo tak nie jest, ale normalni nie powinni oceniać tych kreatywnych. Oni po prostu nie mają pojęcia, jak jesteśmy skonstruowani. Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Nigdy wcześniej nie rozmawiałem z obłąkaną osobą – wyznaje.

– Bardzo zabawne.

– To nie był żart.

– Auć.

Wpatrujemy się w siebie w milczeniu. Jego jest wrogie, moje pełne nadziei.

Nadal mnie nie zamordował, więc sprawy wyglądają lepiej.

– Malek?

– Co? – pyta głosem pozbawionym emocji, budzącym przerażenie.

– Dziękuję, że mnie nie zabiłeś – oznajmiam radośnie.

– Nie dziękuj mi jeszcze – mówi dobitnie.

– Nadal nie podjąłeś ostatecznej decyzji?

– Jeśli decyzja dotyczy tylko tego, żebyś się zamknęła, to tak.

– W takim razie... – Udamę, że zamykam usta i wyrzucam kluczyk.

Mężczyzna obserwuje mnie z oburzeniem, zdumieniem i absolutnym niedowierzaniem.

– Właściwie, zanim się zamknę, chcę też powiedzieć, że to było naprawdę słodkie, że próbowałaś mnie uratować przed byciem pracownicą seksualną. Mam na myśli: co za dżentelmen! Dżentelmen-morderca, który daje nieznanym duże ilości gotówki w toaletach. Jest pan niezłą zagadką, panie Duch. A może po prostu Duch? Nie mam pewności, jak działa to przezwisko, chyba że między mną a moją siostrą, ale to się nie liczy, bo cała moja rodzina jest trochę dziwna. Będę cię nazywała Malek, jeśli to w porządku. Albo Mal, w skrócie, skoro znamy się już tak dobrze, że włamujesz się do moich różnych sypialni na wizyty o północy i w ogóle. Dobra, już się zamykam. Od teraz milczę!

Zaciskam usta i wpatruję się w niego, obserwując, jak walczy z chęcią odcięcia mi dopływu powietrza lub rozbicia czegoś nad moją głową.

Może ma rację, że jestem szalona, bo zamiast być przerażona, uważam jego niezdecydowanie za zrozumiałe.

Nie jest pierwszym człowiekiem, którego doprowadziłam na skraj morderstwa.

Jest po prostu najbardziej zdolny do tego, by go dokonać.

– Och, jeszcze jedna rzecz...

– Znam sposób na uciszenie tej gęby – rzuca.

A potem mnie całuje.

ROZDZIAŁ 17

MAL

Bierze drżący wdech. Całe jej ciało sztywnieje. Przez ułamek sekundy dziewczyna się nie rusza, jakby została zamrożona.

Aż do momentu, gdy lód zaczyna topnieć, a ona postanawia zaatakować.

Przygryza moją wargę.

Mocno.

Przeklinając, odsuwam się. Patrzy na mnie i z całej siły napiera dłońmi na moją klatkę piersiową, próbując mnie odepchnąć.

Nie ruszam się z miejsca. Zamiast tego ściskam jej szczękę i całuję kobietę ponownie.

Wije się pode mną, wydając gniewne dźwięki. Walczy. Nie poddaje się, nie otwiera ust.

Dziwi mnie ten opór. Nie wygląda na wystarczająco silną. Wygląda raczej tak, jakby mógł ją zdmuchnąć podmuch wiatru.

Jestem jeszcze bardziej zaskoczony, kiedy ciągnie za moje włosy, drapiąc skórę głowy.

Odrywam się od niej i rechoczę.

– Mój mały ptaszek ma pazurki.

– Nazwij mnie jeszcze raz ptakiem, a...

– A co? – wypalam, przyciskając swoją klatkę piersiową do jej, tak że czuję walące serce dziewczyny tuż przy mojej koszulce. – Co zrobisz? Zastrzelisz mnie? Dźgniesz mnie? Utopisz w morzu słów?

– Pieprz się.

– Czy to zaproszenie?

– Chciałbyś, ty arogancki kutasie! – Jest tak wściekła, że pluje, gdy mówi.

Lubię tę jej stronę. Tę zadziorną, gniewną stronę.

Tak rzadko zdarza się, że ktoś rzuca mi wyzwanie.

– Ostrożnie – szepczę, muskając wargami jej usta. – Kłótnie i walki sprawiają, że mój kutas robi się twardy.

Natychmiast przestaje ze mną walczyć. Ale ani krztyna jej złości nie znika. Kobieta leży pode mną, oddychając nierówno, i spogląda z furią w moje oczy. Jej usta są tak mocno zaciśnięte, że aż białe.

To rozbajająco słodkie. Jest jak wściekły kociak z podniesionym ogonem, który syczy w złości.

Nie, jesteśmy wrogami. Nie mogę dać się rozproszyć.

Już jestem rozproszony. Kurwa.

Więc improwizuj. Jesteś w tym dobry. Upiecz dwie pieczenie na jednym ogniu.

Patrząc jej głęboko w oczy, by widziała, że nie żartuję, mówię:

– Otwórz dla mnie usta albo zastrzelę obu twoich ochroniarzy.

– Myślałam, że chcesz, żebyś trzymała głowę na kłódkę – warczy.

– Spróbujmy jeszcze raz, mądralo: pozwól mi się pocałować albo zginie dwóch mężczyzn. Wybieraj. Teraz.

– To jest szantaż – kwituje.

– Tak. Mówiłem ci, że jestem złym człowiekiem. Cóż, wybieraj. – Puszczam do niej oczko.

Jest tak wściekła, że aż drży. Gdyby miała lasery w oczach, moja głowa by eksplodowała.

Zarówno mój kutas, jak i ja naprawdę się cieszymy.

– Skąd mam wiedzieć, że i tak ich nie zastrzelisz?

– Nie dowiesz się tego. Jeszcze jedno pytanie, a z pewnością to zrobię.

Jest coraz bardziej zdesperowana. Widzę, jak walczy, by znaleźć wyjście z tej sytuacji, jakąś drogę ucieczki, i prawie śmieję się na głos, gdy w końcu się poddaje.

Oblizuje wargi, a potem mówi wyzywająco:

– Dobrze. Pocałuj mnie. Ale nie będzie mi się to podobać.

Wyzwanie przyjęte.

Zamiast dociskać swoje usta do warg dziewczyny, obracam jej głowę i przesuwam czubkiem nosa wzdłuż szczęki. Sunę nim poniżej jej ucha, wdycham zapach. Potem całuję ją tam, tak że moje usta ledwo muskają skórę.

Tłumię śmiech, kiedy przechodzi ją dreszcz.

Myślę, że może źle podchodziłem do tej sprawy z zemstą.

– Jeszcze jedna rzecz: musisz odwzajemnić pocałunek. Jeśli będziesz tak leżeć jak kłoda, twój przyjaciel Spider zarobi kulkę.

– Cofam to, co powiedziałam o tym, że jesteś dżentelmenem.

– Popłaczę się z tego powodu zaraz po tym, jak dasz mi swoje pieprzone usta.

Wciąga powietrze, zamyka oczy i przełyka ślinę. Kiedy ponownie unosi powieki, wiem, że to wojna.

Widziałem zatwardziałych morderców wyglądających na mniej zawziętych.

Mój uśmiech sprawia, że kobieta zgrzyta zębami.

– Gotowa? – pytam.

– Idź do diabła – rzuca.

– Nie mogę. Diabeł ma zakaz zbliżania się do mnie.

– To nawet nie jest tekst wymyślony przez ciebie! Widziałam go kiedyś na koszulce!

– Wolisz coś oryginalnego? – Przysuwam wargi do jej ucha i warczę: – Chcę cię nadziać na swojego fiuta. Chcę też skrócić ci kark. Zamiast tego zadowolę się pocałunkiem.

– Nie mogę uwierzyć, że nie pozwoliłam Spiderowi zastrzelić cię, kiedy była ku temu okazja – mamrocze.

Ignorując te słowa, przyciskam swoje usta do jej warg.

Robię to delikatnie, nie tak mocno jak za pierwszym razem. Ciepły, przeciągający się dotyk, jej usta nadal są zamknięte. Odsuwam się i robię to ponownie, lekko łącząc nasze wargi.

Nie spodziewała się łagodności. Mogę to stwierdzić, ponieważ wpatruje się we mnie, zaskoczona.

– Zamknij oczy. Zabierz ręce z moich włosów. I odsuń kolano od moich żeber.

– Ile jeszcze zasad będzie do tego jednego pocałunku?

– Zrób to. Teraz.

Spełnia polecenie. Niechętnie. Potem, kiedy tylko pozostaję w miejscu, wpatrując się w jej słodkie usta, szepcze:

– Pospiesz się i miejmy to już za sobą.

Jej głos drży.

Wiem, że to nie ze strachu.

Wiem też, że sposobem na poradzenie sobie z nią nie jest brutalna siła.

Ona na to nie zareaguje. To jedynie sprawi, że będzie walczyć mocniej.

Tę dziewczynę trzeba stopniowo otwierać.

Rozwijać powoli, jeden płatek po drugim.

Delikatnie całuję jeden kącik jej ust. Później drugi. W ten sam sposób całuję także nos i brodę.

– Co ty, do cholery, robisz?

– Całuję cię. Zamknij się.

Wydaje z siebie poirytowany dźwięk, który ignoruję. Sunąc wargami po jej szyi, zatrzymuję się, by złożyć kolejny lekki pocałunek, na pulsującym tam punkcie. Przesuwam po nim czubkiem języka.

Klatka piersiowa kobiety nieznacznie drży.

A ona sama wypowiada moje imię bez tchu.

To również ignoruję.

Chowam nos w zagłębieniu jej szyi, sprawiając, że już cała drży. Nabieram głęboko powietrza, wdychając jej zapach. Pachnie tak słodko, że mam ochotę ją ugryźć.

Więc robię to.

– Malek!

– Im szybciej przestaniesz protestować, tym szybciej to się skończy. Przerwij mi, a sprawię, że ten pocałunek będzie trwał całą noc.

Co – teraz, gdy o tym myślę – mogłoby nie być takim złym pomysłem.

Dziewczyna ciężko oddycha. Jest napięta i drży pode mną. Doskonale zdaje sobie sprawę, dlaczego chce, żebym przestał. Z tego samego powodu ja tego nie chcę.

Lubi czuć moje usta na swojej skórze.

A ja lubię to, jak bardzo nienawidzi, że jej się to podoba.

Wyznaczam pocałunkami ścieżkę prowadzącą od obojczyka do ramienia, nosem odsuwając dekolt białej, bawełnianej koszulki. Następnie robię to samo, kierując się w drugą stronę, i dotykam językiem miejsca pod gardłem kobiety.

– Proszę. Stop. Przestań w końcu.

Jej głos jest zachrypnięty. Całe ciało drży. Czuję się tak, jakby ktoś właśnie mnie podpalił.

– Chcesz, żeby Spider umarł?

– Chcę tylko, żeby to się skończyło.

– Skończy się.

– Kiedy? – dopytuje.

– Wkrótce.

Gdy otwiera usta, żeby zaprotestować, wsuwam do nich kciuk i warczę:

– Ssij albo dam ci coś, czym się udławisz.

Jej zęby mocno dociskają się do mojego palca, więc drugą ręką łapię ją za włosy.

– Niech tylko zobaczę krew, a sprawię, że śmierć Spidera będzie trwała kilka tygodni – grożę.

Wydaje gniewny dźwięk, wpatrując się we mnie z furją.

– Chcesz, żeby to się skończyło? Zamknij oczy. I ssij – dodaję, nim spotkają się nasze spojrzenia.

Nie jest mi od razu posłuszna, więc czekam, by zobaczyć, co postanowi.

Dobrze wiem, że ugryzienie przez dorosłego człowieka może spowodować ogromne zniszczenia w palcu. Byłaby nawet w stanie mi go odgryźć. Uszkodziłaby sobie zęby i szczękę, ale wątpię, że przejęłaby się tym faktem.

Ja też bym się nie przejął. Warto byłoby stracić palec tylko dla tego wyrazu jej twarzy.

Wreszcie zamyka oczy. Bierze krótki, pełen złości wdech, po czym wypuszcza powietrze.

Kiedy zaczyna ssać kciuk, mój kutas momentalnie twardnieje w odpowiedzi.

Opuszczam głowę, a potem całuję jej szyję, liżąc i podgryzając.

Dziewczyna jęczy wokół mojego kciuka.

Ten dźwięk sprawia, że moje ciało przeszywa strzała ciepła, która dociera aż do jaj. Nigdy nie słyszałem niczego bardziej seksownego.

Ona jest twoim wrogiem. Wrogiem! Pamiętasz?

Mój mózg wciąż próbuje utrwalić tę informację, ale kutas ma inne pomysły na określenie naszej relacji.

Inne, bardzo przekonujące pomysły.

Wyciągam kciuk z jej ust i zastępuję go językiem.

Zapomina, że nie znosi, gdy ją całuję, i wygina się w moją stronę z westchnieniem, rozchylając wargi, żeby namiętnie odwzajemnić pocałunek.

Jest cała rozpalona i drży z nerwów. Czuję jej łomoczący puls i bijącą od niej zachłanność. Jeśli wcześniejszy gniewny opór tej kobiety mnie zdziwił, to sposób, w jaki reaguje, kiedy jest pobudzona, zaskakuje mnie jeszcze mocniej.

Jest naprawdę rozpalona. Łakoma.

Prawie tak samo jak ja.

Pocałunek staje się coraz głębszy i gorętszy. Oboje ciężko oddychamy. Zaczynam się pocić. Uwielbiam czuć jej usta. Słodkie, miękkie ciepło. Ciepłe wargi. Uwielbiam sposób, w jaki przylega do mnie, wyginając się, z palcami wplecionymi w moje włosy.

Uwielbiam czuć jej sutki na swojej klatce piersiowej.

Chcę je czuć przy nagiej skórze, nie przez koszulkę. Chcę je ssać, gryźć, szczypać, dopóki dziewczyna nie będzie mnie błagała, żebym ją zerznął.

I chcę ją zerznąć.

Chcę ją pieprzyć mocno i głęboko. Chcę sprawić, że będzie wbijać paznokcie w moje plecy i dochodzić dla mnie. Chcę, by krzyczała moje imię, aż będzie miała chrypkę. Chcę...

ONA JEST TWOIM WROGIEM!

Odsuwam się gwałtownie i patrzę na nią, próbując złapać oddech. Staram się oczyścić głowę z przeszywających obrazów jej nagiej i jęczącej pode mną, jej piersi odbijających się od mojego torsu, smukłych nóg owiniętych wokół mojej talii, gdy wbijam się głęboko w jej cipkę.

Widzę, jak otwiera oczy.

Spogląda na mnie rozmarzonym, zamglonym wzrokiem, mrugając powoli, jakby nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Jej twarz jest zarumieniona. Usta są wilgotne. A ona szepcze moje imię.

Szepcze je tak słodko, że sprawia, iż mam ochotę coś złamać.

Declan O'Donnell zamordował mojego brata.

Jeden z członków jej rodziny zabił jednego z moich.

Powinienem być gdziekolwiek indziej na Ziemi, byle nie w tym pokoju z tą kobietą.

– Powiedz komukolwiek, że tu byłem, a ta osoba zginie – mówię napiętym głosem.

Chwilę później podnoszę się z łóżka i wychodzę.

ROZDZIAŁ 18

RILEY

Malek niespodziewanie znika, zostawiając mnie samą w pokoju.

Samą i roztrzęsioną.

Siadam na łóżku i sięgam po okulary znajdujące się na szafce nocnej. Kiedy je zakładam, rozglądam się z niedowierzaniem dookoła. Wszystko wygląda dokładnie tak jak wtedy, gdy kładłam się spać.

Tyle że teraz pachnie tutaj wielkim, narowistym samcem i niezaspokojonym napięciem seksualnym.

Zdejmuję okulary, odwracam się, wciskam twarz w poduszkę, po czym krzyczę.

To nie pomaga.

Nadal go pragnę.

Jego: zabójcy, który zamierza zamordować Declana.

Jego: dupka, który groził, że odbierze życie mnie.

Jego: zabójcy, prześladowcy, przechodzącego przez solidne ściany sukinsyna, który dotyka mnie, jakbym była ze szkła, i całuje, jakby umierał z głodu.

Myślałam, że mam popaprane życie romantyczne, ale dopiero w tym miejscu osiągnęło ono kolejny poziom w skali popieprzenia.

Przewracam się na plecy, ponownie zakładam okulary, następnie podnoszę się z łóżka. Z bijącym mocno sercem otwieram drzwi i wychodzę na korytarz. Jest ciemno i cicho. Nikt ani nic się nie rusza.

Och, Boże... A jeśli jest tak spokojnie, bo Spider z Kieranem już nie żyją?

Tłumię przerażenie i ruszam korytarzem do głównej części mieszkalnej. Tu też jest ciemno, ale z dekodera przy telewizorze bije niebieska poświata, która pozwala mi widzieć, dokąd zmierzam. Wbiegam do kuchni, gdzie włączam światło, spodziewając się

zobaczyć czerwone ślady na podłodze, krwawe odciski dłoni lub fragmenty mózgu zdobiące ściany.

Kiedy nie dostrzegam ani jednej z tych rzeczy, zatrzymuję się, żeby wziąć głęboki wdech. Opieram się o ladę, zbierając siły na przeszukanie pozostałych sypialni. Przygotowuję się psychicznie do poradzenia sobie z jakąkolwiek masakrą, którą mogę zastać.

– Co jest grane, dziewczyno?

Podskakuję, krzyczę i obracam się.

W drzwiach kuchni stoi Spider, mrugając sennie.

Jego biała koszula jest rozpięta przy szyi, a rękawy ma podwinięte do łokci. Szczeka jest zacieniona zarostem. Włosy są zmierzwiłone.

Nie ma w nim widocznych dziur po kulach.

Czuję taką ulgę, że prawie osuwam się na podłogę. Jednak zamiast tego przyciskam dłoń do mocno walącego serca i zaczynam się słabo śmiać.

Mężczyzna się krzywi.

– Przepraszam. Boże, tak mi przykro. Ja tylko... myślałam...

Powiedz komukolwiek, że tu byłem, a ta osoba zginie.

Przypominam sobie ostrzeżenie Maleka, co sprawia, że przełykam nerwowo ślinę i odwracam wzrok.

– Hmm. Byłam głodna – mówię.

– Głodna – powtarza podejrzliwie Spider, mierząc mnie wzrokiem.

Staję bardziej wyprostowana, spoglądam mu w oczy i staram się, by mój głos brzmiał stanowczo.

– Tak, głodna, po prostu.

– Jadłaś duży posiłek niecałe trzy godziny temu – przypomina.

Cholera. Musiałby pamiętać, która była godzina, kiedy przyniósł mi obiad.

– Nie zawstydzaj mnie tym, że mam duży apetyt, Spider. Lubię jeść. – Podchodzę do lodówki, otwieram drzwiczki, a potem wpatruję się w jej zawartość.

Właśnie wtedy uświadamiam sobie, że mam na sobie jedynie krótką koszulkę oraz białe, bawełniane majtki, w których poszłam spać.

Białe, bawełniane majtki, które prawdopodobnie są całkiem przemoczone. Zamykam lodówkę, odwracam się przodem do

ochroniarza, składam ręce przed moim kroczem i wymuszam uśmiech.

– Po namyśle... Chyba wrócę do łóżka. To nie najlepszy pomysł, żeby iść spać z pełnym żołądkiem. Do zobaczenia rano.

Idę do swojego pokoju tak swobodnie, jak tylko jestem w stanie, cały czas czując na sobie spojrzenie Spidera.

Nie mogę ponownie zasnąć. Leżę godzinami w ciemności, patrząc w sufit, i wzdrygam się na każdy najmniejszy hałas. Spodziewam się, że Malek w każdej chwili wyłoni się znikąd.

Pojawi się i mnie zabije. Albo znów pocałuje.

W tym momencie nie wiem, czego się po nim spodziewać. To jak rzut monetą.

Rano z trudem zwlekam się z łóżka. Biorę prysznic i ubieram się w te same ubrania, w których chodziłam wczoraj, bo tylko takie mam ze sobą. W szafie są rzeczy – ciuchy pozostałe po tym, kto mógł tu wcześniej przebywać – ale wszystkie są na mnie za duże, a do tego śmierdzą papierosami.

Nie wiem, czy będę w stanie znowu stawić czoła wszystkowiedzącemu spojrzeniu Spidera, więc przez większość dnia przebywam w swoim pokoju. Po południu do drzwi puka Kieran, który przynosi tacę z jedzeniem. Kiedy pyta, jak się czuję, nie kłamię.

– Czuję się, jakby przejechała po mnie ciężarówka.

Jego uśmiech jest ciepły i wyrozumiały.

– Wszystko będzie dobrze, panienko. Spróbuj się nie martwić. Jeśli chcesz, z przyjemnością przyniosę ci trochę whiskey. To zawsze pomaga mi oczyścić myśli – dodaje pokrzepiająco.

Jest taki miły. Tak samo jak Spider.

Naprawdę mam nadzieję, że Malek ich nie zabije.

– Dzięki, Kieran. Wolałabym jednak zachować trzeźwy umysł, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Ta sytuacja ciągle się rozwija.

Przytakuje.

– Aye. Czy potrzebujesz czegoś jeszcze?

– Czystych ubrań. Mojego komputera. Lobotomii czołowej – wymieniam.

– Mogę pomóc z pierwszymi dwoma, panienko. – Śmieje się. – Z trzecim musisz poradzić sobie sama.

– Możesz przynieść mój laptop? Zostawiłam go na Bermudach.

– Chłopcy wyczyścili dom i pojazdy. Zatrzymają się tu dziś wieczorem w drodze do Declana.

– Rozmawiałaś z nim? Czy wszystko z nim w porządku?

Jeżeli mój ton jest zbyt napięty przez troskę, Kieran tego nie zauważa. Nonszalancko wzrusza ramionami.

– Jest cały i zdrowy. Zbiera oddziały, snuje plany. No wiesz. Zajmuje się po prostu szefowaniem – informuje.

Mam nadzieję, że szefowanie obejmuje noszenie pełnej zbroi i kuloodpornego hełmu przez cały czas, ale nie mówię tego na głos.

Kieran wychodzi z pomieszczenia, a wtedy zabieram się za zjedzenie posiłku, który mi przyniósł. Następnie krążę po pokoju, zmagając się z myślą, aby powiedzieć ochroniarzom, że Malek się włamał, lecz nie mogę się zdecydować, czy ten drań-zabójca dowiedziałby się, że im to wyznałam, czy też nie.

A jeśli założył podsłuch w mojej sypialni? Albo w całym budynku?

Co, jeżeli zainstalował tajne kamery? A jeśli potrafi się porozumiewać telepatycznie i podsłuchiwać wszystko, co się tu dzieje?

Nie mogę wykluczyć tych możliwości. Ten mężczyzna wydaje się zdolny do wszystkiego.

Ostatecznie postanawiam nie mówić ani słowa. Nie chcę być odpowiedzialna za to, że komuś stanie się coś złego. Malek i tak może ich skrzywdzić, jednak nie mam na to wpływu. Nie chcę, żeby stało się to dlatego, że powiedział mi, bym czegoś nie robiła, a ja nie posłuchałam.

Wygląda na człowieka, któremu nieposłuszeństwo bardzo nie odpowiada.

Około dziewiątej Spider puka do moich drzwi.

– Hej – mówię, kiedy otwieram. – Jak się masz?

Wpatruje się we mnie przez sekundę, po czym odpowiada:

– Świetnie. A ty?

– Tak samo.

– Mam twoją torbę. Laptopa też. – Podnosi mój bagaż. – Gdzie mam to położyć?

– Och, świetnie! Możesz położyć to na biurku, dziękuję.

Otwieram szeroko drzwi, by wpuścić go do środka. Jest ubrany w swój nieskazitelny garnitur i krawat. Po jego ubraniu nie błąka się żaden paproch, a kanciasta szczeka została perfekcyjnie ogolona. Domyślam się, że tych facetów obowiązuje jakiś *dress code* wymyślony przez Declana, bo czarny Armani to jedyne, co noszą.

Spider odstawia torbę na biurko i odwraca się do mnie. Potem po prostu stoi w milczeniu, wyglądając nieswojo.

– Co jest?

– Chyba jestem ci winien przeprosiny – wyznaje.

To całkowicie zbija mnie z tropu. Patrząc na niego z uniesionymi brwiami.

– Mnie? Dlaczego? – pytam, zaskoczona.

Przenosi ciężar ciała z nogi na nogę, odchrząkuje, po czym zerka na drzwi.

– Za przyłapanie cię wczoraj wieczorem w kuchni w twoim *kexie*. Wyglądałaś na strasznie zakłopotaną.

Dociera do mnie, że *kex* musi oznaczać bieliznę, i czuję ulgę. Chyba że oznacza to *przesiąkniętą wilgocią bieliznę*, to jednak jestem cholernie upokorzona.

Śmieję się krótko. Jest to nerwowy śmiech.

– To, hmm... nic wielkiego.

Ochroniarz spogląda na mnie. Czubki jego uszu stają się czerwone.

– Nic nie widziałem, jeśli o to się martwisz. – Po krótkiej przerwie poprawia się: – To znaczy, nie widziałem w-wiele – duka, czerwieniąc się jeszcze mocniej.

Zasłaniam dłonią oczy.

– Jezu. Czy mógłbyś sprawić, żeby to było jeszcze bardziej żenujące?

– Przepraszam – mamrocze.

– Przeprosiny przyjęte. A teraz, proszę, idź, bym mogła umrzeć ze wstydu w samotności – jęczę.

– Nie masz się czego wstydzić, dziewczyno.

Jego głos stał się ochrypły. Wcześniej nie słyszałam, aby Spider takim mówił. Wydaje mi się, że próbuje powiedzieć mi komplement.

I teraz moje uszy też są czerwone.

Przesuwam dłoń z oczu w dół, na usta. Wpatruję się w mężczyznę bez słowa. Potem opuszczam rękę i wzdycham.

– Cóż. Dziękuję. Tak myślę. Czy możemy już nigdy więcej o tym nie rozmawiać?

Przeczesuje włosy palcami.

– Aye. – Odwraca się, żeby wyjść, ale w drzwiach zawraca. – Twoja siostra chce z tobą porozmawiać. Prosiła mnie, żebyś do niej zadzwoniła.

– Powiedz mojej siostrze, że wolałabym zjeść kanapkę z gównem, niż z nią rozmawiać – cedzę.

Zaciska wargi, aby powstrzymać się od śmiechu, i przytakuje.

– Zrobi się.

– I przestań myśleć, że jesteśmy podobne. Nie jesteśmy w niczym podobne.

Wytrzymuje moje spojrzenie, wyglądając, jakby walczył ze sobą. W końcu mówi:

– Nie, nie jesteście. Nie łączy was nic poza tą lwią krwią, która płynie u członków waszej rodziny.

– Dziękuję ci za te słowa – odpieram cicho. – Ale ja nie jestem lwem. W porównaniu z nią jestem... młodym.

– Młody lew to wciąż lew.

Po chwili niezręcznej ciszy ochroniarz odwraca się i opuszcza pokój.

Staję się bardziej zdeterminowana niż kiedykolwiek, żeby nie pozwolić Malekowi go skrzywdzić, jeśli będzie to w mojej mocy. Spider będzie kiedyś bardzo dobrym mężem. Nie zasługuje na to, by dać się zastrzelić jako niańka dla durnej młodszej siostry narzeczonej swojego szefa.

Pracuję na laptopie przez kilka godzin, aż ogarnia mnie senność. Wygrzebuję z torby ostatnie pudełko Twizzlersów i zjadam całe. Później biorę prysznic. Długo stoję pod gorącym strumieniem, myśląc o wszystkim, co się wydarzyło, odkąd wyjechałam z San

Francisco. A także myśląc o tym, co powiem Malekowi, gdy zobaczę go następnym razem.

Bo wiem, że będzie następny raz.

Czuję to w kościach.

Cokolwiek się między nami dzieje, nadal się rozwija. Wiem, że ten facet chce mnie nienawidzić, i może część z niego to robi. Jednak jest też inna część, której zależy na czymś innym.

Sądząc po ostatniej nocy, ta część znajduje się w jego spodniach.

A ja nie wiem, co z tym zrobić. Cała ta sytuacja jest tak bardzo poza moim zasięgiem, że ledwie mogę jasno o niej myśleć.

Jestem tylko introwertyczką, która uwielbia książki, słodczyce oraz kłótnie z nieznanymi w Internecie. Mój pomysł na pasjonującą przygodę to rozpoczęcie nowego serialu na Netflixie. Mieszkam w jednym z najbardziej ekscytujących miast na świecie, tak, ale wszyscy, z którymi się zadaję, są tak samo ekscytujący jak czerstwy chleb.

To maniacy komputerowi. Uzależnieni od gier wideo. Filozofowie z kawiarni, którzy upinają włosy w kok, mają dyplomy z dziedziny sztuki i może interesujący zestaw genitaliów.

Dobra, ta część jest ekscytująca, ale chyba wiadomo, o co mi chodzi.

W moim świecie nie ma gangsterów.

Nie ma broni, przemocy, bezpiecznych domów ani prywatnych odrzutowców. A co najważniejsze, nie ma dużych, przerażających, pięknych rosyjskich zabójców pragnących zemsty, którzy włamują się do mojej sypialni o każdej porze nocy, aby obezwładnić mnie testosteronem i pocałować tak, że będę walczyła o życie.

Nie wiem, co robić.

Gdybym zadzwoniła do jednego ze swoich przyjaciół i opowiedziała wydarzenia z ostatniego tygodnia, zapytałby mnie, dlaczego nie dzielę się moją *molly*⁷, a potem zażądał, żebym trochę mu wysłała.

Nikt by w to nie uwierzył.

Sama w to nie wierzę.

Potrzebuję planu.

Choć nienawidzę nawet myśleć w ten sposób, właśnie to zrobiłaby Sloane: oceniłaby sytuację i opracowała plan. Plan, który zmiażdży konkurencję i pozostawi po sobie dymiącą ścieżkę zniszczenia.

Jedyna dymiąca ścieżka zniszczenia, jaką udało mi się do tej pory stworzyć, była w moich majtkach, kiedy Malek mnie całował.

Gdy wychodzę spod prysznic, wyglądam jak wysuszona śliwka. Nadal nie mam żadnej strategii. Osuszam ręcznikiem włosy oraz ciało, po czym owijam się nim i myję zęby.

Niedługo później przecieram wyraźny krąg w parze na lustrze wiszącym nad umywalką i prawie schodzę na zawał.

Malek stoi za moimi plecami, górując nade mną, a jego blade oczy płoną pod ściągniętymi brwiami.

ROZDZIAŁ 19

RILEY

Moja reakcja jest instynktowna.

Odwracam się i uderzam mężczyznę w twarz.

To go nie rusza. Po prostu stoi tam i na mnie patrzy.

– Dobrze cię widzieć, Riley Rose. – Jego ochrypły głos sugeruje, że zobaczył już całkiem sporo. Najprawdopodobniej, gdy wychodziłam spod prysznic.

Czuję, jak na moją twarz wypełza rumieniec. Wściekła, policzkuję Maleka ponownie, tym razem z całej siły.

Oblizuje wargi i mówi gorąco:

– Nie pamiętasz, jak wspominałem, że walka sprawia, że mój kutas twardnieje?

Przyciąga mnie do swojej klatki piersiowej, wplata palce w moje mokre włosy i łączy nasze usta.

To nie jest słodki, delikatny pocałunek jak wczoraj wieczorem. Ten jest niszczący. Wymagający. *Władczy*. To takie samo roszczenie jak wszystko inne, co Malek robi. To zdeterminowana deklaracja, że może przychodzić i odchodzić, kiedy mu się podoba, i nikt – włącznie ze mną – nie może tego zmienić.

Nigdy w życiu nie byłam tak wściekła.

– Ty przemądrzały sukinsynu – syczę, odrywając się od jego warg.

– Wynoś się!

– Jeśli właśnie tego chcesz – rzuca.

– Chcę!

– W porządku. Ale zabiorę ze sobą trupy – grozi.

– Wiesz co? Śmiało, zabij mnie! Wtedy przynajmniej nie będę musiała się już z tobą użerać.

– Nie mówiłem o tobie, mały ptaszku. Utrzymam cię przy życiu, żebyś mogła obserwować, jak układam zwłoki twoich ochroniarzy na

stosie, a później go podpalam.

Oddycham ciężko i drzę, patrząc na niego. Moje ręce są płasko ułożone na jego masywnej klatce piersiowej. Usiłuję go odepchnąć, ale przypomina to próbę przesunięcia domu.

– Jesteś potworem – kwituję, nadal trzęsąc się ze złości.

– Tak. – Puszczam do mnie oczko.

– Puść mnie – żądam.

Spoglądając na mnie spod półprzymkniętych powiek, oblizuje usta. Jego głos ponownie staje się ochrypły.

– Jeśli cię puszczę, twój ręcznik spadnie.

– Nienawidzę cię!

– Zrozumiałe.

– Jesteś dupkiem!

– Winny. – Znowu do mnie mruga.

To całe jego zgadzanie się ze mną doprowadza mnie do szału.

– Wczoraj groziłeś, że mnie zabijesz – przypominam.

– Uznałem, że są inne rzeczy, które chciałbym ci najpierw zrobić.

– Ton, jakim wypowiada te słowa, nie pozostawia wątpliwości co do tego, o czym myśli.

– To jest po prostu... Ugh! Jesteś chory, pokręcony...

– Bla, bla, bla. Tak. Jakiegokolwiek negatywnego określenia wobec mnie użyjesz, będziesz miała rację. – Jego głos staje się niższy. – A teraz daj mi znowu te pieprzone usta. To wszystko, o czym byłem w stanie myśleć przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. – Obniża głowę, tak że nasze twarze znajdują się cal od siebie. Jego płonące spojrzenie wpala się w moje. – I pocałuj mnie tak, jakbyś naprawdę chciała, albo zacznij liczenie ciał.

Po tych słowach nic nie robi. Po prostu czeka, wpatrując się w moje oczy. Jedną jego ręką wciąż trzyma moje włosy, a drugie silne ramię ma owinięte wokół moich pleców, przez co mocno przyciska mnie do siebie.

Czeka, aż *ja* go pocałuję, drań!

– Nie chcę cię całować – szepczę wściekle.

– Gdybym teraz włożył dłoń między twoje nogi, mógłbym udowodnić, że kłamiesz – syczy.

NASA musi być w stanie usłyszeć aż w kosmosie, jak zgrzytam zębami w gniewie.

To znaczy, on ma rację, lecz wolałabym umrzeć, niż to przyznać. Postanawiam zignorować jego komentarz.

– Dobrze. Pocałuję cię. Potem wyjdiesz?

– Nie. Po prostu nikogo nie zabiję. Dziś wieczorem.

Wypuszczam ciężko powietrze i zamykam oczy.

– Skąd mam wiedzieć, że nie zmienisz zdania?

– Daję ci swoje słowo – mówi poważnym tonem.

– Wcześniej dałeś słowo, że mnie nie skrzywdzisz. Od tamtej pory kilka razy groziłeś, że mnie zabijesz – przypominam.

– To było, zanim dowiedziałem się, kim jesteś.

Otwieram oczy i patrzę na niego.

– Jestem dokładnie tą samą osobą.

– Nie dla mnie. – Wbija we mnie mroczne spojrzenie i lekko się krzywi.

Poświęcam chwilę na przyjrzenie się jego twarzy, następnie oznajmiam:

– Nie zamierzam błagać o życie. Wiem, że to by cię nie obchodziło. Ale postawmy sprawę jasno: dopiero co poznałam Declana. Swojej siostry nie widziałam od trzech lat. Nie mam nic wspólnego z irlandzką mafią. Nie miałam nic wspólnego z tym, co stało się z twoim bratem.

– Może i nie. Ale jeśli coś ci się stanie, twoja siostra będzie się obwiniać. Potem będzie obwiniać Declana. Wtedy jego życie nie będzie pasmem szczęścia. Chcę, żeby był nieszczęśliwy przez jakiś czas, zanim go zabiję. Chcę, żeby był tak cholernie nieszczęśliwy, że pożałuje tego, że się urodził – cedzi wściekle, a w jego spojrzeniu płonie gniew.

Myślę przez moment, po czym przyznaję niechętnie:

– Twoja logika nie jest do kitu.

– Dziękuję. – Kiwa głową z uznaniem.

– Ale naprawdę oczekujesz, że nadal będę chciała cię pocałować? Kiedy śmierć wisi nad moją głową?

– Wczoraj wieczorem wydawałaś się do tego bardzo zdolna. – Unosi kącik ust.

Jego oczy płoną do tego stopnia, że muszę odwrócić wzrok. On jednak szybko chwytą moją szczękę i odwraca moją twarz z powrotem do swojej.

– Przekonaj mnie, żebym cię nie zabił. Pocałuj mnie tak, jakby od tego zależało twoje życie. Bo zależy.

– Próbujesz sprawić, żebym cię znenawidziła? Uwaga, spoiler: to działa. – Przewracam oczami.

Jego oczy się rozszerzają, a nozdrza falują.

– Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu – warczy.

Serce wali mi jak młotem. Twarz jest zarumieniona. Żołądek wywraca się na drugą stronę. Gdybym miała teraz broń w ręce, wsadziłabym ją Malekowi pod brodę i pociągnęła za spust.

Nie przerywając kontaktu wzrokowego, mówię bardzo świadomie:

– Robię to tylko dla Kierana i Spidera. I nie zapominaj, co powiedziałam o tym, że mój duch wróci, by cię nawiedzać. Jeśli nie spodoba ci się ten pocałunek, a ja przez niego zginę, będę prześladować twój arogancki tyłek do końca świata.

Staję na palcach i go całuję.

On otwiera usta z jękiem, a potem odwzajemnia pocałunek. Wyczuwam w nim chęć zemsty.

Domyślam się, że chęć zemsty jest tym, co głównie przez niego przemawia.

Chociaż to ja zainicjowałam pocałunek, Malek w ciągu paru sekund przejmuje nad nim kontrolę. Zaciskając dłoń na moim gardle, drugą ręką odchyła mi głowę do tyłu i trzyma ją w miejscu, gdy wpija się w moje usta. Przylegam do niego, zdesperowana, by nie wydać nawet najmniejszego dźwięku przyjemności z tych budujących się w mojej klatce piersiowej.

Muszę sobie przypominać, kiedy omiata swoim językiem mój, że to dla Spidera. Dla Kierana. Dla mnie też, ale i tak jestem już prawie martwa.

Z każdą sekundą ten pocałunek mnie zabija. Gdy tylko Malek zdecyduje się go zakończyć, osunę się na podłogę i zdechnę u jego stóp.

Może przez cały czas właśnie taki był jego plan. Może w ten sposób postanowił mnie zamordować.

Śmierć z powodu nadmiaru estrogenów w organizmie.

– Smakujesz tak kurewsko słodko – syczy, odrywając się od moich warg. Oddycha równie ciężko jak ja.

– To Twizzlersy – odpowiadam słabo. – Skończyliśmy?

– Nie ma szans, cholera.

Kiedy ponownie mnie całuje, puszcza moją szyję, by zagłębić obie wielkie dłonie w moje włosy. Przyciska się do mnie i bierze moje usta tak gwałtownie, że odchyłam się do tyłu, nad umywalką. Muszę owinąć ręce wokół ramion mężczyzny, aby utrzymać równowagę.

Stoimy ze złączonymi wargami oraz klatkami piersiowymi, całując się tak długo, aż kręci mi się w głowie, kolana trzęsą, a ja odnoszę wrażenie, że zaraz zemdleję.

Wtedy Malek bierze mnie w swoje ramiona, po czym wynosi z łazienki.

Wpadam w panikę, gdy zbliża się do łóżka.

– Co robisz?

– Wszystko, co chcę – kwituje.

Tylko światło z łazienki oświetla pokój, ale to wystarcza, abym mogła zobaczyć intensywny wyraz pragnienia na jego twarzy.

Jasna cholera. Za chwilę zostaną pożarta.

Najgorsze jest to, że wiem, iż jedyna rzecz, jaką mogłabym zrobić, żeby to powstrzymać – mianowicie zawołać Spidera i Kierana – jest również tym, co zakończyłoby ich życie.

Na skraju hysterii mówię:

– Proszę, nie rób mi krzywdy. Wolałabym, żebyś zamiast tego mnie zabił.

Malek doskonale zdaje sobie sprawę, co mam na myśli.

– Gdybym miał zamiar cię zerznąć, ptaszku, nie musiałbym brać tego siłą. Sprawiałbym, że błagałabyś o to. A ty z przyjemnością byś to zrobiła.

Moje przerażenie szybko zmienia się w furję.

– Jesteś szalony! – krzyczę.

– Już ustaliliśmy, że to ty jesteś szalona. Ja jestem potworem, pamiętasz? – Kolejny raz puszcza do mnie cholerne oczko.

Kiedy upuszcza mnie na materac, sapię i przyciskam ręcznik do klatki piersiowej. Szamocę się na boki, starając nie błysnąć golizną.

Malek siada na brzegu łóżka, następnie przyciąga mnie do siebie. Pochyla się i kładzie ręce po obu stronach mojej głowy, przytrzymując mnie w miejscu.

Rozszerzam oczy w zaskoczeniu i hiperwentyluję, kurcząc się na materacu. Trwamy tak przez moment, aż uświadamiam sobie, że mężczyzna czeka, aż się uspokoję. Biorę kilka głębokich wdechów, a po chwili wypuszczam powietrze, obserwując go uważnie. Zastanawiam się, co zrobi w następnej kolejności.

– Lepiej? – pyta.

– Nie.

– Tak. Wydaje mi się, że już ci lepiej. Chcesz, bym ci powiedział, żebyś znowu mnie pocałowała.

– Nie mogę uwierzyć, że masz czelność nazywać mnie wariatką.

Ignorując to, mówi:

– Chcesz też, bym ci powiedział, żebyś rozłożyła dla mnie nogi.

Moją twarz oblewa gorąco.

– Jesteś obrzydliwy – cedzę.

– Po to, żebyś mógł schować twarz między twoje uda i uśmierzyć ten ból językiem – dodaje.

Żywy obraz tej sceny właśnie pojawia się w moim umyśle, wpływając na cały system nerwowy. Moje serce bije jak szalone. W ustach robi się sucho. Wciągam gwałtownie powietrze, drżąc.

Malek widzi, jak działają na mnie jego słowa, i przysuwa wargi do mojego ucha. Jego ton jest niski, chrapliwy.

– Powiedz „proszę”, a ja to zrobię – zapewnia.

Nie jestem w stanie mówić. Mogę tylko potrząsnąć głową i modlić się, aby znudziła mu się ta gra. W końcu się znudzi i zniknie, tym razem na zawsze.

Składa najdelikatniejszy z pocałunków na moim gardle, po czym szepcze:

– Powiedz „proszę”. Pozwól mi cię posmakować.

Dając mały popis swoich umiejętności, chwyta ciepłymi, miękkimi wargami płatek mojego ucha i ssie go.

Po moim ciele rozchodzi się piekący żar, a z ust wypływa słaby jęk. Sutki twardnieją, z kolei mózg zaczyna krzyczeć: „Proszę!”. Przygryzam wargę, żeby nie wydać kolejnych dźwięków.

Wtedy przez drzwi sypialni wpada Kieran i wszystko zmierza ku zagładzie.

ROZDZIAŁ 20

MAL

Jak to zwykle bywa podczas strzelaniny, wszystko dzieje się szybko.

Ochroniarz popełnia pierwszy błąd taktyczny, nie włączając światła. Gdyby to zrobił, na chwilę by mnie oślepił. Ale moje oczy są przyzwyczajone do ciemności, a jego nie.

Poza tym stoi w samym środku drzwi, oświetlony blaskiem z korytarza.

Nie mógłby być lepszym celem, nawet gdyby próbował.

Oddaję pierwszy strzał.

Mężczyzna upada na kolano i również strzela.

Chybia. Kula wbija się w ścianę, nad moim ramieniem.

Jestem świadomy, że Riley krzyczy, lecz ignoruję to, skupiając się na ochroniarzu. Posyłam w jego stronę jeszcze dwie kule, zanim osunie się na podłogę, kaszląc krwią.

W progu pojawia się blond ochroniarz z tatuażem na szyi w kształcie pajęczyny. Kuca nisko, trzymając broń w pogotowiu, z palcem na spuście. Spodziewam się poczuć, jak pocisk gdzieś mnie przeszywa, ale rozprasza mnie ruch z prawej strony.

To Riley.

Wyskakuje przede mnie.

– Nie! – krzyczy.

Przez ułamek sekundy nie rozumiem, co się dzieje.

Co ona robi? Dlaczego nie została na łóżku?

Wtedy rozlega się odgłos wystrzału. Jej ciało drga. Dziewczyna z krzykiem uderza we mnie, po czym upada na podłogę, u moich stóp, i leży tam bez ruchu.

Ochroniarz, który kuca w drzwiach, patrzy na nią pustym, przerażonym wzrokiem.

Otrząsam się i wreszcie zdaję sobie sprawę, co się stało.

Ona po prostu przyjęła kulę przeznaczoną dla mnie.

Zrobiła to celowo.

Szalejący gniew płonie w mojej duszy. Ryk furii wyrywa się z mojej piersi. Przechodzę nad Riley, z bronią wycelowaną w głowę strażnika, jednak zatrzymuję się, gdy kobieta jęczy:

– Nie, Mal. Proszę. Nie rób mu krzywdy.

Ochroniarz zastyga. Nie może odwrócić od niej wzroku. Wciąż trzyma wyciągnięty pistolet, ale jego oczy są szeroko otwarte. W ogóle nie mruga. Jest w pełni skupiony na niej.

Widziałem to już wcześniej, ten rodzaj niedowierzania. To rodzaj zaprzeczenia, tak potężny, że może wyłączyć system nerwowy człowieka.

Jego mózg odmawia przyjęcia do wiadomości tego, co się wydarzyło. Zupełnie przestał działać, a mężczyzna jest w niemym szoku. Mógłbym wpakować cały magazynek w jego klatkę piersiową, tymczasem on nawet by nie mrugnął.

– Mal. Proszę.

Głos Riley jest bardzo słaby. To najcichszy z szeptów, z jakimi się spotkałem.

Ale słysząc go – słysząc sposób, w jaki dziewczyna wypowiada moje imię – pozbywam się morderczego impulsu, by rozerwać strażnika na strzępy gołymi rękami.

Zamiast tego uderzam go pistoletem.

Przewraca się na bok ze stęknieniem, krew spływa po jego skroni.

Odwracam się, podnoszę Riley i przytulam jej nieruchome ciało do piersi, a potem wychodzę przez drzwi.

ROZDZIAŁ 21

DECLAN

Kiedy odbieram telefon, Spider jest w takim stanie, że nie mogę zrozumieć ani jednego słowa, które wypowiada.

Wszystko, co słyszę, to zniekształcony bełkot mieszanki angielskiego i gaelickiego, wykrzykiwany z dużą prędkością.

– Uspokój się, kolego. To, co mówisz, nie ma żadnego sensu. Co się stało?

Bierze wielkie hausty powietrza, po czym mamrocze jedno słowo, które sprawia, że włosy na karku stają mi dęba:

– Malek.

Jasna cholera.

Z miejsca, w którym siedzę, na skórzanym fotelu w salonie bezpiecznego domu na Manhattanie, widzę, jak Sloane robi sobie drinka. Stojąc w jadalni, nalewa whiskey do kryształowej szklanki typu highball. Wygląda na zaabsorbowaną. Zmartwioną.

Wiem, że gdyby usłyszała fragmenty tej rozmowy, jej stan jeszcze by się pogorszył, dlatego wstaję, po czym szybko idę do sypialni.

Jak tylko znajduję się poza zasięgiem słuchu, żądam:

– Powiedz mi wszystko.

Już po niecałych trzydziestu sekundach jestem tak wściekły, że mógłbym zgnieść telefon w dłoni.

– Jak on się tam, kurwa, dostał? – pytam przez zaciśnięte zęby.

– Nie wiem – burczy Spider. – Byliśmy zamknięci, zabezpieczeni. Żaden z alarmów się nie włączył. On jest cholernym duchem, autentycznie.

– Kieran?

– Oberwał. Postrzelony trzy razy. Nadal oddycha, jednak nie wygląda to dobrze. – Milknie na chwilę, aby nabrać więcej powietrza. – I to jeszcze nie koniec informacji. Jest naprawdę źle.

Przygotowuję się na najgorsze i dokładnie to dostaję.

– Zanim ten rosyjski drań uciekł z Riley... ja... – Jego głos się łamie. – Przypadkowo ją postrzeliłem. Ta kula była przeznaczona dla niego, ale ona znalazła się na linii strzału – tłumaczy.

Oddech wypływa z moich płuc w słyszalnym szumie. Życie przelatuje mi przed oczami.

Kiedy Sloane się o tym dowie, wszyscy zginiemy. Kieran, Spider, cała załoga.

Ze mną włącznie.

Udaje mi się zapytać:

– Czy ona żyje?

– Nie wiem. Było ciemno. Kurwa, szefie, tak mi przykro. Nienawidzę siebie za to – mamrocze z wyraźnym żalem.

Słyszę szczerą w jego głosie, ale poczucie winy Spidera nie jest teraz najważniejsze. Są o wiele istotniejsze sprawy, którymi trzeba się zająć w pierwszej kolejności. Z trudem wciągam powietrze i głośno je wypuszczam, nim włączę tryb dowodzenia.

– Zabierz Kierana do szpitala. Kiedy będzie bezpieczny i stabilny, przejrzyj monitoring. Sprawdź, czy możesz dowiedzieć się, jak ten sukinsyn dostał się do środka. Potem wyczyść wszystko i spal. Zrozumiano?

– Aye – potwierdza.

– Zadzwoń do ciebie za dwie godziny. Do tego czasu z nikim nie rozmawiaj.

Rozłączam się akurat w momencie, gdy Sloane wchodzi do środka. Rzuci jedno spojrzenie na moją twarz i mówi:

– O kurwa.

To błogosławieństwo, a jednocześnie przekleństwo, że potrafi mnie tak łatwo czytać.

Podchodzę do niej powoli, wsuwając komórkę do kieszeni spodni, i wytrzymuję jej zaniepokojone spojrzenie.

– To, co ci powiem, bardzo cię zdenerwuje. Powinnaś usiąść – oznajmiam.

Zamiast tego wypija whiskey.

– Pieprzyć siedzenie, gangsterze. Lepiej myślę, kiedy stoję twardo na nogach.

Sięgam po nią, ale ona podnosi rękę, żeby mnie powstrzymać.

– Po prostu wal prosto z mostu. Co się dzieje?

Niespiesznie nabieram powietrza. Choć pragnę wziąć Sloane w ramiona i powiedzieć jej ładne kłamstwo, wiem, że to tylko by ją rozzłościło.

Pilnując, by mój głos brzmiał pewnie, informuję:

– Malek znalazł kryjówkę w Bostonie. Włamał się. Nastąpiła wymiana ognia. Uciekł... i zabrał ze sobą Riley.

Krew odpływa jej z twarzy. Stoi bez ruchu, a puls dziko bije z boku jej szyi.

– Zabrał. Ją – powtarza powoli.

Kurwa, tak trudno nie wyciągnąć w jej stronę ramion.

– Aye.

– Gdzie?

– Jeszcze nie wiemy. Ale znajdziemy ją. – Milknę, żeby miała czas przyswoić te informacje, a potem dodaję łagodnie: – Została zraniona, kochanie. Postrzał.

Sloane upuszcza pustą szklankę i zasłania dłońmi usta.

Teraz nic nie mogę na to poradzić. Muszę jej dotknąć. Chwytam ją, owijam ramiona wokół jej pleców i trzymam mocno, opuszczając głowę, aby mówić wprost do jej ucha.

– Nie wiem, jak bardzo jest źle, ale znajdziemy ją. Obiecuję ci. Zrobimy wszystko, co trzeba – zapewniam.

Drży w moim uścisku, oddychając nierównomiernie. Myślę, że mogła doznać szoku...

...dopóki nie odsuwa się gwałtownie i nie wbija we mnie śmiertelnego spojrzenia.

– Obiecałeś mi też, że będzie bezpieczna w tej kryjówce! Więc nie obiecuj nic więcej, dobrze? Jaki jest plan? Jak mamy zamiar ją znaleźć? Jak zamierzamy ją odzyskać? Co konkretnie zamierzamy zrobić? – wyrzuca z siebie pytania z prędkością torpedy.

To dwa z wielu powodów, dla których kocham Sloane. Ta jasność umysłu. Ten wdzięk mimo presji. Jest absolutnie nieustraszoną kobietą z jajami.

Prawie współczuję Malekowi.

Jeśli moja królowa kiedykolwiek dostanie go w swoje ręce, będzie żałował, że się urodził.

– Dam znać ludziom. Zaoferuję pieniądze. Duże. Jeśli ktoś coś widział lub słyszał, szybko będę o tym wiedział. Główne węzły komunikacyjne będą monitorowane. Jeżeli Malek spróbuje przemyścić Riley na lotnisko albo przystanek autobusowy, zostanie zatrzymany. I zadzwonię do Graysona, jak tylko skończymy rozmawiać – wyjaśniam.

Grayson to moja wtyczka w FBI. Jeśli ktokolwiek jest w stanie odkryć, gdzie po Stanach krąży osławiony rosyjski zabójca, to właśnie on.

Sloane przetyka ślinę, powoli kiwa głową i zwilża wargi.

A potem mówi coś, co mnie rozwściecza.

– Zadzwonię do Stavrosa, żeby sprawdzić, czy coś wie.

– Absolutnie, kurwa, nie – warczę, wściekły.

Kiedy tak stoi i patrzy na mnie wypełnionymi łzami oczami, czuję się jak dupek i niżam głos.

– W ciągu ostatniego miesiąca dwukrotnie próbował mnie zabić – przypominam.

– Nie udało mu się. I wiesz, że mu się nie uda, nieważne, ile razy będzie próbował. Ten człowiek strzelał jedynie do zwykłych płotek. Nigdy też nie trafił w żadną z nich. Jest całkowicie niekompetentny w mordowaniu.

– Ma również obsesję na twoim punkcie.

– Właśnie. On jest naszym najlepszym wyborem – zaznacza Sloane.

– Zadzwonię do Kazimira. On będzie wiedział więcej niż ten twój głupi były chłopak.

– Kage jest twoim wrogiem. Nienawidzi Irlandczyków. Gównu ci powie. – Prycha.

Pewnie ma rację, ale ten drań i tak jest mi winien przysługę. Kazałem usunąć jego akta z FBI, do kurwy nędzy.

– Chyba że najpierw zadzwonię do Nat – dodaje Sloane.

– Nie sądzę, żeby trzeba było ją w to mieszać – mamroczę.

Ignorując mój komentarz, zastanawia się przez chwilę, a potem kiwa głową, jakby podjęła decyzję.

– Nat zna Riley od dziecka. Będzie chciała pomóc. A jeśli ktoś może sprawić, że Kage z tobą porozmawia, to właśnie ona.

Nie czekając na moją odpowiedź, wyjmuję komórkę z kieszeni dżinsów i wybiera numer koleżanki.

Obserwuję ją, kręcąc głową.

Ktokolwiek powiedział, że to mężczyźni rządzą światem, cholernie się mylił.

ROZDZIAŁ 22

KAGE

Leżę nago w łóżku, obok Nat. Mam pełny brzuch, pełne serce i puste jaja.

Moja ukochana będzie rano obolała.

– Dobrze się czujesz? – mruczę, gdy moje usta muskają jej włosy.

Śmiech Nat jest miękki i radosny. Głowa kobiety spoczywa na mojej klatce piersiowej, a ona przytula się do mnie mocno, przyciskając nagie ciało do mojego.

– Wiesz, że tak. Ludzie mogli usłyszeć mój krzyk aż w Seattle. – Chichocze.

Odchylam jej głowę i całuję delikatnie w usta. W słabym świetle pokoju widzę, jak łagodne są jej oczy, jak pełne oddania, i po raz kolejny jestem zdumiony, że pokochałem tę kobietę.

Mężczyźni tak źli jak ja nie zasługują na takie szczęście.

– Kolacja była wspaniała – przyznaję.

– Dziękuję. Cieszę się, że ci smakowała.

– Smakowała? Zjadłem cztery porcje tej lasagne. Prawie wylizałem talerz. – Śmieję się.

– Ale zamiast tego wylizalesz mnie – szepcze seksownie.

Myśl o tym, jak mocno dla mnie doszła, powoduje, że mój kutas sztywnieje.

– Masz cholerną rację, dokładnie to zrobiłem. A ty byłaś niesamowicie głośna.

Jej śmiech jest tak słodki, że sprawia, iż mój fiut staje się jeszcze twardszy. Przewracam ją na plecy, przyciskam swoją klatkę piersiową do jej i całuję ponownie, tym razem łakomie.

Kiedy odrywamy się od siebie na chwilę, by zaczerpnąć powietrza, ona znowu się śmieje.

– Kochanie! Daj mi minutę, bym złapała oddech, dobrze? W ciągu ostatniej godziny miałam już trzy orgazmy!

– Tylko trzy? – pytam z oburzeniem, a ona śmieje się głośniej.

Przestaje, gdy zaczyna dzwonić telefon leżący na szafce nocnej po jej stronie.

– Kobieto – mówię surowo. – Co ci mówiłem o trzymaniu komórki obok łóżka?

– Coś niezbyt interesującego, co zignorowałam.

– Wyłącz ją.

– Pozwól mi tylko sprawdzić, kto się do mnie dobija, to zajmie chwilę. To może być Sloane.

– Właśnie tego się boję.

Naciska na moją klatkę piersiową, lecz ja się nie ruszam. Telefon wciąż dzwoni.

– A jeśli zawrę z tobą umowę, że to ostatni raz, kiedy trzymam komórkę w sypialni? – Patrzy na mnie błagalnie.

– Już zawarliśmy tę umowę. Ale o niej zapomniałaś, co jest dla ciebie bardzo wygodne.

– Och. Faktycznie. – Wpatruje się we mnie, przygryzając wargę, niemo błagając wielkimi szczenięcymi oczami.

– Nie, kochanie. Nie rzucaj mi tego spojrzenia.

– Proszę?

Ach, kurwa.

Wie, że nie mogę się oprzeć temu słodkiemu, miękkiemu tonowi i tym słodkim, błagalnym oczom. Nie mam pojęcia, dlaczego w ogóle zawracam sobie głowę próbowaniem.

Staczam się z niej z ciężkim westchnieniem, kładę na plecach i patrzę w sufit.

– Dziękuję, kochanie. – Pochyliła się i daje mi buziaka w policzek, zanim odbierze telefon. – Halo?

Następuje długa cisza, gdy słucha, co mówi osoba po drugiej stronie. Moment później krzyczy:

– O mój Boże! Nie! Sloane, tak mi przykro!

To Sloane. Oczywiście, że tak. I mogę już powiedzieć, że o czymkolwiek mówi Nat, to jakiś gigantyczny rozpiardol, w który będę musiał się zaangażować.

Powiniennem był wyrzucić tę cholerną komórkę przez okno, kiedy miałem okazję.

Nat słucha jeszcze przez kilka chwil, po czym odpowiada gorączkowo:

– Oczywiście! Natychmiast włącz go w rozmowę! Ja zaraz zaangażuję Kage’a.

Przewraca się na bok, ciska we mnie telefonem i żąda:

– Musisz porozmawiać z Declanem.

Spoglądam na nią zaraz po odwróceniu głowy na poduszce.

– Natalie – mówię beznamiętnie.

– Nie używaj tego tonu w stosunku do mnie, Kage! To jest ważne! Młodsza siostra Sloane została porwana przez jakiegoś rosyjskiego zabójcę o imieniu Malek i dodatkowo postrzelona. Musimy pomóc ją odnaleźć!

Ten sukinsyn.

Siadam, biorę od niej komórkę i przykładam ją do ucha.

– Zaczynaj mówić, dupku – rzucam wkurwionym tonem.

– Ty też się pierdol, bezwartościowy kawałku gówna. Czy miałeś z tym coś wspólnego? – Dobiaża mnie głos z drugiej strony.

– Nawet nie wiem, co masz na myśli, mówiąc z tym.

– Nie? Masz w swojej drużynie wielu nieuczciwych graczy? Bo odniosłem wrażenie, że jesteś wielkim szefem Bratwy. A jeśli mam rację, to powinieneś doskonale zdawać sobie sprawę, co się, kurwa, dzieje na twoim terenie. A może cię przeceniłem? – warczy Declan.

To ostatnie zdanie wypowiada z taką pogardą, że w moich oczach od razu pojawiają się wściekłe kurwiki i ogień. Widzę wszystko na czerwono.

To jego krew, którą dostrzegam. I jego ciało w samym środku wielkiej kałuży.

– Po prostu przejdź do sedna, Irlandczyku – odpieram.

– Malek Antonow. Znasz to nazwisko?

– Tak. Nie jest pod moją jurysdykcją – oznajmiam.

Declan krzyczy:

– Cały ten cholerny kraj jest pod twoją cholerną jurysdykcją, ty cholerny ćwoku!

Zamykam oczy i oddycham powoli przez nos. Liczę do dziesięciu. Kiedy unoszę powieki, zauważam, że Natalie chodzi tam i z powrotem, nago, tuż przy końcu łóżka, skubiąc paznokiec u kciuka.

Fakt, że jest tak zmartwiona, to jedyny powód, dla którego się nie rozłączam. Kontrolując głos, mówię:

– On jest poza Moskwą. Wiesz równie dobrze jak ja, że stary kraj ma własny łańcuch dowodzenia.

– Nie u nas.

– Istnieliśmy na długo przed tym, zanim została stworzona mafia. Rosja jest ponad dwieście razy większa od Irlandii. Sprawy są bardziej skomplikowane.

– Pierdolenie.

– Dobra. Świetnie się gadało. Spierdalaj do morza, Irlandczyku. – Kręcąc głową, wyciągam telefon w kierunku Nat. – Zabierz to ode mnie, zanim go zniszczę.

Patrzy na mnie groźnie, zakładając ręce na piersi.

– Dokończ rozmowę, Kazimir.

Kurwa. Mówi do mnie po imieniu.

Po imieniu mówi do mnie wyłącznie wtedy, kiedy mam jakieś kłopoty.

Wkurzony, przykładam komórkę z powrotem do ucha.

– Czego chcesz?

– Chcę, żebyś mi powiedział, gdzie mogę go znaleźć – odpowiada Declan.

– Nie mam pojęcia.

– Jesteś cholernym kłamcą.

– Tak. Ale nie w tej sprawie – mówię.

W słuchawce słyszę słowa wypowiedane po gaelicku, pewnie przekleństwa. Sprawia mi to przyjemność.

Powstrzymując uśmiech, bo Nat mnie obserwuje, oznajmiam:

– Może gdybyś nie wpadł w szal zabijania i nie zamordował jego brata, nic takiego by się nie wydarzyło. Pomyśl o tym.

– Nie miałem pojęcia, że to jego brat! Mieszkali w różnych krajach! A czy wiesz, ilu z was, cholernych Rosjan, ma to samo nazwisko?

– Jakaś darmowa rada? Następnym razem, gdy będziesz chciał zabić kogoś z Bratwy, nie rób tego.

Posyła serię plugawych przekleństw, długich i pogardliwych, wypowiadając każde z nich tak głośno, że muszę trzymać telefon z dala od ucha, by nie ogłuchnąć.

Kiedy w końcu zapada cisza, przykładam urządzenie z powrotem do ucha.

– Pozwól, że wyrażę się jasno. Nie wiem, gdzie on jest. Nie mam nad nim żadnej kontroli. Nie dałem mu pozwolenia na ruszanie siostry Sloane – wyjaśniam.

– Ale wiedziałeś, że on tu jest. Rozmawiałeś z nim. Mogę to stwierdzić po twoim głosie – odpiera po chwili ciszy.

Więc może ten dupek jest mądrzejszy, niż mi się wydaje.

Może.

– Nie miałem nic wspólnego z tym porwaniem. Daję ci na to moje słowo.

– Twoje cholerne słowo – szydzi.

Zniżam głos.

– Tak. W ten sam sposób daję ci moje słowo, że nie powiedziałem żadnemu z twoich przyjaciół z irlandzkiej mafii ani innym rodzinom, kim naprawdę jesteś. Albo z kim współpracujesz. Bo gdybym to zrobił, obaj wiemy, co by się już stało.

Milczy, a ja niemal słyszę trybiki obracające się w jego głowie, które pędzą z prędkością światła. Jednak Declan ciągle się nie odzywa.

– Dziękuję, że nie obrażasz mojej inteligencji zaprzeczeniem – rzucam wreszcie, chcąc przerwać tę ciszę.

– Nie ma za co. Ja również dziękuję, że nie obrażasz mojej inteligencji zaprzeczeniem.

– Czy ci się to podoba, czy nie, jestem z tobą szczery.

– Nie mówię teraz o Maleku – informuje.

Chryste, on jest denerwujący. Mówi pieprzonymi zagadkami.

– To o czym ty, do cholery, mówisz? – pytam.

– O twoim udziale w śmierci Maksyma Mogdonowicza – rzuca.

Brzmi na tak przekonanego, że wiem, iż ma informacje, których nie powinien posiadać. On nie zgaduje.

On wie.

Kurwa.

Gdy przez moment się nie odzywam, wyłącznie z zaskoczenia, Declan dodaje:

– Pamiętasz Maxa, *aye*? Twojego starego szefa? Tego, który zginął w więziennych zamieszkach, dogodnie wynosząc twój bezwzględny tyłek na miejsce numer jeden? Zabawne, jak to się stało. – Śmieje się. – Ciekawe, co twoi chłopcy z Bratwy mieliby do powiedzenia, gdyby dowiedzieli się, że zaaranżowałeś całą sprawę?

– Jesteś żalonym ignorantem.

– A ty jesteś jak puszka szczyn. Chodzi mi o to, że obaj wiemy o sobie nawzajem rzeczy, których nie powinniśmy. Skupmy się na ważnej sprawie. Powiedz mi, gdzie mogę znaleźć tego drania Maleka. Gdzie mieszka? W jaki sposób się przemieszcza?

– Mówiłem ci, że nie wiem – odpowiadam.

– A pamiętasz, że nadal jesteś mi coś winien za usunięcie twoich akt z FBI?

– Nieprawda. Pozwoliłem Sloane zostać z nami, kiedy ty zajmowałeś się swoimi sprawami. Twoimi niebezpiecznymi sprawami, które teraz przywalały ci w twarz. Nie musiałem tego robić. – Wzdycham, mając dosyć tej rozmowy.

– Posłuchaj mnie, ty... – podnosi głos.

– Dałem twojej kobiecie schronienie. Mój dług został spłacony. Koniec.

Następuje cisza tak długa, że zaczynam myśleć, iż Declan się rozłączył.

– Jeśli mi pomożesz, oddam ci przysługę – mówi po dłuższej chwili. – Jedną przysługę. Wszystko, o co poprosisz. Bez żadnych haczyków, dosłownie wszystko.

– Dobra: strzel sobie w głowę – rzucam bez zastanowienia.

– Cokolwiek innego niż to, ty cholerny, wielki frajerze – cedzi, a kiedy nie odpowiadam, kontynuuje: – Wiesz, że to, co oferuję, jest cenne. Wszystko, co musisz zrobić, to dać mi coś, co pozwoli mi iść dalej. Dać mi jakąkolwiek cenną wskazówkę, trop, który poprowadzi mnie dalej. Daj mi, kurwa, cokolwiek, co pomoże nam ją znaleźć, a będę ci winien przysługę. Dowolną, bez dyskusji.

Rozważam to. Przez głowę przebiega mi tuzin różnych niezwykle przydatnych rzeczy, o które mógłbym go poprosić. Choć nie lubię tego przyznawać, Declan O'Donnell jest potężnym człowiekiem.

Nigdy nie wiadomo, kiedy posiadanie przysługi u kogoś takiego się przyda.

I specjalnie powiedziałem Malekowi, by nie skrzywdził żadnej kobiety, gdy będzie się mścił. Byłem bardzo precyzyjny w tej kwestii. W trakcie porwania, które nie powinno mieć miejsca, postrzelono dziewczynę.

Nie byle jaką dziewczynę.

Taką, na której zależy Natalie. Taką, którą Natalie chce, żebym pomógł odnaleźć.

Decyzja podjęta.

– W porządku, Irlandczyku. Mamy umowę. Pozwól mi wykonać kilka telefonów. Odezwę się do ciebie, kiedy będę coś miał.

Rozłączam się, zanim znów musiałbym słuchać jego irytującego akcentu.

Następnie, z Natalie u boku, obserwującą mnie nerwowo, zaczynam wybierać numer.

ROZDZIAŁ 23

RILEY

Czuję ból dosłownie wszędzie.

Najbardziej w brzuchu, ale chyba promieniuje wszędzie, wszędzie naraz. Każdy oddech to agonia. Najmniejszy ruch to tortura. Nawet powietrze muskające moją skórę sprawia mi ból.

Boli tak bardzo, że chciałabym umrzeć.

Chociaż moje oczy są zamknięte, a umysł jest ospały przez tępy ból, wciąż mam namiastkę świadomości i czuję, gdzie jestem.

Czuję zapach środków antyseptycznych.

Słyszę słowa wypowiedane cicho w obcym języku.

Czuję zimne ukłucie metalu, gdy igła zostaje wbita w moje ramię, a następnie słabe pieczenie w żyłę.

W ciągu kilku sekund najostrzejszy ból ustępuje, na co odruchowo z moich ust wypływa jęk wdzięczności.

Dzwoni telefon komórkowy.

Słyszę ciężkie, oddalające się kroki.

A potem głos, który rozpoznaję. Słowa są wypowiedane po angielsku.

– Też mam tu coś do powiedzenia, mam jakieś prawa. Nie możesz tego kwestionować.

To Malek. Brzmi na wściekłego.

Ponownie zapada cisza, tym razem dłuższa. Później mężczyzna szybko mówi, niemal wypluwając z siebie słowa.

– Wziąłem ją jako spłatę za Michaiła. To, co robię od tego momentu, to nie twój interes. To wszystkie wyjaśnienia, jakie otrzymasz, Kazimirze. Ona jest teraz moja. Nie kontaktuj się ze mną więcej.

Ciężkie kroki zbliżają się. Malek znów mówi, tym razem po rosyjsku.

Również po rosyjsku pada odpowiedź z mojej prawej strony.

Jest to głos mężczyzny. Mężczyzny, który brzmi na zdenerwowanego. Wyczuwam, że w pobliżu są też inni ludzie, obserwujący całą tę scenę w milczeniu, tak samo zdenerwowani jak on.

Kiedy Malek odpowiada, rozumiem go, więc musi znowu mówić po angielsku. Ale mój mózg przypomina papkę. Cokolwiek jest pompowane w moje ramię, popycha mnie szybko w kierunku nieprzytomności.

– Zrób to – warczy. – Jeśli ona umrze, wszyscy dołączycie do niej w zaświatach.

Słowa wlatują do moich uszu, opuszczają je, odbijają się echem od sufitu, a następnie znikają w powietrzu.

Fala ciemności rozbija się i połyka mnie w całości.

Tak jak przypływ, ciemność powoli odpływa.

Przez moje przymknięte powieki przebija się rozproszone światło. Czuję go gdzieś w pobliżu: ten upojny zapach gęstego lasu nocą. Mój puls przyspiesza. Stałe mechaniczne pikanie przyspiesza, by mu dorównać. Muszę być podłączona do monitora.

– Żyj, mały ptaszku – mówi Mal. Jego usta muszą znajdować się blisko mojego ucha, głos jest niski i przepełniony jakąś emocją. – Leć do mnie z powrotem.

Bardzo powoli otwieram oczy i wtedy go zauważam. Unosi się nade mną jak anioł śmierci, jest piękny i z innego świata, jego blade oczy płoną jasnością.

Najwyraźniej on wierzy, że mogę umrzeć.

Sięga po moją zimną dłoń i ściska ją. Mocno.

– Żyj – rozkazuje surowo.

Fala ciemności wzbiera, by ponownie mnie pochłonąć.

Czuję, jak silne ramiona podnoszą moje bezwładne ciało. Ból jest potworny, ale nie mogę krzyczeć. Nie mam władzy nad żadną częścią ciała, w tym nad strunami głosowymi. Jestem wiotka, moje kończyny dyndają bez życia jak u lalki. Nie mam dość energii, by nawet otworzyć oczy.

Jest mi też zimno. Przerażliwie zimno.

Zostałam uwięziona we wnętrzu góry lodowej.

Nagle pojawia się ruch. Dezorientujący ruch. Nie wiem, w którym kierunku jest góra, a w którym dół. Zdaję sobie sprawę, że ramiona, które mnie niosły, zniknęły. Dociera do mnie również, że zostałam położona na wygodnej powierzchni.

Musiałam być położona na płasko, lecz nie mogę sobie tego przypomnieć. Nadal nie mogę także unieść powiek.

Coś miękkiego i ciężkiego okrywa moje ciało. Niski szum koi rozkrzyczane nerwy. Kołysanie wprowadza mnie w trans. Jestem otulona ciepłem i bezpieczeństwem. Choć intensywny ból nie minął, czuję się dziwnie spokojna. Spokojna i nieważka, jakbym unosiła się bezwładnie w powietrzu parę stóp dalej, obserwując.

Może już nie żyję.

Myślałam, że życie pozagrobowe będzie mniej bolesne niż to.

Kołysanie zwalnia, po czym ustaje. Nabieram powietrza, a ono pachnie śniegiem.

– Dobry wieczór, proszę pana. Czy mogę zobaczyć pański paszport, proszę? – Męski, nieznany mi głos jest przyjazny. Po przerwie rozbrzmiewa ponownie. – Jak długo planuje pan zostać w Kanadzie?

– Kilka dni.

– Jest pan tu w interesach czy dla przyjemności?

– Dla przyjemności. Zawsze chciałem zobaczyć wodospad Niagara z drugiej strony.

– Czy ma pan jakiś bagaż do oddania?

– Nie.

Następuje kolejna chwila ciszy, po której przyjazny człowiek życzy Malowi bezpiecznej podróży.

Do moich uszu znów dociera szum. Ruch kołysania z powrotem wprowadza mnie w trans.

Kolejny raz spowija mnie ciemność.

Kiedy otwieram oczy minutę lub sto lat później, leżę na plecach w obcym łóżku.

W pokoju jest zimno, jasno i cicho, a widok jest przyjemnie rozmazany. Bez okularów nie mogę dostrzec szczegółów otoczenia, ale nie czuję, żebym była w szpitalu. Nie pachnie też jak w szpitalu.

Powietrze wyraźnie pachnie ogniskiem i sosnowymi igłami. Ciężkimi chmurami deszczowymi oraz mokrym podszyciem. Gęstym, zielonym mchem wspinającym się po starożytnych pniach drzew, których wierzchołki spowija mgła.

Rodzajem dzikiej przyrody, gdzie nie ma ludzi.

Przypomina mi to wycieczkę kempingową w pobliżu Muir Woods, na którą wybraliśmy się całą rodziną, gdy byłam dzieckiem. Pamiętam zbieranie drewna na ognisko, zimne noce spędzone w przytulnych śpiworach, niebo nad głową mieniące się gwiazdami. Szeptaliśmy i chichotałam ze Sloane do późna w nocy w naszym namiocie po tym, jak nasi rodzice zasnęli w swoim.

To jedno z ostatnich dobrych wspomnień, jakie mam z siostrą, z czasów, zanim umarła nasza mama.

Przez moment leżę nieruchomo, po prostu oddychając. Próbuję posklejać poszarpane, zamglone wspomnienia. Tylko ich fragmenty wypływają na powierzchnię. Krótkie chwile świadomości pomiędzy długimi pasmami czerni. Nawet to, co mogę sobie przypomnieć, jest zamazane i pełne zakłóceń.

Nie mam pojęcia, ile czasu minęło.

– Halo? Czy ktoś tu jest? – Mój głos przypomina skrzek żaby. Moje usta są suche jak popiół.

Ciężkie kroki zbliżają się, po czym zatrzymują obok mnie. Wiem, że to on, zanim się odezwie. Wszędzie poznałabym jego krok i zapach. Tę mroczną obecność, tak potężną jak grawitacja.

– Obudziłaś się. – Zaskoczenie łagodni naturalnie szorstki tembr jego głosu.

Zaskoczenie i coś jeszcze.

Ulga?

Rozczarowanie, bardziej prawdopodobne.

Zwilżam wargi językiem, przełykam ślinę, a następnie kaszlę. Kiedy mięśnie brzucha się kurczą, czuję się, jakby ktoś wbił mi rozgrzany do czerwoności pogrzebacz prosto w jelita. Krzyczę w agonii.

Malek mruczy coś po rosyjsku, kojące, bezsensowne słowa, a potem podpira moją głowę jedną ręką i przyciska mi do ust szklanke.

Woda. Lodowato zimna i przejrzysta. To najpyszniejsza rzecz, jakiej kiedykolwiek posmakowałam.

Piję łapczywie, aż nic nie zostaje. Wtedy mężczyzna zabiera szklanke i przejeżdża kciukiem po mojej dolnej wardze, ocierając kroplę.

– Gdzie ja jestem? Co się stało? – pytam szeptem. – Czy z Kieranem wszystko w porządku?

Materac ugina się pod jego ciężarem. Malek pochyla się, kładąc rękę obok poduszki, następnie przybliża twarz do mojej. Wpatruje się z góry w moje oczy i odpowiada na pytania tak zwięźle, jak je zadałam.

– Jesteś w moim domu. Zostałaś postrzelona przez swojego ochroniarza. Tego blondyna. Nie wiem, czy ten drugi żyje. Dowiem się, jeśli panienka sobie tego życzy.

– Tak, proszę.

Kiwa głową.

Patrzymy na siebie w milczeniu. Gdzieś na zewnątrz kruk kracze trzy razy.

Wydaje się, że to zły omen, jak stado gęsi zamordowanych przez samolot, gdy schodziliśmy do lądowania w Bostonie.

– Ja... nie pamiętam, żeby mnie postrzelono – wyznaję.

Znowu przytakuje, ale nie odpowiada na to.

– Czy nic mi nie będzie?

– Straciłaś nerkę. I śledzionę. I dużo krwi.

– To znaczy: tak czy nie?

– To znaczy: może. Jak się czujesz? – zwraca się do mnie z troską.

Myślę o tym, szukając idealnego słowa, by opisać uczucie skrajnego osłabienia, przytłaczającego wyczerpania oraz pulsującego, sięgającego do kości bólu.

– Gównianie.

Przygląda mi się uważnie. Jego twarz jest pozbawiona choćby cienia radości, a on skupia się całkowicie na mnie. W końcu pyta:

– Zupy?

Mrugam, dezorientowana, nie będąc pewna, czy dobrze usłyszałam, ponieważ mój mózg nadal jest papką.

– Słucham?

– Czy myślisz, że możesz coś zjeść?

Teraz rozumiem.

– Co to za zupa?

Krzywi się.

– Taka, jaką zrobiłem. Chcesz ją czy nie?

Mówimy o zupie. To jest szalone. Skup się, Riley. Dowiedz się, co się dzieje.

Zamykam oczy i powoli wypuszczam powietrze przez nos.

– Dlaczego tu jestem?

Malek milczy przez chwilę. Potem jego głos staje się bardzo niski.

– Bo chcę, żebyś była.

Boję się otworzyć oczy, ale i tak to robię. Mężczyzna wpatruje się we mnie z milionem niewypowiedzianych rzeczy płonących w jego spojrzeniu, a wszystkie z nich są przerażające.

Staram się, żeby mój głos był pewny.

– Jak długo tu będę?

– Tak długo, jak będzie trzeba – znowu odpowiada wymijająco.

Nie mam siły, aby zapytać go, co to znaczy, ani energii, by poradzić sobie z jakąkolwiek odpowiedzią. Po prostu przygryzam wargę i przytakuję, jak gdyby cokolwiek z tego miało jakikolwiek sens.

Malek natomiast podnosi się i wychodzi.

Słyszę dźwięki dobiegające z innego pomieszczenia. Stukot garnków na kuchence. Odgłos otwierania i zamykania drzwi, a także wody wpływającej do zlewu.

Niedługo później mężczyzna wraca, trzymając w rękach zwykłą, białą, ceramiczną miskę. Znów siada na brzegu materaca, po czym stawia naczynie na drewnianym stoliku obok łóżka.

– Zamierzam cię podnieść. To będzie bolało – ostrzega.

Nim zdążę zaprotestować, że już wystarczająco mnie boli, łapie mnie pod pachy i podnosi do pozycji siedzącej.

Nie przesadzał: to boli. Boli jak cholera. Odnoszę wrażenie, jakby tysiąc noży wbijało się w mój brzuch, rozcinając go. Ból pozbawia mnie tchu. Nie jestem w stanie wydać żadnego dźwięku.

Podtrzymując mnie jedną ręką, drugą Malek układa poduszkę przy ścianie. Pomaga mi się o nią oprzeć, delikatnie uciszając mnie, gdy jęczę.

Ponownie siada obok, następnie podnosi miskę i wkłada do niej łyżkę, którą chwilę później przysuwa do mojej twarzy. Czeka cierpliwie, aż unormuję oddech i rozchylę wargi, a kiedy to robię, wsuwa między nie łyżkę.

Zupa jest gorąca, kremowa i pyszna. Połykam łapczywie, oblizując usta.

Malek chrząka w zadowoleniu, po czym podaje mi kolejną porcję.

Dopiero gdy docieramy do połowy miski, odzywam się:

– Jak długo tu jestem?

– Od ostatniej nocy. Wcześniej spędziłaś sześć dni w szpitalu.

Byłam nieprzytomna przez tydzień? Niemożliwe.

– Przebywałaś na oddziale urazowym, dopóki nie byłaś wystarczająco stabilna, żeby cię przetransportować – oznajmia, widząc mój szok.

– Oddział urazowy – powtarzam, usiłując znaleźć odpowiednie wspomnienie.

Niestety nic się nie pojawia w mojej głowie. To martwy punkt. Pusta kartka.

– Byłaś w miejscu, z którego nieoficjalnie korzystamy. Przeszłaś operację. Dostałaś środki przeciwbólowe, antybiotyki i byłaś nawadniana przez kroplówkę. Miałaś również transfuzję krwi. – Robi przerwę. – Nie powinnaś żyć.

– Mówiłam ci, że jestem uparta – odpieram słabym głosem.

– Tak, mówiłaś.

Wpatruje się we mnie z tak wielkim pożądaniem, że zaczynam się czuć niepewnie.

Wszystko to jednak znika, kiedy moje usmażone synapsy postanawiają zacząć znowu działać, a ja przypominam sobie coś, co Spider wyznał mi, gdy uciekaliśmy przed Malekiem z księgarni.

On jest prawą ręką moskiewskiego króla Bratwy.

Istotna jest tutaj informacja o Moskwie.

Moje serce zaczyna bić w piorunującym galopie, z kolei głos staje się ochryply.

– Kiedy powiedziałaś, że jestem w twoim domu... Gdzie my dokładnie jesteśmy?

Wytrzymując moje spojrzenie, wypowiada jakieś słowo.

Nie mówi go po angielsku.

Instynkt podpowiada mi, że to nazwa jakiegoś miasta, ale to nie może być to, co myślę. Nie chcę wierzyć, że to prawda.

– Dokąd mnie zabrałaś? Gdzie jest to miejsce? – szepczę.

Milczy. Jego oczy są pełne mroku. Ten mrok jest tak głęboki, to tak nieprzenikniona ciemność, że czuję, jakbym patrzyła w otchłań.

– Już wiesz, gdzie jesteś. I to jest miejsce, w którym zostaniesz.

Wstaje i wychodzi z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 24

DECLAN

– Mam coś. – Dźwięk głosu Kazimira na drugim końcu linii przynosi mi natychmiastową ulgę, jak i wywołuje agresję.

– Minął już ponad tydzień! – wykrzykuję.

– Masz szczęście, że w ogóle coś znalazłem. – Robi przerwę. – Czy twój kontakt z FBI przyszedł ci z pomocą?

– Dobrze wiesz, że nie. – Zgrzytam zębami.

– No właśnie. I dodam tylko, że musiałem zabić trzech ludzi, żeby zdobyć te informacje. Więc byłoby miło, gdybyś okazał trochę wdzięczności.

– Po prostu przejdź już do sedna sprawy!

– Skoro tak ładnie prosisz, to już przechodzę do sedna. – Jego głos jest przesiąknięty sarkazmem i samozadowoleniem.

– Umrę przez tego cholernego kutasa – mamroczę pod nosem.

– Przy odrobinie szczęścia. – Nabija się ze mnie. – Chcesz usłyszeć, co mam do powiedzenia, czy nie?

Jestem wkurwiony.

Kazimir wydaje się *zadowolony* z mojego milczenia i kontynuuje:

– Ona jest w Rosji.

Ta informacja sprawia, że od razu żałuję, iż chciałem wiedzieć. Po otrząśnięciu się z szoku odpowiadam:

– Jakim cudem? Mieliśmy oczy na cały kraj. Monitorowaliśmy lotniska, dworce autobusowe, porty, wszystko.

– To śliski skurwiel, ot co. A granica z Kanadą jest notorycznie przeoczana.

Kanada. Pojechał na północ. Kurwa.

– Mów dalej.

– Ukradł ciężarówkę, zmienił tablice i przemycił dziewczynę przez granicę w pobliżu wodospadu Niagara. Mądre posunięcie, biorąc pod

uwagę dzienny ruch turystów. Ciężarówkę znaleziono porzuconą niedaleko małego lotniska w Hamilton, w Ontario. Stamtąd odlecieli.

– Miejsce docelowe? – pytam, przecierając dłonią twarz.

– Rodzinne miasto Maleka. Moskwa.

Moskwa. Szóste co do wielkości miasto na świecie, z ponad dwunastoma milionami ludzi.

I ani jeden z nich nie chce nam pomóc w odnalezieniu Riley.

– Więc żyła, kiedy wyjechali ze Stanów.

– Tak – potwierdza Kazimir. – Choć z tego, co mi powiedziano, ledwo.

To się robi coraz ciekawsze.

– A teraz? – dopytuję, czując, że brakuje mi tchu.

– Nie mam pojęcia. Brak jakichkolwiek śladów Maleka. Nikt nie wie, gdzie on dokładnie mieszka, a w Moskwie nikt nie chciał ze mną rozmawiać.

– Trzeba było zaoferować im pieniądze! – rzucam, wściekły.

Wybuch śmiechem.

– Oligarchowie nie są zainteresowani łapówkami.

– Więc co ich interesuje? Co możemy im zaoferować, by skłonić ich do pomocy?

Po chwili Kazimir mówi:

– Zgodziłem się wam pomóc w zamian za cenną przysługę. Osobistą przysługę. To nie rozciąga się na resztę Bratwy. Jeśli chcesz dogadać się z Moskwą, sam się z nimi skontaktuj.

Co za zadufany kutas.

– Powiem im o Maximie Mogodonovichu – warczę, wściekły.

– A ja powiem mafii o twoich dodatkowych zajęciach w roli szpiega. Szach-mat.

– To nie jest szach-mat, ty drętwy nudziarzu. To w najlepszym wypadku pat.

– Cóż, dobrze, że się zgadzamy w tym, że mamy odmienne zdania. Niemniej chodzi o to, że przekazałem ci informacje, których potrzebowałeś. Teraz jesteś mi winien przysługę. Dam ci znać, kiedy będę chciał ją odebrać.

Rozłącza się, pozostawiając mnie trzęsącego się z wściekłości.

Riley jest w Moskwie.

Jak, do jasnej cholery, mam to powiedzieć Sloane?

– Gdzie ją zabrał?

Odwracam się w reakcji na dźwięk głosu Spidera. Stoi po drugiej stronie biurka w gabinecie w naszej bezpiecznej kryjówce, wpatrując się we mnie udręczonym, rozgorączkowanym wzrokiem.

Przyjechał do Nowego Jorku z Bostonu dwa dni temu. Od tego czasu – z tego, co widzę – nie spał, nie brał prysznic ani nie jadł. Po prostu w kółko przemierza długość pokoju, w którym się znajduje, a potem zawraca i chodzi w drugą stronę, przez cały czas zgrzytając zębami.

Wygląda jak siedem nieszczęść. Dwa długie pasma szwów ciągnących się po jego skroni od miejsca, w które Malek go uderzył, nie pomagają.

Chowam komórkę z powrotem do kieszeni koszuli, zakładam ręce na piersi i mierzę go wzrokiem z góry na dół.

– Musisz trochę odpocząć.

– Gdzie ją zabrał? – nalega.

Znam go wystarczająco długo, by wiedzieć, że będzie mnie dręczył tym pytaniem, dopóki nie otrzyma odpowiedzi. Więc daję mu ją, choć nie jestem pewien, czy jego reakcja sprawi, że będę zadowolony.

– Moskwa.

Stoi nieruchomo przez chwilę, przetwarzając to, a potem odpiera szorstko:

– Co z nią?

– Ledwo żywa, z tego, co mówił Kazimir.

Przełyka ciężko ślinę, zerka w podłogę, po czym znów spogląda na mnie.

– O której wylatuję? – pyta.

– Nie lecisz.

Robi krok do przodu, jego oczy błyszczą, a mięsień w szczęce drga nerwowo.

– Lecę. Czy ci się to podoba, czy nie, lecę do Moskwy. To moja wina. To jest moja odpowiedzialność. Pojadę tam i znajdę ją.

Zachowując spokojny ton, odpowiadam:

– Pójdiesz tam, gdzie ci każę. W tej chwili potrzebujemy cię tutaj. Potrząsa głową we frustracji.

– Jestem tu bezużyteczny i dobrze o tym wiesz. Nie mogę się skupić. Nie mogę spać. Ledwo mogę, kurwa, myśleć! – grzmi.

– Mów ciszej. Wyluzuj. I weź się w garść.

Zamyka oczy, przejeżdża dłonią po włosach i ciężko wzdycha.

– Przepraszam. Kurwa. – Opuszcza ręce po bokach i wygląda przez okno. Jego głos obniża się o oktawę. – Muszę ją znaleźć. Muszę. Popadam w cholerny obłąd.

Coś w jego tonie sprawia, że spoglądam na niego przeszywająco.

Wiem, że nie wynika to jedynie z poczucia winy związanego z tym, co się stało. Obwinia siebie bardziej niż Sloane czy ja. Jego nieszczęście jest namacalne. Spider chodzi pod czarną chmurą cierpienia, tak gęstą, że ma własną atmosferę.

Może kryje się za tym coś więcej.

– Musisz zająć się Sloane, kiedy mnie nie będzie. Zbiorę ekipę i będę cię informował o naszych postępach, gdy już tam dotrzemy – mówię, obserwując go uważnie.

– Ja też lecę! – ryczy, uderzając pięścią w moje biurko. – Nie pytam o pozwolenie!

Nie reaguję. Po prostu stoję i wpatruję się w niego, aż zda sobie sprawę, że się zdradził.

Nigdy nie mówiłby do mnie z takim brakiem szacunku, chyba że w grę wchodziłoby jego serce.

Zapada się w fotelu obok, chowa twarz w dłoniach i jęczy.

– Ona nie wydaje się w twoim typie – stwierdzam cicho po chwili.

Wzdycha.

– Nigdy wcześniej nie spotkałem kobiety, która sprawiła, że się rumienię – mamrocze.

Jezu Chryste.

– Czy wiem wszystko, co powinienem, o tej sytuacji? – Złość powoduje, że mój ton jest trochę zbyt ostry.

Spider podnosi głowę i spogląda na mnie błagalnie.

– Nigdy jej nie tknąłem. Przysięgam na grób swojej matki. Nic się nie wydarzyło. Ona nawet nie wie – dodaje bardzo cicho.

– Mówisz, że to jednostronne? – pytam.

– Aye.

Wiem, że jest szczery. Spider nie ma pokerowej twarzy, nie potrafi ukryć kłamstwa.

Odwracam się do okna i wyglądam na zewnątrz, myśląc.

Co za cholerny bałagan.

Za moimi plecami Spider mówi niskim, natarczywym głosem.

– Malek będzie oczekiwał twojego przyjścia. Będzie czekał. Obserwował. Nikt nie będzie się mnie spodziewał.

– Widział twoją twarz. Od razu cię rozpozna. Zna cię.

– Ciebie zna jeszcze lepiej. Wszyscy cię znają. Przejdiesz ulicą w Moskwie, a w ciągu godziny każdy z Bratwy w kraju będzie wiedział, że tam jesteś – oznajmia rzeczowo, robi przerwę, żeby to do mnie dotarło, po czym dodaje: – I wiesz, że nie możesz wyjechać i zostawić Sloane tutaj. Nawet gdybyś próbował, nie pozwoliłaby ci na to. Czy naprawdę chcesz, by jechała za tobą do Rosji? Bo obaj wiemy, że tak się stanie. W ten czy inny sposób, zrobiłaby to.

– Jestem tego świadomy – mówię ze złością.

– Więc wyślij mnie. W przeciwieństwie do ciebie mogę pozostać niezauważony.

Wzdycham, odwracając się od okna, i siadam naprzeciwko Spidera.

– Moskwa jest ogromna – podkreślam. – Przeszukiwanie może ci zająć dziesięć lat. Nie mamy nawet punktu zaczepienia. To byłoby jak szukanie pojedynczego ziarnka piasku na plaży.

– Aye. – Przytakuje. – Więc im szybciej zaczniemy, tym lepiej.

Nie podoba mi się to, co widzę w jego oczach. Nietypowa buntowniczość. Zapowiedź rewolty.

Wytrzymuję jego zuchwałe spojrzenie i mówię stanowczo:

– Odpowiedź brzmi: nie. Nie wyślę cię. To byłby wyrok śmierci. Zorganizuję coś innego.

Spider wpatruje się we mnie, oddychając płytko. Mogę powiedzieć, że usiłuje opanować emocje i starannie dobrać słowa, które zmienią moje zdanie.

W końcu się poddaje. Wstaje i podchodzi do drzwi.

Tuż przed wyjściem odwraca się do mnie. Spoglądając prosto w moje oczy, oznajmia łagodnie:

– Nie będę siedział beczynn timer, gdy ten rosyjski sukinsyn robi z tą panienką, co mu się podoba, Declan. – A następnie powtarza: – Nie będę siedział beczynn timer.

Opuszcza pomieszczenie, cicho zamykając za sobą drzwi.

Dwie godziny później wysyła mi SMS-a z LaGuardii.

**Mój samolot zaraz startuje. Zadzwoń timer do Ciebie,
gdy będę ją miał.**

– Ty stuknięty sukinsynu – mówię, zdumiony. – Dasz się zamordować.

Podnoszę słuchawkę i dzwoń timer do jedynej osoby na świecie, która może mi teraz pomóc. Do człowieka, który zna wszystkich i wszystko, mimo że zmarł ponad rok temu.

Do Killiana Blacka.

ROZDZIAŁ 25

RILEY

Długo leżę nieruchomo, wpatrując się w ścianę. Obraz, który widzę, jest zamazany bez okularów, ale mogę powiedzieć, że ściana jest zrobiona z bali.

Jestem przykuta do łóżka, mam ranę postrzałową i znajduję się w chacie z bali należącej do zabójcy, w dodatku w Rosji. Byłam nieprzytomna przez tydzień, a niektóre elementy mojego ciała zostały usunięte.

Śmiałabym się z tego, gdybym nie miała ochoty się rozplakać.

Muszę skorzystać z toalety, więc ostrożnie przerzucam jedną nogę przez krawędź materaca. Kilka minut później, gdy mój oddech wraca do normy, przekładam drugą nogę i siadam.

Ból jest tak silny, że z moich oczu zaczynają wypływać łzy. Myślę, że mogę się porzygać.

Malek pojawia się przede mną i chwyta moje ramiona. Mam wrażenie, że chce mną potrząsnąć w złości. Zamiast tego jednak warczy na mnie.

– Muszę skorzystać z łazienki – dyszę, patrząc na jego stopy.

– Musisz zostać w łóżku – odpiera.

– Muszę. Skorzystać. Z łazienki. Pomóż mi wstać lub, do cholery, zejdź mi z drogi. Nie będę sikać w tym łóżku.

Zapada cisza. Moment później słyszę niezadowolone stęknienie i czuję, że Malek delikatnie mnie podnosi, chwytając pod pachy. Gdy prostuje się, trzymając mnie, jęczę, kołyszę się i walczę, aby złapać równowagę.

– Kurwa. Kurwa!

– Skup się na oddychaniu, nie na bólu – radzi.

Chwytam jego przedramiona i oddycham głęboko, czekając, aż najgorsze minie.

Przeczytałam gdzieś kiedyś, że rana postrzałowa jest boleśniejsza niż poród, i pamiętam, że się z tego śmiałam. Jakim cudem przepchnięcie *człowieka* przez cipkę może boleć mniej niż trafienie kulą?

Oto jak. Właśnie to się teraz dzieje.

Poród rozrywa tylko pochwę. Kula rozrywa całe ciało.

– Czy straciłam też część jelit? Czuję się tak, jakby moje wnętrzności zostały wyrwane i zastąpione żyłkami.

– Postrzały w brzuch należą do najboleśniejszych ze wszystkich obrażeń – wyjaśnia Malek.

– Mówisz to tak, jakbyś miał osobiste doświadczenie w tej sprawie.

– Mam. Trzymasz się?

– Na tyle, na ile daję radę.

Czyli ledwo, ale niech mnie diabli, jeśli przyznam, że prawdopodobnie upadnę płasko na twarz, gdy tylko mnie puści.

Mogę być inwalidą, jednak wciąż mam swoją dumę.

– Łazienka jest tam. – Pokazuje palcem w stronę... czegoś.

– To byłoby pomocne, gdybym mogła zobaczyć, gdzie wskazałeś.

– Twój wzrok jest aż tak zły?

– Jestem prawie ślepa bez okularów.

– Kupię ci nowe – wyznaje.

– Trzeba mieć dokumenty od okulisty.

– Pozwól, że ja będę się o to martwić.

Robi krok do tyłu, trzymając ręce pod moimi pachami. Wtedy przesuwam się do przodu, a on cofa się o kolejny krok. Idziemy tak przez pół pokoju, aż traci cierpliwość.

– To będzie trwało wiecznie. Zaniosę cię – kwituje.

– Muszę chodzić – oznajmiam zgodnie z prawdą. – To pomaga w przepływie krwi i rekonwalescencji. Zbyt długie leżenie w łóżku po operacji naraża cię na ryzyko zakrzepów krwi i problemów z płucami, takimi jak zapalenie płuc.

Podejrzewam, że milczy dlatego, że jest zaskoczony.

– Skąd to wiesz? – pyta po chwili.

Bo to samo powiedzieli lekarze mojej matce po usunięciu rakowych jajników, ale nie jestem w nastroju do dzielenia się bolesnymi osobistymi anegdotami.

– Mam naprawdę duży mózg – odpowiadam z uśmiechem.

– Twoja głowa jest niecodziennie duża jak na tak małą osobę. Czy kiedykolwiek zwrócił się do ciebie cyrk i zaproponował ci pracę? – odpiera łagodnie.

– To nie jest nawet trochę zabawne – kwituję.

– W takim razie dlaczego kąciki twoich ust się unoszą?

– To mina, którą robię, zanim zacznę wymiotować.

Malek podnosi mnie i niesie przez resztę drogi do łazienki, jakbyśmy już tego nie przerabiali. Kiedy stawia mnie przed toaletą i zakłada ręce na piersi, wpatrując się we mnie, bladną.

– Nie będziesz tu stał, kiedy będę sikała.

– Mogłabyś upaść – broni się.

– Tak, mogłabym. To byłby odpowiedni moment, żebyś się pojawił i mi pomógł. Nie teraz – mamrocze, niezadowolona.

Nie rusza się z miejsca, co oczywiście doprowadza mnie do szału.

– Po co zadajesz sobie tyle trudu dla kogoś, komu groziłeś śmiercią? Mogłeś po prostu pozwolić mi umrzeć i skończyć ze mną.

Jakby myślał, że mówi z sensem, odpiera spokojnie:

– Przyjęłaś za mnie kulę. Dlatego teraz jestem za ciebie odpowiedzialny.

– Nie jestem wystarczająco przytomna, by rozszyfrować tę logikę.

Ignorując moją wypowiedź, odwraca się, by odejść.

– Będę tuż za drzwiami, jeśli będziesz mnie potrzebować.

Opieram się o krawędź umywalki, wpatrując z zakłopotaniem w zamknięte drzwi, aż decyduję, że lepiej usiąść, nim się przewrócę. Ostrożnie podchodzę do sedesu.

– Wszystko w porządku? – Przez drzwi jego głos brzmi ostro.

– Dopóki nie usłyszysz głośniego uderzenia, zakładaj, że nic mi nie jest.

– Wydawało mi się, że słyszałem głośnie uderzenie – wyjaśnia.

– To był tylko dźwięk całej nadziei opuszczającej moje ciało – ironizuję.

Dopiero kiedy kończę korzystać z toalety i spoglądam na siebie w lustrze nad umywalką, zdaję sobie sprawę, że bielizna oraz długa, czarna koszula do spania, którą mam na sobie, nie są moje.

Wszystkie konsekwencje tego, co to oznacza, zostają zepchnięte na bok przez czystą grozę, jaka towarzyszy mi, gdy dostrzegam swoje odbicie.

Nawet bez okularów widzę, że wyglądam jak Śmierć.

Jak dosłowne, fizyczne wcielenie Śmierci.

Jestem blada jak kreda. Moje oczy są czerwone i zapadnięte. Mam spierzchnięte usta, a włosy przypominają gniazdo, w którym ewidentnie walczyły gryzonie.

Straciłam też na wadze. Może dziesięć funtów. Kości obojczykowe wystają jak u szkieletu.

Z niedowierzaniem dotykam policzka, potem włosów.

A później – przytłoczona sytuacją, w której się znalazłam – zaczynam płakać. Opieram się o umywalkę i wybucham tak głośnym szlochem, że nie słyszę, kiedy Mal wdziera się przez drzwi.

Bez słowa bierze mnie w ramiona, po czym przyciska do piersi, gdy płaczę.

Nie, to określenie jest zbyt delikatne. Nieadekwatne do tego, co robię. To jest załamanie. Załamanie całego ciała, któremu towarzyszą beczenie i płacz, skowyt i zawodzenie, drzenie i mocniejsze trzęsienie się oraz całe mnóstwo smarków.

Malek przez cały czas milczy. Po prostu mnie trzyma.

Tylko dzięki temu nie padam na kolana.

Kiedy najgłośniejsze krzyki cichną, a ja zostaję z czkawką i czerwonymi policzkami, Mal puszcza mnie na tyle, by móc podejść do blatu i wziąć chusteczkę. Trzyma ją przy mojej twarzy i każe mi dmuchać, jakbym była pięciolatką z katarem.

Jest to zaskakująco kojące.

Dmucha w materiał, a gdy kończę, Mal wyciera mi nos, wyrzuca chusteczkę do kosza, bierze kolejną i ociera łzy z moich policzków. Następnie podnosi mnie i kieruje się z powrotem do sypialni.

Moja głowa jest oparta o jego klatkę piersiową, mam zamknięte oczy. Po chwili szepczę:

– Nie rozumiem, co się dzieje.

– Nie musisz. Wszystko, co musisz zrobić, to zdrowieć, *malyutka*.

A to zajmie trochę czasu.

Słyszając określenie, które dla mnie wymyślił, znów mam łzy w oczach, lecz pryham i zaciskam mocno powieki, żeby nie wypłynęły.

Krzywię się z bólu, kiedy Malek opuszcza mnie na łóżko, ale nie wydaję żadnego dźwięku. Czuję, jak poprawia poduszkę za moją głową.

– Muszę sprawdzić twoje szwy. Podciągnę ci koszulę nocną – uprzedza.

Nie zawracam sobie głowy protestami. Wiem, że nie będzie słuchał tego, co chcę powiedzieć. Poza tym nie mam energii, by się spierać. Mal w roli mojego opiekuna to jeszcze jeden *mindfuck*, z którym mój biedny mózg musi się zmagać. Cała moja energia idzie na to, żeby nie zwariować i nie stracić przy tym kontaktu z rzeczywistością.

Malek delikatnie podciąga moją koszulę nocną i ostrożnie dotyka okolic brzucha, podczas gdy ja wije się, zgrzytając zębami.

– Nie ma śladu infekcji wokół szwów – mówi cicho. – I twój brzuch nie jest twardy, co jest dobrym znakiem. Zmienię opatrunek, a potem przyniosę ci twoje leki.

– Leki? – pytam, zaskoczona.

– Lek przeciwbólowy. Antybiotyki – wyjaśnia.

– Aha.

– Musisz od razu mi powiedzieć, jeżeli pojawi się ból lub obrzęk w jednej z rąk albo nóg, jeśli będziesz miała duszności czy zawroty głowy lub w twoim moczu pojawi się krew.

Zamykam na chwilę oczy i mówię słabo:

– O Boże.

– Nie rozpaczaj jeszcze, bo czas na najgorsze wiadomości dopiero nadchodzi. Nawet jeśli twoje ciało wyleczy się perfekcyjnie, możesz doświadczyć PTSD. To częsty efekt uboczny rany postrzałowej. Koszmary, niepokój, nerwowość...

– Rozumiem – wchodzę mu w słowo. – Nawet jeśli nie skończę zepsuta, nadal prawdopodobnie będę w jakimś stopniu zniszczona.

Przerywa inspekcję mojego brzucha i patrzy na mnie.

– Jesteś młoda i silna. Twoje rokowania są dobre.

Coś w sposobie, w jaki wypowiada te słowa, sprawia, że się denerwuję. Przyglądam się uważnie jego twarzy w poszukiwaniu

jakichkolwiek wskazówek, lecz jej wyraz jest neutralny.

Podejrzanie neutralny.

– Czekał. Nadal mogę umrzeć, prawda? – upewniam się.

– Tak. Sepsa nie jest rzadkością w przypadku tego typu ran. Możesz też mieć zakrzepy krwi, zapaść dróg oddechowych, wytworzenie przetoki, zapalenie otrzewnej, ropnie i inne zagrażające życiu komplikacje – informuje rzeczowo, zupełnie bez emocji.

Przynajmniej nie owija w bawełnę. Muszę mu to przyznać.

– Jesteś po prostu promieniem słońca, prawda? – odpieram słabo.

– Ponadto, mając tylko jedną nerkę, nie możesz już nigdy pić alkoholu – tłumaczy.

Przymykam na moment powieki i jęczę.

– Chyba jednak wolałabym być martwa.

– Spójrz na jasną stronę.

– Nie ma żadnej jasnej strony!

– Pomyśl o tych wszystkich pieniądzach, które zaoszczędzisz. I już nigdy nie będziesz miała kaca. – Puszczą do mnie oczko.

W jego ustach brzmi to tak racjonalnie, że nie mogę powstrzymać śmiechu. To powoduje, że przeszywa mnie okropny atak bólu, a śmiech szybko zmienia się w jęki.

Mal chwyta mocno moją rękę.

– Oddychaj. To minie – mruczy.

Biorę głębokie, rozpaczliwe oddechy przez nos, ściskając jego dłoń tak bardzo, że prawdopodobnie miażdżę mu kości.

Nie obchodzi mnie to. To jego wina, że w ogóle jestem w tej trudnej sytuacji.

– Moja siostra. Sloane. Czy ona wie, co się ze mną stało? – odzywam się z zamkniętymi oczami.

Mal długo milczy, aż w końcu odpowiada:

– Tak.

Wyczuwam, że kryje się za tym jakaś ciekawa historia, ale on nie oferuje żadnych dalszych wyjaśnień.

– Więc wie, że żyję? I że przebywam z tobą?

– Tak.

Otwieram oczy i patrzę na niego. Klęczy obok łóżka, pochylając się nade mną. Moja ręka wciąż jest w jego dłoni.

– Nie martwisz się, że spróbują mnie odzyskać?

– Jeśli Declan O'Donnell postawi stopę w tym kraju, będzie to ostatni krok, jaki zrobi. – Mówi to z takim przekonaniem, że rozumiem nie tylko fakt, że już poczynił przygotowania, aby tak się stało, ale też to, że niekoniecznie będzie musiał sam pociągnąć za spust.

– Masz ludzi, którzy go obserwują.

Po prostu przytakuje.

– Proszę, nie z-zabijaj go – dukam słabo.

Potrząsa głową we frustracji.

– Ciągłe prosisz, bym nie zabijał innych ludzi, ale nigdy nie poprosiłaś, żebym nie zabił ciebie – kwituje, a jego nozdrza falują.

Zastanawiam się przez chwilę.

– Jestem całkiem pewna, że o to poprosiłam.

– Nie. Nie zrobiłaś tego. Po prostu zagroziłaś, że powrócisz z martwych, by mnie nawiedzić, jeśli to zrobię – przypomina.

– Przez cały czas byłam pewna na dziewięćdziesiąt procent, że nie zamierzasz mnie zabić. Dlaczego tak się na mnie gapisz?

– Chciałem cię zabić – mówi bez emocji.

– Nie, nie zamierzałeś tego zrobić – odpieram.

– Tak, miałem taki zamiar.

– Może chciałeś, ale nigdy tak naprawdę nie miałeś zamiaru tego zrobić. To zupełnie co innego.

Z westchnieniem uwalnia moją rękę, wstaje i wychodzi z pokoju.

– Nigdy byś mnie tak nie całował, gdybyś faktycznie planował mnie zabić! – wrzeszczę za nim.

– Powiedz to mojej martwej byłej żonie.

Ta kontra pozbawia mnie tchu, i to nie tylko dlatego, że mój żołądek boli od tłumionego krzyku. Leżę z sercem bijącym jak szalone, myśląc o wszystkich sposobach, w jakie Malek mógł zamordować swoją biedną byłą, dopóki nie wtyka głowy z powrotem przez drzwi.

– Nie mam byłej żony. Nigdy nie byłem żonaty. Powiedziałem to wyłącznie po to, żeby cię przestraszyć.

– Zadziałało.

– Mówiłem ci, że jestem złym człowiekiem – przypomina.

To sprawia, że się uśmiecham.

– Tak, ale gdybyś był naprawdę zły, nie przyznałbyś się do tego.

Zamyka na moment oczy, kręcąc głową.

– Muszę na chwilę wyjść. Postaram się wrócić przed zmrokiem.

Znowu zaczynam panikować na całego.

– Zostawiasz mnie tu samą? A co, jeśli umrę, gdy ciebie nie będzie?

– Przypuszczam, że wtedy będę musiał wykopać dołek, kiedy wrócę.

Moje usta otwierają się w wyrazie zdumienia.

– Okej, to naprawdę było podłe.

Widzę, że próbuje się nie uśmiechać.

– Czy wolisz kremację? Mogę zorganizować dla ciebie cały ten obrządek pogrzebowy, jeśli chcesz.

– To jest tak niezabawne.

– To jest trochę zabawne.

– Nie. Nie jest.

– Twoje usta drgają.

– To dlatego, że bardzo mnie boli!

Jego głowa znika, a on szybko wraca, trzymając białą, papierową torbę.

– Co w niej jest? – pytam.

Siada na krawędzi łóżka, następnie zaczyna wyjmować z torby buteleczki z kolorowymi tabletkami o różnych rozmiarach. Niektóre z nich mają etykiety, inne nie. Tekst na tych pierwszych jest napisany w jakimś bełkotliwym języku, który musi być rosyjskim.

Kiedy Mał wysypuje kilka tabletek z różnych butelek na dłoń i wyciąga ją do mnie, patrzę na nie z obawą.

– Skąd mam wiedzieć, co to jest?

– Bo powiedziałem ci, co to jest.

– Tak, ale też właśnie powiedziałeś mi, że przez cały czas zamierzałeś mnie zabić. Nie mogę ci teraz ufać.

Z przesadną cierpliwością mówi:

– Weź te pieprzone tabletki.

Niechętnie wyciągam rękę, na której zaraz potem lądują pastylki. Chwilę później Malek nalewa do szklanki wodę z karafki stojącej na szafce nocnej. Podaje mi naczynie, posyłając spojrzenie mówiące, że będę miała kłopoty, jeżeli powiem jeszcze słowo.

Więc oczywiście muszę to zrobić.

– Dobrze, ale jeśli skończę martwa, przysięgam, że wrócę, by cię nawiedzić.

– Naprawdę zacznę żałować, że uratowałem ci życie.

Uśmiechając się w reakcji na jego groźne spojrzenie, wrzucam tabletki do ust i przyjmuję szklankę wody. Połykam wszystkie, popijając je jednym wielkim łykiem.

– Ugh. Myślę, że ta duża, biała utknęła mi w gardle.

– To był cyjanek. Za chwilę nie będziesz się martwić o swoje gardło, bo będziesz martwa.

– Widzisz, nie możesz już tak mówić. Nie wiem, czy żartujesz, czy nie!

– Popatrz na moją twarz. Tak wygląda, kiedy żartuję.

Jego wyraz twarzy jest absolutnie poważny.

– O mój Boże. Właśnie sobie coś uświadomiłam.

– Co?

– Jesteś palantem.

Jeden kącik jego ust unosi się.

– Nie zorientowałaś się za szybko, prawda?

– Przynajmniej nie jestem palantem.

Wpatruje się we mnie w milczeniu, jego oczy są ciepłe. Myślę, że chce się uśmiechnąć, ale nie jestem pewna, czy wie jak.

Potem wstaje i zostawia mnie samą. Przed wyjściem mówi jeszcze, że wróci tak szybko, jak tylko będzie mógł.

Kiedy wraca tego wieczoru, jest pokryty krwią.

ROZDZIAŁ 26

RILEY

Na początku go nie zauważam, bo na zewnątrz panuje ciemność, w środku nie jest włączone żadne światło, a ja bez okularów nie widzę zbyt dokładnie niczego oddalonego chociaż o dziesięć stóp od mojej twarzy. Ale kiedy on wchodzi do sypialni i zaczyna zapalać świece, które są wszędzie, a następnie siada na łóżku, obok mnie, dostrzegam jego ręce.

– Co to jest?

Patrzy na ciemną, rdzawą mazię na zewnętrznej stronie jednej dłoni i próbuje wytrzeć ją o rękaw płaszcza. Kiedy to nie działa, decyduje się po prostu zignorować moje pytanie.

– Zobacz. To powinno wystarczyć, by znaleźć odpowiednie. – Kładzie na moich kolanach nieporęczną poszewkę.

– Co w tym jest?

– Wiedziałybyś, gdybyś sprawdziła.

Otwieram nietypowy pakunek i zaglądam do środka. Jestem zaskoczona tym, co znajduję.

– Jest tu jakieś czterysta par okularów.

– Masz talent do przesady. Czy ktoś ci to kiedyś powiedział? – burczy.

– Tak. Mój nauczyciel kreatywnego pisania w college’u określił moją znajomość słownictwa jako niesamowitą.

– Jestem pewien, że to nie był komplement.

– Dostałam szóstkę na tych zajęciach. Na koniec również.

– Bo wiedział, że jeśli cię obleje, będziesz musiała powtórzyć zajęcia. Nie byłby w stanie przeżyć tego dwa razy. Przymierz okulary. Przyniosę ci coś do jedzenia.

Podnosi się z łóżka i chodzi po domu, zapalając kolejne świece, podczas gdy ja przymierzam parę za parą, szukając wystarczająco

mocnej.

– Dlaczego nie masz prądu?! – wołam w trakcie sprawdzania kolejnych szkieł.

– Mam prąd - odpowiada z sąsiedniego pokoju. – Po prostu nie lubię świateł fluorescencyjnych.

– Więc kup LED.

– Tych też nie lubię.

Chyba powinnam uznać się za szczęściarę, że lubi instalacje wodno-kanalizacyjne.

– Och! Znalazłam parę, która pasuje idealnie!

Widząc wyraźnie, rozglądam się po pokoju w zachwycie.

Ściany i podłoga są wykonane w całości z sękatego, polerowanego drewna w kolorze miodu. Masywne belki biegną przez całą szerokość sufitu. Drzwi też są drewniane, tak samo jak łóżko, na którym leżę i które wygląda na ręcznie rzeźbione. Na materacu leży kilka kolorowych, wełnianych koców oraz duże, ciemnobrązowe futro, które prawdopodobnie pochodzi od prawdziwego zwierzęcia.

Naprawdę *dużego* zwierzęcia. Może niedźwiedzia.

Pokój jest urządzone skromnie, w rustykalnym stylu. Wydaje mi się, że meble zostały wykonane ręcznie. Nie ma tutaj komputera, telewizora ani zegara, ale dostrzegam regał z książkami i kominek.

Z kolei na ścianie naprzeciwko zauważam ogromną, wypchaną głowę łosia wpatrującą się we mnie czarnymi, szklanymi oczami.

To jest przerażające.

Mał wraca do pokoju, a moje przerażenie wzrasta.

– O mój Boże – szepczę, widząc go.

Jego twarz pokrywają te same rozpryski i zacieki w kolorze rdzy, które są na jego rękach. Choć teraz ciecz jest zaschnięta, wyobrażam sobie, jak okropnie musiała spływać po jego skórze.

Kiedyś to była jasnoczerwona ciecz, a później zmieniła kolor na ciemny od kontaktu z powietrzem.

– Co?

– Masz na sobie dużo krwi.

Reaguje na tę straszną wiadomość tak, jakbym właśnie powiedziała mu, jaki jest mój znak zodiaku: z całkowitą obojętnością.

Stawia tacę na szafce nocnej, po czym zdejmuje ciężki, wełniany płaszcz i rzuca go na krzesło. Moment później do płaszcza dołącza czarna koszula. Malek stoi nagi od pasa w górę, a ja siedzę w łóżku z otwartymi ustami, zastanawiając się, czy oprócz rany postrzałowej nie mam poważnego urazu mózgu.

To niemożliwe, żeby człowiek był tak piękny.

Mrugam, by wyostrzyć wzrok, ale jedyne, co widzę, to cała masa umięśnionego ciała ozdobionego konstelacją tatuaży. Mał jest naprawdę nieźle umięśniony i wysoki, lecz mój wzrok przykuwa to coś w kształcie litery V, co prowadzi od wyrzeźbionego brzucha w dół, jak para mięśniowych strzałek wskazujących smakołyki w jego kroczu.

Jest wytatuowany, dziki i w sumie męski.

Zdruzgotana, odwracam wzrok.

Zostałam oślepią. Wypalił moje gałki oczne. Już nigdy nie będę w stanie widzieć.

Siada na krawędzi łóżka i podnosi z tacy miskę z parującym płynem, jakby to wszystko było zupełnie naturalne. Jakby codziennie chodził półnagi, z krwią na rękach i twarzy.

Co, biorąc pod uwagę jego branżę, jest możliwe.

– Oddychaj głęboko – mówi spokojnie, mieszając łyżką w misce.

On wie, że mój mózg działa nieprawidłowo.

– Zastanawiam się, ile razy będziesz musiał mi to powiedzieć do końca tego tygodnia – odpieram słabo, chcąc wachlować płonąca twarz.

Malek trzyma łyżkę przy moich ustach i czeka, aż się ogarnę. Kiedy w końcu to robię, udaje mi się przełknąć porcję pysznej zupy.

Porcję domowej roboty zupy mojego porywacza-zabójcy, którą ten karmi mnie jak dziecko.

Straciłam rozum. To jedyne wytłumaczenie.

– Czy dałaś radę trochę odpocząć, kiedy mnie nie było?

– Trochę.

Podaje mi kolejną łyżkę zupy.

– Jaki jest twój poziom bólu?

– Wyśmienity.

– Spróbuj odpowiedzieć ponownie na to pytanie, tym razem bez sarkazmu – oznajmia.

– W skali od jednego do dziesięciu: czterdzieści siedem – informuję.

– Mogłaś odpowiedzieć bez przesadzania. O ile potrafisz.

Przyjmuję kolejną łyżkę, starając się patrzeć gdziekolwiek, byle nie na jego klatkę piersiową.

Dobry Boże, jego klatka piersiowa. Jego mięśnie są piękne. Tors – to mam na myśli. Czy tak się nazywają?

Straciłam połowę swojego zasobu słów w ciągu ostatnich sześćdziesięciu sekund.

– Riley. Twój ból. Jak byś go opisała?

– Racja, przepraszam. Hmm... bolesny.

Rzuca mi surowe spojrzenie, ale jestem zbyt rozkojarzona, by uznać je za przerażające.

– Dlaczego masz na sobie krew?

– Praca. Jak tam twój ból?

– Trochę lepiej. A przynajmniej nie gorzej.

Wydaje się tym usatysfakcjonowany. Kiwa głową i wyciąga kolejną łyżkę zupy w moją stronę. Oboje jesteśmy cicho, gdy kończę pałaszować zawartość miski, wpatrując się na przemian w koce, ścianę, sufit oraz przerażającego łosia – gdziekolwiek, byle nie w siedzącego przede mną mężczyznę i jego niszczące piękno.

Po chwili Malek odstawia miskę z łyżką na bok i oznajmia, że idzie wziąć prysznic.

Wstaje, po czym kieruje się do łazienki, zostawiając mnie rozłożoną na łóżku, wyssaną z energii przez widok jego ciała i jedno słowo, którego użył, by wyjaśnić, skąd pochodzi krew na jego skórze.

Praca.

Pracował dzisiaj.

Robił rzeczy związane z pracą zabójcy.

Zabijał ludzi.

Mój mózg nie chce sobie z tym poradzić. Po prostu nie mogę pogodzić obrazu Mała jako łagodnego, troskliwego opiekuna, który oczyszcza moje rany i karmi mnie zupą, z obrazem Mała jako faceta

zarabiającego na pozbawianiu ludzi życia. Który przybył na Bermudy, aby zabić Declana.

I który być może chciał zabić *mnie*.

Jestem tysiące mil od domu, ranna, okropnie cierpię. Znajduję się w obcym kraju, do którego przywieziono mnie nieprzytomną. Mogę umrzeć z powodu komplikacji po postrzale, jakiego przypadkiem dokonał mój ochroniarz, lub po nielegalnej operacji, którą musiałam przejść, by naprawić skutki strzelaniny.

Tego jest po prostu za dużo.

Znów zaczynam płakać, nienawidząc siebie coraz bardziej z każdą spadającą łzą. Sloane nie płakałaby w takiej sytuacji. Już zrobiłaby pojazd ratunkowy z głowy łosia, a na koniec spaliła całą tę chatę.

Kiedy Mal wraca do sypialni, leżę z rękami zarzuconymi na twarz, głęboko i drżąc oddychając.

Odciąga moje dłonie od twarzy, a potem wpatruje się w załzawione oczy. Mówi coś, co brzmi łagodnie i kojąco, ale nie mogę zrozumieć ani słowa, bo znowu używa rosyjskiego.

– Wiesz, że nie wiem, co to znaczy.

– Tak. I dlatego nie powiedziałem tego po angielsku – wyjaśnia.

– To nie jest miłe.

– Nie uważałabyś tak, gdybyś wiedziała, co powiedziałem – kwituje.

Spoglądam na niego, przygryzając wargę. Jego mokre włosy są zaczesane do tyłu, dzięki czemu nie opadają mu na twarz. Biały ręcznik frotte owinięty wokół jego talii jest jedyną rzeczą, którą ma na sobie. Pachnie czystością i zdrowym mężczyzną w kwiecie wieku.

O święty duchu minionych świąt Bożego Narodzenia, nie mogę patrzeć na niego ani sekundy dłużej.

Zamykam oczy, odwracam głowę i szepczę:

– Dlaczego mnie tu przywiozłeś?

Składa delikatnie moje ręce na piersi i siada tuż obok. Czuję na sobie jego wzrok, ale opieram się przed uchyleniem powiek. Chwilę później Malek zadaje własne pytanie, ignorując moje.

– Dlaczego wzięłaś za mnie kulę?

– Nie wiem – mówię.

– Tak, wiesz. Powiedz mi prawdę. – Jego głos jest niski i stanowczy.

Gdy wyobrażam sobie te piękne, zielone oczy wpatrujące się we mnie – z ich zwyczajną, przenikliwą intensywnością – z całego serca mam nadzieję, że obecnie nie wyglądam jak ktoś, kto śpi pod mostem.

Biorę głęboki wdech, wypuszczam powoli powietrze i wyznaję absurdalną prawdę głosem tak cichym, że prawdopodobnie nawet go nie słyszy.

– Bo nie chciałam, żebyś umarł.

Jego milczenie jest długie i wymowne. On sam powoli wypuszcza powietrze. Nagle podnosi moją rękę do swoich ust, po czym całuje, muskając knykcie. Moment później odwraca ją i przyciska wargi do otwartej dłoni.

Wstaje, nie mówiąc już ani słowa.

Słyszę, jak porusza się po pokoju, jak otwiera i zamyka szuflady. Jego kroki oddalają się, a kiedy wraca, unoszę powieki. Widzę go w pełni ubranego, w butach i w ogóle. Opada na duży, brązowy, skórzany fotel w rogu. Składa ręce nad brzuchem, odchyła głowę do tyłu i zamyka oczy.

– Co robisz?

– Idę spać. Ty też powinnaś.

– Będziesz spał na tym fotelu?

– Co ja ci właśnie powiedziałem?

– Jak możesz spać, znajdując się w pozycji pionowej? Czy w drugim pokoju nie ma kanapy, na której można się położyć?

Podnosi głowę i patrzy na mnie.

– Przestań się o mnie martwić.

– Ale...

– Przestań – przerywa mi.

Kiedy widzi, że znowu chcę o coś zapytać, mówi szorstko:

– Tak, jest jeszcze sofa. Nie, nie zamierzam na niej spać. Muszę być w tym pokoju. Muszę słyszeć, jeśli będziesz płakać. Muszę wiedzieć, czy coś cię boli, czy czegoś potrzebujesz. Nie pytaj mnie dlaczego, bo ci nie powiem. A teraz idź spać, do cholery.

Jego oczy płoną, gdy wpatruje się we mnie jeszcze przez kilka chwil, aż w końcu znów je zamyka, a ja uwalniam się od ich palącej mocy.

ROZDZIAŁ 27

RILEY

Sen jest przerażająco brutalny.

Zaczyna się od strzelaniny, a później robi się coraz gorzej. Wszędzie widać krew oraz fragmenty ciał. Słyszę krzyki i czuję zapach dymu. Budynek, w którym się znajduję, płonie. Próbuję uciekać, ale moje nogi są jak z ołowiu. Ściany się palą, potem także moje ubranie i włosy. Skóra staje się czarna, po czym odchodzi od mojego ciała, kurcząc się niczym płonący papier.

Szarpię się, budząc ze zduszonym krzykiem. Serce wali mi jak oszalałe.

– Już dobrze. Jesteś bezpieczna. Jestem tutaj. – Mał przyciąga mnie do piersi, kołysze i mruczy kojące słowa po rosyjsku.

Trzęsę się i niespiesznie uspokajam oddech. Sen powoli znika, a ja wtulam się mocniej w mężczyznę, tonąc w jego ramionach.

– Następnym razem, gdy będziesz miała koszmar, przypomnij sobie, że śnisz. To nie jest prawdziwe. Potem nakaż sobie, by się obudzić – dodaje łagodnie.

– To nie ma sensu. Jak mogę sobie coś nakazać, jeśli śpię? – mamroczę.

– Twoja podświadomość będzie pamiętać, że ci o tym powiedziałem. Od tej pory będziesz mogła się obudzić ze złego snu. Nie powstrzyma cię to od koszmarów, ale pomoże.

Zastanawiam się nad tym, dumając, czy Malek ma złe sny, aż mówi:

– Idę przygotować kąpiel.

– Czy nie wzięłaś właśnie prysznic?

– To nie dla mnie. To dla ciebie. – Odsuwa się i gładzi dłonią moje włosy. – Śmierdzisz.

– To nie było zbyt wspierające – stwierdzam oschle.

– Wspierające czy nie, to tylko prawda. Wypij trochę wody.

Pochyla się nad szafką nocną, bierze szklankę i mi ją podaje. Obserwuje w milczeniu, aż wypijam połowę, po czym wstaje i idzie do łazienki.

Rozglądam się po szafce nocnej w poszukiwaniu okularów. Kiedy je zakładam, dostrzegam, że przerażająca głowa łosia zniknęła.

Uważam to za bardzo, bardzo niepokojące. Czy ja ją sobie wyobraziłam?

Kiedy Mał wraca do pokoju, wskazuję puste miejsce na ścianie, gdzie jeszcze niedawno znajdowała się ta ohydna rzecz.

– Czy nie było tam łosia?

– Nie. – Zanim zdążę stwierdzić, że to ostateczny dowód na to, że totalnie mi odbiło, dodaje: – To był jeleni.

– Och, do kurwy nędzy.

– Zdjąłem go.

Rozważam to przez kilka sekund.

– Zdjąłeś głowę jelenia ze ściany po tym, jak poszłam spać?

– Tak – potwierdza.

– Dlaczego?

– Bo ci się nie podobala – mówi po prostu.

To sprawia, że mrugam ze zdziwienia.

– Więc potrafisz nie tylko przechodzić przez ściany, ale też czytać w myślach.

– Nie, ale umiem interpretować wyraz twarzy. A twoja twarz jest niezwykle wyrazista.

Och, *cudownie*. Co, do cholery, musiała zdradzać moja mina, kiedy on przechadzał się bez swojej cholernej koszulki? Mam nadzieję, że to nie było to samo, co mówiły moje jajniki, bo ci napaleni mali producenci komórek jajowych mają wyłącznie jedną rzecz w głowie.

Moje policzki rozgrzewają się, a ja spoglądam w dół, na swoje ręce. Mał podchodzi do łóżka, zrzuca kołdrę z moich nóg, podnosi mnie i niesie do łazienki.

– Powinnam trochę się poruszać – informuję.

– Poruszasz się. Najpierw cię umyjmy.

Nie mam zbyt wiele czasu, aby martwić się o ćwiczenie chodzenia, bo on jasno wyraża swoje zamiary, kiedy stawia mnie na podłodze,

przed wanną, i zaczyna ściągać moją koszulę nocną.

– Ej! Ej! Ej! Co ty robisz? – piszczę.

Odsuwam się od niego tak gwałtownie, że tracę równowagę. Łapie mnie za ramię, dzięki czemu nie upadam.

– Jesteś nieśmiała. Nie ma takiej potrzeby. Widziałem już wszystko, co jest do zobaczenia, wewnątrz i na zewnątrz – oznajmia spokojnie.

Gapię się na niego, przerażona, wzdrygając się w myślach na to stwierdzenie, dopóki nie przedstawia mi szczegółowego wyjaśnienia, które nie pozostawia miejsca na wątpliwości.

– Stałem u wezglowia twojego łóżka, gdy otwierali twój żołądek, żeby wydobyć kulę i uszkodzone organy. Myłem cię gąbką, kiedy byłaś pod wpływem leków. Zmieniałem ci ubrania, a także pościel i pomagałem pielęgniarce wymienić twój cewnik, gdy się zatkał. Nie ma ani jednego centymetra twojego ciała, którego bym nie znał.

Zaciskam powieki i skanduję:

– Obudź się. Obudź się. Obudź się.

– Nie śnisz – wyznaje Mal.

– To musi być sen. Nie ma szans, że dzieje się naprawdę.

Wzdycha ze zniecierpliwieniem.

– Nie dramatyzuj. Ciała to tylko mięso.

Otwieram oczy i patrzę na niego z oburzeniem.

– Och, proszę mi wybaczyć, że nie jestem znieczulona i mam w sobie poczucie człowieczeństwa, Panie Międzynarodowy Zabójco, ale nie uważam swojego ciała jedynie za kawałek mięsa.

Przez moment przygląda się mojej twarzy.

– Czy jesteś zła, bo myślisz, że mogłem cię dotknąć w nieodpowiedni sposób?

– Jezu! – krzyczę, zirytowana.

– Bo nie zrobiłem tego. Nigdy nie wykorzystałbym cię w ten sposób. Jestem psychopatą, a nie zboczeńcem. Potrzebuję przyzwolenia, by mieć z kimś kontakt cielesny. Nie interesuje mnie branie tego siłą.

– Cóż, to wspaniała wiadomość! Czuję się teraz o wiele lepiej!

Ignorując mój pogardliwy ton i jawną wrogość w spojrzeniu, dodaje spokojniejszym głosem:

– I jest wiele rzeczy, na które chciałbym uzyskać twoją konkretną zgodę, Riley Rose, ale dotykanie cię, gdy jesteś nieprzytomna, do nich nie należy.

Sądziłam, że już wcześniej zniszczył mój rozum, naprawdę. Jednak to wyznanie po prostu skręca mój mózg w taki supeł, że tracę zdolność mówienia.

Malek odwraca się do wanny i sprawdza wodę ręką. Zadowolony, że temperatura jest odpowiednia, zakręca kran, po czym się prostuje.

– Nie możesz zamoczyć szwów, więc woda obejmie tylko twoje nogi. Najpierw umyję ci włosy – wyjaśnia.

Na przeciwległym końcu wanny, tuż obok kranu, stoją mały, drewniany taboret, przezroczysty, plastikowy dzbanek i duże, podłużne, metalowe wiadro. Wskazując to ostatnie, Malek poleca:

– Przełóż głowę przez krawędź wanny.

Potem znowu łapie za moją koszulę nocną.

– Mal, nie mogę. Nie mogę się przed tobą rozebrać. Jeśli ta rana mnie nie zabije, zrobi to zażenowanie.

– Zażenowanie z powodu czego? – pyta.

– Z powodu tego, że zobaczysz mnie nago!

– Już widziałem cię nago. Właśnie to wyjaśniłem.

– Nie widziałeś mnie nago, kiedy jestem przytomna!

– Więc chcesz śmierdzieć jak chlew, tak?

– Nie! – protestuję.

– To pozwól, że cię wykąpię – odpiera cierpliwie.

– Mówisz to tak, jakbym to ja była nierozsądna!

– Im szybciej uporasz się ze swoją bezużyteczną wstydlivością, tym szybciej będzie po wszystkim.

– Mal...

– Obiecuję, że nie będę na nic patrzył. Co ty na to? – proponuje.

– Racja. Nie będziesz na nic patrzył, gdy będziesz mył moje włosy i wszystkie nagie części ciała. Jestem pewna, że będzie to dla ciebie bardzo łatwe.

– Łatwiejsze niż życie z twoim smrodem – burczy.

– Wiesz co? Właśnie zdecydowałam, że cię nienawidzę.

– Nienawidź mnie, ile chcesz, w wannie.

Stoimy w ciszy. On czeka cierpliwie, a ja wpatruję się w niego. Moje oczy ciskają błyskawice. Odnoszę wrażenie, że Malek czekałby do końca świata, zanim odezwałby się ponownie, dlatego zaczynam:

– Nie możesz zrozumieć, jak ja się czuję w tej sytuacji?

– Tak, mogę. I naprawdę mi przykro. Nie chcę sprawić, że będziesz czuła się niekomfortowo. Ale nie jesteś w tak dobrym stanie, żeby samej wejść do wanny i z niej wyjść albo podnieść dzbanek, by splukać włosy. Wątpię nawet, czy masz siłę, żeby podnieść kostkę mydła.

Choć wydaje się mówić szczerze, mrużę oczy i patrzę na niego ze złością.

Ten człowiek zarabia na życie, zabijając ludzi. Jestem pewna, że to całkiem dobry kłamca.

– Nie będę cię zmuszał – oznajmia łagodnie. – To twoja decyzja. Chcę tylko pomóc ci poczuć się lepiej. Myślę, że kąpiel może w tym pomóc.

– Więc mogę poprosić cię o zabranie mnie z powrotem do łóżka, a ty to zrobisz?

– Tak.

Nie zawahał się, co trochę zmniejsza moją wrogość. Zerkam tęsknie na wodę, wyobrażając sobie, jak by to było zatopić się w niej. Zmyć ze skóry zapachy choroby i stęchłego potu.

– Pieprzyć to – mamroczę. Później zwracam się w stronę Maleka i rzucam mu twarde spojrzenie. – Ale nie sprawiaj, że będzie dziwnie!

Jest na tyle inteligentny, że nie odpowiada na to. Po chwili niespodziewanie odwraca się tyłem do mnie.

– Co robisz? – pytam, zdezorientowana.

– Wolisz, żebym gapił się na ciebie, gdy zdejmujesz koszulę nocną?

Patrzcie, kto postanowił być dżentelmenem.

Zdejmuję okulary, wzdychając, i kładę je na umywalce. To będzie łatwiejsze, jeśli nie będę nic widziała. Następnie chwytam za dekolt koszuli nocnej i próbuję ściągnąć ją przez głowę. Okazuje się to dla mnie niezłym wyzwaniem, które pozbawia mnie tchu, ale w końcu się udaje.

Kiedy zostaję w samej bieliźnie, krzyżuję ręce na piersiach.

– Już – szepczę.

Mał odwraca się, bierze mnie w ramiona, a potem opuszcza powoli do wody, klękając obok wanny, aż siadam w niej, z nogami wysuniętymi do przodu. Zakrywając piersi rękami, pochylam głowę.

– Pomogę ci się położyć – mruczy.

Przytakuję, czując pieczenie i mrowienie w policzkach. Wiem, że są szkarłatne.

Mał owija swoje ramiona wokół moich, po czym opuszcza moją górną część ciała, dopóki nie oprę się o tył wanny. Zdaję sobie sprawę, że wyglądam śmiesznie w majtkach, które są teraz mokre, ale przynajmniej nie może nic przez nie zobaczyć, ponieważ są czarne.

Kołysze moją głowę w swojej dłoni i pyta, czy chcę ręcznik do podtrzymania szyi.

– Tak, proszę.

Nigdy nie wypowiedziałam dwóch trudniejszych słów. W tej chwili moja samoświadomość mnie przeraża.

Mężczyzna wsuwa mi pod kark zwinięty ręcznik, a później zanurza dzbanek w wodzie. Przesuwa go nade mną, masując skórę głowy, gdy ciepła woda spływa po moich włosach.

To takie przyjemne uczucie, że prawie jęczę na głos z rozkoszy. Jednak to nic w porównaniu z błogością, jakiej doświadczam, kiedy obiema rękami nakłada szampon.

Jego palce są silne i delikatne. Nie spieszy się, robiąc kółka kciukami przy skroniach, głaszcząc tył głowy oraz szyję i lekko ściskając mięśnie u podstawy czaszki, gdy spłukuje moje włosy.

Przez krótką chwilę obawiam się, że mogę się ślinić, lecz szybko poddaję się urokowi tego doświadczenia, przytłaczającemu luksusowi tego doznania. Po niecałej minucie czuję się, jakbym była pijana. Biorę głęboki wdech, a następnie powoli wypuszczam powietrze. Zdejmuję ręce z piersi i pozwalam dłoniom unosić się przy biodrach w wodzie.

Mał zaczyna do mnie mówić.

Wypowiada słowa niespiesznie, niskim tonem, po rosyjsku. Brzmi to tak, jakby opowiadał jakąś historię lub tłumaczył coś ważnego.

Wiem, że robi to celowo, że celowo nie mówi po angielsku, żebym nie zrozumiała, ale jakoś mi to nie przeszkadza.

Kontynuuje monolog, splukując moje włosy. Woda rozpryskująca się w metalowej wannie przywodzi na myśl krople deszczu rozbijające się o dach. Malek przemawia do mnie również wtedy, gdy zanurza w wodzie kostkę mydła oraz myjkę. Mówi, kiedy delikatnie myje moje ramiona, pachy, klatkę piersiową, a także szyję.

Kiedy przechodzi do stóp i ugniata podeszwy tymi silnymi palcami, jestem już całkowicie zrelaksowana. Moja głowa przechyla się na bok. Oczy mam zamknięte. Mój oddech jest spokojny, głęboki.

A on wciąż mówi.

Nie pytam, o co chodzi. Nie chcę tego przerywać. Musi mnie podeprzeć, żeby umyć mi plecy. Opieram się o jego ramię, moja broda zwisa nad zgięciem jego łokcia. Odnoszę wrażenie, jakbym nie miała kości. Jakbym była z żelatyny. Jakby mógł mnie wygiąć w precla, a ja nie czułabym przy tym bólu.

Kiedy kończy myć i splukiwać moje ciało, przeciąga ręcznikiem po mojej twarzy i za uszami.

– Otwórz oczy, mały ptaszku – mruczy po angielsku.

Unoszę powieki. Jego twarz znajduje się kilka centymetrów od mojej, a mina jest udręczona.

– Wszystko w porządku? – Mój głos jest słaby, ponieważ pochodzi z przestrzeni kosmicznej.

Malek potrząsa głową, jednak nie odpowiada werbalnie na to pytanie.

– Zamierzam wyjąć cię z wody. Myślisz, że dasz radę stać?

Rozważam to, a następnie potakuję.

– Ale nie za długo.

Wyciąga mnie z wanny i stawia na macie do kąpieli. Trzyma pewnie rękę na moim biodrze, gdy sięga po ręcznik. Działając szybko, osusza mnie z delikatną, doskonałą skutecznością, po czym owija ręcznik wokół mojego ciała i podnosi mnie ponownie.

Opieram głowę o jego ramię i zamykam oczy, kiedy niesie mnie z powrotem do łóżka.

Gdy leżę już wygodnie na materacu, rozchyła ręcznik na tyle, by zmienić mi opatrunek, pozostawiając piersi oraz majtki przykryte.

Obserwuję jego pracę, zastanawiając się, dlaczego w ogóle to robi.

– Mal?

– Hmm?

– Dziękuję.

To sprawia, że zamiera. Gdy chwilę później na mnie spogląda, jego oczy są ciemne, a brwi ściągnięte. Chmury burzowe zbierają się nad jego głową.

– Nie dziękuj mi.

– Dlaczego nie?

– Bo przeze mnie zostałeś postrzelony.

– Nie. Dzięki tobie żyję.

Jego usta zaciskają się w cienką linię, a on sam przymyka powieki. Bierze krótki, wzburzony oddech, nim ponownie otworzy oczy i popatrzy na mnie.

– Nie. To ja żyję dzięki tobie. Ponieważ przyjęłaś kulę przeznaczoną dla mnie. Nie interpretuj tego inaczej. I nie dziękuj mi.

Emanując gniewem, wraca do pracy.

– A wolno mi dziękować za zabranie wielkiego, straszego łośia? – Kiedy zerka na mnie z jeszcze większą złością, poprawiam się: – Mam na myśli jelenia.

– Bądź. Cicho.

– Bo naprawdę nienawidziłam tego czegoś – dodaję szeptem.

Mamrocze po rosyjsku coś, co nie brzmi miło, a potem kończy zmieniać bandaż na moim brzuchu. Do zabezpieczenia używa taśmy medycznej. Wstaje, idzie do szafy i wraca z czarnym henleyem, identyczny z tym, który ma na sobie.

Pomaga mi podciągnąć się do pozycji pionowej, po czym zakłada mi tę bluzkę z długim rękawem.

Jest ogromna, wygodna i pachnie jak on. Mogę nigdy jej nie zdejmować.

– Połóż się na plecach.

Robię to, co nakazuje. Obserwuję jego twarz, gdy ściąga koszulkę w dół przez moje biodra, a następnie zdejmuje ręcznik z mojego ciała, wyciągając go spod moich pleców. Kiedy kończy, pyta:

– Majtki zostawić czy zdjąć?

Zamiast odpowiedzieć, podnoszę biodra.

Sięga pod koszulkę, by dostać się do mokrej bielizny, zsuwa ją z moich nóg i zabiera do łazienki razem z ręcznikiem.

Gdy wraca, ja już ziewam, więc otula mnie kołdrą. Pochyla się, całuje mnie w czoło, a potem siada na skórzanym fotelu w rogu, składa ręce na brzuchu i zamyka oczy.

– Mal?

– Co?

– Czy naprawdę zamierzałeś mnie zabić?

Milczy, co uznaję za odpowiedź twierdzącą. Ziewam ponownie i wtulam policzek w poduszkę. Czuję się czysta i wyczerpana.

Zasypiam z czuwającym nade mną cichym opiekunem-zabójcą, który zapewnia mi bezpieczeństwo.

Tym razem, gdy śnią mi się strzelaniny, on jest tam z tarczą i płonąącym mieczem, aby mnie chronić.

ROZDZIAŁ 28

RILEY

Przez kilka następnych dni Mal jest dziwnie milczący. Niemniej wciąż nie zostawia mnie samej. Za każdym razem, kiedy się budzę, on znajduje się w pokoju. Obserwuje mnie, siedząc na skórzanym fotelu.

Pomaga mi w krótkich spacerach po domu, pozwalając opierać się o swoje ramię, gdy wije się z bólu i szuram nogami. Mierzy mi temperaturę i gotuje posiłki, które później mi podaje. Przynosi wodę oraz lekarstwa, a także pomaga wstać z łóżka i wrócić do niego, kiedy muszę skorzystać z łazienki.

Gdy pytam, dlaczego nie ma telewizora, kręci głową. Kiedy dziwię się, jak ktoś może żyć bez komputera, wzdycha. Odrzuca prawie wszystkie moje próby nawiązania rozmowy, zwłaszcza jeśli mają one coś wspólnego z jego stylem życia lub czymś osobistym na jego temat.

Czwartego z cichych dni pyta zniechęcona, czy chciałabym wziąć kolejną kąpiel.

– Tak – mówię z ulgą, ciesząc się, że w końcu wrócił z miejsca, w którym zamknął się wewnątrz swojej głowy. – Bardzo bym tego chciała.

Potakuje, wyglądając na skruszonego.

Siedzi na krawędzi łóżka, z łokciami na kolanach i opuszczonymi rękami, wpatrując się w dywan. Na zewnątrz jest ciemno. Wszystkie świece w pokoju są zapalone, co nadaje ciepły, domowy blask.

Kiedy Malek nie porusza się ani nie mówi nic więcej, pytam nieśmiało:

– Czy miałeś na myśli „teraz”?

W reakcji na moje słowa podnosi się, a potem idzie do łazienki, gdzie odkręca kran w wannie. Wraca i bierze mnie w ramiona.

Nie wyklócam się, że powinnam iść sama. Nie jest w nastroju na moje docinki, tyle mogę powiedzieć. Po prostu pozwalam mu zanieść się do łazienki i rozebrać. Choć znowu czuję się okropnie skrępowana, wierzę, że Malek nie sprawi, że ta sytuacja będzie dla mnie jeszcze bardziej niezręczna.

Kiedy leżę w wodzie, a jego ręce są w moich włosach, ponownie zaczyna mówić po rosyjsku, tak jak ostatnim razem, kiedy mnie kąpał.

Mówi i mówi, jego głos jest niski, a intonacja obcych słów hipnotyzuje.

W jego tonie słychać różne emocje, ale nie słyszę gniewu. Odnoszę wrażenie, jakby próbował sprawić, żebym zrozumiała coś, co ma dla niego istotne znaczenie.

Chcę go zapytać, co mówi, lecz nie robię tego.

Wiem, że nie odpowie.

Opłukuje mnie, osusza, po czym ubiera w kolejną ze swoich ogromnych, czystych koszul. Później oznajmia, że nadszedł czas na zdjęcie szwów.

– Och. Okej. Czy muszę w tym celu udać się do szpitala?

Spojrzenie, które mi posyła, jasno wskazuje, że jest urażony. Bierze mnie na ręce i zanosz z powrotem do łóżka.

Układa mi delikatnie poduszkę pod głowę, podciąga pled, żeby zakryć moje krocze, podwija koszulę tuż pod piersi, a na końcu odkleja bandaż. Z szuflady szafki nocnej wyjmuję dużą pęsetę i parę nożyczek chirurgicznych. Obie rzeczy są zawinięte w folię.

Niepokój wykwita na mojej skórze jak wysypka.

– Czy to będzie bolało?

– Nie. Poczujesz szarpnięcie lub dwa, ale to wszystko.

Kiwam głową, wierząc, że powiedziała by mi, gdyby było to bolesne.

Rozpakowuje narzędzia, czyści je za pomocą gazika i drażniącego pachnącego płynu z brązowej butelki, następnie pochyła się nade mną, by zabrać się do pracy.

Po chwili oznajmia:

– Dobrze się zagoiła. Ta blizna nie będzie zła.

Do tej pory opierałam się przed spojrzeniem na ranę, więc przyjmuję te słowa z ulgą. Kiedy jednak podnoszę głowę i zerkam w

dół, na odsłonięty brzuch, ulga znika. Natychmiast zastępuje ją obrzydzenie.

– Dobrze? To ohydne!

– Znowu przesadzasz – odpiera Mal.

– Jestem Frankensteinem! Popatrz na tę szramę! Jest długa na stopę! I dlaczego, do cholery, ma kształt błyskawicy? Czy chirurg pił?
– panikuję.

– Musiał przejść wokół twojego pępka – wyjaśnia spokojnie.

– Czy nie mógł zrobić półksiężyca? Wyglądam jak Harry pieprzony Potter razy dziesięć!

– Przestań krzyczeć.

Jęcząc, pozwalam głowie opaść z powrotem na poduszkę.

– To tyle, jeśli chodzi o noszenie bikini – mamroczę, niezadowolona.

– Możesz zrobić sobie tatuaż, żeby to zakryć. Mogłabyś go dodać do swojej kolekcji.

Chociaż mówi to głosem pozbawionym emocji, wyczuwam w nim nutkę serdeczności, która sprawia, że postanawiam drążyć temat.

– Wydaje mi się, że chciałbyś powiedzieć coś o moich tatuażach, Mal.

Przecinając brzydkie, czarne szwy i ciągnąc za nie, wykrzywia usta.

– Po prostu jestem ciekawy.

Wzdycham i przewracam oczami.

– Od którego mam zacząć?

– Od tego po wewnętrznej stronie twojego lewego nadgarstka.

Szybkość, z jaką odpowiada, pozwala stwierdzić, że myślał o tym od jakiegoś czasu. Ten tatuaż to pojedyncza linia zawierająca cztery słowa zapisane na czarno kursywą.

Remember Rule Number One⁸.

– Cóż, jeśli musisz wiedzieć, ten jest moim ulubionym – wyjaśniam.

– Jaka jest zasada numer jeden?

– Pieprzyć to, co myślą inni.

Zatrzymuje się w połowie pracy i patrzy na mnie.

– Kim są ci inni?

– To wszyscy. Wszyscy oprócz mnie. – Uśmiecham się lekko. – Ten tatuaż przypomina o tym, że opinie innych ludzi nie mają znaczenia. Ważne, by przeżyć swoje życie tak, jak chcę, bez względu na presję z zewnątrz. By być stuprocentowo sobą.

Chwilę później Mal powoli kiwa głową, wyraźnie zadowolony. Wraca do pracy, wyjmując rozcięty szew i odkłada go na stary bandaż.

– A napis *you can*⁹ na twojej prawej kostce?

– Często używałam wyrażenia nie mogę w stosunku do swojej mamy, kiedy byłam mała. To była tylko wymówka, z której korzystałam, gdy wolałam czegoś nie robić albo uważałam coś za zbyt trudne, ale ona nie pozwalała mi się wykręcić. Zachowywała spokój i mówiła: Możesz. I wtedy to robiłam, bo nie chciałam jej zawieść. Tatuaż przypomina mi, żebym szła dalej, kiedy chcę się poddać. – Milczę przez chwilę, zagubiona we wspomnieniach, a potem szepczę: – Moja mama była najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam.

Mal przeszywa mnie spojrzeniem.

– Była?

Przytakuję.

– Zmarła, gdy byłam dzieckiem. Rak jajnika. – Mój głos staje się jeszcze cichszy. – To nie jest dobry sposób na odejście.

– Nie ma żadnych dobrych sposobów na odejście. Niektóre są po prostu szybsze niż inne.

– Moja prababcia zmarła we śnie w wieku dziewięćdziesięciu dziewięciu lat. To wydaje się całkiem dobrą śmiercią.

– Pewnie, gdybyś nie musiała żyć aż dziewięćdziesięciu dziewięciu lat, by móc umrzeć w taki sposób.

– Co jest złego w starzeniu się?

– Nie znasz wielu starszych ludzi, prawda?

– Nie. Dlaczego pytasz?

– Starość nie jest dla osób o słabym sercu – odpowiada tajemniczo.

Kupka pociętych, czarnych szwów rośnie. I Mal miał rację: ledwo poczułam szarpnięcie. Jest w tym dobry.

Z tego, co mogę powiedzieć, jest dobry we wszystkim.

– A co ze smokiem na karku?

– *Big yikes*¹⁰. – Krzywię się.

– Wyjaśnij.

– Zrobiłam to podczas mojej fazy na *Grę o Tron*. Miałam obsesję na punkcie Khaleesi. Mała, rządząca się suka, która posiadała trzy smoki i potrafiła skopać tyłek wszystkim mężczyznom? No błagam. Czeka, czy to... Czy ty się właśnie uśmiechasz?

– Nie – odpięra natychmiast. – To tylko wyraz twarzy, który pojawia się u mnie, zanim zacznę wymiotować.

– Zabawne.

– A ten wzór z tyłu prawego ramienia? – dopytuje.

– Wydawało mi się po prostu, że będzie ładny. A co z tym wielkim, przerażającym szkieletem w kapturze na twoich plecach? – Przejmuję pałeczkę w przepytaniu.

Obdarza mnie spojrzeniem, które mówi: „Zastanów się nad tym”.

– Och. Fakt. – Moje usta układają się w delikatny uśmiech zawstydzenia. – A co z tą linią tekstu ciągnącą się w górę twoich żeber? Co to za pismo?

– Cyrylica.

– Co tam jest napisane?

– Bez przeszłości nie ma przyszłości.

– Wow. To mroczne.

– W mojej pracy nie ma zbyt wiele humoru. Chyba że jest czarny.

– To ma sens. A co z tym wielkim, czerwonym V na twoim lewym ramieniu? Wygląda na świeży tatuaż. Czy to inicjał?

– Nie.

– Rzymska cyfra?

– Nie.

– W takim razie co oznacza?

Skończywszy usuwać szwy, odkłada nożyczki i pęsetę na bok, zwija bandaż z pociętymi kawałkami nici, kładzie go na komodzie, następnie patrzy na mnie.

– Zemsta¹¹.

Otwieram usta, po czym znów je zamykam.

– No, no, no – mruczy. Jego spojrzenie jest intensywne. – Patrzcie, kto w końcu się uciszył.

Przygryzam wargę. Jego wzrok pada na krótko na moje usta, nim wróci do oczu.

Szczerze mówiąc, nie mogę wymyślić ani jednej sensownej odpowiedzi. Nie mam nic do powiedzenia. Nie ma słów na tę sytuację.

Po kilku pełnych napięcia sekundach Malek mówi:

– Nie prosiłaś, żebym odwiózł cię do domu.

Kryje się tam pytanie. Pytanie, które brzmi: „Dlaczego tego nie zrobiłaś?”.

Aby uniknąć jego przenikliwego spojrzenia, zerkam w dół, na swój brzuch. Potem powoli opuszczam koszulkę, zakrywając bliznę.

– Okej.

– To nie jest odpowiedź.

Nie mam na to odpowiedzi, przynajmniej nie takiej, która miałaby sens. Czuję, że Mal wpatruje się we mnie z palącą intensywnością, a moje policzki zaczynają płonąć.

Już ma się odezwać, kiedy gwałtowny hałas sprawia, że podskakuję. Dobiega zza okna po drugiej stronie pokoju i brzmi tak, jakby jakaś osoba stała na zewnątrz, w ciemności, uderzając knykciami o szybę.

– Co to za dźwięk? Wiatr? Niedźwiedź? Seryjny morderca? – Mój głos zmienia się w wysoki pisk. Wyraźnie słychać w nim panikę.

– To Poe – oznajmia zupełnie spokojny Mal.

– Co to jest Poe?

Podnosi się z łóżka, przechodzi przez pomieszczenie i otwiera okno. Do środka wdiera się zimne, nocne powietrze, a na parapet wskakuje olbrzymia, czarna wrona, trzepocząc skrzydłami.

To coś waży pewnie ze dwadzieścia kilo. Ma błyszczące, czarne oczy, ostry jak brzytwa dziób i otacza je przerażająca aura inteligencji.

Ptak patrzy na mnie, skrzecząc, jakby szatan wysłał go po moją duszę.

– O Boże! – panikuję.

– Nie, to tylko Poe. – Mal wyciąga rękę.

Stworzenie wskakuje na jego przedramię, spogląda na niego i wydaje z siebie odgłos... czułości.

– Jaja sobie robisz. Twoim zwierzątkiem jest wrona?

– Nie mów o nim tak, jakby nie było go w pokoju. Zranisz jego uczucia – obrusza się.

Nie umiem stwierdzić, czy to żart, czy nie, bo wyraz jego twarzy jest poważny.

Jak zawsze.

– Chcesz go nakarmić?

Obserwuję z niepokojem ptaka, który, niezrażony, wpatruje się we mnie.

– Co on je?

– Ludzkie gałki oczne – odpowiada Mal.

– Świetnie, teraz jesteś komikiem – mówię beznamiętnie.

Siada u stóp łóżka i wyciąga rękę w moją stronę. Wrona przeskakuje na jego nadgarstek, kiwając głową. Piszczę cicho ze strachu.

– Zabaw go przez chwilę, a ja pójdę po jego jedzenie – oznajmia Mal.

Ptak zlatuje z ręki Maleka i ląduje na moim udzie. Czuję się, jakby ktoś upuścił na mnie malucha. Dźwięk strachu, który tym razem wydaję, jest głośniejszy.

Mal wstaje z materaca. Zanim odwróci się, by wyjść z pokoju, mogłabym przysiąc, że dostrzegam na jego twarzy uśmiech.

Poe stoi na mojej nodze, poprawiając skrzydła, i patrzy na mnie wyzywająco.

Starając się zapaść jak najgłębiej w poduszkę, mówię słabo:

– Cześć, Poe. Hmm. Miło cię poznać. Mam nadzieję, że nie przenosisz żadnej zarazy.

Skrzek!

– Czy to było obraźliwe? Musisz mi wybaczyć moje maniery. Nieczęsto prowadzę rozmowy ze skrzydlatymi stworzeniami.

Skrzek!

Mam wrażenie, że ten pieprzony ptak chce lepszych przeprosin niż te, które właśnie dostał, więc dodaję lakonicznie:

– Przepraszam, że powiedziałam to o zarazie. To było niegrzeczne. Hmm... masz bardzo ładne pióra.

Wiem, że błysk satysfakcji w jego oczach nie jest jedynie moim wyobrażeniem, bo wydaje łagodniejszy kwik i zaczyna pielęgnować pióra.

Mal wraca do pokoju, trzymając małe naczynie. Kiedy Poe go dostrzega, kracze z podniecenia, podskakując na mojej nodze i prawdopodobnie tworząc na niej siniaki. Mężczyzna podaje mi naczynie. Zerkam do niego i widzę, że jest wypełnione małymi, brązowymi granulkami.

– Co to jest?

– Karma dla kotów. Wrony ją uwielbiają.

Jakby na potwierdzenie tej tezy, Poe trzepocze skrzydłami, ląduje na mojej klatce piersiowej, wsadza głowę do miski, którą trzymam, i zaczyna jeść.

– Mal?

– Tak, Riley?

– Na mojej klatce piersiowej jest gigantyczna w-wrona – dukam.

– Widzę.

– Czy to niebezpieczne?

Poe przestaje na chwilę połykać granulki kocie karmy, aby odwrócić głowę i spojrzeć na mnie.

– Tylko dla ludzi, którzy zwracają się do niego, mówiąc to – odpiera nieco rozbawiony Mal.

Poe stoi na mojej piersi. Czeka.

Czując się jak totalna idiotka, ponownie przepraszam ptaka.

– Przepraszam, Poe. Miałam kiedyś tylko złote rybki. Nie mają one nawet w przybliżeniu takiej osobowości jak ty.

Poe puszcza cichą, nieregularną wiązkę kraknięć i gruchotania, by pokazać, jak bardzo jest ze mnie niezadowolony, po czym znowu zaczyna jeść.

Czuję się tak, jakbym została zwolniona.

Nasza trójka milczy, dopóki Poe nie skończy kociego jedzenia. Później leci z powrotem do otwartego okna, sprawiając, że podskakuję, gdy odrywa się od mojej piersi.

Z ostatnim pożegnalnym skrzeknięciem odlatuje w noc. Mal zamyka za nim okno, następnie odwraca się do mnie i opiera o ścianę, krzyżując ręce na piersi.

– Czy masz jakichś innych zwierzęcych przyjaciół, których wizyty powinnam się spodziewać? – pytam.

– Rodzina szopów przychodzi od czasu do czasu.

– Jakies niedźwiedzie?

– Nie te przyjazne. Czas, żebyś poszła spać.

– Czy jesteś taki władczy wobec wszystkich swoich pacjentów?

– Czy jesteś taka pyskata dla wszystkich swoich lekarzy?

– Tylko dla tych, których lubię – odpieram automatycznie.

Zapada cisza, podczas której Mal po prostu stoi i wpatruje się we mnie ciepłymi oczami. Po chwili zdarza się cud: uśmiecha się.

To jest piękne.

– Idź spać, Riley Rose – mruczy.

– Jak mogę spać, kiedy stoisz i gapisz się na mnie?

– Do tej pory dobrze sobie z tym radziłaś. A teraz zamknij oczy.

Wzdycham, opuszczam ramiona po bokach w dramatycznym geście, po czym słucham jego polecenia i zamykam oczy.

Prawdopodobnie zasypiam niemal natychmiast, bo nic więcej nie pamiętam.

Kiedy budzę się rano, Mal śpi na boku, obok mnie. Rękę ma pod szyją, a nogę przerzuconą przez obie moje. Jego wielka, ciepła dłoń jest rozłożona na moim brzuchu.

Dokładnie nad moją blizną.

ROZDZIAŁ 29

RILEY

– Po prostu oddychaj – mruczy mi do ucha Mal.

Okej, więc nie śpi. I najwyraźniej wyczuł, jak moje mięśnie się napięły, kiedy zdałam sobie sprawę, że leży obok mnie.

Biorę głęboki wdech, lecz nie jest on uspokajający. Jak mógłby być? Wciągam męski zapach, który osiada na płucach, przyprawiając mnie o zawrót głowy.

Moje jajniki budzą się i zaczynają wrzeszczeć jak małpy w zoo.

Milion rzeczy, które mogłabym powiedzieć, przebiega przez mój umysł, ale z ust wychodzi jedynie stłumione:

– Och. Cześć. To coś nowego.

Mężczyzna rechocze.

– Nie panikuj.

– Kto? Ja? Pfff. Nie panikuję. Jestem całkowicie wyluzowana. Jestem najwyluzowaniejsza – dodaję po chwili, nie wiedząc, czy to słowo w ogóle ma sens.

Mal przesuwając dłoń z mojego brzucha na nadgarstek. Naciska kciukiem miejsce, gdzie bije puls. Wiem, że czuje, jak pędzi. Tak samo dziko bije moje serce.

Moment później znów się śmieje.

– Nie chełp się. To sprawia, że mam ochotę cię dźgnąć – rzucam, zirytowana.

Nie odpowiada, jednak nadal trzyma mój nadgarstek. Obejmuje go dużą ręką i kładzie moje ramię na mojej klatce piersiowej, tak że jestem owinięta, jakbym była w kokonie – bezpieczna w tym rozkosznym, ciepłym ciężarze jego ciała.

Zamykam oczy i staram się nie drzeć.

– Drgasz we śnie jak szczeniak. – Jego głos jest niski i ciepły.

Moje jajniki przestały krzyczeć, ale teraz biegają w kółko, wzniecając ogień w całej dolnej partii ciała.

Nie wiem, co powiedzieć, więc się nie odzywam.

– Muszę dziś iść do pracy. – Mał milknie na chwilę. – Wrócę późno. – Podejrzewam, że chciał coś dodać. Ta przerwa wydała mi się znacząca. Czekam. Moje serce bije jeszcze szybciej. Po kilku sekundach znów się odzywa, tym razem innym, mroczniejszym tonem: – Nie próbuj uciekać.

– Nie będę – szepczę.

– Powinnaś.

– Dlaczego?

– Wiesz dlaczego.

O Boże, ta seksowna nuta w jego głosie – przywodząca na myśl surowy, gorący, brudny seks – sprawia, że hiperwentyluję. Nie mogę teraz nic na to poradzić: zaczynam drzeć.

Moja reakcja coś w nim zmienia. Uwalnia dzikie zwierzę, które do tej pory trzymał pod ścisłą kontrolą, na smyczy, za jego napiętym milczeniem i czujnym spojrzeniem.

Mał kładzie mnie na boku, po czym opiera z powrotem o swoją klatkę piersiową, przyszpilając rękami i nogami, własnym ciepłem oraz masą.

– Doskonale wiesz, czego od ciebie chcę, prawda? – pyta szorstko, z ustami przy moim uchu. – Albo wydaje ci się, że wiesz. Ale gdybyś naprawdę wiedziała, uciekłabyś tak szybko i daleko ode mnie, jak tylko byś mogła, *malyutka*. Uciekłabyś z krzykiem.

– Wiem, że nie zamierzasz mnie skrzywdzić – rzucam.

– Chcę tego.

– Nie, nie chcesz – protestuję.

– O, tak, chcę – warczy niemal jak wilk. – Chcę cię trzymać, gryźć i pieprzyć, aż będziesz szlochać. Chcę dojść głęboko w twojej cipce, ustach i tym idealnym, małym tyłku. Chcę widzieć ślady swoich zębów na twoich cycach, swoje odciski palców na twoich udach i łyzy w twoich oczach, kiedy ustawię cię na kolanach i sprawię, że będziesz zakneblowana moim kutasem. Nie zrozum tego źle, słodka dziewczyno. Chcę cię, kurwa, pożreć.

Oddychając nieregularnie, tak jak ja, wydaje się tracić kontrolę nad sobą, jakby w każdej chwili mógł wybuchnąć i rozerwać mnie na strzępy.

Jego długa, twarda niczym skała erekcja wbija się w moje pośladki.

Leżę z szeroko otwartymi oczami, drżąc na całym ciele, podniecona i zdyszana, spodziewając się, że zaraz poczuję, jak jego zęby zagłębiają się w mojej szyi, a ręce zrywają ze mnie ubrania.

Zamiast tego Mal chwytą mnie za szczękę, odwraca moją głowę w swoją stronę, a potem łączy nasze wargi.

Pocałunek jest głęboki i mokry. Surowy i drapieżny. Namiętny i gorący. Jest w nim wszystko, czego ten mężczyzna ode mnie chce, jakby pozwalał sobie na ten jeden moment braku kontroli, aby pokazać mi głębię własnego pożądania.

Ta chwila kończy się tak szybko, jak się zaczęła.

Malek puszcza mnie, zrywa się z łóżka i wychodzi z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Parę sekund później zatrzasnąją się kolejne drzwi, a jego już nie ma.

Spędzam dzień w oszołomieniu, przemykając z pokoju do pokoju jak zombie. Nie mogę się na niczym skupić. Bez telewizora i komputera czuję, że czas stoi w miejscu. Jestem zdezorientowana, niespokojna i rozemocjonowana. Niepewna, co powinnam zrobić z tym, co się stało, i zdenerwowana tym, co się stanie, gdy wróci.

Kiedy Mal pojawia się w domu późnym wieczorem, jestem w rozsypce.

Nie muszę się jednak martwić, bo ponownie włącza tryb zamyślnego opiekuna.

Zwierzę jest z powrotem w swojej klatce.

– Jeszcze nie śpisz – mówi, stając w drzwiach sypialni.

Siedzę w dużym, skórzanym fotelu, przeglądając książkę, której nie mogę przeczytać, bo jest po rosyjsku. Odkładam ją na bok i patrzę na niego.

– Nie mogłam zasnąć.

Trzyma kilka wielkich, białych, papierowych toreb z uchwyty, podobnych do tych z domu towarowego. Stawia je na podłodze, następnie zdejmuje płaszcz i rzuca go na krzesło przy biurku.

– Przyniosłem ci trochę ubrań. Buty. Inne rzeczy też. – Wskazuje torby.

Mam nadzieję, że w jednej z nich znajduje się również moje zdrowie psychiczne.

– Dziękuję – odpieram.

Jestem sztywna i skrępowana. Nie mam pojęcia, co więcej mogłabym powiedzieć.

Przez moment stoi nieruchomo, obserwując mnie, po czym niespodziewanie klęka przed fotelem, na którym siedzę. Chwyta mnie za nadgarstki, ciągnąc ku sobie.

Kiedy nasze twarze dzielą centymetry, nawiązuje ze mną kontakt wzrokowy.

– Teraz się mnie boisz. Dobrze – mruczy.

– Dlaczego chcesz, żebym się ciebie bała? – pytam, zdziwiona jego wypowiedzią.

– Ponieważ powinnaś się bać. Bo to utrzyma cię przy życiu – wyjaśnia łagodnie.

– Te twoje nagłe zmiany nastroju są bardzo wyczerpujące. Tak przy okazji: dużo myślałam – zagaduję, chcąc zmienić temat.

– Teraz to ja powinienem się bać – kpi.

– To nie jest zabawne. Zapytałam cię, jak długo zamierzasz mnie tu trzymać. Twoja odpowiedź brzmiała: „Tak długo, jak będzie trzeba”. Tak długo, jak co będzie trzeba? – drążę, licząc, że tym razem nie zostanę zignorowana, tylko otrzymam konkretną odpowiedź.

Mał jedynie potrząsa głową. Jego ignorancja wywołuje we mnie gniew.

– Zasługuję na wyjaśnienie – upieram się.

Mięsień w jego szczęce drga. Zielone oczy błyskają.

– Ja zdecyduję, na co zasługujesz. I kiedy to dostaniesz.

Och, dwuznaczność tej wypowiedzi sprawia, że włoski na karku stają mi dęba. Nie pozwalam jednak, aby mnie to rozproszyło.

– Dlaczego mnie tu zabrałeś? Dlaczego mnie uratowałeś? Dlaczego zawracałeś sobie głowę robieniem tego wszystkiego, co robiłeś od czasu naszego pierwszego spotkania? Jaki jest plan, Mal?

– Plan to nie twoja sprawa.

– Mówimy o moim życiu! – Nie daję za wygraną.

– Twoje życie przypadło, gdy Declan zabił mojego brata – warczy.

– Twoje życie należy teraz do mnie.

Wpatrujemy się w siebie ze złością, nawet nie mrugając. Elektryczność trzeszczy w powietrzu.

Nie dając się zastraszyć, staram się, by mój głos brzmiał pewnie i był pozbawiony cienia emocji.

– Więc jestem twoim niewolnikiem. Twoją własnością. Czy właśnie to próbujesz mi powiedzieć? – upewniam się.

Jego spojrzenie staje się gorące, a on sam oblizuje wargi.

Podoba mu się ten pomysł.

– Zostaniesz tu ze mną tak długo, jak będę chciał. Niczego więcej ci nie powiem. – Wstaje gwałtownie, posyłając mi spojrzenie spod półprzymkniętych powiek, tak gorące jak wcześniej. – A co do kwestii własności, może zechcesz zadać sobie pytanie, dlaczego wciąż nie błagałaś mnie, żebym zabrał cię do domu.

Odwraca się na pięcie i wychodzi z pomieszczenia.

Krzyczę za nim:

– Zostałam porwana! To samo w sobie sugeruje, że chcę wrócić do domu!

Ten niski, zadowolony rechot, który słyszę z drugiego pokoju, wskazuje, że Mal również nie wierzy w szczerość mojej wypowiedzi.

Nie odzywam się do niego przez dwa dni. Nie mogę. Jestem zbyt wściekła.

Nie mam pewności, na które z nas jestem bardziej zła – na niego czy na siebie.

Ma rację: już dawno powinnam była go błagać, aby zabrał mnie do domu. Powinnam była to zrobić, kiedy po raz pierwszy otworzyłam

oczy w tym miejscu. Ale nie postąpiłam w ten sposób, a to coś znaczy.

Coś niepokojącego, czego do końca nie rozgryzłam.

A może nie chcę tego rozgryzać. Konsekwencje mogą nie być dobre.

A może nie chcę wiedzieć, co by zrobił, gdybym poprosiła go o zabranie mnie do domu.

Może by to zrobił, a ja tego nie chcę.

A może mój mózg po prostu potrzebuje wakacji od wszystkich *może*, bo ani jedna rzecz nie ma już sensu. Prawie nie wiem, która droga wiedzie do przodu.

Trzeciego dnia milczenia Mał po raz pierwszy zabiera mnie na zewnątrz. Opatulona w ciężki, wełniany koc, sweter oraz spodnie dresowe, które mi przyniósł, ze stopami w bawełnianych skarpetach, stoję na ganku w jasnym świetle, opierając się biodrem o drewnianą barierkę i trzymając rękę w górze, by osłonić oczy przed słońcem. Gdy oddycham, przed moją twarzą pojawiają się białe obłoczki pary.

Jest lodowato zimno. Powietrze jest nieruchome, a niebo czyste, błękitne. Wokół domku, jak okiem sięgnąć, nieskazitelna alpejska łąka błyszczy pod warstwą śniegu. Otaczające polanę wysokie jodły też są pokryte puchem. Ich gałęzie – wyglądające, jakby były posypane cukrem pudrem – wyginają się z wdziękiem.

Poza sporadycznym ćwierkaniem ptaków panuje tu zupełna cisza.

Odnoszę wrażenie, że jesteśmy jedynymi ludźmi na świecie. Że przebywamy w wymyślonym, bajkowym świecie, gdzie nie ma nikogo poza nami.

Stojąc obok mnie i wpatrując się w bezkresny horyzont, Mał mówi cicho:

– Michaił i ja dorastaliśmy tutaj. Antonowowie mieszkają w tym domu od czterech pokoleń. – Milknie na chwilę. – No, nie w tym domu. Oryginalny domek, który zbudował mój pradziadek, spłonął. Trafiony przez piorun. Mik i ja odbudowaliśmy go od podstaw.

Patrzę na jego profil. Ten mężczyzna jest taki przystojny i twardy.

On należy tutaj, do tej cichej dziczy. Pasuje tu tak samo jak wilki, łosie oraz jego przyjaciel – arogancka wrona. Jest tak samo

nieokielznany jak wszystkie dzikie stworzenia, które zamieszkują to miejsce, i prowadzi taki sam rodzaj życia jak one.

Okrutny.

– Ja też wychowałam się w domku – informuję. Kiedy Mal na mnie zerka, jego spojrzenie jest tak przeszywające, że muszę odwrócić wzrok. – W Lake Tahoe. Był mniejszy niż ten tutaj. Mój pradziadek go nie zbudował. Jednak przypomina mi o tamtych czasach – dodaję, rozmarzona. – Ten zapach. Sosny. Dzikość natury. To bycie tak blisko natury przypomina ci, że też jesteś jej częścią. W moim mieszkaniu w mieście zawsze czułam się oddzielona od wielu rzeczy. Jakby prawdziwe życie było gdzie indziej i nie mogło mnie osiągnąć. Ale w lesie czuję się bardziej... – Milknę, szukając odpowiedniego słowa.

– Żywa – kończy za mnie Malek.

Kiwam głową.

– I niebezpiecznie – mówię.

– I dlatego to lubię.

– Pasuje do ciebie – kwituję, patrząc na niego przelotnie.

Po krótkiej przerwie oznajmia:

– Ja też mam swoje miejsce w mieście. W Moskwie. Zatrzymuję się tam, gdy wymaga tego praca. Ale wolę być tutaj, gdzie jesteśmy teraz. – Obserwuje z uczuciem otaczające nas piękno przyrody.

– Jak daleko jest stąd do Moskwy?

– Godzina jazdy samochodem do najbliższego miasta, potem dwugodzinny lot – wyjaśnia spokojnie.

To mnie zaskakuje.

– Och.

– Co?

– Możesz załatwić swoje sprawy w ciągu jednego dnia, podróżując sześć godzin w obie strony?

– Jestem bardzo dobry w tym, co robię – odpiiera cicho.

Wdycham czyste, zimne powietrze, pozwalając sobie na uspokojenie myśli i siebie.

– W zabijaniu ludzi.

Przez moment wpatruje się w mój profil, po czym stwierdza:

– Interesujące jest dla mnie to, że wydaje mi się, że ci to nie przeszkadza.

– Oczywiście, że mi to przeszkadza. – Myślę przez chwilę. – Choć, szczerze mówiąc, dużo bardziej przeszkadzałoby mi, gdybyś zabijał kocięta. Ludzie w ogóle są przereklamowani. I prawdopodobnie po prostu pozbywasz się innych złych osób, mafiosów i tak dalej, więc część mnie sądzi, że robisz coś pożytecznego dla społeczeństwa. I tak, jestem świadoma, że to niedorzeczne i nie mam możliwości dowiedzieć się, czy gwałcisz zakonnice, palisz sierocińce albo wysadzasz sale przedszkolne, ale taki głupi głosik w mojej głowie mówi mi, że jak na złego faceta jesteś całkiem... niezły. – Wzdycham ciężko. – Jednak nie jestem przy zdrowych zmysłach, więc przyjmij to wszystko z przymrużeniem oka.

Spędzamy parę minut w ciszy. Później Mal mówi niskim głosem:

– Ze wszystkich ludzi, których kiedykolwiek spotkałem i którzy wiedzą, co robię, jesteś jedyną osobą, która traktuje mnie jak człowieka.

Stoimy w milczeniu, spoglądając na łąkę oraz drzewa.

Czuję w piersi ból, który szybko narasta.

– Mal?

– Tak?

– Przykro mi z powodu twojego brata. – Sztywnieje, a ja kontynuuję: – Nie mówię tego dlatego, że nie chcę, żebyś zabił Declana. To znaczy, nie chcę, żebyś zabił Declana, ale to osobna sprawa. Po prostu... przykro mi z powodu twojej straty, chociaż nie jesteśmy tak blisko. Gdyby moja siostra umarła, część mnie również by odeszła – stwierdzam ze smutkiem. Po chwili namysłu przyznaję niechętnie: – Może nawet najlepsza część.

Zerkam na niego i widzę, że powoli bierze wdech. Jego nozdrza są rozdęte, a usta zaciśnięte w wąską linię.

Moment później przenoszę wzrok z powrotem na widok przed sobą, niepewna, co jeszcze powiedzieć. Stoimy obok siebie przez dłuższą chwilę, wsłuchując się w ciszę, aż Malek wypuszcza powietrze.

– Twój ochroniarz. Kieran.

Mój oddech przyspiesza.

– Dowiedziałeś się czegoś?
– On żyje. Spędził trochę czasu na oddziale intensywnej terapii, ale da sobie radę.

Przyciskając dłoń do walącego serca, robię drżący wydech.

– Dzięki Bogu.

– Ten drugi. Ten blondyn. – Jego ton sprawia, że się denerwuję.

– Spider? Nic mu nie jest?

– Muszę to przyznać twoim Irlandczykom: są wytrwali – mówi w zamyśleniu, kiwając głową. – Głupi, ale wytrwali.

– Co masz na myśli?

Spogląda na mnie pozbawionymi emocji oczami.

– Spider jest w Moskwie. Przyleciał cię szukać – wyjaśnia.

To wyznanie pozbawia mnie tchu. Wywołuje szok, lecz także strach, bo wiem, co Mał zrobi dalej.

I z pewnością nie będzie to przygotowanie dla Spidera kosza powitalnego z łakociami.

Spanikowana, odwracam się do niego i chwytam go za ramię.

– Proszę, nie...

– Oszczędzaj oddech – przerywa. – Nie zabiję go.

Opieram się o poręcz ganku, zamykam oczy i biorę głęboki wdech.

– Dziękuję – mówię cicho, nim powoli wypuszczę powietrze.

– Wydajesz się szczególnie lubić tego jednego – kwituje Mał, bacznie mi się przyglądając. Jego ton jest spokojny, ale w wypowiedzi kryje się jakiś podtekst. Jakby był na krawędzi.

Kiedy patrzę na niego, on wpatruje się we mnie półprzymkniętymi oczami.

To tłące się spojrzenie. Intensywne.

I oczywiście zaborcze.

Zasycha mi w ustach, więc zwilżam wargi.

– Bo tak jest. To mój przyjaciel – oznajmiam stanowczo.

– Przyjaciel. – Wydłuża to słowo, powtarzając je, jakby źle smakowało w jego ustach.

– Tak, przyjaciel. Jestem pewna, że znasz to pojęcie.

Zaciska szczęki. Przybiera swoją dumną postawę macho, patrzy na mnie z góry i parska jak byk.

– Nie mam przyjaciół.

- Tak, masz – odpieram bez chwili namysłu.
- Nie, nie mam – odpiera twardo.
- Tak, masz, ty uparty dupku.
- Wymień jednego.
- Ja.

Spogląda na mnie, jakbym była obłąkana i powinna żyć w zamknięciu na zawsze, dla bezpieczeństwa ludzkości.

Wzdycham ciężko.

– Och, nic nie mów. Wiem, że to nie ma sensu. Jednak to po prostu prawda. – Nie daję za wygraną.

Jego ręce zaciskają się, a z boku szyi uwypukla się żyła.

Podchodzi do mnie. Jego oczy płoną.

Zanim zdąży wykrzyknąć mi w twarz obelgi, oznajmiam głośno:

- Nie obchodzi mnie, że ci się to nie podoba.
- Porwałem cię! – przypomina.
- Uratowałem mnie przed śmiercią z powodu rany postrzałowej.
- Po strzale, który był przeznaczony dla mnie!
- Tak, i od tego czasu mnie rozpieszczasz. Martwisz się o każdy mój najmniejszy kaszel i na moją prośbę oszczędzasz ludzi, których normalnie byś zabił. Chyba że to, co mówiłeś na temat Spidera, było kłamstwem, ale nie sądzę, bo wiem, że nie lubisz mnie rozczarowywać.

Kiedy przybiera typową dla siebie pozę warczącego, najeżonego macho, macham na niego lekceważąco ręką. Nie skończyłam mówić, więc nie zamierzam patrzeć, jak zachowuje się niczym dzikus.

– Ponadto trzymałeś ręce przy sobie i fiuta w spodniach, choć oboje wiemy, że tego nie chcesz i nie ma niczego, czym mogłabym cię powstrzymać, gdybyś zdecydował się postawić na swoim.

– Sądzisz, że mam na ciebie ochotę? – pyta z niedowierzaniem przez zaciśnięte zęby. Żyły na jego szyi stają się jeszcze lepiej widoczne.

– Wiesz, co mam na myśli. Chodzi mi o to, że ludzie, którzy nie są rodziną i nie sypiają ze sobą, ale którzy troszczą się o siebie i robią dla siebie nawzajem rzeczy, jakich normalnie by nie zrobili, są nazywani przyjaciółmi. Pogódź się z tym.

Patrzy na mnie, zaskoczony. Sądząc po tym, jak szeroko otwiera oczy, jego głowa lada chwila może eksplodować.

Nic takiego jednak się nie dzieje, a Mal schodzi z ganku i kieruje się w stronę drzew.

Nie widzę go ponownie aż do następnego ranka.

ROZDZIAŁ 30

MAL

Nigdy bym jej nie wziął, gdybym wiedział, że będzie takim problemem.

Ona wywróciła wszystko do góry nogami. Całe moje życie zostało wywrócone do góry nogami przez malutką, demoniczną przybłędę, która ma tak niewyparzone usta, że brakuje słów.

Ona się mnie nie boi.

Uważa, że jestem jej przyjacielem.

Dziękuję mi za wszystko, choć powinna krzyczeć na mnie z wściekłości lub przerażenia.

Nic z tego nie rozumiem.

Wpatruję się z góry w jej śpiącą postać. Jest skulona w łóżku, leży na boku, z rękami złożonymi pod policzkiem, i wygląda zwodniczo anielsko.

Wiem, że to tylko pozory. Ten słodki, niewinny wygląd zewnętrzny kryje sześciuset funtowego goryla o żelaznej woli.

Z wyjątkiem mojej beretty nigdy nie znałem czegoś tak małego, co byłoby jednocześnie tak zaciekle.

Wychodzę po cichu z sypialni i zamykam drzwi, opierając się chęci zostawienia jej kartki z informacją, kiedy wrócę.

Trzy godziny później znajduję się w hotelu Lenin w Moskwie, obserwując Spidera przy barze.

Wpatruje się w swojego drinka, ignorując piękną kobietę po lewej stronie, która próbuje zwrócić na siebie jego uwagę. Kilka innych przy pobliskich stolikach również spogląda w jego stronę, ale on wydaje się nie zauważać żadnej z nich.

Jest zajęty. Miesza swoją whisky. Zagubiony w myślach.

Wiem, o czym myśli.

A raczej o kim.

Demoniczna dziewczyna ma irytujący sposób na trzymanie uwagi mężczyzny, jakby ten był jej zakładnikiem.

Zajmuję stołek po jego prawej stronie. Spogląda na mnie, mruga dwukrotnie, aby się upewnić, że ja to ja, po czym podnosi się, warcząc.

– Pociągnij za spust, a nigdy jej nie znajdziesz – mówię spokojnie do broni, którą kieruje mi w twarz.

Kobieta po jego lewej krzyczy i zrywa się z barowego stołka.

Pozostali klienci podążają za nią, gdy wybiega na zewnątrz. Ostatecznie zostają tylko ja, Spider oraz barman, który nalewa mi podwójną wódkę.

Stawia ją przede mną i kręci głową na dwóch strażników, którzy właśnie wchodzą, zaalarmowani o kłopotach przez nagłe wyjście tłumu.

Zerkają na mnie, odwracają się i wychodzą.

Czasami dobrze jest być gangsterem.

– Siadaj, Spider – rzucam do Irlandczyka, ignorując wycelowaną we mnie broń.

– Gdzie ona, kurwa, jest?! – krzyczy, wściekły.

– W bezpiecznym miejscu. Siadaj – mówię spokojnym tonem.

Widzę, jak decyduje się strzelić mi w nogę zamiast w twarz. Zanim zdążyłby to zrobić, wstaję i przykładam lufę swojego pistoletu do miejsca pod jego brodą.

Niestety jego refleks jest dobry. Nie upuszcza broni, nie potyka się ani nie popełnia żadnego innego błędu taktycznego.

Po prostu odpowiada w ten sam sposób: podsuwa mi pod szczękę lufę glocka.

Stoimy tak, trzymając łokcie złączone, odbezpieczone pistolety, gotowi rozwalić sobie nawzajem głowy, aż on pyta przez zaciśnięte zęby:

– Czy ona żyje?

– Tak. Nie dzięki tobie – przypominam.

– Gdzie ją trzymasz?

– Nie marnuj mojego czasu na głupie pytania. – Prycham.

– Powinienem cię, kurwa, zabić!

– Prawdopodobnie. – Puszczam do niego oczko. – Ale jeśli to zrobisz, ona umrze z głodu. W samotności. Czy naprawdę tego chcesz?

Przeklina gwałtownie w języku gaelickim. Najwyraźniej niepociągnięcie za spust wymaga od niego naprawdę wielkich pokładów samokontroli.

– Wiesz, ona cię lubi – rzucam.

Spider mruga, zaskoczony tym wyznaniem.

– C-co? – duka, jakby nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

– To jedyny powód, dla którego nie jesteś martwy. Poprosiła mnie, żebym cię nie zabijał. Nawet po tym, jak wpakowałeś jej kulę w jelita, wciąż mówiła, że jesteś jej przyjacielem. To naprawdę coś niezwykłego, gdyby się nad tym zastanowić. Osobiście, gdybym stracił nerkę, śledzionę i dwa litry krwi, byłbym nieco mniej wyrozumiały – relacjonuję, celowo informując go o szczegółach stanu jej zdrowia.

Oblizuje wargi i przenosi ciężar ciała z nogi na nogę. Jego głos jest szorstki, gdy mówi:

– Pozwól mi zabrać ją do domu.

– Ona jest w domu. Jest moja.

Jego oczy rozbłyskują wściekłością z powodu wszystkich strasznych rzeczy, które wyobraża sobie, że jej zrobiłem.

– Ty chory skurwielu! – krzyczy.

– Daj spokój, serio. Zranisz moje uczucia.

– Ona na to nie zasługuje! Jest niewinna! – wrzeszczy, ale w jego spojrzeniu widzę desperację.

– Myślisz, że tego nie wiem?

– Więc pozwól jej odejść! – rzuca.

Wpatruję się w jego oczy, znając już odpowiedź, zanim zadam pytanie.

– Pozwoliłbyś jej odejść, gdybyś ją miał?

Zaciska szczęki. Jego twarz robi się czerwona. Ponownie przeklina pod moim adresem, tym razem po angielsku, w wyjątkowo barwny sposób.

– Właśnie tak sądziłem. Powiedz mi, czy szef cię wysłał, czy ta mała misja ratunkowa była twoim pomysłem? – zwracam się do

niego. – Nie mogę sobie wyobrazić Declana podejmującego tak desperackie, skazane na porażkę przedsięwzięcie.

– Gdzie. Kurwa. Ona jest? – grzmi, ignorując moje pytanie.

– To się robi nudne. Czy zanim pójdę, chcesz powiedzieć mi coś, co chciałbyś, żebym jej przekazał? – dopytuję, licząc na zakończenie tego spotkania.

Spider wbija lufę głębiej w moją szyję i warczy:

– Nigdzie nie pójdziesz.

Ten Irlandczyk jest uparty jak osioł. Pomimo mojej skłonności do nienawidzenia go zaczynam podziwiać jego determinację.

– Ostatnia szansa. Nie chcesz przekazać jej przeprosin?

– Oddaj mi ją. Ona jest dla ciebie niczym!

– Żadnych szczerych słów o tym, jak ci przykro, że prawie ją zabiłeś?

– To był wypadek! Kula powinna była trafić w ciebie! – rzuca z nienawiścią.

– Ale tak się nie stało. Postrzeliłeś ją. Teraz jest moja. Widzę, że trudno ci przeżyć obie te rzeczy, co jest dobre. Zasługujesz na to, by cierpieć. I pochwalam twoją nieustępliwość, ale jeśli nie opuścisz Moskwy w ciągu dwunastu godzin, zostaniesz tu pochowany. – Pozwalam sobie na mały, pozbawiony humoru uśmiech. – Moja obietnica, że cię oszczędzę, nie obejmuje reszty Bratwy.

Już ma porzucić zdrowy rozsądek i pociągnąć za spust, by mnie wykończyć, kiedy jego oczy stają się zamglone. Mruga i potrząsa głową, próbując się skupić, lecz jego źrenice nie chcą współpracować.

Gdy kołysze się na nogach, przejmuję od niego broń, po czym wsuwam ją za pasek.

Spider zatacza się na bar i chwyta się go, żeby nie upaść na podłogę. Mruga, usiłując wyostrzyć wzrok.

– Co mi zrobiłeś? – burczy.

– Nic trwałego. Będziesz miał paskudny ból głowy, kiedy się obudzisz. Kup coś na tę przypadłość na lotnisku. I naprawdę nie powinieneś przyjmować drinka od nieznanymych w obcym kraju. Nigdy nie wiadomo, co może w nim być. Albo kto zapłacił, żeby ktoś do niego to dodał.

Nadal przeklina mnie, gdy upada.

Patrzę na niego przez chwilę, leżącego na plecach na zimnej podłodze, a potem wręczam barmanowi zwinięty plik banknotów, dopijam wódkę i wracam do domu.

ROZDZIAŁ 31

RILEY

Zanim otworzę rano oczy, jestem świadoma, że Mal leży obok mnie.

Jeśli jego ciepło nie byłoby wystarczającą wskazówką, gigantyczna erekcja szturchająca moje biodro nie pozostawia wątpliwości.

– Nie martw się. – Jego usta są blisko mojego ucha. – Nie zamierzam cię pieprzyć.

To pewnie moja wyobraźnia, jednak mogłabym przysiąc, że po tym zdaniu nastąpiło niewypowiedziane *jeszcze*.

Zaczynam hiperwentylować i przełykam ślinę. Kiedy udaje mi się pozbierać, szepczę:

– Myślałam, że jesteś na mnie zły.

– Byłam. Ale już mi przeszło.

– Gdzie byłeś?

– Dlaczego pytasz? Martwiłaś się? – mruczy.

– Nie. Po prostu nie wiedziałam, co powiedzieć Poe, kiedy pojawił się, szukając cię – odpowiadam.

– Kłamczucha. – Śmieje się.

Otwieram oczy i natychmiast tego żałuję. Mal nie tylko leży obok mnie, ale też jest ze mną pod kołdrą. W dodatku nagi od pasa w górę.

A jego wielka dłoń znów jest rozłożona zaborczo na moim brzuchu. Pod koszulą nocną, przyciśnięta do nagiej skóry, parząc mnie jak ogień. Jego dotyk wpala się prosto do mojej duszy.

Jezu, złap za kierownicę. Przejmij ster. Bo prowadzisz po pijanemu.

Mal wdycha zapach moich włosów. Jego głos zmienia się w ochryply pomruk.

– Nie masz, kurwa, pojęcia, co się ze mną dzieje, kiedy tak drzysz.

– Proszę, przestań mówić słowo na „k” – mamroczę.

– Za bardzo podoba mi się twoja reakcja na nie, żeby przestać.

– Dlaczego jesteś ze mną w łóżku, jeśli nie zamierzasz, hmm... No wiesz.

– Jeśli nie zamierzam cię, kurwa, zerznąć? – kończy za mnie z premedytacją, wprost do mojego ucha.

Zaciskam powieki, a moje palce u nóg podwijają się mimowolnie.

Śmieje się nisko, najwyraźniej zadowolony z siebie.

– Jestem z tobą w łóżku, bo jest wygodne. Bo lubię leżeć obok ciebie. Bo chcę tu być – wyjaśnia.

Cholera, on ładnie pachnie. I czuje się dobrze, gdy jest obok, taki ciepły i silny.

I jest twardy.

Wszędzie.

Przebiega kciukiem delikatnie wzdłuż mojej blizny.

– Jak tam twój ból dzisiaj?

– Nie taki straszny. Bardziej jak tępy ból.

– Czy wzięłaś wczoraj swoje leki, zanim poszłaś spać? – docieka.

– Tak – odpowiadam zgodnie z prawdą.

– Grzeczna dziewczynka. – Po chwili milczenia pyta gardłowym głosem: – Czy robisz to celowo?

– Nic nie mogę poradzić na to, że się trzęsę! – odpieram, zirytowana.

– To bardziej przypomina drżenie. Drżenie na całej powierzchni.

– Gdybyś przestał używać tego tonu, byłoby mi o wiele lepiej!

– Jakiego tonu? – pyta, zaskoczony.

– Mam na myśli ten seksowny ton!

Mówi po rosyjsku coś, co brzmi obrzydliwie, a potem rechocze, gdy mój dreszcz się nasila.

Próbuję wstać, ale on zakłada swoją nogę na moją i przyciąga mnie do siebie, tak że mój brzuch jest przyciśnięty do jego. Układam głowę pod brodą Mała i przyciskam twarz do jego piersi, kiedy on się ze mnie śmieje.

Gładząc moje plecy, daje mi czas na uspokojenie się przed złożeniem pocałunku na mojej szyi i sprawieniem, że znów zacznę gwałtownie oddychać.

Mruczy:

– Dlaczego jesteś taka płochliwa? Powiedziałem, że nie zamierzam cię pieprzyć.

– To przez twoją brodę.

– C-co? – duka, zaskoczony.

– Przez twoją brodę – powtarzam.

– Co z nią? – Brzmi na zdeorientowanego.

– Łaskocze.

Mał w pół sekundy zmienia się ze zdziwionego faceta w gorącego boga seksu.

– Chciałabyś poczuć to łaskotanie między udami, prawda? – odpiera szorstko.

– Nie – kwituję.

– Więc dlaczego ściskasz nogi?

– Nie robię tak.

Śmieje się lekko, dysząc, ale jest niezwykle zadowolony z siebie.

– Och, tak, robisz to, kochanie.

– Naprawdę nie znoszę, kiedy jesteś tak zadowolony z siebie.

Trzęsąc się od cichego śmiechu, przyciska usta do mojego ramienia, a następnie odsuwa nosem dekolt koszuli nocnej, upewniając się, że przeciąga brodą lekko po skórze. Sięga w dół, chwytając mój tyłek i ściska.

Wtedy wydaje najbardziej męski dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam: pochodzący z głębi klatki piersiowej jęk rozkoszy.

Pocę się. Serce wali mi jak oszałałe. Sutki są twarde, a pulsowanie między nogami jest intensywne.

I jeszcze ten *dreszcz*. Można by pomyśleć, że leżę nago na łóżku wykonanym z lodu!

Mał przewraca mnie na plecy, ujmuje moją twarz w dłonie, patrzy mi głęboko w oczy i wygłasza długą, namiętą mowę, całkowicie po rosyjsku.

Na koniec całuje mnie.

Głęboko.

Wygłodniale.

Dokładnie.

Potem zsuwa się ze mnie i wstaje. Wchodzi do łazienki, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Puszcza wodę pod prysznicem.
I przebywa tam przez długi, długi czas.

Przez cały tydzień po tym wydarzeniu prawie na mnie nie patrzy.

Każdej nocy śpi na siedząco w skórzanym fotelu w rogu sypialni.

Rąbie siekierą drewno na opał, jakby wykonywał egzekucję na skazańcach.

Chodzi na polowania do lasu, znikając na długie godziny. Wraca z łościem, dziczyzną oraz królikami, które fachowo odziera ze skóry i ćwiartuje, podczas gdy ja obserwuję, zafascynowana, a jednocześnie zgorszona.

Gotuje nam posiłki, robi kawę, zmywa naczynia, pali w kominkach, naprawia ciekący zlew, myje podłogi, czyści broń, przybija młotkiem obłuzowaną deskę na dachu, robi przegląd zapasów, jeździ do miasta, żeby kupić konserwy i artykuły pierwszej potrzeby, odśnieża ganek, goli się pod szczęką prostą brzytwą, naprawia obwisły parapet, a także realizuje tuzin innych zadań z taką kompetencją, że czuję się jak na lekcji mistrzowskiej sztuki męskości.

I każdego wieczoru mnie kąpie.

To, co zaczęło się jako czynność z upokorzenia, zrodzona z konieczności, bo nie mogliśmy zamoczyć moich szwów, zmienia się powoli w coś innego.

Coś intymnego.

Staje się rytuałem, na którego temat nigdy nie zamieniamy ani słowa. Wiezorami, po kolacji, kiedy on już pozmywa naczynia, a ja umyję zęby, napełnia wannę, zdejmuje mi okulary, po czym mnie rozbiera.

Leżę naga w ciepłej wodzie z zamkniętymi oczami, czując, jak jego dłonie przesuwają się po mojej skórze, i słuchając, jak mówi.

Zawsze, ale to zawsze, po rosyjsku.

Dotyk jest zmysłowy, głęboko relaksujący, jednak nigdy seksualny. Zupełnie jakby Mal zapamiętywał moje ciało swoimi rękami,

odwzorowywał opuszkami wszystkie krzywizny i kąty, utrwał mnie w pamięci.

Zamroczone przyjemnością, leżę w wannie, gdy jego pokryte mydłem palce przesuwają się po mojej skórze.

Później płonę w łóżku. Sama.

Nie mogę zaprzeczyć temu, w jaki sposób fizycznie na niego reaguję. W sposób, który wywołuje u mnie ból i drżenie. I wiem, że on też mnie pragnie. Dowody na to są wszędzie: od gorących spojrzeń przy śniadaniu, przez zaciśnięte szczęki, kiedy stoję zbyt blisko, do wybrzuszenia za rozporkiem jego dżinsów, gdy osusza moje ciało po kąpielach. Pożądanie Mala jest oczywiste.

Ale on trzyma je w łańcuchach, a klucz do nich wyrzuca.

Nie wchodzi ze mną ponownie do łóżka.

Nie wypowiada już słów „pieprzyć” ani „kurwa”.

A szczególnie... nie całuje mnie.

Z wyjątkiem rytuału kąpieli traktuje mnie, jakbym była jego pacjentką. Interesuje się tym, jak zdrowieję, codziennie pyta o poziom bólu, upewnia się, że jem wystarczająco dużo i biorę leki, lecz poza tym jest zdystansowany.

Obojętny.

Zimny.

Dużo myślę o sytuacji, kiedy oznajmił, że jest za mnie odpowiedzialny, ponieważ przyjął za niego kulę. Myślę o tym, jak bardzo stara się utrzymać emocjonalny mur między nami, jak ujawnia emocje i uczucia tylko w języku, którego nie mogę zrozumieć.

Przede wszystkim myślę o walce, jaką toczy ze sobą za każdym razem, gdy na mnie patrzy.

Nie potrafi pogodzić tego, co Declan zrobił jego bratu, z tym, co ja zrobiłam dla niego.

Nie rozumie, jak ktoś, kto według niego powinien być jego wrogiem, może nazywać go przyjacielem.

I jest strasznie niezdecydowany w kwestii swojego pożądania. Przeżywa konflikt wewnętrzny.

Pragnie mnie, ale nie chce sobie na to pozwolić. To oczywiste na tysiąc różnych sposobów.

I powoli zaczynam rozumieć, co miał na myśli, odpowiadając: „Tak długo, jak będzie trzeba”, kiedy zapytałam, jak długo będzie mnie tu trzymał. Chodziło mu o to, że tak długo, jak będzie trzeba, żeby poukładać sobie to wszystko w głowie.

Sądzę, że największą przeszkodą dla niego w odnalezieniu się w tej sytuacji jest fakt, że odmawiam sobie błagania go, by pozwolił mi odejść. By mnie wypuścił.

Chociaż „odmowa” to nie jest właściwe słowo.

To raczej brak zainteresowania, żeby o to poprosić.

Ku swojemu głębokiemu zaskoczeniu odkryłam, że podoba mi się tutaj.

Lubię czyste powietrze i ciszę. Lubię widzieć milion gwiazd w nocy. Lubię proste rytuały posiłków, kąpieli i snu oraz Poe, który puka dziobem w okno co kilka dni, aby otrzymać smakołyki.

Nie przeszkadza mi nawet to, że Mal musi mnie zostawiać na parę godzin – czasem dni – by pojechać do miasta, bo odkryłam, że lubię chodzić sama po lesie, gdzie promienie słońca goszczą na mojej twarzy, a zimne powietrze szczypie w policzki, i gdzie towarzyszy mi satysfakcjonujący chrzęst zmarzniętych, sosnowych igieł pod stopami.

Lubię chatkę, którą on i jego zmarły brat zbudowali własnymi rękami.

A przede wszystkim lubię czas, który mam na myślenie.

Nigdy nie zastanawiałam się aż tyle co w tym miejscu, naprawdę. Uczyłam się i pracowałam, natomiast każdą wolną chwilę spędzałam przed ekranem, rozprasząc się.

Uśmiercając swoje uczucia.

Niektórzy ludzie objadają się, gdy są przygnębieni. Inni piją, ćpają lub uprawiają seks z nieznajomymi. Ja radziłam sobie z bólem emocjonalnym poprzez zażywanie stałej dawki mediów społecznościowych i gier wideo, udając, że nic mi nie jest.

Teraz wydaje się to takie oczywiste.

Byłam samotna.

W mieście liczącym prawie milion ludzi zawsze czułam się samotna.

Ale tutaj, na środku pustkowie, mając za towarzystwo jedynie wronę i zabójcę, nie czuję się samotna.

Czuję się bezpiecznie.

Jestem zadowolona.

Czasami odnoszę wrażenie, że oberwanie tamtą kulą było najlepszą rzeczą, jaka mi się przytrafiła.

– Nie wracam dzisiaj na noc.

Podnoszę wzrok znad jajecznicy. Mał siedzi naprzeciwko mnie przy stole, patrząc w swój talerz. Przesuwa po nim jedzenie widelcem.

– Na noc?

Przytakuje.

– Wyjeżdżam zaraz po śniadaniu.

– Dobrze.

Zerka na mnie. W porannym świetle zapiera dech w piersiach.

Jego jasne oczy mają kolor delikatnego jadeitu.

– Jak twój ból?

Uśmiecham się. Każdego ranka pyta mnie o to samo.

– Prawie zniknął, chyba że próbuję coś podnieść – wyjaśniam.

Jego ciemne brwi ściągają się, tworząc zmarszczkę.

– Dlaczego miałabyś próbować coś podnieść? Powinnaś mnie o to poprosić – rzuca.

To sprawia, że uśmiecham się szerzej.

– Powinnaś się zmuszać do wysiłku, to dla mnie dobre.

Jego zmarszczka pogłębia się. Teraz przypomina głęboką bruzdę.

– Nie, to nie jest dla ciebie dobre. Możesz sobie coś uszkodzić.

Wytrzymuję jego spojrzenie, a po chwili odpieram łagodnie:

– Pochylanie się, żeby coś podnieść, nie jest nawet w przybliżeniu tak niebezpieczne jak to, co robisz.

– Jestem profesjonalistą. Ty jesteś ranna. To dwie zupełnie różne rzeczy.

Jego ton jest napięty. Przez moment przyglądam się jego twarzy. Też jest napięta, podobnie jak ramiona.

– Co jest nie tak? – pytam.

– Nic.

– Od kiedy mnie okłamujesz?

– Od kiedy jestem twoim porywaczem – rzuca oschle.

Jest w fatalnym nastroju, ale nie wiem, co doprowadziło go do takiego stanu. Odkładam widelec, odchylam się na krześle i biorę go w obroty.

– Przestań się na mnie gapić. – Wkłada porcję jedzenia do ust.

– Czemu jesteś zdenerwowany, Mal?

– Nie jestem.

Żuje ze złością. Praktycznie słyszę, jak ściera zęby trzonowe.

– Okej. Poza tym, że jesteś. Czy ja coś źle zrobiłam?

Przełyka ślinę, patrząc na mnie płonącymi oczami, z zaciśniętymi szczękami.

– Dlaczego nie poprosiłaś mnie, żebym odwiózł cię do domu?

A ten znowu o tym. Jakbym miała logiczną odpowiedź.

– A zrobiłbyś to?

Sprawia wrażenie jeszcze bardziej wkurzonego.

– To nie było moje pytanie.

– Wiem. To było moje – odgryzam się.

Wpatruje się we mnie, oddychając głośno. Wyglądając, jakby kontrolował się tylko dzięki ogromnej sile woli, mówi:

– Spider wciąż jest w Moskwie.

Zaskoczona tą wiadomością, milczę przez chwilę.

– Widziałem go. Odurzyłem. Zagroziłem, że go zabiję, jeżeli nie wyjedzie. Mimo to został. Czy wiesz, co to oznacza? – dodaje tonem pełnym grozy.

Serce podskakuje mi do gardła. Kładę rękę na piersi i spoglądam na niego z przerażeniem.

– Odurzyłeś go? Dlaczego?

Mal potrząsa głową we frustracji i ignoruje moje pytanie.

– To znaczy, że nie odejdzie bez ciebie, nawet jeśli ryzykuje swoim życiem. Nie obchodzi go, że ryzykuje swoim życiem, rozumiesz? – powtarza, jakby to było istotne.

Próbuje przedstawić jakąś kwestię, ale nie wiem, o co mu chodzi.

– To jego praca. Cały czas ryzykuje życie, na rozkaz Declana – przypominam.

– Nie sędzę, że to sprawka Declana. Myślę, że to była jego własna decyzja. I myślę, że napędza go coś więcej niż poczucie winy.

– W głowie mi się kręci od tych wszystkich informacji. Co ty mówisz? – Naprawdę nie rozumiem, co usiłuje mi przekazać.

– Pytam, dlaczego, kurwa, nie błagasz mnie, żebym oddał cię Spiderowi już teraz i pozwolił mu zabrać cię do domu? Jest twoim przyjacielem według ciebie – podkreśla. – Podejrzewam, że chce być dla ciebie kimś więcej. On jest z twojego świata. Jest częścią twojej rodziny. Troszczy się o ciebie. A jednak siedzisz tutaj, ze mną. Dlaczego?

Patrzę na jego piękną twarz. Patrzę na jego piękne oczy. Myślę o wszystkich sposobach, w jakie ten morderca udowodnił, że jest kimś więcej niż tylko tym, co widać na pierwszy rzut oka. O wszystkich sposobach, w jakie odmawia sobie tego, czego pragnie, w tym – jak dotąd – zemsty za zabójstwo brata.

A prawda po prostu wychodzi na jaw.

– Ponieważ nie ma innego miejsca, w którym wolałabym być.

Jego usta się rozchylają, a źrenice rozszerzają. Wpatruje się we mnie bez ruchu. Potem odwraca wzrok i ciężko przełyka ślinę. Wypuszcza powoli powietrze i mówi szorstko:

– Jeśli nie wrócisz z nim, on zginie. Zabiję go.

– Nie zrobisz mu krzywdy.

– Tak, zrobię.

– Nie, nie zrobisz – kwituję pewnym głosem.

Posyła mi pełne gniewu spojrzenie.

– Boże, do cholery! Nie słuchasz mnie!

– Słucham, ale kłamiesz. Bo wiesz, że jeśli skrzywdzisz Spidera, nigdy ci nie wybaczę. I bez względu na to, jak bardzo próbujesz sobie wmówić, że to nie powinno mieć dla ciebie żadnego znaczenia, dobrze wiesz, że ma.

Rozwścieczony, patrzy na mnie w przepęłnionej złością ciszy.

Czując się ośmielona, dodaję miękko:

– I oboje wiemy dlaczego.

Podrywa się na nogi, rozkłada ręce na stole i pochyla się nad nim, wpatrując we mnie.

– Jeśli myślisz, że mi na tobie zależy, to się mylisz – cedzi.

– Dobrze.

– Mówię poważnie. Jesteś tu tylko dlatego, że karzę Declana.

– Okej – odpieram pogodnym tonem.

– Jesteś niczym innym jak środkiem do celu – podnosi głos. – Jesteś częścią mojego planu. To – macha ręką między nami – nic nie znaczy. To nic. Znaczysz dla mnie zero.

Zerkam w dół, na swoje dłonie, a potem spoglądam z powrotem na niego.

– Dobrze – oznajmiam cicho.

Jego temperament nieco się ochładza. A moment później Mal krzyczy:

– Dlaczego ciągle się ze mną zgadzasz?!

– Ponieważ oboje wiemy, że jesteś pełen wszelakiego gówna, więc kłótnia byłaby bezcelowa.

Wpatruje się we mnie. Żyła pulsuje mu na skroni. Potem gwałtownie się prostuje i opuszcza kuchnię.

Siedzę na krześle, słuchając, jak krząta się wściekły po domku, tupiąc ze złością, gdy przechodzi z pokoju do pokoju. Po kilku minutach zatrząskują się drzwi frontowe.

Zostaję sama. Zastanawiam się, czy właśnie podpisałam wyrok śmierci na Spidera.

Nigdy nie wiadomo, co zrobi wyszkolony zabójca, kiedy straci panowanie nad sobą.

Podskakuję, po czym szybko wychodzę na frontowy ganek. Na łące nie widać Mała, więc przebiegam obok domku, potykając się z pośpiechu. Do tej pory nie zauważyłam, gdzie parkuje samochód – w zasięgu wzroku nie ma stodoły ani garażu – ale musi być w pobliżu, ukryty wśród drzew.

Gdy odzyskuję równowagę i patrzę w górę, gotowa do sprintu w głąb lasu, serce na chwilę przestaje mi bić. Biorę drżący wdech i zamieram.

Dziesięć stóp dalej stoi niedźwiedź, a jego uwaga jest skupiona na mnie.

To dorosły osobnik. Mogę to stwierdzić po samych rozmiarach. Musi ważyć z osiemset funtów.

Jego głowa ma kształt masywnego klina. Futro jest błyszczące, ciemnobrązowe. Gdyby stanął na tylnych łapach, górowałby nade mną o kilka stóp.

Wydaje przerażający dźwięk, niskie, agresywne chrząknięcie. Zniża głowę, kłapie zębami i uderza wielką łapą o ziemię.

Trzęsąc się ze strachu i mocno hiperwentylując, cofam się nieznacznie.

Niedźwiedź obserwuje wrogimi, czarnymi oczami, jak robię kolejny krok.

Wtedy rzuca się do ataku.

ROZDZIAŁ 32

RILEY

To dzieje się tak szybko, że nie mam czasu nawet krzyknąć.

Odwracam się i zaczynam biec. Nie udaje mi się zrobić choćby pięciu kroków, nim zostanę zwalona z nóg przez silne uderzenie w plecy. Łąduję twarzą w śniegu, bo wiatr dodatkowo wytrąca mnie z pozycji pionowej. Podnoszę się na kolana, serce mi wali jak młotem, ale znów zostaję powalona, tym razem przez uderzenie z boku.

Przewracam się jeszcze parę razy. Niebo i ziemia na zmianę przelatują przed moimi oczami, jakbym była na karuzeli. Kiedy się zatrzymuję, ponownie upadam na plecy, dysząc i czując dezorientację. Okulary mi spadły, więc niewiele widzę.

Z trudem unoszę się na łokciach, nie wiedząc, gdzie jest niedźwiedź ani nawet, czy nadal mnie śledzi, lecz wtedy słyszę przeraźliwe prychnięcie, czuję zapach mokrego futra i zdaję sobie sprawę, że to coś jest prawie tuż nade mną. Po lekkim odwróceniu głowy dostrzegam go.

Czarny nos, paciorkowate oczy i ostre kły ociekające śliną. Jest tak blisko, że widzę tylko głowę.

Kłapie szczękami przed moją twarzą.

A po chwili jest już na mnie.

W tym samym momencie, gdy krzyczę, miazdzący ciężar spada na moją klatkę piersiową. Nie widzę już słońca. W ustach mam futro, a w nosie obezwładniający zapach zwierzęcia, które mnie dusi.

Przez ułamek sekundy znoszę wyrzuty sumienia, że już nigdy nie zobaczę twarzy Mała. Zginę i więcej nie ujrzę tych pięknych oczu, a ta świadomość sprawia mi ból.

Ale wtedy rozlega się ogłuszający ryk. Coś ciepłego i mokrego rozpryskuje się na mojej twarzy.

A ja zostaję wyciągnięta za ramię spod nieruchomego niedźwiedzia.

Mal upuszcza strzelbę, pada na kolana obok mnie i zaczyna rozrywać moje ubranie.

– Gdzie cię zranił?! – krzyczy, ściskając moją koszulę trzęsącymi się rękami. – Riley! Mów do mnie! Gdzie cię zranił, kochanie?

Nigdy nie widziałam go w takim stanie. Jego oczy są dzikie. Twarz jest niemalże biała. Wygląda na kompletnie rozchwianego. Jak zupełnie inna osoba.

Przerażona osoba.

Wcale nie jak człowiek, który uważa, że jestem dla niego niczym innym jak środkiem do celu.

Kiedy nie reaguję, wyłącznie z szoku, Mal bierze mnie w ramiona, po czym biegnie do domku. Kopniakiem otwiera drzwi wejściowe. Opada na kolana w salonie, kładzie mnie na plecach na dywanie przed kominkiem i ponownie zaczyna szarpać moje ubranie, desperacko próbując znaleźć miejsce, w którym niedźwiedź mnie okaleczył.

– Riley, kochanie, o Boże, o kurwa.

Dyszy w panice. Jęczy między oddechami. Jego dłonie poruszają się tak szybko, szukając obrażeń, że są wręcz rozmazane, bo mój niewyraźny wzrok nie nadąża.

Czucie wraca do mojego oszołomionego ciała, głowa zaczyna się oczyszczać z paniki i zdaję sobie sprawę, że krew na mojej koszuli nie należy do mnie. Poza bolącym ramieniem oraz niemożnością zaczerpnięcia pełnego oddechu nic mi nie jest.

Ponieważ on tam był.

Ponieważ Mal po raz kolejny uratował mi życie.

Sięgam w górę i dotykam jego twarzy.

Zastyga, wpatrując się we mnie. Oddycha ciężko, jego oczy są rozgorączkowane. Patrzy na mnie tak, jakby nigdy nie chciał odwrócić wzroku.

– Nie jestem ranna. Nic mi nie jest, Mal. Nic mi nie jest – oznajmiam słabym, ale zaskakująco spokojnym głosem.

Jest w takim szoku, że nie może mówić, więc po prostu się we mnie wpatruje, a jego klatka piersiowa faluje gwałtownie.

To, co widzę w jego oczach, rozpala moją duszę.

Wbija się we mnie cała gama emocji, błyskawice, grzmoty oraz światło gwiazd. Uderzenie adrenaliny szumi w moich uszach niczym morze. Boli mnie to. Czuję, jak coś pęka i rozdziera się pod mocą tego doznania.

Siadam, ujmuję twarz Mała w dłonie i całuję go.

Waha się. Przez ułamek sekundy walczy ze sobą, przyzwyczajony do tego, że się nie poddaje. Potem cichy jęk wymyka się z jego ust i w końcu mężczyzna mi ulega.

Przyciska mnie mocno do swojej klatki piersiowej, zagłębia dłoń w moich włosach i bierze moje usta, jakby pragnął ich od dnia, w którym się poznaliśmy.

Jestem całkiem pewna, że właśnie tak było.

Nigdy nie doświadczyłam bardziej namiętnego i powalającego pocałunku. To tak, jakby bramy powodziowe otworzyły się szeroko. Jakby pękła tama. Mal angażuje w to całe swoje ciało, owijając się wokół mnie i trzymając mnie boleśnie mocno. Jego ręce drżą, a oddech jest ciężki. Wydaje rozpaczliwe dźwięki wprost w moje usta, gdy je pochłania. Są to jęki przyjemności i słodkiej, wytęsknionej ulgi.

Później ujmuję moją twarz i desperacko mnie po niej całuje, a ja śmieję się bez tchu, oszołomiona siłą jego emocji.

To nie był zwykły pocałunek.

To były otwarte drzwi do jego duszy.

– Powiedz to jeszcze raz – żąda. – Powiedz mi jeszcze raz, kochanie. Powiedz.

– Nic mi nie jest. Nie jestem ranna. Jestem tutaj i wszystko ze mną w porządku.

Opada na mnie, dociskając mnie do podłogi, przez co nasze ciała się stykają. Następnie ponownie łączy nasze wargi. Zatapiam ręce w jego włosach i zamykam oczy, oszołomiona jego smakiem i tym, jak mocno wali mi serce.

Mal całuje moją szczękę, policzek oraz szyję, mówiąc po rosyjsku, gdy jego usta przesuwają się po mojej skórze. Słowa wylewają się z niego, pokrywając mnie ogniem.

Owijam nogi wokół jego talii i zauważam, jaki jest twardy – tak jak przypuszczałam, że będzie. Ocieram się o penisa, dokładnie dając znać Malowi, czego chcę.

– Wciąż dochodzisz do siebie – chrypi, odsuwając się, by spojrzeć na mnie z góry rozgorączkowanymi oczami. – Rana postrzałowa. Nie możemy...

Słowa zamierają na jego ustach, kiedy ściągam koszulkę przez głowę, po czym ją odrzucam.

Nie mam pod nią nic na sobie. Jego spojrzenie wbite w moje nagie piersi jest równie zachłanne jak pocałunki.

Oddychając ciężko i wpatrując się w jego oczy, szepczę:

– Możemy. I zrobimy to. Właśnie teraz.

Tym razem wyzbywa się wahania. Buzuje w nim czysty żar, szybkość i siła fizyczna. Jest niczym byk przebijający się przez bramę startową.

Podnosi się na kolana, gwałtownie zdejmuje mi buty, dresy oraz majtki, rozpina rozporek swoich dżinsów, tak że jego twardy kutas wyskakuje mu do ręki, po czym wpada między moje rozchylone uda i wbija się głęboko.

Wyginam się i sapię, chwytając go za ramiona.

Jest ogromny, gorący i wdziera się we mnie, zagłębiając w całości jednym pchnięciem. Nakrywa moje usta swoimi, połykając mój jęk rozkoszy, następnie pieprzy mnie mocno i łapczywie, jedną ręką chwytając mój tyłek, a drugą wplątując we włosy.

On wciąż jest całkowicie ubrany.

Ja jestem naga i odkryta przed nim.

Nigdy w życiu nie byłam tak naga.

Odrywa się od moich warg, by pocałować piersi. Jego gorące, mokre usta to niebo na moich sztywnych sutkach. Łaskotanie jego brody wywołuje na moim ciele gęsią skórkę. Mal ssie mocno jeden z sutków, a potem przygryza go, sprawiając, że znowu sapię. Moje palce zaciskają się na jego włosach.

Podpiera się na łokciu i chwytą mnie za szyję. Wpatrując się głęboko w moje oczy, pieprzy mnie, aż wije się i jęczę jego imię.

– *Malyutka*. Mój mały ptaszek. Mój słodki aniołek. Co mi zrobiłaś?

– Jego głos jest surowy, zdławiony emocjami. Oczy są przepełnione

udręką.

Dochodzę z jego dłonią zaciśniętą na moim gardle, która przerywa krzyk.

Mał spuszcza głowę i chowa twarz w zagłębieniu mojej szyi. Drżąc, pieprzy mnie dziko i prowadzi przez mój orgazm. Po chwili zaczyna wolniej poruszać biodrami. Z jego ust wydostaje się gardłowy jęk.

Jednym, ostatnim, mocnym pchnięciem dochodzi we mnie.

ROZDZIAŁ 33

RILEY

Moje plecy płoną od tarcia o dywan. Leżę, dysząc i trzęsąc się, z rękami i nogami owiniętymi wokół Mala, podczas gdy on jest zagłębiony we mnie.

Kiedy jego oddech w końcu zwalnia, podnosi głowę i patrzy w moje oczy.

Pozwala mi zobaczyć wszystko.

Swój mrok. Zniszczenie. Tęsknotę. Potrzebę. Samotność, która doskonale pasuje do mojej.

Dostrzegam u niego też zmieszanie, zapewne spowodowane tym, co się wydarzyło, bo zdaje sobie sprawę, że powinniśmy być wrogami.

– Wiem – szepczę uspokajająco. – Nie musimy teraz tego wszystkiego rozgryzać.

Jego powieki opadają, a on robi ciężki wydech. Potem znów mnie całuje, tym razem czule.

Wycofuje się ze mnie, składa delikatny pocałunek na każdej z piersi, następnie zanosz mnie do łazienki.

Kiedy stawia mnie na podłodze, upewnia się, że nie upadnę, a później puszcza wodę pod prysznicem. Rozbiera się, bierze mnie za rękę, po czym prowadzi pod ciepły strumień.

Myje moją twarz mydłem i myjką. Spłukuje krew niedźwiedzia z moich włosów. Myje moje ciało z taką troską i uwagą, że wydaje się, jakby ktoś mu za to sownie zapłacił.

Obmywa jeszcze siebie i zakręca kran. Osusza nas oboje tym samym ręcznikiem, nim zanieś mnie do łóżka.

– Zapomnę, jak się chodzi – mruczę, z głową opartą o jego silne ramię.

– Jeśli nie będziesz chciała, już nigdy nie będziesz musiała nigdzie chodzić – odpiera.

W mojej piersi rozlewa się ciepło. Moje wnętrzności stają się papką.

On ma na myśli, że nie musiałabym chodzić, bo chętnie by mnie wszędzie nosił.

Kładzie mnie na plecach w łóżku, sam opada na materac i naciąga na nas kołdrę. Wsuwa rękę pod moją szyję, a potem kładzie dłoń na moim brzuchu – w tym samym miejscu, którego zawsze dotyka, bezpośrednio nad blizną.

Po chwili wkłada nos w moje wilgotne włosy i robi wdech.

Kiedy wypuszcza powietrze, brzmi to tak, jakby dekady nieszczęść zostały złagodzone. Jakby Mal może właśnie został zwolniony z więzienia.

Leżymy tak przez długi czas, trzymając się nawzajem i po prostu oddychając.

Wiem, że zapamiętam ten moment do końca życia. Gdy Malek wreszcie się odzywa, jego głos jest miękki i senny.

– Kiedy pierwszy raz cię zobaczyłem, pomyślałem, że jesteś bezdomną.

Czuję się zbyt błogo, by się obrazić.

– Cóż za komplement. – Śmieję się.

– Byłaś taka zaniedbana. Mała, nierzucająca się w oczy i pomięta jak chusteczka, którą ktoś za długo trzymał w kieszeni – mruczy, opisując mój wygląd z tamtej chwili.

Moje oczy się rozszerzają.

– Dobry Boże. Możesz chcieć rozważyć zamknięcie się, do cholery, kochasiu? Inaczej twoje szczęście zaraz może się skończyć.

Ściska moje biodro, przytulając mnie mocniej.

– Sprawiałaś, że zechciałem cię uratować. Zaopiekować się tobą. Nie miałem pojęcia, że jesteś smokiem w przebraniu, jak ten tatuaż ukryty pod włosami na karku.

– Mów dalej. Masz wiele do nadrobienia – odpowiadam zrzędliwie.

– Maleńka, ziejąca ogniem smoczyca, która może pociąć człowieka na kawałki, wypowiadając zaledwie kilka słów. – Jego głos stopniowo

przechodzi w pomruk.

Zastanawiam się nad tym, niepewna, czy to była obelga czy komplement.

– Co pomyślałaś, kiedy pierwszy raz mnie zobaczyłaś? – pyta moment później.

– Że będę występowała w jednym z odcinków „Law & Order: Special Victims Unit”¹².

Po krótkiej przerwie Mal zaczyna się śmiać. To czysto męski dźwięk, głęboki, szczery.

Uwielbiam to.

– Jestem zaskoczona, że znasz ten serial, biorąc pod uwagę twoją niechęć do telewizji – rzucam.

– Nigdy nie powiedziałem, że nie lubię telewizji. Po prostu nie mam tutaj telewizora. – Lekko wzrusza ramieniem.

– Czy masz go u siebie w Moskwie?

– Tak.

– Aha. A dlaczego nie tutaj? – dociekam.

Przesuwa dłoń z mojego brzucha na pierś, którą delikatnie ściska, i kciukiem pociera sutek, aż stwardnieje. Jego głos staje się niższy.

– Ponieważ to jest moje sanktuarium. Trzymam tu jedynie takie rzeczy, bez których nie mogę żyć.

Zamykam oczy, odwracam twarz do jego szyi i czekam, aż moje serce znów będzie normalnie bić.

– Więc oglądasz amerykańskie programy kryminalne, co?

– Są bardzo rozrywkowe. Twoi przestępcy są najgłupszy na świecie – kwituje.

– To nie są moi przestępcy – burczę, zirytowana.

Obejmuje moją szczękę i całuje mnie w czoło.

– Nie. Masz tylko jednego z nich – mruczy z satysfakcją.

Przewracam się na bok i wtulam w niego. Zadowolony, przytula mnie mocno.

– Prawie zostałam zjedzona przez niedźwiedzia, Mal – szepczę po kilku minutach przyjemnej ciszy.

– Niedźwiedzie nie jedzą ludzi. Po prostu rozrywają ich na strzępy.

– To świetna wiadomość – mówię sucho. – Dziękuję.

– Czy chcesz, bym umieścił jego wypchaną głowę na ścianie, na której kiedyś był jeleni?

– Żeby odnawiała mi się trauma za każdym razem, gdy na nią spojrzę? Pasuję. – Krzywię się na samo wyobrażenie głowy niedźwiedzia w tym pokoju.

– Nie wyglądasz na strauumatyzowaną – odpiera po chwili Mal. Uśmiecham się do jego piersi.

– Może orgazm jest lekarstwem na zespół stresu pourazowego.

– A może to mała, rządząca się suka, Khaleesi, a nie coś związanego ze mną, podrzutku.

– Podrzutku?

– Tak cię czasem nazywam w swojej głowie. Demoniczny podrzutek. – Milknie na moment, po czym dodaje: – Czy to niezbyt dobrze?

– Pozwól mi to przez chwilę przemyśleć.

– Bo nie chcę, żebyś się obraziła.

– Och, jasne. Kto by się obraził, będąc opisanym jako chudy przybłęda z piekła rodem?

– To ciekawe. Sprawiałaś, że te słowa brzmią teraz jak groźba śmierci.

– Jestem wszechstronnie utalentowana. Poczekaj, aż zobaczysz, jak zongluję piłami łańcuchowymi, a jednocześnie celuję miotaczem ognia w twoją głowę – ostrzegam poważnym tonem.

Znowu się śmieje. Ponieważ jestem przyciśnięta do jego klatki piersiowej, czuję dudnienie pod policzkiem i nie mogę powstrzymać uśmiechu.

Mal unosi mi głowę, obejmując za szczękę, i czule mnie całuje.

– Powiedz mi, że cię nie skrzywdziłem. Nigdy sobie nie wybaczę, jeśli to zrobiłem. – Wiem, że nie mówi o swoim ohydny przewisku dla mnie.

Wpatruję się z uśmiechem w jego piękne oczy.

– Tylko w najlepszy sposób. – Kiedy marszczy brwi, wyjaśniam: – Prawdopodobnie będę obolała. Bardzo obolała. Nie jesteś dokładnie... Powiedzmy, że twój smok nie jest malutki jak ja.

Przewraca się na plecy, zabierając mnie ze sobą, i śmieje się, i śmieje, gdy leżę na jego klatce piersiowej. Patrzą na niego z góry,

zdumiona taką reakcją.

Kim jest ten szczęśliwy zabójca? Gdzie podział się mój warczący, burkliwy Malek?

– Nagle jesteś bardzo rozchichotany.

Poważnieje i spogląda na mnie.

– Rozchichotany? – powtarza, obrażony.

– Przepraszam. Masz rację: mężczyźni tacy jak ty nie chichoczą.

– Właśnie. – Próbuje się skrzywić, ale mu to nie wychodzi.

Zamiast tego na jego twarzy pojawia się uśmiech.

Gdy sięgam w górę i śledzę kontur jego ust, stwierdzam, że nie dam rady dłużej powstrzymać uśmiechu.

– Jestem ciekawa, jakim cudem ktoś urodzony i wychowany w Rosji mówi po angielsku bez akcentu.

Wsuwa dłoń w moje włosy, a potem obserwuje spod półprzymkniętych powiek, jak pasma przepływają przez jego palce.

– Kiedy ten ktoś podróżuje po świecie, używając różnych paszportów i tożsamości, pomocne jest, by nie miał rosyjskiego akcentu. Mój rozmiar sprawia, że wystarczająco się wyróżniam. Przez długi czas ćwiczyłem, żeby brzmieć tak, jakbym pochodził znikąd.

Mężczyzna bez przeszłości i przyszłości, który pojawia się znikąd i rozpala serce dziewczyny jedynie siłą swoich bladozielonych oczu.

Jakże fascynującą tajemnicą jest on sam.

Składam ręce na jego piersi, następnie opieram na nich brodę. Gdy wpatruję się w niego zbyt długo, rzuca:

– Co?

– Ile masz lat?

To pytanie go bawi. Jego uśmiech poszerza się, a oczy błyszczą ze śmiechu.

– Dlaczego mam wrażenie, że to dopiero początek długiego, zmudnego przesłuchania? – odpięra rozbawiony.

– To się nazywa rozmowa. Ja zadaję pytania, a ty na nie odpowiadasz – wyjaśniam.

– Nie, to jest przesłuchanie. W rozmowie pytania zadaje się naprzemiennie.

– Będziesz miał swoją szansę. Ja zaczynam.

– Właśnie tego się bałem. – Wzdycha.

Sięgam w górę i dotykam jego brody. Jest miękka i sprężysta pod moimi opuszkami, rozkosznie przyjemna w dotyku. Jeśli kiedykolwiek ją zgoli, zabiję go.

– Dlaczego się uśmiechasz?

– Nieważne. Wróćmy do mojego pytania o twój wiek.

– Mam trzydzieści trzy lata. – Po chwili milczenia dodaje: – Twoje oczy po prostu stały się wielkie.

– Jesteś o dziewięć lat starszy ode mnie – mamroczę, nadal z szeroko otwartymi oczami.

– Naprawdę? Wyglądasz o wiele młodziej.

– To przez te wszystkie konserwanty zawarte w cukierkach. Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Czarny – odpowiada bez zastanowienia.

– Powinnam była się domyślić. Co robisz w wolnym czasie oprócz oglądania amerykańskich dramatów kryminalnych?

– Przyjeżdżam tu tak często, jak mogę. Lubię polować. Czytać. Wędrować. Obserwować gwiazdy. Kiedy jestem w mieście, nie robię wiele poza zadaniami dotyczącymi pracy.

– Pracy – powtarzam.

Mał przytakuje. Rozumiem, że nie będzie wtajemniczał mnie w szczegóły i opisywał drobiazgów z nią związanych.

– A jak trafiłeś do swojej branży?

Nabiera głęboko powietrza i patrzy w sufit. Po zrobieniu wydechu milczy chwilę.

– Przez przypadek.

– To znaczy? – pytam, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej.

Zamyka oczy. Mięsień drga w jego szczęce.

– Zabiłem człowieka podczas bójk w barze, kiedy miałem siedemnaście lat – wyznaje, a potem znowu milknie, zagubiony w myślach. Mogę powiedzieć, że cokolwiek pamięta, jest to dla niego bolesne. Spokojnie czekam, aż będzie kontynuował, głaszcząc go po brodzie. – Znęcał się nad moim bratem. Michaił nie był dużym chłopakiem. I był cichy. Inteligentny i cichy. Taki dzieciak, na którego grasują dręczyciele. Pojechaliśmy na wycieczkę z rodzicami, by odwiedzić ciotkę w Moskwie. Mik i ja poszliśmy do baru, kiedy

rodzice położyli się spać. Wyszedłem z toalety i zobaczyłam tego dupka, który gadał jakieś gówniane rzeczy do Mika. Powiedziałem mu, żeby się odpieprzył. Nie spodobało mu się to. Wyprowadził cios, ale we mnie nie trafił. Odwzajemniłem cios i mój był skuteczny. Następne, co pamiętam, to jak leży na podłodze, z twarzą pokrytą krwią, nie ruszając się. I już nie wstał. – Biorąc powolny oddech, otwiera oczy i patrzy na mnie. – Należał do Bratwy. Pierwszy kuzyn Pakhana, na moje pieprzone szczęście.

– Pakhan?

– To tytuł honorowy. Oznacza wielkiego szefa. Króla. Wszyscy w barze wiedzieli, że facet, którego uderzyłem, jest z nim powiązany. Zanim pojawiła się policja, Pakhan przyjechał z tuzinem swoich żołnierzy. Powiedział, że ja i cała moja rodzina możemy żreć kule, żeby spłacić dług, albo Mik i ja możemy zacząć pracować dla niego. Najwyraźniej nie lubił zbytnio swojego kuzyna, bo inaczej bylibyśmy martwi na miejscu.

Wzdycham ciężko, czekając na dalszy ciąg tej opowieści.

– Pakhan umieścił Mika w ekipie ulicznej pracującej jako obserwatorzy przy różnych robotach. To najniższe stanowisko w Bratwie, ale w ciągu roku mój brat prowadził własną ekipę. Jak już mówiłem, był bystry. Wiedział, jak odnaleźć się w trudnych sytuacjach. Stał się wartościowy. Ciągłe piął się w górę – mówi z dumą.

– A ty?

– Ja też stałem się dla Pakhana wartościowy. Tylko że na moim stanowisku nie było możliwości awansu. Zostałem tam, gdzie zaczynałem, bo nikt nie mógł zrobić dla Pakhana tego, co ja. – Jego głos staje się cichszy. – Okazało się, że jestem niezwykle utalentowany w sprawianiu, że jego wrogowie znikają. – Milczy przez dłuższą chwilę, zagubiony w myślach. Potem bierze powolny wdech, delikatnie wypuszcza powietrze i kontynuuje: – Pakhan lubił Mika. Ufał mu. Wiedział, że śmierć jego kuzyna to tak naprawdę moja wina, a nie Mika, więc kiedy mój brat w końcu poprosił o pozwolenie na wyjazd do Ameryki, otrzymał je.

– Dlaczego chciał jechać do Ameryki?

– Z tego samego powodu, co wszyscy: możliwości. Pakhan zdawał sobie sprawę, że Mik jest ambitny. Wiedział, że w końcu przerośnie swoją pozycję tutaj. Był świadomy, że wielu jego żołnierzy ucieknie, jeśli Mik przejmie władzę. I myślę, że szczerze lubił mojego brata. Nie chciał go zabić, dlatego wysłał go ze swoim błogosławieństwem. Powiedział mu, że jego dług został spłacony. – Wzdycha i ciągnie: – Mój jednak nigdy nie zostanie spłacony. To ja odebrałem życie jego kuzynowi. Mój dług nie zostanie spłacony, dopóki nie wydam ostatniego tchnienia. Nie ma innego wyjścia.

Opieram policzek o jego pierś. Mał jedną ręką obejmuje moją głowę, a drugą głaszcze mnie po plecach.

– Nasi rodzice nie żyli, gdy Mik pojechał do Ameryki. Zginęli w lawinie, jeśli możesz w to, kurwa, uwierzyć. Ciotka, u której zatrzymaliśmy się w Moskwie, zmarła na raka. Jej mąż miał atak serca. To była cała nasza rodzina, więc Mik i ja byliśmy jedynymi Antonowami, którzy pozostali przy życiu – mówi smutno, po czym przełyka ślinę. – Później Mik został zabity.

Jego głos jest przesycony emocjami. Pod moim uchem jego serce bije mocno i szybko.

Zamykam oczy i ściskam go. Po raz pierwszy, odkąd to wszystko się zaczęło, jestem wściekła na Declana.

Ale to jest ich życie. Zarówno Declana, jak i Maleka.

Zabij albo daj się zabić. Nie ma innej opcji.

To okropne błędne koło, bo zemsta zaczyna cykl od nowa. Zabiłeś mojego kuzyna – teraz twoje życie i życie wszystkich, których kochasz, należy do mnie. Zabiłeś mojego brata – teraz ja muszę zabić ciebie.

I może jeszcze wziąć członka twojej rodziny jako zakładnika.

A ponieważ to zrobiłeś, teraz muszę wziąć odwet.

I tak dalej, i tak dalej.

To nie ma końca. Prawdopodobnie dzieje się tak od wieków. Wojna, krew, śmierć, zemsta, zacząć od początku i zrobić wszystko od nowa.

– A gdyby był inny sposób? – szepczę.

– Inny sposób na co?

– Żeby z tym wszystkim skończyć. Co, jeśli można to zrobić bez przemocy?

Jego ręka przestaje gładzić moje plecy. Kiedy Malek mówi, jego głos jest zaskakująco twardy.

– Zakończenie tego wszystkiego to amerykański wymysł. Fantazja. Nie ma czegoś takiego. Kiedy ktoś, kogo kochasz, zostaje zamordowany, ta rana nigdy się nie zagoi.

Podnoszę głowę i patrzę w jego oczy.

– Więc w takim razie zemsta tak naprawdę nie pomaga – kwituję pewnym siebie tonem.

– Tu nie chodzi o pomoc. Chodzi o rekompensatę. Zrównoważenie szali – wyjaśnia.

– Więc wierzysz, że jeśli zabijesz Declana w odwecie za Michaiła, szale zostaną zrównoważone? – Prycham.

– Tak.

– Tyle że się mylisz. Szale nie będą zrównoważone, ponieważ skrzywdzisz moją siostrę. – Moja odpowiedź jest w równym stopniu miękka, jak jego była twarda.

– Nie obchodzi mnie twoja siostra – warczy.

– Ale zależy ci na mnie – przypominam. – A mnie zależy na niej. Nie można wrzucić kamienia do wody bez wywołania falowania. Wszystko, co robisz, ma wpływ na coś innego. Kogoś innego – poprawiam się.

Rozgniewany, patrzy na mnie. Wiem, że wchodzę na niebezpiecznie cienki lód, lecz to musi zostać w końcu powiedziane.

– Jak myślisz, co się stanie w dniu, w którym dowiem się, że zabiłeś Declana? Sądzisz, że po tym będziemy tu tak leżeć? Że nic między nami się nie zmieni? – pytam.

– Teraz mnie szantażujesz – mówi stanowczo.

– Proszę cię, żebyś zastanowił się, czy nie ma jakiegoś innego sposobu – informuję.

– Oczywiście, że nie ma innego sposobu!

– Tak, jest.

– Na przykład jaki? – Prycha.

– Przebaczenie.

Wpatruje się we mnie płonącymi oczami i szczękami zaciśniętymi ze złości. Cała jego postawa pokazuje, jak bardzo Mal jest wściekły. Mimo to kontroluje głos, kiedy mówi:

- Nie bądź naiwna.
- Nie bądź protekcyjny.
- Riley. – Sposób, w jaki wypowiada moje imię, wywołuje uczucie żaru.

Moje policzki płoną, jednak nie rezygnuję z tego, co zamierzam powiedzieć.

– Mówiłeś, że chcesz, by cierpiał. Mogę cię zapewnić, że cierpi, bo zostałam postrzelona. Bo mnie porwał. Bo moja siostra, mimo swoich wad, będzie się za to wszystko obwiniać, co z kolei sprawi, że Declan będzie nieszczęśliwy. O wiele bardziej nieszczęśliwy, niż gdybyś go zastrzelił, ponieważ wtedy uwolniłby się od poczucia winy i jej bólu – wyjaśniam logicznie.

Mal się nie odzywa. Po prostu wpatruje się we mnie tak długo, że myślę, iż mogłam spowodować u niego trwałą uraz mózgu.

Ale w pewnym momencie zabójca celuje tak, by zadać śmiertelną ranę, i pociąga za spust.

– Tyle że nie ma ani jednego miejsca na ziemi, w którym wolałabyś być bardziej niż tutaj, pamiętasz? Co oznacza, że moje porwanie cię nie jest dla nikogo karą.

- Oni tego nie wiedzą.
- Ale ja wiem – przypomina.

Czy on celowo próbuje mnie upokorzyć?

Gardło mi się zaciska. Oczy wypełniają się łzami.

- Mal – szepczę.

On jednak ignoruje mój niepokój.

– Wiem, że gdyby Declan O'Donnell mógł cię teraz zobaczyć, nie martwiłby się. Tak samo jak twoja siostra. Oczywiście nie podobałaby im się ta sytuacja, z powodu tego, kim jestem, ale wiedzieliby, że jesteś bezpieczna. Wiedzieliby, że jesteś szczęśliwa, prawda, Riley? – Jego ton ocieka kwasem.

Mal chce, żeby zabolalo. I, do jasnej cholery, udaje mu się tego dokonać.

Pozwól mężczyźnie wziąć coś pięknego, a zmiążdży to w swojej pięści.

Podnoszę się z jego klatki piersiowej, mamrocząc:

– Pierdol się.

Zanim zdążyłabym wstać z łóżka, chwytą mnie, dociska do materaca i przygniata swoim ciężarem. Przytrzymuje mi ręce nad głową, za nadgarstki, patrząc w moje pełne ognia i wściekłości oczy, a gdy się odzywa, jego ton jest ostry niczym ostrze noża.

– Możesz zachować swoje fantazje i swoje wybaczenie dla siebie. Ja żyję w prawdziwym świecie. Świecie, w którym działania mają konsekwencje. I nie zapominaj, że nie ja to zacząłem – przypomina ze złością.

– Ale możesz być tym, który to zakończy.

– On zamordował mojego brata!

– A ja przyjąłem za ciebie kulę. Mogłam umrzeć.

– Ale nie umarłaś – kwituje.

– Nie, bo mnie uratowałeś. Wiesz dlaczego?

– Nie mów tego, kurwa – warczy.

– Bo jesteś dobry. W głębi duszy jesteś dobrym człowiekiem – oznajmiam, mając nadzieję, że jakieś moje słowa do niego trafią.

Znów posyła mi to dzikie, nieokiełznane spojrzenie. Takie jak wcześniej. Tylko tym razem jest w nim mniej paniki, a więcej wściekłości.

To mnie nie zniechęca.

– Patrz na mnie, jak długo chcesz, ale ja wiem, że to prawda. Stałeś w obronie swojego brata, kiedy był nękanym. Nie chciałeś zabić tego gościa w barze. To był wypadek. Od tamtej pory odpracowywałeś dług, który nigdy nie zostanie spłacony, tylko po to, by twoja rodzina była bezpieczna. Robiłeś to, co robiłeś, przez cały ten czas dla innych ludzi – argumentuję.

– Przestań. Mówić – cedzi.

– Nie zabiłeś Spidera. Nie zabiłeś mnie. Zaczynam myśleć, że tak naprawdę nie chcesz nikogo zabić. Jesteś po prostu przyzwyczajony do wykonywania rozkazów.

– Nie wiesz, o czym, kurwa, mówisz.

– Mógłbyś teraz odejść, prawda, Mal? Teraz, gdy wszyscy, których kochasz, nie żyją, nie masz już powodu, by nadal robić to, co robisz dla Pakhana.

– Nie, nie mam powodu, ale chcę! – krzyczy.

Leżymy nos w nos, ciężko oddychając i wpatrując się w siebie. Czekam, aż Mal opanuje swój temperament. Wtedy jego głos staje się niski i twardy.

– To jest moje życie. To jest to, kim jestem. Nie wymyślaj sobie pięknych kłamstw, żeby poczuć się lepiej. Żeby poczuć się lepiej, bo pieprzyłaś się z mordercą.

– Nienawidzę cię w tej chwili – syczę.

– Powinnaś mnie nienawidzić. Nie jestem dobry. Nigdy nie będę dobry. Powiedziałem ci kiedyś, że jestem najgorszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkasz, i to była prawda, *malyutka*. Czy ci się to podoba, czy nie, to była prawda.

Uwalnia mnie, podnosi się z łóżka, następnie przechodzi nago do garderoby. Znika w niej, a niedługo później wyłania się, w pełni ubrany. W jednej ręce trzyma czarną torbę, w drugiej niesie płaszcz. Po chwili odchodzi bez zbędnego słowa czy spojrzenia w moją stronę.

ROZDZIAŁ 34

KAGE

Leżąc w szpitalnym łóżku z rurkami wystającymi z nosa i obu rąk oraz bandażami przyklejonymi do prawie całej skóry, w tym do twarzy, dzieciak wygląda jak kawał gówna.

Musiałem przyjść i zobaczyć to na własne oczy. Nie mogę uwierzyć, że ten uparty, mały skurwiel jeszcze żyje.

– Witaj, Diego.

Wpatruje się we mnie. Spojrzenie jego ciemnych oczu jest zaskakująco skupione.

Z tego, co słyszałem, był w stanie bliskim śmierci mózgu.

Przypuszczam, że płonąca belka, która uderzy w twoją głowę, może doprowadzić do takiego stanu.

Zajmuję miejsce obok jego łóżka i odkładam broń na szafkę nocną. Poza mechanicznym brzęczeniem aparatury monitorującej pracę serca w pokoju jest cicho. Cicho i ciemno. Pielęgniarki z nocnej zmiany już pracują. Tak samo jak jego ochroniarze na nocnej zmianie, stacjonujący za drzwiami.

Diego obserwował mnie w milczeniu, gdy wpadłem do środka przez jeden z kanałów HVAC¹³ w suficie zaraz po tym, jak usunąłem kratę. Choć przez te wszystkie bandaże trudno dostrzec wyraz jego twarzy, nie wydaje się zaskoczony moim widokiem. Nie poruszył żadnym mięśniem ani nie wydał żadnego dźwięku.

W sumie to nie wygląda tak, jakby był w stanie to zrobić.

– Słyszałem, że nic nie pamiętasz, nawet własnego imienia – mówię cichym głosem. – Czy to prawda?

Brak odpowiedzi. Co w ogóle mnie nie zaskakuje.

– Jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej, przyznaję, że nie jestem z tego zadowolony. – Wykonuję gest wskazujący na jego ogólny stan.

– Jesteś moim wrogiem, ale ja nie jestem kompletnym dzikusiem. Tacy ludzie jak my nie powinni rozwiązywać spraw w ten sposób.

Jego spojrzenie ani na moment nie odrywa się od moich oczu. Nie mogę jednak stwierdzić, czy Diego słucha, czy jest tak świadomy swojego otoczenia, jak byłby pieczony ziemniak.

Jego utrata pamięci oszczędziła mi wielu kłopotów.

Najgorszych kłopotów, jakie można sobie wyobrazić.

To dziwne, że nie czuję się z tego powodu szczęśliwszy.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, nie torturowałem cię. Trzymałem cię w klatce przez kilka tygodni, ale tylko z nadzieją, że się złamiesz i zaczniesz mówić. Ale tego nie zrobiłeś. Muszę przyznać, że to podziwiam. Człowiek jest niczym bez swojego honoru – dodaję z dumą, po czym wzdycham ciężko, przeciągając ręką po włosach. – Zabawne jest to, Diego, że straciłem ochotę na trudne zabawy. Myślę, że Malek mógł mieć rację, kiedy powiedział, że kobiety czynią cię miękkiem. Jeszcze jakiś czas temu powiesiłbym cię na ścianie i poćwiczył strzelanie do celu zrobionego z twojego torsu, by uzyskać pożądane informacje. Teraz, widząc cię w takim stanie... – Znowu wzdycham. – To mnie tylko przygnębia.

Diego nawet nie mruga.

Biedny drań. Wolałbym umrzeć milion razy, niż żyć jak warzywo.

O dziwo, jego milczenie sprawia, że chcę mówić dalej.

– Może zainteresuje cię taki fakt: dzięki mnie wyglądało na to, że to MS-13 cię schwytało. Słyszałem, że ich lider powiedział kilka słów o mojej dziewczynie, co spowodowało, że nie mogłem zostawić tego bez odzewu. Nikt nie może mówić bzdur o mojej malutkiej. Stracił za to głowę. – Rechoczę. – Jedno muszę przyznać temu kutasowi, Declanowi: gdy szuka zemsty, nie waha się przed niczym.

Mężczyzna nadal tylko na mnie patrzy. Nie robi nic poza tym.

– Wiem, że to nie ma sensu, że wyciągnąłem cię z płonącego magazynu. Też nie do końca rozumiem swoją logikę. Byłoby mądrzej, gdybym pozwolił ci spłonąć. Ten budynek jest własnością zagranicznej korporacji, której nie można ze mną powiązać. Powinienem być po prostu otrzepać ręce i skończyć z tobą. Ale kiedy dostałem telefon od Sergeya, nie czułem się dobrze, chcąc cię tam zostawić. – Wzdycham. – Tak przy okazji: śledczy nadal nie mają

pojęcia, co było przyczyną pożaru. Wiedzą, że to nie był ładunek elektryczny ani urządzenie typu IED¹⁴. Może to był zwykły samozapłon. Słyszałeś kiedyś o tym zjawisku? O tym, że ludzie po prostu stają w płomieniach bez powodu? – Potrząsam głową. – Świat jest dziwnym, pieprzonym miejscem.

– To nie był samozapłon. To byłem ja.

Jestem tak zaskoczony, że mówi, że prawie chwytam za broń i strzelam do niego.

Ostatecznie zamiast zareagować agresją, po prostu się gapię.

Odwzajemnia spojrzenie z błyskiem w oku, który sprawia, że nie przypomina już warzywa.

– Rozpaliłem ogień. Nie jestem pewien, czy załapałeś. Pomyślałem, że to powtórzę, skoro wyglądasz na nieco rozkojarzonego. – Jego głos jest inny. Szorstki i chropowaty, może od wdychania dymu. Dodając do tego bandażę oraz nagły powrót do żywych, ogólny efekt jest niesamowity.

– Nie masz amnezji – mówię powoli.

– Gratulacje. Jesteś geniuszem – ironizuje.

Jestem pod wrażeniem, że ktoś, kto wygląda jak worek gówna, wciąż ma poczucie humoru. W dodatku ciągle próbuję pojąć, co się, do cholery, dzieje. Pewnie dlatego jeszcze go nie rąbnąłem.

– Jak rozpaliłeś ogień? – pytam.

– Z urządzenia znajdującego się w mojej kieszeni. Nie mogłem dłużej siedzieć w tej klatce. Pomyślałem, że jeśli zginę w pożarze, to przynajmniej nie będę musiał dłużej słuchać twojego gadania. Masz tendencję do ciągłego gadania. Myślę, że to dlatego, że lubisz dźwięk własnego głosu. Nie jestem pewien, czy ktoś ci to kiedykolwiek powiedział, stary, ale naprawdę masz nieźle przerośnięte ego – wypala.

– Nie pozwalaj sobie, Diego. Nadal mogę cię zabić – cedzę po krótkiej przerwie.

– Nie zabijesz mnie. Właśnie usłyszałem twoje wyznanie. Czuję się zbyt źle. – Prycha, rozbawiony.

– Pogodziłbym się z tym.

– Zresztą mam dla ciebie propozycję – kontynuuje, ignorując moją wypowiedź.

Patrzę z niedowierzaniem na tego leżącego w szpitalnym łóżku, poparzonego, posiniaczonego i zabandażowanego dupka, którego porwałem, zamknąłem w klatce, a później wyciągnąłem z płonącego budynku.

– Ty. Ty masz propozycję dla mnie – mówię pytającym tonem.

– Tak.

– Widzisz, że obok mnie na tej szafce leży broń, prawda?

– Widzę. Użyj jej, a za pięć sekund ty też będziesz martwy. Moi ochroniarze są świetnymi strzelcami.

– Ja również – odpieram dumnie.

– Więc wtedy wszyscy spotkamy się w piekle. Spędzimy tam całą wieczność. Czy to nie brzmi zabawnie? – Śmieje się.

Po solidnych sześćdziesięciu sekundach wpatrywania się w podłogę oznajmiam:

– Nie sądziłem, że to możliwe, by ktoś był tak irytujący jak Declan, ale wyprzedziłeś go o milę.

– Oto moja propozycja: ja nadal będę udawał, że mam amnezję, a ty nadal będziesz udawał, że nie masz najmniejszego pojęcia o tym, co mi się przydarzyło.

Kiedy nie kontynuuje, marszczę brwi w zakłopotaniu.

– Co to ma być za propozycja? To jest dokładnie to, co działo się do tej pory – oznajmiam, zaskoczony.

– Właśnie. Utrzymamy *status quo*.

– W jakim celu? Co chcesz na tym ugrać? – pytam podejrzliwie.

– Po prostu chcę się wydostać.

– Będziesz musiał to dla mnie przetłumaczyć. Nie mówię w języku debili, nie czytam też w myślach.

Porusza niespokojnie głową na poduszce, jakby chciał nią potrząsnąć, ale nie może tego zrobić.

– Słuchaj. Myślałem, że bycie szefem będzie wspaniałe. Pieniądze, władza, cipki, wszystkie te inne sprawy. Prawda?

– Racja.

– Tylko że to jest do dupy. – Wzdycha.

Mrużę oczy i przyglądam mu się uważnie. Może jednak doznał uszkodzenia mózgu.

– Po zaledwie kilku miesiącach tej pracy wiedziałem, że to nie dla mnie. Wy wszyscy *pinche pendejos*¹⁵ przez cały czas walczyacie jak banda małych kutasów. Cholera! Wzięliście moje narkotyki! Kurwa! Ukradliście mój ładunek! Pierdolę! Wszedłeś na mój teren! – Ponownie wzdycha. – To jest, kurwa, wyczerpujące. Moja mała siostra ma więcej inteligencji niż wy wszyscy razem wzięci.

Nie jestem pewien, czy powinienem się śmiać, czy go zastrzelić.

– Chcę po prostu przejść na emeryturę – ciągnie. – Niech Declan się tobą zajmie. On żyje dla tego gówna.

– Twój chłopaczek Declan robi dużo więcej, niż tylko się mną zajmuje, Diego. Jest zamieszany w wiele spraw.

– Tak, wiem. Myśli, że ratuje świat. To znaczy, wiem, że to godne podziwu, ale z tego, co się orientuję, jest zupełną stratą czasu. Tutaj zabijasz jednego *vato*¹⁶, a tam zaraz wyskakuje kolejny. Całe twoje życie to dzień świstaka. To może przyprawić o niezły ból głowy.

Próbuję coś wyczytać z jego twarzy.

– Więc wiesz, że jest szpiegiem.

– Ech. Nic nie wiem. Jestem tylko bandytą, który dorastał na ulicy. Całe to gówno mnie przerasta.

– Jakoś w to wątpię.

– Jeśli myślisz, że ja jestem szpiegiem, pomyśl jeszcze raz. Kto chce pracować dla cholernego rządu? Pieprzyć ich. Biurokraci są najgorsi. Jestem po prostu ziomkiem, który awansował na dyrektora generalnego, a który lepiej nadaje się na zwyczajne stanowisko. Czuję, że się duszę. Było zbyt wiele oczekiwań, zbyt wiele oczu skierowanych na mnie przez cały czas. To bardzo proste: potrzebuję swojej wolności. Chcę się wyrwać – rzuca.

Zastanawiam się przez chwilę, po czym przyznaję:

– Naprawdę nie wiem, co na to odpowiedzieć, Diego. To jest po prostu najdziwniejsza i najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem.

Jeżeli go obraziłem, nie okazuje tego. Jedynie wzdycha.

– Szczerze mówiąc, człowieku, wyświadczyłeś mi przysługę. Więc ja zrobię to samo dla ciebie i będę trzymał gębę na kłódkę. Gdyby wszyscy dowiedzieli się, że to ty sfingowałeś moją śmierć i zacząłeś całe to gówno, wpadłbyś w niezłe tarapaty. Czy mam rację?

– Nie mylisz się – potwierdzam.

– No właśnie. Miałbyś całkiem niezłe problemy. Nie ma za co.

– Mógłbym cię teraz zabić, gdybym chciał zapewnić sobie twoje milczenie – warczę.

– Tak, mógłbyś.

Nie brzmi, jakby go to obchodziło w jakikolwiek sposób. Co dziwne, wierzę temu idiocie. On naprawdę chce się tylko wydostać.

– Słuchaj, ustalmy, że się nad tym zastanowię.

Przez bandażę wybrzmiewa stłumiony śmiech.

– Tak zrób. Jeśli się nie obudzę, zobaczymy się w piekle, *pendejo*.

– Trochę to potrwa, zanim tam dotrę.

– Będę czekał.

Zamyka oczy. Kiedy staje się oczywiste, że albo zasnął, albo jest zbyt wyczerpany, by kontynuować, podnoszę się z krzesła.

Nie zdążam jednak wspiąć się z powrotem do kanału HVAC, gdy Diego nagle zatrzymuje mnie, mówiąc:

– Jeszcze jedna rzecz. Twój towarzysz Stavros. Nie można mu ufać.

Odwracam się i patrzę na niego z góry. Jego oczy wciąż są zamknięte.

– Dlaczego nie?

– Powiedzmy, że nie jest tak lojalny wobec ciebie, jak powinien – oznajmia wymijająco.

Włos jeży mi się na karku. Kiedy nie odpowiadam, Diego unosi powieki i spogląda na mnie.

– Donosiciele to kurwy, które kończą w rowach.

– Co to, do diabła, ma znaczyć?

– To znaczy: przyciśnij tego małego skurwysyna i dowiedz się.

Prycham.

– Musisz się bardziej postarać.

Milczy przez chwilę, jakby zbierał myśli, a potem mówi:

– To miejsce zamieniło się w konfesjonał. Gdy ludzie uważają, że masz amnezję, z ich ust wydobywają się różne dziwne rzeczy. Każdy chce ci opowiedzieć jakąś historię. Tak jak ty, kiedy wpadłeś do środka – wyznaje.

Natychmiast dociera do mnie sens jego słów, a moja krew zaczyna się gotować.

– Stavros zawarł umowę z Declanem.

– I żebyś wiedział: to nie był pomysł Declana. Twój chłopaczek sam to zaproponował. Poświęcił cię dla własnego dobra bez mrugnięcia okiem. Zrobił to z zimną krwią.

– Co to była za umowa?

– Nie martw się, nic z tego nie wyszło. Pozwolę Stavrosowi opowiedzieć ci o szczegółach, ale chodzi o to, żebyś nie zostawiał tego *puto*¹⁷ samego z twoimi kosztownościami. Weźmie wszystko, dzwoniąc przy tym jak dzwon w dzwonnicy.

– Dlaczego mi o tym mówisz? Nawet jeśli to prawda, co ty na tym zyskasz?

– Ech, traktowałeś mnie całkiem dobrze, kiedy byłem w tej klatce. Dałeś mi trochę wakacji. Trochę czasu, żeby pomyśleć o mojej przyszłości. Poza tym, w ostatecznym rozrachunku, uratowałeś mi życie. Jak powiedziałaś, byłoby mądrzej, gdybyś pozwolił mi spłonąć, ale nie zrobiłeś tego.

Patrzę na niego zmrużonymi oczami. Dociera do mnie, że jest bystrzejszy, niż się wydaje.

– Wiedziałaś, że przyjdę, prawda? Kiedy wzniciłeś ten ogień, wiedziałaś, że się pojawię, żeby spróbować cię wyciągnąć.

Jego uśmiech jest nikły. Jednak widzę coś w jego oczach.

– Nie bierz tego do siebie, ale kimkolwiek jest twój przyjaciel Malek, o którym wspomniałeś, miał rację, mówiąc, że kobiety czynią mężczyznę miękki. Widziałem to zbyt wiele razy u *homies*¹⁸, nawet twardszych niż ty. Gdy mężczyzna znajdzie naprawdę dobrą cipkę, zwłaszcza zmieniającą życie cipkę, nie pamięta, o co kiedyś ciągle był tak wściekły. Brzmi znajomo?

Nie odpowiadam.

Diego nie odzywa się ponownie.

Naprawdę nienawidzę, kiedy inni ludzie mają rację.

ROZDZIAŁ 35

MAL

Gdy wracam do domku kilka godzin przed świtem, leje deszcz.

Stoję w ciemności przed drzwiami wejściowymi z rękami opartymi po obu stronach framugi i zwieszoną głową, próbując przez chwilę ochłonać.

Z każdą milą bliżej domu coraz trudniej było mi nie naciskać na pedał gazu.

Ona jest najpotężniejszym magnesem przyciągającym mnie do domu.

Od momentu wyjazdu nie myślałem o niczym innym. Przez całą podróż – jadąc samochodem, lecąc samolotem czy w trakcie spotkań podczas wbijania szpikulca w czaszkę mężczyzny – jej twarz była przed moimi oczami. Unosiła się tam. Nawiedzała mnie.

Właśnie tak się czuję: nawiedzony.

Ona jest jak duch, który zamieszkał w mojej głowie i nie chce jej opuścić. Słodki, pyskаты, szalony, mały duch. Który rzuca mi wyzwania na każdym kroku i widzi we mnie to, co najlepsze, nawet gdy krzyczę, że nie powinien doszukiwać się we mnie dobra.

A raczej zwłaszcza wtedy.

Nigdy nie spotkałem kobiety, którą chciałbym udusić, chronić, na którą chciałbym krzyczeć, o którą chciałbym dbać, z którą chciałbym walczyć i się pieprzyć – wszystko w tym samym czasie.

To jest szalone.

Frustrujące.

I, co najgorsze, uzależniające.

Jestem na etapie potężnego uzależnienia, z którego nie mogę się otrząsnąć, bez względu na to, czego próbuję. Żadna liczba zaprzeczeń, ilość gniewu czy walki z samym sobą nie wyciągnie mnie z tego.

Nie ma odwyku od tej mojej obsesji.

Nie ma też możliwości wycofania się.

Po prostu faktem jest, że bez dawki tej kobiety stracę pieprzony rozum.

Biorę głęboki wdech, podnoszę torbę z miejsca, w którym ją zostawiłem, i otwieram drzwi.

Z wyjątkiem trzaskającego ognia w kominku w środku jest ciemno. Ciemno i ciepło, cicho i nieruchomo. Stoję tam przez moment, wciągając powietrze pachnące *nią*.

Nawet jej zapach jest pobudzający.

Słyszałem, że naturalny zapach skóry kobiety opisywany jest jako słodki, kwiatowy albo jako coś naturalnego, na przykład promienie słońca czy deszcz. Ale Riley pachnie inaczej. Nie ma na tym świecie jedzenia, kwiatów ani słodyczy, które mogłyby go opisać.

Ja też nie potrafię tego zrobić. Mogę jedynie stwierdzić, że pachnie jak dom.

I to już jest katastrofa. Wiem, że tak jest. Cała ta sprawa. Ona, ja, to, co robimy razem. Jeżeli do tej pory nie zdawałem sobie sprawy z tego wszystkiego, ten krótki czas bez niej to udowodnił.

Tym razem, ponieważ już jej posmakowałem, bycie z dala od niej doprowadzało mnie do szaleństwa.

Jesteśmy niczym muzycy na pokładzie Titanica, grający na skrzypcach i trwający w błogiej nieświadomości, że tuż za rogiem znajduje się ogromna pieprzona góra lodowa.

W każdym razie jedno z nas jest nieświadome. Ale uda jej się dostać do łodzi ratunkowej. Zabiorę ją na jedną, bez względu na wszystko.

I nadal będę grał na tych skrzypcach, kiedy statek pójdzie na dno.

To, co zaczęło się jako zemsta, przerodziło się w coś o wiele bardziej niebezpiecznego. Coś, co prawdopodobnie mnie wykończy.

Najgorszy jest fakt, że nawet mnie to nie obchodzi.

Riley pojawiła się w moim życiu w chwili, gdy myślałem, że nic mi nie pozostało, i wypełniła każdą ciemną, pustą przestrzeń słońcem.

Głupim, jasnym, okropnym słońcem, którego cholernie nienawidzę.

Tyle że już chyba tak nie jest.

Teraz pragnę po prostu leżeć nago w słońcu i pławić się w uzdrawiającym blasku jego promieni.

Kurwa. Z trudem wytrzymuję słuchanie siebie. Jestem cholernie żałosny.

Idę powoli do sypialni, stawiając ciche kroki. Tuż przed wejściem zatrzymuję się na chwilę, aby się uspokoić, dojść do siebie.

Tak cholernie trudno jest nie kopnąć w drzwi i nie wpaść z rozpędu do środka.

To prawie niemożliwe.

– Mal?

Moje serce. Jezu, moje serce. Ten jej głos. Taki miękki i słodki. Taki pełen nadziei.

Jest tam, obudzona, w moim łóżku. Czeka na mnie. Czuła mnie, czuła moją energię, tak jak ja zawsze czuję jej. To bezsensowne, że możemy czuć się nawzajem przez zamknięte drzwi, ale właśnie tak jest.

Boże, kurwa, czujemy. Moja klatka piersiowa boli od tej świadomości.

Przekręcam gałkę, popycham drzwi, a zaraz potem ją dostrzegam.

Siedzi w łóżku z kołdrą podciągniętą aż do samej brody.

Patrzy na mnie tak, jakbym był dla niej wszystkim.

Upuszczam torbę, przechodzę przez pokój, padam na kolana obok łóżka i wciągam Riley w ramiona. Chowam twarz w zagłębieniu jej szyi, po czym jęczę.

Przytula mnie mocno, drżąc.

Tkwimy tak, nawet gdy deszcz staje się coraz głośniejszy. Krople walą w okna i bębnią o dach, tworząc błagalną pieśń.

– Tęskniłam za tobą. – To ledwie szept, ale sprawia, że moja dusza płonie.

– Wiem – odpieram.

– Proszę, nie zostawiaj mnie znowu samej.

– Nie zostawię – zapewniam.

– Zabierzesz mnie ze sobą, kiedy będziesz musiał udać się do miasta?

– Tak. Ja też nie mogę tego znieść – wyznaję.

Wtula się we mnie, drżąc coraz mocniej.

– Przepraszam, że cię rozzłościłam – mówi ze smutkiem.

Jęczę ponownie, odsuwam się i pokazuję jej pocałunkiem, że nigdy nie musi mnie przeproszać. Za nic. Odwzajemnia pocałunek z pasją, wydając desperackie, ciche dźwięki przypominające pomruki wprost z gardła.

Wtedy ja zaczynam być zdesperowany. Zdesperowany z tęsknoty. Zrozpaczony dla niej. Wiem, że trwa odliczanie dni do zakończenia tego, co jest między nami, bo mężczyźni tacy jak ja nie dostają swojego szczęśliwego zakończenia. Nie żyją w bajce.

A kobiety takie jak ona zasługują na białego rycerza, nie potwora. Nie na smoka, którego rycerz przysięga zabić.

– Co? Biali rycerze i smoki? Co ty mówisz?

Kurwa. Majaczą. Mówię na głos.

– Nic – mruczę, ujmując jej twarz w dłonie. – Tylko to, że jesteś moja. Nigdy o tym nie zapominaj. Nieważne, co się stanie, będziesz moja.

Wpatruje się w moje oczy, w jej spojrzeniu widnieje cała gama uczuć, a usta są mokre od moich pocałunków.

– Jesteś inny – szepcze. – Co się stało?

Tym razem nie zawracam sobie głowy ukrywaniem czy zaprzeczaniem. Pozwalam na to wszystko i wyznaję prawdę.

– Postanowiłem poddać się uzależnieniu.

– Jakiemu uzależnieniu?

– Tobie, kochanie. Tobie.

Przygryza wargę. Jej oczy wilgotnieją.

Gdybym nie był już stracony, te jej pełne emocji oczy ze złotymi plamkami popchnęłyby mnie za krawędź.

Tak jak robiły to od samego początku.

Kiedy nasze usta ponownie się spotykają, robią to z zupełnie nową energią. Nowe zrozumienie napędza naszą potrzebę bliskości. Przyciskam Riley do materaca i całuję mocno. Moje ręce wsuwają się w jej włosy, jej klatka piersiowa jest przyciśnięta do mojej. Całujemy się tak długo, aż wydaje mi się, że wpadliśmy przez dziurę w ziemi w ciemność i upał, przewracając się w kółko, tracąc poczucie kierunku.

Wtedy ona szarpie za mój pasek. Rozpina mi rozporek. Ciepła, miękka dłoń otacza mojego twardego kutasa.

Podciągam jej koszulę nocną i ssę sztywny sutek, gdy Riley głaszcze mojego penisa, dysząc i kręcąc biodrami. Kiedy przesuwa kciukiem po szczelinie na czubku kutasa, jęczę w jej skórę, drżąc.

– Pozwól mi... Chcę...

Naciska na moją klatkę piersiową, próbując mnie odsunąć. Podnoszę głowę i patrzę na nią z góry, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Aż w końcu wyswobadza się spode mnie, zsuwa na materacu i bierze mojego fiuta do ust.

Mój jęk rozkoszy jest głośny i urywany.

Riley przyciska ręce do moich bioder i pcha ponownie. Przewracam się na plecy, następnie przesuвам dłońmi po jej włosach. Klęcząc, otwiera usta i bierze mnie do środka. Jej głowa kiwa się, gdy ona ssie. Dziewczyna owija ręce wokół mojego kutasa i liże czubek.

Kiedy przesuwa językiem wzdłuż szczeliny, po czym pieści moje jaja, zmuszam się, by nie trzymać jej głowy nieruchomo i nie pieprzyć jej ust jak zwierzę.

– Ach, kurwa. *Malyutka*. Chryste. Twoje usta.

Dysząc, sunę dłonią po jej udzie i tyłku. Ściskam krótko ten drugi, a potem wsuwam palce pod majtki od tyłu.

Jej cipka jest tak bardzo mokra.

Wkładam dwa palce do środka ciasnego, śliskiego żaru. Riley jęczy wokół mojego kutasa, przechylając biodra tak, że jej tyłek unosi się jeszcze wyżej. Znajduję nabrzmiałą łechtaczkę i głaszcę ją, rozprawdzając wilgoć dookoła.

Następnie wkładam palce do ust i wysysam z nich jej słodki smak.

Kiedy wkładam je z powrotem do wnętrza dziewczyny, ona znów jęczy.

Ssie szybciej, jej ręce pracują równocześnie z ustami.

To kurewsko niesamowite uczucie, ale potrzebuję czegoś więcej.

Wciągam ją na siebie, tak że jej kolana są po obu stronach moich ramion, a brzuch opiera się o moją klatkę piersiową. Następnie chowam twarz pomiędzy jej rozchylonymi udami, odciągam na bok majtki i dotykam wargami mokrej cipki.

Kiedy ssę łechtaczkę, Riley szarpie się, co sprawia, że mój fiut wyskakuje jej z ust. Wydaje z siebie długi, niski jęk.

Klepię ją w tyłek, a ona znowu wierzga.

– Ssij tego kutasa, kochanie – warczę. – Weź każdy cal do swojego gardła.

Natychmiast spełnia prośbę. Obejmuje mnie wargami i ssie zachłannie.

Ja wracam do pieszczenia łechtaczki. Przesuwam po niej językiem i ssę łapczywie. Pieprzę Riley palcami, a gdy to robię, mam okazję słuchać jej stłumionych okrzyków przyjemności, które stają się coraz głośniejsze.

Kiedy wolną ręką zaczynam pieścić jej piersi, ona drży. Gdy szczypię sutek, ujeżdża moją twarz i pożądliwie jęczy wokół kutasa, kołysząc biodrami przy moich ustach.

Tak bardzo potrzebuję dojść, a nawet nie zdjąłem jeszcze ubrania.

Moja ukochana osiąga spełnienie szybciej.

Wciąż trzymając twarde sutki między palcami jednej ręki, wyciągam palce drugiej ze śliskiego ciepła, po czym wkładam je między pośladki dziewczyny. Wsuwam język do cipki w tym samym czasie, gdy naruszam ciasny węzeł mięśni w tyłku.

Zatapiam palce w środku, aż po knykcie.

Ona szlocha wokół mojego fiuta.

Potem dochodzi, opierając się o moją twarz, kiedy językiem pieprzę jej cipkę, a palcami tyłek.

Jęczy, drży i wydaje rozpaczliwe dźwięki, nadal z moim kutasem w gardle.

Kiedy przestaje się trząść i jej ciało się rozluźnia, jestem o kilka sekund od dojścia w jej ustach. Odchylam jej głowę do tyłu za włosy.

– Spokojnie, kochanie. Jeszcze nie. – Ledwo wypowiadam słowa, tak mocno dyszę.

Przewracam Riley na plecy. Siedząc, wyswobadzam ją z koszuli nocnej i majtek, a następnie zdzieram z siebie ubrania. Wszystko zostaje beznamiętnie rzucone na podłogę.

Biorę ją ponownie w ramiona, przesuwam nas w górę materaca i ustawiam się między jej nogami.

Riley patrzy na mnie rozmarzonym wzrokiem, ze słodkim, miękkim uśmiechem, który niemal łamie mnie na pół.

Gdy wsuwam się w nią, robi wdech:

– Cześć.
– Cześć.
– To było bardzo brudne – rzuca.
– Podobało ci się.
– Tak – zgadza się, kiwając głową. Potem mówi łagodniej: – Kocham wszystko, co robimy razem.

Owija nogi wokół moich pleców, a ręce wokół ramion i całuje mnie.

To jak spadanie z klifu po raz kolejny.

Cała adrenalina, wszystkie zawroty głowy, spadanie do jezior płonących płomieni. Wbijam się w jedwabście mokrą cipkę, podziwiając, jak piersi Riley odbijają się od mojego torsu, i połykam małe okrzyki przyjemności, którymi dziewczyna mnie karmi.

Kiedy przerywa pocałunek, patrzę na nią z góry i aż wstrzymuję oddech.

Czas zwalnia do pełzania.

Czuję każde uderzenie serca, każdą kroplę potu na skórze, każdy gorący impuls krwi płynącej w żyłach. Jestem świadomy bólu w klatce piersiowej, zapachu *jej* włosów oraz dźwięków, jakie wydają nasze ciała, gdy poruszają się razem.

Odnoszę wrażenie, że pokój kurczy się tak bardzo, że nie ma miejsca na nic poza nami na tym łóżku. Moc, którą generujemy, wystarczy, by podpalić cały świat.

To dlatego niektórzy mężczyźni nie lubią pozycji na misjonarza.

To zbyt intensywne. Zbyt wrażliwe. Zbyt intymne. Te wszystkie uczucia i energia wymieniane z bliska.

Obserwowanie, jak na twarzy Riley maluje się tuzin różnych emocji naraz, jest przytłaczające.

Dla niej też jest to przytłaczające. Patrzy mi głęboko w oczy, kiedy nasze ciała poruszają się wspólnie. Gdy dzielimy się tymi rzeczami, których nie da się ubrać w słowa.

Tymi świętymi rzeczami, które mogą być wypowiedziane wyłącznie przez dwa bijące zgodnie serca.

Cichy, święty język, którym mówią dusze.

Riley przymyka powieki, a potem szepcze moje imię. Później wygina się w łuk i jęczy.

Czuję na kutasie silne, rytmiczne skurcze.

Dziewczyna dochodzi z zamkniętymi oczami i głową odrzuconą do tyłu. Obserwuję ją, wbijając się głęboko. Czuję, jak jej cipka pulsuje, a twarde sutki przesuwają się po mojej klatce piersiowej.

Czuję gwałtowne szarpnięcie i też jestem na krawędzi.

Opuszczam głowę na ramię Riley, zamykam oczy i drżę, kiedy orgazm przechodzi mocno przez moje ciało.

To jest tak intensywne, że tracę oddech. Nie mogę wydać żadnego dźwięku. Po prostu przeżywam to, pulsując głęboko w jej wnętrzu, podczas gdy ona kołysze biodrami, a jej uda drżą.

Głośny, dudniący bas grzmotu maskuje jęk rozpacz, który wymyka się z moich ust.

Nawet kiedy łączymy się w wietrznej ciemności i obejmujemy nawzajem, drżąc, słyszę w tle tykanie zegara.

Może Riley miała rację, mówiąc, że nie jestem całkowicie zły.

Gdybym był, nie przejmowałbym się tym, że jestem egoistą, trzymając ją tutaj, przykutą do smoczego legowiska.

Gdyby nie ten cholerny biały rycerz, trzymałbym ją przykutą do siebie na zawsze.

ROZDZIAŁ 36

RILEY

Kiedy deszcz cichnie i wychodzi słońce, leżę w ramionach Mała, rozkoszując się sytuacją.

Pod moim uchem jego serce bije mocno, miarowo. Moje ramię jest przełożone przez jego klatkę piersiową, a jedna z nóg spleciona z jego obiema. Jestem wtulona w bok Mała, emanując szczęściem.

Moja głowa unosi się, gdy on głęboko oddycha. Poruszając się, składa pocałunek na moich włosach.

– Jak twój ból dzisiaj?

Śmieję się miękko.

– Byłbyś dobrą babcią.

– Będę udawał, że tego nie powiedziałaś – odpiera. – Jak twój ból?

– W tej chwili mogę szczerze przyznać, że w ogóle nie odczuwam bólu.

– A przez resztę czasu? – mruczy z niezadowoleniem.

Obracam nos do jego klatki piersiowej i wciągam powietrze. Mój wydech przypomina miękkie, zadowolone westchnienie.

– Tylko okazjonalne kłucie.

– W jakich sytuacjach? – Nie daje za wygraną.

Jest taki apodyktyczny, władczy.

– Wczoraj wieczorem za szybko usiadłam w łóżku i to było trochę bolesne.

– Kiedy przyszedłem? – dopytuje.

– Nie. Wcześniej. Miałam koszmar – wyznaję.

Znowu całuje mnie w głowę, a jednocześnie głaszcze po plecach.

– Czy ten sen był naprawdę okropny?

Był straszny, ale nie mam zamiaru tego przyznawać i psuć nastroju.

– Wykorzystałam twoją sztuczkę, żeby się obudzić. Powiedziałam sobie, że to tylko sen, i zadziałało. Nie mogłam w to uwierzyć.

– To się nazywa świadomy sen. Jeśli chcesz, następnym razem możesz sprawić, że pojawi się miecz, którego użyjesz, by odciąć głowę swojemu wrogowi – podpowiada.

– Albo, panie morderco, mogę pstryknąć palcami i zamienić swojego wroga w królika, żebym nie musiała bawić się w zarzynanie.

– Hmm. A gdyby króliczek miał trzy metry wzrostu i był wściekły?

– Wtedy znów pstryknęłabym palcami i sprawiła, że zakochałby się we mnie – odpieram.

– Tak, masz do tego dar. – Po chwili mruczy: – Właśnie zaczęłaś drzeć.

– Zamknij się.

– Jest ci zimno?

– Zamkniesz się, proszę? Wiesz, że nie jest mi zimno – mamrocę.

Przewraca mnie na plecy, wspiera się na łokciu i unosi kąciki ust.

Poranne światło muska jego skórę, dzięki czemu kości policzkowe są podkreślone, a ciemne włosy lśnią na najbogatszy brąz. Podkręcone końcówki rzęs połyskują miedzią.

I te oczy! Do kurwy nędzy, równie dobrze mogłyby być bezcennymi szmaragdami!

– Boże, jesteś piękny. To chore – szepczę, co sprawia, że Mal odrzuca głowę do tyłu i śmieje się. – Cieszę się, że uważasz mnie za tak zabawną.

Wciąż zanosząc się śmiechem, całuje czubek mojego nosa.

– To ja powinienem być tym, który prawi komplementy.

– Wiesz co? Masz rację. Śmiało. Czekam.

Obejmuje moją twarz dłońmi, patrzy mi w oczy i mówi miękko:

– Nie ma na świecie komplementu, który mógłby podkreślić twoją wyjątkowość.

Wydaję dźwięk brzęczyka.

– Zła odpowiedź. Spróbuj jeszcze raz.

Zaciskając wargi, aby stłumić śmiech, opuszcza głowę i chowa twarz w zagłębieniu mojej szyi.

– O mój Boże. Jesteś w tym do bani! – stwierdzam piskliwym tonem.

– Nie jestem przyzwyczajony do prawienia komplementów na żądanie.

– Cóż, przyzwyczajaj się do tego! Potrzebuję komplementu, Mal. Na przykład teraz!

Przewraca się na plecy, wciąga mnie na siebie, po czym odsuwa mi włosy z twarzy i patrzy w oczy.

– W porządku – mówi szorstkim głosem. – No więc tak... Sprawiasz, że chciałbym żyć inaczej. Sprawiasz, że chciałbym cofnąć się w czasie i zacząć od nowa. Sprawiasz, że myślę, że świat wcale nie jest taki gówniany, że dobro istnieje, że szczęście nie jest wymysłem, a prawdziwa miłość jest możliwa. Sprawiasz, że wierzę w cuda, Riley Rose. Kiedy jestem z tobą, czuję, że moje życie nie było całkowitą stratą czasu.

Po długiej chwili ciszy wybucham płaczem.

– O kurwa – odpiera, przerażony. – To było aż tak złe?

Walę go pięścią w ramię i przysuwam twarz do jego klatki piersiowej, szlochając.

– Kochanie. Kochanie, przestań płakać. – Owija ramiona wokół mojej talii i trzyma mnie mocno.

– Nigdy nie płakałam, zanim cię poznałam! Przysięgam na Boga, nigdy nie płakałam, ani razu! A teraz spójrz na mnie! Jestem wrakiem! – łkam.

– Nie jesteś wrakiem.

– Wyję jak potępieniec!

Mal rechocze, co sprawia, że jego klatka piersiowa się trzęsie.

– Dobrze widzieć, że twoje przesadne reagowanie nie zniknęło pod moją nieobecność – oznajmia.

– Przestań się ze mnie śmiać, palancie!

Wypuszcza powietrze.

– Ach, mój mały ptaszek – mruczy.

Potem po prostu trzyma mnie, podczas gdy ja łkam, dopóki nie uspokajam się na tyle, że jedynie pociągam nosem.

Zażenowana tym wybuchem, postanawiam udawać, że nic się nie stało. Ocieram twarz i zmieniam temat.

– Czy na zewnątrz nadal jest martwy niedźwiedź?

– Nie wiem. Przeniosłaś go?

– Zabawne. Nie, nie ruszałam go. – Przewracam oczami, chociaż wiem, że nie może tego zobaczyć.

– W takim razie na zewnątrz nadal jest martwy niedźwiedź. Zajmę się nim dzisiaj – odiera.

– Straciłam okulary, kiedy mnie zaatakował, ale znalazłam inną parę w tym wielkim worku, który przyniosłeś.

– To dobrze.

– A tak w ogóle to skąd je masz? – dopytuję, zainteresowana.

– Obrabowałam optyka.

Podnoszę głowę i spoglądam na niego.

– Czy to żart?

– Nie – mówi poważnym tonem.

– Obrabowałeś optyka?

– Sklep, nie osobę. Nikogo tam nie było w tym czasie.

– Aha. Okej.

Uśmiecha się, widząc moje zdumienie.

– Jesteś tak cholernie urocza. Dlaczego to określenie sprawia, że marszczysz nos?

– Ponieważ ludzie używają słowa „uroczy” tylko wtedy, gdy mówią o małych zwierzętach. Czy ja przypominam ci zwierzątko? – Krzywię się.

Mruży oczy i zastanawia się nad odpowiedzią.

– Wyglądasz trochę jak kanczyl.

– Co to, kurwa, jest kanczyl? – piszczę.

– Wygląda jak leśne stworzenie z bajki. Jest mniej więcej wielkości królika, ale przypomina jelenia. Ma duże uszy, chude nogi i uroczy, mały nos. Zamiast poroża samce mają małe narośle przypominające kły. Niektórzy nazywają to zwierzę myszo-jeleniem.

Patrzę na niego.

– Czy ty nie chcesz dożyć kolejnego dnia?

– Jest uroczy! – broni się.

– Powiedz to słowo jeszcze raz. Wyzywam cię.

– Myślę, że gdybyś zobaczyła te małe narośla przypominające kły, zmieniłabyś zdanie.

– Tak, kły i wielkie pieprzone uszy brzmią superuroczo! – krzyczę.

Mał wybuchła gwałtownym śmiechem, leżąc z zamkniętymi oczami, głową odchyłoną do tyłu na poduszce oraz ramionami ściskającymi mnie mocno. Śmieje się tak bardzo, że trzęsie nami obojgiem i łóżkiem.

– Śmieję się, palancie – mruczę ze złością. – Wyrzuć to wszystko z siebie. Bo jak tylko dostanę w swoje ręce maczetę, już nie będziesz się śmiał.

Przewraca mnie na plecy, następnie składa długi pocałunek na moich ustach. Uśmiechając się od ucha do ucha, stwierdza:

– Nie zamierzasz mnie posiekać.

– Och, tak? Daj mi jeden dobry powód!

Jego wzrok łagodnieje, tak samo jak głos, kiedy mówi:

– Za bardzo mnie lubisz.

Jedno spojrzenie na jego twarz wystarcza, żeby moje serce przyspieszyło bieg, a żołądek się zacisnął. Odwracam wzrok, by nie widział, że się topię.

– Jesteś w porządku. Chyba.

Składa delikatne pocałunki wzdłuż mojej szyi i obojczyka.

– Myślę, że ty też jesteś w porządku – szepcze mi do ucha.

Tylko my dwoje wiemy, co naprawdę kryje się za tymi słowami.

Kładzie się na boku, wtula mnie w swoje ramię i splata nasze nogi. Gdy owijam palce u stopy wokół jego umięśnionej łydki, wzdycham z zadowoleniem.

– Mam teraz coś do powiedzenia – oświadczam.

Jego śmiech wprawia w ruch włosy w pobliżu mojego ucha.

– Naprawdę? Niesamowicie mnie zaskoczyłaś tym wyznaniem.

– A właściwie to chcę powiedzieć kilka rzeczy – stwierdzam.

– Poczekaj chwilę. Muszę się przygotować psychicznie. – Wzdycha, po czym rozluźnia ramiona. – Okej, śmiało.

– Dobrze, że jesteś taki ładny. Bo twoja osobowość działa na twoją niekorzyść. Jak już mówiłam... Spider.

Całe ciepło z niego uchodzi, jakby został wrzucony do kadzi z lodowatą wodą. Jego ciało sztywnieje, a głos staje się twardy.

– Nigdy więcej nie chcę słyszeć, jak wypowiadasz imię innego mężczyzny w moim łóżku – cedzi.

Choć uważam, że to gorące, kiedy jest zaborczy, wiem, że to złe. To naprawdę złe. Złe, złe, złe, a jednak tak cholernie mi z tym dobrze.

I cóż, nie myślałam, że tak zareaguje.

– Dobrze. Od tej pory będę mówić o nim „Pajęczak”. Zadowolony? Mal warczy.

– Do tej pory traktowałem cię łagodnie, bo nie jesteś jeszcze całkowicie wyleczona. Ale przypomnę sobie to całe pyskowanie, gdy będziesz zdrowa. Wtedy będziesz żałować – ostrzega.

A może nie będę. Sądząc po żarze w jego głosie, będę czerpać mnóstwo przyjemności z jakiegokolwiek kary, którą zaplanował.

Postanawiam zignorować tę seksowną groźbę.

– Powiedziałeś mi, że go odurzyłeś. Czy wszystko z nim w porządku?

– Tak. – Jego odpowiedź jest zwięzła, podszyta gniewem. W zasadzie to sparafrazowane trzyliterowe „pieprz się”.

Odchyłam głowę i całuję go w szczękę.

– Przepraszam. Nie próbuję cię zdenerwować.

– Robisz z tego jakieś wielkie gówno.

– Czy jesteś zazdrosny o Spi... Pajęczaka? Bo nie ma takiej potrzeby.

– Każdy, kto chce tego, co moje, jest na mojej gównianej liście.

Co moje.

Zamykam na chwilę oczy, pozwalając, by to do mnie dotarło.

– Nic między nami nie ma. Nigdy nie było.

– Może nie dla ciebie – mamrocze.

Ciekawi mnie, skąd ma taką pewność, jednak nie śmiem pytać. To znaczy, jestem odważna, ale to zdecydowanie nie jest sprawa, za którą chcę umrzeć.

– Następnym pieprzonym tematem – warczy.

– Okej. Hmm...

Podnosi głowę i patrzy na mnie groźnie.

– Co?

– Och, odpuść trochę, Hulk. To nie ma nic wspólnego z innym mężczyzną.

Nie wygląda, jakby mi wierzył. Nadal nie mrugnął. Wzdycham, po czym mówię:

– Pomyślałam, że może chciałbyś wiedzieć, że jestem na Depo-Provera.

– Czy to jest lek?

Zanim zdążyłabym odpowiedzieć, podnosi się na łokciu, wpatruje we mnie i kontynuuje:

– Czy bierzesz jakieś leki na receptę na stałe, a ja o tym nie wiem? Dlaczego mi nie powiedziałaś? Mogłem to dla ciebie załatwić! Mogłaś go brać przez cały ten czas!

– Mal...

– Chryste, Riley, musisz mi powiedzieć, czego potrzebujesz, bo inaczej nie będę mógł ci tego dać. Wbrew temu, co sądzisz, nie potrafię czytać w myślach! – wybucha.

Głaszczę jego brodę, uśmiechając się.

– Jesteś psychopata.

– Nie próbuj flirtować, żeby się z tego wyplątać.

To sprawia, że uśmiecham się szerzej.

– Tylko ty mógłbyś pomyśleć, że kobieta flirtuje, kiedy nazywa cię psychopata. – Kręcę głową w niedowierzaniu.

Patrzy na mnie spode łba z zaciśniętymi ustami i rozdętymi nozdrzami, czekając na wyjaśnienie.

– To antykoncepcja. Zastrzyk. Mówię ci o tym tylko dlatego, żebyś się nie martwił, że zajdę w ciążę – wyjaśniam spokojnie.

Gniew Mała znika. Nie umiem stwierdzić, jaka emocja go zastępuje, bo nigdy wcześniej nie widziałam u niego tego konkretnego wyrazu twarzy.

Po chwili mówi tylko:

– Och.

– Okej, co oznacza sposób, w jaki to powiedziałaś? – Otwieram szerzej oczy. – Twój ton sprawia, że myślę, że może masz genetycznie zmodyfikowane superplemniki, które śmieją się z mojej antykoncepcji, gdy przelatują obok niej w drodze do zapłodnienia moich jajeczek.

– Nie. To znaczy tak, moje plemniki są oczywiście super, ale cała reszta się nie zgadza.

Po szybkim przeanalizowaniu jego wyrazu twarzy odpowiadam:

– Bo twoje plemniki się nie śmieją. Pewnie twoja sperma jest tak samo wyluzowana i naburmuszona jak ty.

Jego brwi strzelają w górę.

– Słucham?

– Nie zaczynaj dramy.

– Dramy?

– Jeśli chciałbyś definicji, to jest dokładnie to, co robisz teraz.

– Nie jestem w pieprzonym nastroju do robienia dramy!

– Jasne, pozwól tylko, że poczekamy sekundę, by moje pęknięte bębniaki się zagoiły, i będziemy mogli kontynuować tę dyskusję – rzucam ironicznie.

Na jego twarzy najpierw maluje się wściekłość, potem rozbawienie, a na końcu niedowierzanie. Moment później Mal przerzuca mnie na brzuch i wymierza mi pięć klapsów w goły tyłek w szybkim tempie.

To jest szokujące.

To silne, piekące i przede wszystkim szokujące doznanie, a to dlatego, że tak bardzo mnie to podnieca.

Ciepło rozchodzi się po mojej skórze. Czuję, jakby moja pupa płonęła. Potem reszta mnie też, bo Mal patrzy na moje szeroko otwarte usta z głodem w oczach.

– Podobało ci się to. – Jego głos staje się niski i ochryply, a on obserwuje mnie, oblizując wargi niczym drapieżnik przed soczystym posiłkiem.

Z walącym sercem mówię bez tchu:

– Będę musiała rozbić swoją odpowiedź na dwie części, bo po pierwsze, nie, nie podobało mi się. Mój mózg ocenia nas oboje bardzo surowo. Moja kobieca intuicja również. Ale po drugie, cholera jasna, to było całkiem gorące.

– Nigdy wcześniej nie dostałaś klapsa?

Spoglądam na niego z niedowierzaniem.

– A kto odważyłby się dać klapsa myszo-jeleniowi z maleńkimi cośtam przypominającymi kły?

Uśmiech, który pojawia się na jego twarzy, jest całkowicie rozpustny.

– Czego jeszcze nigdy nie robiłaś? – pyta Mal.

– Nie twój interes, Romeo.

Gładzi dłonią mój rozpalony tyłek i całuje mnie delikatnie w ramię. Przysuwając usta do mojego ucha, mruczy:

– Podobało ci się, gdy zaciskałem dłoń na twoim gardle, mam rację?

Myślę o tym, kiedy uprawialiśmy seks na podłodze w salonie. Przypisywałam intensywność tego doświadczenia atakowi niedźwiedzia, ale może świadomość, że Mal zaciska rękę na mojej szyi, dodawała całej tej scenie pikanterii.

Doszłam tak mocno, że widziałam gwiazdy.

Zrobił to również, gdy włamał się do bezpiecznego domu w Bostonie. Położył wielką, szorstką dłoń na moim gardle i ścisnął, grożąc, że mnie udusi.

Właśnie wtedy przestałam się bać i zaczęłam zachowywać zadziornie.

Jasna cholera.

Czy Twizzlersy to niejedyny mój bzik?

Przygryzając wargę, patrzę na Malę i przytakuję. On z kolei opuszcza głowę, aby złączyć nasze usta.

– Okej. To już całkiem dobry początek.

Powinnam umrzeć teraz czy poczekać, aż zaczniemy robić perwersyjne rzeczy, które – jak podejrzewam – właśnie zaplanował?

Nie mam czasu na zastanawianie się nad tym, bo wstaje z łóżka, po czym podnosi mnie, niesie do łazienki i pieprzy ponownie pod prysznicem. Trzyma mnie przy ścianie, kiedy wchodzi w moją cipkę, gryząc szyję.

Ostatecznie stwierdzam, że bycie urocą może nie jest wcale takie złe.

Dni mijają. Mal nie wyjeżdża więcej do miasta.

Nasz nocny rytuał kąpieli trwa, z tym że teraz Mal mówi po angielsku zamiast po rosyjsku, kiedy mnie myje. Opowiada o swoim

dzieciństwie. O swojej rodzinie. O przyjaciółach. O zwierzętach domowych.

O swoim bracie, Michaile.

Opowiada mi, że gdy był mały, obejrzał film z Clintem Eastwoodem i postanowił, że kiedy dorośnie, zostanie kowbojem. Później zainteresował się boksem i myślał, że może będzie miał szansę robić to zawodowo.

Aż do tamtej nocy w barze. Aż do tego fatalnego zdarzenia.

Do czasu, gdy poznał Pakhana i wszystkie jego marzenia zostały zmiążdżone.

Maluje obraz człowieka żyjącego w całkowitej samotności – zarówno umysłu, jak i ciała – istniejącego wyłącznie po to, by wykonywać rozkazy przekazywane z góry. Nigdy nie miał dzieci ani się nie ożenił, ponieważ to było zabronione.

Jego życie nie należało do niego.

Bratwa była najważniejsza, do samego końca, na zawsze.

Obowiązek lub śmierć.

Czasami robi mi się zimno, gdy słucham jego opowieści. Czasem chce mi się płakać. Ale zawsze zastanawiam się, kim Mal mógłby być, gdyby jego życie potoczyło się inaczej.

Mimo wszystko cieszę się, że sprawy przybrały taki, a nie inny obrót, bo gdyby jego życie potoczyło się inaczej, nigdy byśmy się nie spotkali.

Czuję się winna z tego powodu i wiem, że to złe, ale taka jest prawda.

Cieszę się ze wszystkich mrocznych, pokręconych dróg, które musiał przejść, ponieważ ostatecznie doprowadziły go do mnie.

Jednak to tajemnica, której pilnie strzegę.

Pewnego dnia, gdy kończymy śniadanie, Mal pyta znienacka, czy nie chciałabym nauczyć się strzelać z broni.

To mnie przeraża, a jego odpowiedź ani trochę nie uspokaja.

– Po co miałabym wiedzieć, jak strzelać z broni? – odpieram piskliwie.

– Lepiej wiedzieć, jak jej używać, i nigdy nie musieć tego robić, niż musieć, ale nie wiedzieć jak – oznajmia.

Brzmi to jak mądra rada, lecz także jak ostrzeżenie. Jakby nasz mały kawałek nieba na pustkowiu w każdej chwili mógł zostać rozdarty na dwie części.

Więc uczę się strzelać z pistoletu.

A potem z karabinu.

Kiedy odkrywamy, że nie tylko jestem bardzo dobra w trafianiu w nieruchome cele, ale też sprawia mi to przyjemność, Mal proponuje, żebym poszła z nim na polowanie i spróbowała trafić w coś, co się rusza.

– Nigdy nie byłabym w stanie strzelać do zwierząt – odpowiadam natychmiast stanowczym tonem.

– Gdybyś miała w rękach moją strzelbę, gdy tamten niedźwiedź na ciebie szarżował, pociągnęłabyś za spust?

– Samoobrona to nie to samo, co wyjście i szukanie czegoś do zabicia.

Przez chwilę Mal wpatruje się we mnie w milczeniu. Jego oczy są nieprzeniknione i mają mroczny wyraz.

– Zabijanie to zabijanie, bez względu na intencje, jakie za tym stoją. Moralizowanie nie zmienia faktu, że sprawiłaś, że coś żywego stało się martwe.

Po tych słowach nie mówi już nic więcej, zostawiając mnie z nimi.

Ponieważ jest znawcą tematu, postanawiam być na tyle mądra, by się z nim nie kłócić.

Potem, późnym wieczorem, otrzymuje telefon, który zmienia wszystko.

Jesteśmy w łóżku, leżymy plecami do siebie, jego nogi są wyciągnięte za moimi. Akurat odpływam w sen, gdy brzęczący dźwięk przywraca mi świadomość.

To jego komórka dzwoniąca w kieszeni płaszcza.

– Zamierzasz odebrać to połączenie? – pytam.

– Powiniennem – mówi, lecz nie rusza się z miejsca.

– Nie szkodzi, jeśli musisz. Nie mam nic przeciwko.

Ściska mnie, mrużąc:

– Powinnaś mieć.

Jednak moment później wzdycha, podnosi się z łóżka i bierze telefon. Przykłada go do ucha, po czym mówi krótko:

– *Da*.

Milczy przez kilka chwil, słuchając osoby po drugiej stronie, następnie opuszcza głowę.

– *Da* – mówi ponownie, tylko tym razem brzmi na zrezygnowanego.

Kiedy odwraca się, aby na mnie spojrzeć, jego oczy są zamknięte. Przywodzą mi na myśl zasłonięte żaluzjami okna.

– Co się stało? Czy wszystko w porządku?

– Musisz spakować torbę. W tej chwili.

Moje serce przyspiesza bieg, a ja siadam.

– Dlaczego?

– Jedziemy do miasta.

ROZDZIAŁ 37

RILEY

Mamy za sobą dziesięciominutowy spacer przez las do miejsca, gdzie Mal trzyma swoją ciężarówkę, ukrytą w niskiej, ceglanej konstrukcji wbudowanej w zbocze wzgórza. Stąd czeka nas godzina jazdy po wyboistej drodze gruntowej do uroczej alpejskiej wioski z lądowiskiem dla małych samolotów.

Lot do miasta trwa niecałe dwie godziny. Mal pilotuje Cessnę tak, jak robi wszystko inne – z łatwością i pewnością siebie. Od momentu wyjazdu nie odzywamy się ani słowem. Gdy lądujemy w Moskwie, nadal milczymy.

Nie wiem dlaczego.

Nie wiem też, dlaczego się boję.

Jednak instynktownie wyczuwam, że to wielka sprawa, że zabiera mnie do miasta. To nie tylko miejsce, gdzie pracuje, ale także miejsce, gdzie jest jego szef. Gdzie jest Spider. Gdzie niebezpieczeństwo czeka na nas oboje.

W lesie mogliśmy udawać, że życie Mala wygląda inaczej. Jego nieobecności były krótkimi przerwami w skądinąd spokojnej, małej bańce. Żyliśmy jak w śnieżnej kuli umieszczonej bezpiecznie na półce.

Ale kula śnieżna rozpada się w chwili, kiedy lądujemy na lotnisku Sheremetyevo. Od tej pory jestem narażona na odkrywanie mrocznej strony życia Mala.

Ciemniejszej strony.

Tej, po której mieszkają wszystkie jego potwory.

Na płycie czeka na nas czarny Rolls-Royce Phantom. Kierowca bierze nasze torby i chowa je do bagażnika, nie patrząc na mnie, nawet nie zauważając mojego istnienia.

Czuję, że to celowe. Jakby wiedział, że jeśli spojrzę w moją stronę, stanie się coś strasznego, i dlatego nie odważył się zaryzykować.

Małek mówi coś do niego po rosyjsku, a potem kierowca kłania się, *kłania się*, i otwiera tylne drzwi.

Mał wsiada do środka tuż za mną i odjeżdżamy.

Nie mogę przestać wyglądać przez okna. Moskwa w nocy to błyszczące, bajkowe skupisko świateł, ludzi oraz ruchu. Wydaje się dziesięciokrotnie większa od San Francisco.

Mał bierze mnie za rękę i ściska ją.

– O czym myślisz? – pyta.

– O tym, że nie ma śniegu.

– Nie jesteśmy już w górach. – Po chwili dodaje: – O czym jeszcze?

Ten mężczyzna potrafi mnie przejrzeć. Kiedy patrzę w dół, na swoje dłonie, on owija ręce wokół moich ramion, przyciąga mnie do swojego boku i opuszcza głowę.

– O czym jeszcze, *malyutka*? – mruczy.

Opieram głowę o jego ramię i zamykam oczy.

– O wszystkim.

Całuje mnie delikatnie w czoło. Jestem zadowolona, gdy nie mówi nic więcej.

Jazda z lotniska do jego domu trwa niecałe trzydzieści minut, ale zanim tam dotrzemy, jestem nerwowym wrakiem. Nawet niesamowicie piękne widoki miasta za oknami samochodu nie są w stanie odwrócić mojej uwagi na tyle, bym przestała panikować.

Czuję się zdenerwowana i oszołomiona, jakbym zażyła o wiele za dużo kofeiny. Po spokoju panującym w lesie tutaj wszystko jest zbyt głośne, zbyt bliskie, zbyt jasne. Serce mocno mi wali.

Wjeżdżamy na parking przy szklanym wieżowcu i zatrzymujemy się przed rzędem wind. Czterech potężnych mężczyzn w czarnych garniturach wychodzi do przodu. Jeden z nich otwiera moje drzwi, drugi okrąża tył auta i otwiera Małowi.

Nie musi mnie instruować, że mam się nie ruszać. Intuicja podpowiada mi, że obowiązują tu zasady – nowe zasady – których nie jestem do końca świadoma. Jednak główną z nich jest z pewnością podążanie za nim.

Mał wysiada z upiornego pojazdu, podchodzi do mnie i wyciąga dłoń.

Mężczyźni w garniturach cofają się, tworząc równy rząd przed windami. Ręce mają założone za plecami, a twarze beznamietne. Patrzą w dal.

Ujmuję dłoń Mała i opuszczam samochód, czując, że się trzęsę. On zaciska dużą rękę wokół mojej, żeby mnie podtrzymać.

Jeden z mężczyzn w czerni naciska przycisk przywołujący windę, po czym wraca do udawania posągu.

Kiedy drzwi się otwierają, razem z Małem przechodzimy obok mężczyzn. Wszyscy kłaniają się nisko.

Czekam, aż drzwi się zamkną i winda ruszy, zanim spytam:

– Co to było, do cholery?

Mał odpowiada po prostu:

– Szacunek.

– Czy to twoi ochroniarze? – dociekam.

– Nie mam ochroniarzy.

– Dlaczego nie?

Spogląda na mnie z ukosa.

– Aha. Racja. Jesteś facetem, przez którego inni ludzie potrzebują ochroniarzy.

Patrzy na mnie przez chwilę półprzymkniętymi oczami, a potem chwytą mnie za ramię i przyciąga do piersi. Ujmuje moją twarz i łączy nasze wargi.

Jest to mocny pocałunek, ale nie namiętny.

To pocałunek, który mówi mi, żebym się uspokoiła. Że on panuje nad sytuacją i nie mam się czego obawiać.

Że nie pozwoli, by stało mi się coś złego.

Przyciskam czoło do jego klatki piersiowej i wzdycham.

– Dziękuję.

– Potrzebowałaś tego – odpiera.

– Tak.

– Wiem.

Pomimo moich rozszalałych nerwów uśmiecham się.

– Więc co teraz będzie?

– Teraz pomogę ci się zadomowić, a potem pójdę do pracy.

Praca.

Tak wiele przemocy zawarte w tak niewielu literach.

Winda zwalnia, a w końcu się zatrzymuje. Drzwi się otwierają. Mal bierze mnie za rękę i prowadzi do przedpokoju ciemnego mieszkania. Widok na miasto przez wysokie od podłogi do sufitu okna oświetla przestrzeń upiornym blaskiem.

– Jasna cholera.

– Podoba ci się? – pyta Mal.

Nie mam pewności, czy mi się podoba, ale jest piękne, więc trzymam się pozytywów.

– Widok jest niesamowity.

Prowadzi mnie przez salon, w którym nie ma nic oprócz gigantycznego, czarnego segmentu stojącego przed dużym telewizorem na ścianie. Później mijamy otwartą przestrzeń. Wydaje się, że to jadalnia, lecz ona też jest pusta. Potem trafiamy do kuchni – ogromnego pomieszczenia z białego marmuru i szkła, sterylne jak sala operacyjna, gdzie odgłosy odbijają się echem od ścian.

Mal zapala światło, oświetlając kuchnię. Robi się tak jasno, że oczy mi łzawią, a on podchodzi do lodówki ze stali nierdzewnej, po czym otwiera zamrażarkę. W środku znajdują się dziesiątki identycznych pudełek z mrożonymi obiadami. Wyciąga dwa i rzuca je na ladę.

– Jesteś głodna?

Nie czekając na odpowiedź, otwiera jedno z pudełek, wyjmując z niego plastikową tackę, odwraca się do stojącej obok zlewu mikrofalówki i otwiera ją. Ustawia timer, a potem zamyka drzwiczki.

Kiedy zwraca się w moją stronę i widzi, że stoję zagubiona, odkłada drugie pudełko, które właśnie zamierzał otworzyć, a następnie podchodzi bliżej.

Mrucząc coś po rosyjsku, otacza mnie silnymi ramionami i ściska.

– Wszystko w porządku – szepczę.

– Wcale nie – zaprzecza.

– Ale będzie w porządku.

– Czego potrzebujesz?

– Nie wiem – oznajmiam zgodnie z prawdą.

– Zastanów się.

Robię to przez kilka długich minut, podczas gdy on trzyma mnie, głaszcząc po włosach, z ustami przyciśniętymi do mojej skroni.

Wypuszczam powietrze i zamykam oczy. Opierając policzek o jego tors, mówię:

– To po prostu... dziwne.

– Kontynuuj.

– To miejsce. Te mrożone obiady. Jest piękne, ale wszystko jest tu bardzo zimne – wyjaśniam nieco okrężną drogą.

– Będę cię ogrzewał.

Odchyła mi głowę do tyłu – chwytając za brodę – po czym łączy nasze wargi. To jest inny pocałunek niż w windzie. Głębszy, bardziej emocjonalny i dziesięć razy gorętszy. Przylegam do Mała, drżąc, kiedy jego język ociera się o mój, a usta zmieniają moje ciało w płynny ogień.

Gdy ktoś puka do drzwi wejściowych, podskakuję, sapiąc.

– Spokojnie, kochanie – mruczy Mał tuż przy moich wargach. – To tylko Dom z torbami.

– Dom? – dopytuję, marszcząc brwi.

– Kierowca.

– Och. Okej.

Ale kiedy Mał otwiera drzwi, okazuje się, że nie stoi za nimi kierowca. To piękna, młoda brunetka trzymająca duże, czarne pudło przewiązane białą wstążką.

Kłania się, tak jak robili to mężczyźni przy windach, następnie mówi coś, czego nie słyszę, i wyciąga pudełko.

Mał przyjmuje pakunek bez słowa, a później zamyka drzwi. Stoi odwrócony plecami przez parę długich chwil, a jego ramiona są sztywne. Gdy odwraca się przodem do mnie, robi mi się zimno.

Jego szczęki są zaciśnięte. Jego oczy są czarne. Jego wyraz twarzy jest kamienny.

Cokolwiek znajduje się w tym pudełku, to nic dobrego.

Idzie powoli przez mieszkanie, aż znów staje przede mną. Po prostu stoi, trzymając pudełko, i patrzy na mnie, jakby to był koniec świata.

– Co to jest? – zwracam się do niego.

– To dla ciebie.

Jego stłumiony głos mnie przeraża. Patrzę na czarne pudełko z ładną, białą wstążką i mimowolnie robię krok do tyłu.

Mał stawia je na dużej, marmurowej wyspie, a potem kładzie na nim rękę.

– To sukienka.

Teraz jestem zdezorientowana.

– Sukienka? Dla mnie?

– Tak – potwierdza.

– Och. Więc dlaczego zareagowałeś tak dziwnie? – pytam piskliwym tonem.

– Bo jej nie kupiłem.

Mój żołądek skręca się w supeł. Coś nieprzyjemnego pełźnie w dół kręgosłupa. Mam wrażenie, jakby stonoga ślizgała się po mojej skórze, a jej drobne owadzie nóżki były zimne i kłujące.

– W takim razie kto ją kupił?

– Pakhan.

Jedynym odgłosem, który przerywa następującą po tym słowie ciszę, jest ten wydawany przez mikrofalówkę. Wpatrujemy się w siebie z Małem, aż rozbrzmiewa dźwięk timera. Wtedy on mówi:

– Zaprosił nas na kolację. Wychodzimy za dziesięć minut.

– Teraz? Przecież musi dochodzić pierwsza w nocy.

– Godzina jest nieistotna.

Wyczuwam od niego różne dziwactwa, co sprawia, że moje i tak już rozedrgane nerwy szaleją jeszcze bardziej.

– To nie jest nic dobrego, prawda?

Waha się, jednak po chwili odpowiada:

– To niespodziewane.

Mał analizuje to, co mówi. Jest coś, o czym nie chce, żebym wiedziała, i to mnie przeraża.

– Czy powiedziałaś mu o mnie?

– Nie.

– Więc jak się dowiedział?

Znowu się waha.

– W jeden z miliona sposobów. To najpotężniejszy człowiek w Rosji – wyjaśnia.

Mój oddech jest płytki, bicie serca przyspieszone, a dłonie zaczynają się pocić. Patrzę na pudełko, jakby było pełne węży.

– Ale... Ale jeśli wysłał tę sukienkę, to wiedział o mnie, zanim tu dotarliśmy – oznajmiam.

– Tak – potwierdza moje przypuszczenia.

O Boże. Czy on nas obserwował? A jeśli tak, to... dlaczego?

Mogę wymyślić kilka powodów, niemniej żaden z nich nie jest dobry. Adrenalina zalewa mój system nerwowy, sprawiając, że trzęsę się coraz bardziej.

Mał podchodzi bliżej i ujmuje moją twarz.

– Nie jesteś w niebezpieczeństwie – uspokaja mnie.

– Jesteś pewien? Bo brzmi to tak, jakbyś mówił to tylko po to, żeby przekonać samego siebie.

– To ruch szachowy. Gra o władzę. Pakhan chce, żebym wiedział, że on wie o tobie, to wszystko. Nigdy nie sprowadziłbym cię do miasta, gdybym sądził, że nie będziesz bezpieczna – zapewnia.

Oblizuję wargi i z trudem przełykam ślinę. Moje usta są suche jak pustynia. Strach wypłukał całą wilgoć z mojego ciała. Zamykam oczy i biorę drżący wdech.

– Spójrz na mnie, *malyutka*.

Kiedy patrzę w jego oczy, mówi gwałtownie:

– Każdy mężczyzna, który choćby spojrzy na ciebie niewłaściwie, zginie. Każdy człowiek, łącznie z nim. Jeśli wyczuję jakąkolwiek nutę zagrożenia, jeśli stanie się cokolwiek, co mnie nie zadowoli, sprawię, że jego życie się zakończy. Rozumiesz? – Jego ton jest poważny.

Drżąc, odpowiadam:

– Nie bardzo.

– Ale czy mi ufasz?

Jego wzrok jest zacięty. Ta intensywność zapiera mi dech w piersiach. A szczerść jego słów jest oczywista w każdej napiętej linii ciała, wszystkich mięśniach i porach.

Ten mężczyzna zabije, by mnie chronić. Nawet jego własny szef, najpotężniejszy człowiek w Rosji, nie jest bezpieczny, gdy chodzi o mnie.

Pistolet. Nóż. Czegokolwiek użyje. Fakt pozostaje faktem: mój zabójca mnie wspiera.

Umocniona tą myślą, prostuję się i biorę wdech.

– Tak – odpowiadam na wcześniejsze pytanie.

Mal przyciąga mnie do piersi, przytula mocno i wypuszcza powietrze w moje włosy.

– Dobrze. A teraz ubierzmy się. Im szybciej to się skończy, tym lepiej.

Z tym tajemniczym stwierdzeniem wiszącym nad moją głową Mal podnosi pudełko i prowadzi mnie do sypialni.

ROZDZIAŁ 38

RILEY

Poza łóżkiem w królewskim rozmiarze główna sypialnia jest tak samo pusta jak reszta mieszkania.

Ściany są pomalowane na surową biel. Podłogę wyłożono białym marmurem. Łóżko jest w typowo męskim stylu – z czarną kołdrą i kanciastymi poduszkami. Nie ma tutaj żadnych dywanów ani zasłon, które stłumiłyby echo naszych kroków.

Ktokolwiek urządził to miejsce, nie chciał, żeby było ono przytulne. Jest tak samo przytulne jak mauzoleum.

Mał oprowadza mnie, a potem całuje w czoło i przypomina, że mam pięć minut, zanim będziemy musieli wyjść. Gdy zostaję sama w łazience, stoję pośrodku ogromnej przestrzeni, odnosząc wrażenie, jakbym rozbiła się na Marsie, a nad horyzontem byli wrodzy kosmici.

Kiedy kładę pudełko na umywalce i otwieram je, niepokojące uczucie zagłady nasila się.

To nie jest urocza sukienka. To szafirowa, aksamitna kreacja bez rękawów, z długą, wąską spódnicą, wiązaną w talii. Nie chodzi nawet o buty, czyli parę niskich szpilek z paseczkami w eleganckim, szampańskim kolorze, które w tajemniczy sposób są w moim rozmiarze.

Chodzi o soczewki kontaktowe.

Na pudełku zostało zapisane moje imię i nazwisko, a obok znajduje się opis mojej wady wzroku.

Dokładny opis mojej wady wzroku, w tym moc, krzywa, wartość cylindra, oś i marka. Wszystko, co jest potrzebne do idealnej korekcji mojego astygmatyzmu.

Krótko mówiąc, ktoś odbył miłą rozmowę z moim optykiem na temat moich gałek ocznych.

To nie jest jakieś pierwsze lepsze gównno, które można wziąć z półki. To soczewki na zamówienie. Zwykle mijają tygodnie, zanim je dostanę. Są drogie, a także delikatne i łatwo się niszczą, dlatego wróciłam do okularów.

Ale dziś wieczorem moje okulary zostaną w domu.

Nie śmiem obrażać najpotężniejszego człowieka w Rosji, jeszcze zanim go poznam.

Zdejmuję ubrania, które mam na sobie, i zostawiam je złożone na umywalce. Wkładam sukienkę, która pasuje idealnie. Buty również, podobnie jak soczewki.

Potem stoję i patrzę na siebie w lustrze, zastanawiając się, czy może nadal przebywam w szpitalu i to wszystko jest dziwnym snem.

Przynajmniej przybrałam z powrotem na wadze dzięki gotowaniu Mała. A kolor i krój sukienki bardzo podkreślają moją urodę. Kimkolwiek jest ten Pakhan, ma lepszy gust niż Sloane. Nikt nie pomylił mnie dzisiaj z pracownicą seksualną.

To niewielki komfort, ale biorę to, co mogę dostać. Odwracam się tyłem do lustra, następnie kieruję do sypialni, gdzie zatrzymuję się na chwilę, by uspokoić oddech.

Mał czeka na mnie przy łóżku.

Jest ubrany w piękny, dopasowany, czarny garnitur, z białą koszulą rozpiętą przy szyi, bez krawata. Czarne, skórzane buty są wypolerowane tak, że aż błyszczą. Falujące, ciemne włosy zostały zaczesane do tyłu i nabłyszczono jakąś pomadą. Niesforne końcówki kręcą się, muskając kołnierz.

Zapiera dech w piersiach. Gangsterski szyk. Niebezpieczna bestia przebrana za dżentelmena.

Ogarnia mnie jednym chciwym spojrzeniem, oblizuje wargi, po czym warczy coś po rosyjsku.

Krew pulsuje mi w żyłach.

– Ty też ładnie wyglądasz – szepczę.

– Chodź tu – żąda.

Ręka, którą wyciąga, jest jak magnes. Tak samo jak to głodne spojrzenie, które mnie przyciąga. Przemierzam pokój z motylami szalejącymi w żołądku i wchodzę w ramiona Mała.

Całuje mnie głęboko, owijając ramię wokół mojej talii, a wolną dłoń zaciskając mocno na karku. Kiedy jestem pewna, że zaraz spłonę, odrywa się od moich warg i mówi szorstko:

– Jesteś cholernie apetyczna.

Wielki Zły Wilk nie mógłby brzmieć aż tak żarłocznie. Drzę, wtulając się mocniej w jego klatkę piersiową i zaciskając ramiona wokół jego ramion.

– Dziękuję.

– Chcę wyswobodzić cię z tej sukienki zębami.

– Nie sądzę, że mamy na to czas – odpowiadam.

Wpatrując się we mnie rozpalonym wzrokiem, znów oblizuje usta. Myśli przez chwilę, a potem niecierpliwie potrząsa głową.

– Masz rację. Później. Gdzie są twoje okulary?

– Na blacie w łazience. W pudełku z sukienką była para soczewek kontaktowych na zamówienie. Pasują idealnie do mojej wady wzroku.

– I jestem pewien, że sukienka i buty również idealnie pasują – odpiera oschle.

– Bardzo się staram nie zwariować, bo ci ufam, ale to wygląda na niezwykle przemyślaną i celową wiadomość od twojego szefa – oznajmiam, próbując ukryć niepewność w głosie.

– Tak, to prawda.

– Twoje potwierdzenie sprawia, że czuję się lepiej.

Spogląda na mnie przez moment, wyglądając na zamyślonego. Następnie odgarnia kosmyk włosów z mojego czoła i zakłada go za ucho.

– Zamierzam ci coś powiedzieć. To ważne. – Wzdycha. – Po prostu słuchaj mnie uważnie i zapamiętaj to. Jeśli Pakhan zada ci pytanie, nieważne jakie, wyznaj mu prawdę. Całą, nieupiększoną prawdę. Nie próbuj jej ubierać w piękne słowa ani sprawiać, żeby brzmiała ładnie.

Patrzę na niego w skupieniu.

– A zwłaszcza nie próbuj kłamać. – Jego głos staje się niższy. – On wyczuwa kłamstwo jak rekin kroplę krwi w wodzie.

– To porównanie jest świetne, dzięki – mówię niepewnie, czując mdłości.

Ścisza mnie i całuje namiętnie.

- Będzie dobrze. Jesteś gotowa?
- Nie.
- Tak, jesteś. Idziemy. Pamiętaj, co powiedziałem.

Z tym ostatnim ostrzeżeniem odbijającym się echem w moich uszach bierze mnie za rękę i wyprowadza za drzwi.

Dotarcie samochodem do restauracji zajmuje nam dziesięć minut. Wydaje się, że jesteśmy w centrum miasta. Wieżowce górują wokół nas, sięgając niemal do nieba. Piesi są wszędzie, choć godzina jest późna. Panuje tu gwar, wielkomijska, tłoczna atmosfera z ruchem dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, która po raz kolejny przypomina mi San Francisco, ale o wiele większe i bez stromych wzgórz.

Czekam, aż zatęsknię za domem, jednak to uczucie nie nadchodzi.

Siedzący obok mnie z tyłu straszego auta Mal milczy.

Nie potrafię stwierdzić, czy jest spięty. Jego ciało jest zrelaksowane, ale w oczach widać czujność. Sposób, w jaki przenosi spojrzenie z jednego punktu na drugi, przywodzi mi na myśl wielkiego kota, który czeka w wysokiej trawie na przejście gazeli.

Kiedy podjeżdżamy do miejsca parkingowego na zewnątrz szklanego budynku z bogato zdobionymi, złotymi i niebieskimi iglicami, przełykam nerwowo ślinę. Mal tymczasem instruuje:

– Trzymaj się cały czas obok mnie. Nie chodź do toalety. Nie puszczaj mojej ręki. Jeśli coś się stanie, wejdź pod stół i zostań tam, dopóki nie dam ci znać, że możesz wyjść. Powiedz tak, żebym wiedział, że rozumiesz.

– Tak – potwierdzam.

Nieźle. Udało mi się zabrzmieć jak osoba trzymająca nerwy na wodzy, która nie ma zamiaru ubrudzić majtek w przerażeniu.

Kierowca otwiera drzwi Malowi, który następnie otwiera te po mojej stronie. Wchodzimy do restauracji, mocno ściskając się za dłonie. Mal idzie krok przede mną. Mam zamiar życzyć sobie papierowej torby, w którą mogłabym hiperwentylować, gdy zza

stoiska hostessy podpływa do nas najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam.

To dla niej stworzono słowo posągowa. Kilka innych określeń też, w tym oszałamiająca, bombowa czy wywołująca wzwód. Wszystko w niej jest bujne, złote i doskonałe, a ja nagle czuję się jak szara myszka, którą ktoś przebrał na Halloween.

– Privet¹⁹, Malek – mruczy, a potem dodaje coś innego, na co nie zwracam uwagi, bo za bardzo oślepia mnie jej dekolt.

Błyszcząca, złota minisukienka, którą ma na sobie, jest rozcięta od ramion aż do dołu pępka. Nie mam pojęcia, jakim cudem cycki tej kobiety nie wyskoczyły jeszcze wprost przed twarz Mala.

– Masza – odpowiada chłodno Malek, nie zaszczycając jej spojrzeniem. – On tu jest?

Chwilowe migotanie irytacji wykrzywia jej doskonałe rysy. Nie wiem, czy to dlatego, że Mal nie łyknął całej smacznej przynęty, którą ona podaje mu jak na dłoni, czy dlatego, że mówi po angielsku, ale kobieta w końcu stwierdza, że problemem jestem ja i posyła mi spojrzenie, przez które mogłyby zwiędnąć plony.

Uśmiecham się do niej, czując się już lepiej.

– Da. Chodź za mną, proszę.

Złota bogini wymyka się do jadalni, kołysząc biodrami.

– Twoja przyjaciółka? – pytam kwaśno.

– Nie pieprzyłem się z nią, jeśli o to ci chodzi.

– Cóż, nie dlatego, że ona tego nie chciała – dodaję, po czym pryham.

Patrzy na mnie, wyginając brwi.

– Jesteś zazdrosna, mały ptaszku?

– Kto? Ja? O Miss Universe? Nie. Ona pewnie nie ma ani jednej pary dresów.

Jego usta wykrzywiają się w kącikach.

Moment później wchodzimy głębiej do restauracji, trzymając się za ręce.

To zdecydowanie najbardziej ostentacyjna przestrzeń, jaką kiedykolwiek widziałam.

Podobnie jak w przypadku hostessy Maszy, wszystko jest złote i lśniące. Tapety, żyrandole, obrusy, krzesła. Dywan pod stopami jest pluszowy, w odważny, złoto-śliwkowy wzór, który prześcignąłby każde kasyno w Vegas. W suficie, wysoko nad naszymi głowami, odbija się pokój z tysiąca lustrzanych tafli. Paprocie i stojaki z palmami w doniczkach zdobią zakamarki pomieszczenia, a subtelny, drogi zapach unosi się w powietrzu.

Eleganckie stoły jadalne są wolne, z wyjątkiem trzech, do których zmierzamy.

Przy dwóch dużych, okrągłych stołach siedzą mężczyźni w drogich, ciemnych garniturach. Wszyscy są duzi, brodaci i w średnim wieku, choć nie jest to rodzaj miękkiego wieku średniego, jaki widuje się u tatusiów z przedmieść.

To są wikingowie. Wojownicy. Mężczyźni, którzy doskonale wiedzą, jak władać toporem, by uciąć głowę.

Za nimi, w zaokrąglonej, skórzanej łoży pod ścianą, siedzi ich król.

Jest większy niż cała reszta, tęgi i szeroki. Jego rudawą brodę przetyka siwizna. Na ramiona ma zarzucony czarny, wełniany płaszcz z grubym kołnierzem ze srebrnego futra. Każdy knykciec jego lewej dłoni zdobią tatuaże: gwiazdy, kwiaty, inicjały, nóż przebijający czaszkę. Głowę mężczyzny spowija dym z cygara, które pali.

Kiedyś był przystojny, mogę to szczerze przyznać. Ale teraz jego twarz jest chropowata, a oczy twarde niczym krzemień, bez wątpienia od przemocy, której się dopuścił.

Musiałam wydać z siebie pomruk strachu, bo Mal ściska moją rękę i mruczy:

– Spokojnie.

Kiedy przechodzimy między dwoma pierwszymi stołami, wszyscy podnoszą się z krzesel. Skłaniają głowy do Mala, który ich ignoruje.

Potem zatrzymujemy się przed Pakhanem.

Najpierw patrzy na mnie, przez długą, pełną milczenia chwilę. Jego spojrzenie jest intensywne i lodowate. Stoję nieruchomo, starając się nie zesrać w gacie.

Kiedy mężczyzna przenosi wzrok na Mala, czuję się jak króliczek uwolniony ze stalowej pułapki. Wszystko, co mogę zrobić, to nie

przewrócić się na bok, dysząc.

– Malek – akcentuje Pakhan dudniącym głosem. – Byłeś ostatnio bardzo zajęty.

Mówi to po angielsku, bez wątpienia po to, żebym mogła zrozumieć. Ale jego ton jest tak samo neutralny jak wyraz twarzy, więc nie potrafię stwierdzić, czy jest zły, czy rozbawiony.

Brzmiąc na spokojnego, Mal odpowiada po rosyjsku. Wydaje mi się, że to pozdrowienie, bo potem lekko pochyla głowę.

Pakhan zerka na nasze splecione dłonie, po czym znów patrzy na mnie. Gestykułuje cygarem.

– Proszę usiąść obok mnie, panno Keller. Chcę się pani przyjrzeć – rzuca, zaciekawiony.

O nie, król rosyjskiej mafii wie, jak się nazywam. To bardzo niedobrze.

Gdy uświadamiam sobie, że nie mogę się ruszyć, Mal delikatnie popycha mnie do przodu, pomagając mi znaleźć się na miejscu. Przesuwam się wokół zakrzywionego blatu, bliżej Pakhana, patrząc wszędzie, tylko nie na niego. Mal siada przy mnie i łapie mnie za rękę pod obrusem.

Zaraz po tym, jak siadamy, wszyscy wikingowie również zajmują miejsca. Pół tuzina pięknych młodych kobiet w skąpych, złotych strojach pojawia się znikąd z tacami z napojami. Podają najpierw Pakhanowi, później mnie i Malowi, a następnie wikingom, którzy zaczynają rozmawiać między sobą po rosyjsku, jakby to był kolejny męski wieczór w klubie.

Chwytam whisky, którą postawiła przede mną jedna z dziewczyn. Zanim zdążyłabym ją wypić, Mal kładzie mi dłoń na nadgarstku, żeby mnie zatrzymać.

Cholera. Zapomniałam, że nie mogę pić! To najgorszy możliwy czas na zniszczenie swojego zdrowia.

Po tym, jak odstawiam szklankę, przez moment panuje cisza. Nagle Pakhan mówi:

– Jesteś zdenerwowana.

Wypuszczam ciężko powietrze.

– Nie, jestem przerażona. Dziękuję za strój. Jest śliczny. Za soczewki również dziękuję – odpieram po chwili.

Pali cygaro, przyglądając mi się uważnie. Po mojej drugiej stronie Mal milczy, siedząc nieruchomo. Pakhan przypomina ciemne jezioro, którego głębokie wody kryją pod sobą podstępne potwory.

– Czego się boisz, dziecko?

To prawdopodobnie dziadkowy sposób, w jaki się do mnie zwraca, sprawia, że czuję się odrobinę bardziej komfortowo i w końcu odkrywam, że jestem w stanie spojrzeć na niego bez omdlenia.

– Cóż... ciebie.

– Mnie? – Pakhan spogląda na Mala z uniesionymi brwiami.

– To nie jego wina! – wykrztuszam.

Teraz obaj wpatrują się we mnie, krzywiąc się. Patrząc na Pakhana, ale czuję gniew Mala. To powoduje, że wpadam w panikę po raz kolejny. Przygryzam wargę, żeby nie wydać kolejnego dźwięku.

– Co dokładnie nie jest jego winą? – pyta Pakhan.

– To, że się ciebie boję. Nie powiedział nic złego. Jesteś po prostu... jakby... przerażający. – Kiedy spogląda na mnie bez słowa, krzywię się. – Przepraszam. Nie próbuję cię obrazić. Mówię ci tylko prawdę – dukam.

– Prawdę. Hmm.

Pali w zamyśleniu.

Mal nadal nie odzywa się ani słowem.

– Proszę mi powiedzieć, panno Keller, jak się pani miewa? – zagaja Pakhan po chwili.

To pytanie całkowicie mnie zaskakuje. Mrugam. Gdy Mal ścisną moją rękę, biorę głęboki wdech i mam nadzieję, że o to mu chodziło, kiedy kazał mówić wyłącznie prawdę.

– W tym momencie? Całkowicie wystraszona. Ogólnie? Lepiej niż kiedykolwiek.

– Lepiej niż kiedykolwiek? Większość kobiet, które zostały postrzelone, porwane i są trzymane w niewoli, mogłaby znaleźć inny sposób na opisanie swojego położenia – stwierdza z namysłem.

Choć mówi to do mnie, patrzy na Maleka.

Nie wygląda na zadowolonego.

Skąd on, do cholery, wie to wszystko? I dlaczego miałoby go obchodzić, że Mal mnie porwał? To nie ma znaczenia. Skup się.

– Uratował mi życie. Dwa razy. I tak, technicznie rzecz ujmując, porwał mnie, ale nie prosiłam go, żeby zabrał mnie do domu. Myślę, że wtedy by to zrobił, jednak nie chcę go o to prosić. Ja właściwie, hmm... tak jakby... coś do niego czuję.

Widziałam już wcześniej wyraz twarzy Pakhana. Mal patrzył na mnie dokładnie w ten sposób sto razy, kiedy mówiłam coś, co on uważa za jeszcze bardziej szalone niż to, co zwykle mówię.

– Czy on kazał ci to powiedzieć? – pyta szef rosyjskiej mafii.

– Nie.

Oczy Pakhana przypominają czujniki. Są niczym wykrywacze kłamstw i agenci CIA przesłuchujący więźniów w Guantanamo. Gdyby mogły mnie przeświecić, zrobiłyby to.

Pozwalam mężczyźnie spojrzeć głęboko w moje oczy, bo nie mam nic do ukrycia.

– Sypiasz z nim? – odzywa się po nieznośnie długiej chwili ciszy.

Co, do cholery?

Biorę wdech, po czym staram się zachować spokój na twarzy i w tonie.

– Tak.

– Więc on cię zmusza.

Irytacja przeszywa mnie na wskroś. Oburzona w imieniu Mala, odpowiadam ostrzej, niż powinnam.

– Nie. Nigdy by się nie narzucał, nawet gdyby chciał. Wiem o tym, bo rzeczywiście chciał. W gruncie rzeczy to ja zrobiłam pierwszy krok w tym kierunku.

Pakhan wykonuje lekceważący gest ręką. Nie wygląda, jakby był pod wrażeniem.

– Kobiety często okłamują siebie w takich sytuacjach. To pomaga im poradzić sobie z traumą, jeśli dzięki temu czują, że nie są ofiarami. Jeśli czują, że miały wybór.

Mówi mi, że Mal mnie wykorzystał, ale ja nie jestem na tyle inteligentna, żeby to wiedzieć.

Mówi mi, że zostałam zgwałcona, ale nie zdaję sobie z tego sprawy.

Mówi mi, że jestem głupią dziewczynką.

Ciepło wpełza na moją szyję. Serce zaczyna mi walić. Wpatruję się w niego, chcąc wyrwać mu cygaro i zgasić je na jego czole. Pomieszczenie i wszystko w nim nagle znika.

Nie obchodzi mnie, że to najpotężniejszy człowiek w Rosji.

Próbuje mi coś wmówić, lecz ja na to nie pozwolę.

Patrząc mu prosto w oczy, oznajmiam:

– Nie wiem, z jakimi kobietami do tej pory się zadawałeś, ale gdyby ten człowiek w jakikolwiek sposób mnie skrzywdził, już brakowałoby mu kutasa. Z pewnością bym tu nie siedziała i nie broniła go, nawet gdyby groził, że mnie zabije, jeśli tego nie zrobię. Musiałby mnie wciągnąć do tego pokoju za włosy, a ja kopałabym i krzyczała. – Kręcę głową. – Tak, porwał mnie. Wiem, że to nie jest idealny sposób na rozpoczęcie związku, jednak będzie to świetna historia, kiedy ktoś zapyta, jak się poznaliśmy. Ale załatwił mi też operację ratunkową, która uratowała mi życie po tym, jak postrzelił mnie mój własny ochroniarz. Zmieniał mi opatrunki i upewniał się, że biorę leki. Karmił mnie łyżką jak dziecko posiłkami, które sam ugotował. Zdjął głowę łosia ze ściany, bo jej nienawidziłam. Okradł optyka, żebym mogła widzieć. Zabił niedźwiedzia, który próbował mnie zjeść. Nauczył mnie strzelać, na wypadek gdybym musiała się bronić. I zrobił masę innych rzeczy, których teraz nie pamiętam, bo jestem tak wściekła.

Pakhan przygląda mi się z uwagą.

– Mal jest najbardziej hojnym, kompetentnym, inteligentnym, zdyscyplinowanym, wspaniałym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam. Zarabia na życie zabijaniem ludzi, ale nikt nie jest doskonały. I zanim zapytasz: tak, powiedział mi, jak znalazł się u ciebie. Powiedział mi też, że nie zamierza przestać dla ciebie pracować, choć cała jego rodzina nie żyje i nie ma już kogo chronić. Więc jest również lojalny aż do przesady. Tak że proszę, nie insynuuj, że nie wiem, o czym mówię, kiedy wyznaję, że coś do niego czuję, bo wiem. Bo on jest tego wart!

Po mojej wypowiedzi zapada całkowita cisza. Z przerażeniem uświadamiam sobie, że podniosłam głos do takiego poziomu, że mężczyźni przy dwóch pozostałych stołach też mnie usłyszeli.

Wszyscy zebrani wpatrują się teraz we mnie.

Przełykam ślinę i zwilżam wargi. Biorę powolny, drżący wdech.

– Przepraszam, jeśli to było lekceważące – mówię już ciszej. – To nie było zamierzone. Ja tylko...

– Broniłaś Maleka – przerywa Pakhan.

Jego ton jest miękki, a oczy są twarde. Nie potrafię stwierdzić, czy mężczyzna ma zamiar poklepać mnie po ręce, czy zabić.

– Tak – szepczę.

Przez chwilę nie robi nic poza patrzeniem na mnie. Napięcie w pokoju jest wyczuwalne, jakby wszyscy wstrzymywali oddech, czekając, co zrobi Pakhan.

Dłoń Mała w mojej jest chłodna, sucha i stabilna.

Pakhan zaciąga się cygarem, wypuszcza chmurę dymu, po czym unosi kąciki ust.

Wszyscy w pokoju odprężają się. Mężczyźni wznawiają rozmowy, dziewczyny przychodzą z półmiskami jedzenia, a moje serce przypomina sobie, jak bić.

Szef rosyjskiej mafii zanosi się śmiechem i mówi coś po rosyjsku do Maleka.

– Powinieneś zobaczyć ją, gdy jest naprawdę zła – odpowiada Mał i upija łyk whisky.

To, co dzieje się później, jest zamazane.

Wiem, że jemy, ale nie potrafię powiedzieć co. Wiem, że rozmawiamy, ale odbywa się to po rosyjsku, więc nic nie rozumiem. W pewnym momencie Mał wypowiada imię „Kazimir” pytającym tonem, na co Pakhan kręci głową. Potem kolacja się kończy i ruszamy do wyjścia.

– Panno Keller – mówi Pakhan, wciąż siedząc, i wyciąga zaobrączkowaną dłoń.

Kiedy patrzę na nią, niepewna, czy mam ją pocałować, czy co, oznajmia łagodnie:

– Nie gryzę, dziecko.

Wątpię w to, lecz i tak chwytam jego rękę. Później obserwuję w szoku, jak podnosi moją dłoń do ust i całuje knykcie.

– Dziękuję za interesujący wieczór. Miło było cię poznać.

Jego intensywne, przesywające spojrzenie sprawia, że robię się nieśmiała. Moje policzki lekko płoną i trudno mi patrzeć mu w oczy.

– Nie ma za co. Mnie również było miło cię poznać. I dziękuję, że nie denerwujesz się za moje złe maniery.

Jego uśmiech jest nieznaczny i tajemniczy.

– Te złe maniery będą ci dobrze służyć w przyszłości. Imperiami nie władają potulni.

To brzmi niesamowicie. Jak przepowiednia.

Jakby Pakhan wiedział o mnie coś, czego ja nie wiem.

Ale nie ma czasu, żeby się nad tym rozwodzić, bo Mal mnie odciąga, prowadzi do wyjścia z restauracji, a następnie do czekającego samochodu.

Wpycha mnie na tylne siedzenie, sam wsiada do środka, po czym zatrząskuje za sobą drzwi i rzuca się na mnie.

ROZDZIAŁ 39

RILEY

Pocałunek jest szorstki, dominujący i wymagający. Jest też całkowicie niespodziewany i zapiera mi dech w piersiach.

Trzymając ręce po obu stronach mojej głowy, Mal niszczy moje usta, aż zaczynam skomleć oraz cała się trząść, chwytając się klap jego garnituru. Oddycha ciężko, odrywa się od moich warg, następnie wpatruje we mnie płonącymi oczami.

– Powiedziałaś królowi Bratwy, że coś do mnie czujesz – mówi szorstko.

Jestem zbyt oszołomiona, żeby się domyślić, czy to pochwała, czy nagana, więc nie wypowiadam ani słowa. Kręcę głową.

– Tak, kurwa, zrobiłaś to. Powiedziałaś mu to prosto w twarz, przed wszystkimi jego ludźmi. Powiedziałaś mu to takim, kurwa, tonem, za który normalnie zabija ludzi.

Znów mnie całuje, pożerając moje usta.

Kiedy ponownie się od nich odrywa, moje serce przyspiesza bieg, a ja sapię.

Mal wciąga mnie na swoje kolana, tak że moje nogi znajdują się po obu stronach jego bioder, a sukienka jest zwinięta wokół moich ud. Wbija palce w moje delikatne pośladki, po czym przyciąga mnie do swojego krocza, co sprawia, że siadam na twardym fiucie.

Opuszcza moją głowę, wplatając mi palce we włosy, i szepcze:

– Powiedziałaś, że jestem hojny. Wspaniały. Lojalny.

Mocno przyciska usta do moich, a następnie całuje mnie tak, że aż skomlę.

Wtedy przysuwa wargi do mojego ucha i warczy:

– Kurwa, broniłaś mnie.

– Nie jestem w stanie powiedzieć, czy jesteś zły, czy szczęśliwy z tego powodu – odpieram bez tchu.

Wypycha biodra, ocierając się o mnie erekcją, a później odpowiada przez zaciśnięte zęby:

– Och, kochanie, pokażę ci dokładnie, jak się z tym czuję.

Chwyta dekolt mojej sukienki i jednym szarpnięciem rozdziera materiał. Łapie za jeden z odsłoniętych sutków, a potem ssie go mocno.

Kiedy sapię, on obejmuje obie piersi, po czym przenosi usta z jednej na drugą i z powrotem. Ssie, liże, drażni sztywne sutki kciukami, językiem i zębami. Drżąc, zatapiam dłonie w jego włosach.

Między moimi nogami jego erekcja jest twarda jak skała.

– Mal – szepczę. – Kierowca.

– Dom – warczy przez moje ramię i mówi coś jeszcze po rosyjsku.

Słyszac cichy szum, spoglądam za siebie. Przyciemniana, zapewniająca prywatność przegroda wznosi się między siedzeniem kierowcy a częścią pasażerską samochodu, oddzielając je.

Wtedy zachłanne palce Mała zsuwają się między moje uda, odsuwają na bok moje majtki i wsuwają się do środka.

– Zawsze tak bardzo dla mnie gotowa – warczy. – Ta słodka cipka zawsze jest tak ciepła i śliska, gotowa na mojego kutasa.

Mal ssie moje sutki, pieprząc mnie palcami, podczas gdy ja kołyszę się w przód i w tył na jego dłoni. Kiedy naciska kciukiem nabrzmiałą lechtaczkę, jęczę, odrzucam głowę do tyłu i zamykam oczy.

Serce bije mi jak szalone. Skóra płonie niczym ogień. Bolą mnie sutki, a oddech jest urywany.

Chcę, żeby mnie zerznął, właśnie tutaj, na tylnym siedzeniu tego samochodu. A on o tym wie. Oczywiście, że wie. Ze zwierzęcym warknięciem wyciąga palce z mojego wnętrza, a potem rozpina pasek, guzik i rozporek. Jego wielki, sztywny kutas wyskakuje dumnie ze spodni, a Mal łapie go w dłoń.

Pocierając nim o mokrą cipkę, szepcze szorstko:

– Usta.

Kiedy go całuję, odwzajemnia pieśczęotę, jakbym była kołem ratunkowym, a on się topił. Wypycha biodra, przejeżdżając czubkiem kutasa przy moim wejściu. Jednym pchnięciem wsuwa się do środka. Jest gruby, twardy i pulsujący.

Mal chwyta mnie za biodra, po czym wbija się, jęcząc z rozkoszy. Pochyla się i zaczyna pieścić ustami pierś.

Gryzie ją, zagłębiając zęby w skórę, pod sutkiem. Uwielbiam to uczucie – ból i przyjemność zwinięte w gorącą, skoncentrowaną kulkę. Sprawia ono, że moja cipka pulsuje, a klatka piersiowa boli. Zaczynam trzeć o miednicę Mala, ocierając się o niego łechtaczką, gdy jego gruby kutas mnie rozciąga.

On sam przesuwa rękę z mojego biodra na tyłek i pieści wrażliwą wiązkę nerwów między pośladkami. Drażni mnie tam, przesuwając palcami w przód i w tył.

– Chcę pieprzyć ten mały pączek róży – szepcze gorąco, dysząc. – Czy pozwoliłaś już jakiemuś mężczyźnie cię tam pieprzyć?

Drżąc, jęczę jego imię.

– Nie. Wiem, że nie. Ale mi pozwolisz. Pozwolisz mi być pierwszym i ostatnim. Jednak zanim to nastąpi, dojdiesz na moim kutasie, kochanie. – Jego głos staje się niższy. – I chcę, żebyś doszła mocno.

Naciska palcem na mój tyłek, po czym wsuwa go do środka. Krzyczę, drżąc, i mimowolnie zaczynam ocierać się o Mala. Trzymam się jego ramion i ujeżdżam go, słuchając, jak mruczy każdą sprośną rzecz, o której nigdy nie wiedziałam, że pragnę usłyszeć od mężczyzny.

Kiedy moje jęki stają się coraz głośniejsze i bardziej urywane, a ja wzmacniam uścisk na jego ramionach, całe ciało mam napięte. Mal opuszcza moją głowę, z ręką w moich włosach, i przysuwa swoje usta do mojego ucha.

– Dojź dla mnie, kochanie. Daj to tatusiowi – nakazuje mrocznym, szorstkim głosem.

Wsuwa palec głęboko w mój tyłek i gryzie mnie w szyję jak dzikus. Szczytuję, szlochając.

Moja cipka zaciska się rytmicznie wokół jego kutasa. Przechodzą przeze mnie gwałtowne dreszcze, które wstrząsają całym ciałem. Łechtaczka pulsuje i pulsuje. Uda się trzęsą. Wystrzeliwuję w kosmos z prędkością miliona mil na godzinę, nabita na jego fiuta, z jego gorącymi, zachłannymi wargami na skórze.

To trwa i trwa, przez co wydaje się wiecznością. Przyjemność rozbija się o mnie falami. Czuję się otoczona przez niego, pożerana przez niego, konsumowana.

Nie chcę, żeby to się skończyło.

Wtedy Mal całuje mnie, wpychając język w moje usta, gdy szybciej porusza biodrami. Jęczy, ciągnie mnie za włosy i pieprzy w szale. Kiedy jego głowa opada na moje ramię, on uwalnia moje włosy, owija ramię wokół moich pleców i przyciąga mnie mocno do swojego torsu.

Wykonuje ostatnie, gwałtowne pchnięcie, po którym dochodzi.

Jęczy głośno tuż przy mojej szyi.

Czuję, jak ten jęk przechodzi przez całe moje ciało.

Czuję, jak Mal pulsuje i pulsuje. Słucham jego pięknych, ochrypanych jęków rozkoszy i coś odblokowuje się w środku mojej klatki piersiowej.

Ta chwila wydaje mi się potężnie znacząca. Muszę walczyć z nagłą chęcią płaczu.

Zostajemy tak, zamknięci razem, dysząc i drżąc, dopóki Mal nie zaczyna pocierać delikatnie brodą o moją szyję. Wypuszcza powoli powietrze, ściskając mnie mocno.

Mruczy coś po rosyjsku. Jest to boleśnie miękkie.

Nie pytam, co oznacza.

Jestem już wystarczająco przytłoczona.

Kiedy samochód wjeżdża na parking przy budynku Mała, siedzę mu na kolanach z jego marynarką zarzuconą na ramiona i jego ramionami owiniętymi wokół mnie. Czuję, jakbym nie miała kości. Jakbym była galaretką. I na haju.

Moja podarta sukienka jest przykryta jego marynarką, on niesie mnie do windy, a ja opieram głowę na jego piersi. Choć mam zamknięte oczy, wiem, że mężczyźni w garniturach kłaniają się, gdy ich mijamy.

Mal nie odzywa się podczas jazdy na górę. Milczy, niosąc mnie do sypialni. Kiedy kładzie mnie na łóżku i rozbiera, nadal nie

wypowiada ani słowa.

Kłęka obok łóżka, przerzuca moje nogi przez swoje ramiona, następnie chowa twarz między uda. Wodząc dłońmi w górę i w dół po moim nagim ciele, lawiruje językiem po łechtaczce. Wyginam się i jęczę, drżąc z rozkoszy.

Odnoszę wrażenie, że jestem nagradzana.

Kiedy moje krzyki stają się coraz głośniejsze i zbliżam się do osiągnięcia spełnienia, Mal odwraca głowę i gryzie mnie w udo.

– Powiedziałaś coś o związku – szepcze.

– C-co? – dukam, dysząc.

Patrzy na mnie. W ciemności jego oczy błyszczą intensywnością.

– Powiedziałaś, że porwanie nie jest dobrym sposobem na rozpoczęcie związku, ale byłaby z tego świetna historia – przypomina.

Wytrzymuje moje spojrzenie, obniża głowę i delikatnie ssie łechtaczkę.

Moja macica się kurczy. Sutki mrowią. Czuję, jakby pokój płonął.

– Och, Boże. Mal... Och...

– Czy właśnie w ten sposób określiłabyś to, co jest między nami? Jako związek? – pyta cicho. – Bo dla mnie to raczej obsesja. Przymus. Węzeł zbyt splątany, by można go było rozplątać.

Wraca do ssania, dodając palec, który naprzemiennie wkłada we mnie i wyciąga.

Kiedy głośno jęczę, ciągnie mnie na krawędź materaca, tak że mój tyłek zwisa z łóżka. Podtrzymuje go obiema rękami, gdy mnie pochłania, naprzemiennie liżąc łechtaczkę oraz wpychając język do mojego wnętrza w sposób, w jaki lubi to robić, pieprząc mnie nim.

Wplatom palce obu dłoni w jego włosy i kołyszę biodrami, ocierając się o jego twarz. Nie przejmuję się dźwiękami, które wydają, ani tym, że moje serce łomocze, jakby miało pęknąć na dwie części.

Mogę szczerze powiedzieć, że już nic mnie nie obchodzi.

Z wyjątkiem *niego*.

Nas.

Z wyjątkiem tej mrocznej, potężnej rzeczy, którą mamy razem i która wydaje się równie ostateczna jak śmierć.

Dochodzę z jego imieniem na ustach.

Mał mruczy z aprobatą, nie wyjmując języka z cipki, kiedy ja trzęsę się i rzucam na łóżku. Drapię skórę jego głowy i ciągnę go za włosy, zupełnie nie panując nad przyjemnością, którą mi daje.

Kiedy dochodzę do siebie i leżę, rozdygotana oraz wyczerpana, on zanosi się śmiechem.

Podnosi się i rozpina koszulę. Spoglądając na mnie z leniwym uśmiechem, mówi ściszone głosem:

– Grzeczna dziewczynka.

Jęczę, przewracam się na bok, po czym chowam twarz w kołdrę. Mał znowu się śmieje, tylko tym razem brzmi to groźnie.

– Myślisz, że możesz się przede mną ukryć? Nie możesz się ukryć. Widzę cię, mały ptaszku. Widzę wszystko.

Chwyta mnie za nadgarstki i ciągnie do pozycji siedzącej na krawędzi łóżka. Patrząc na mnie z góry, bierze moją twarz w swoją dłoń i wsuwa kciuk między moje wargi. Drugą ręką rozpina rozporek. Nabrzmiała główka penisa wystaje ponad majtkami.

– Będę pieprzył twoje usta, słodka dziewczyno – warczy. – Potem ustawię cię na dłoniach i kolanach i będę podduszał, pieprząc twoją cipkę. Jeśli tego chcesz, powiedz tak.

Wysuwa kciuk spomiędzy moich warg, następnie obejmuje mój kark. Chwyta go mocno i czeka, dominujący, nawet w jego cierpliwej ciszy.

– Tak.

Choć to prawda, jednosylabowe słowo nigdy nie było trudniejsze do wymówienia w historii ludzkości. Wydobywam je z siebie, zdyszana i drżąca, obserwując, jak mroczny uśmiech Mała się poszerza.

Sięgam w górę, ściągam mu majtki, a potem owijam dłonie wokół jego erekcji. Cały czas patrząc mu w oczy, otwieram usta i biorę go do środka.

Czubek penisa jest gruby i smakuje mną. Wiruję wokół niego językiem. Dreszcz przechodzi przez moje ciało, gdy mięśnie brzucha Mała zaciskają się, a on mimowolnie jęczy cicho.

– Kurwa, tak – szepcze, obserwując uważnie moje wargi. Oczy mu błyszczą. – Teraz ssij.

Jestem posłuszna. Ssę tylko czubek, a moje ręce nadal są owinięte wokół jego męskości.

– Jeszcze. Głębiej.

Zdejmuję jedną dłoń z jego trzonu, układam ją pod jajami, po czym biorę go głębiej. Żyła na spodzie fiuta pulsuje na moim języku. Zaczynam głąskać jego męskości, synchronizując ruchy z tym, jak biorę go do ust. Robię to bardziej entuzjastycznie, kiedy Mal jęczy ponownie, tym razem głośnie.

– Moja słodka, doskonała dziewczyna. Ssij tego kutasa. Pokaż mi, jak bardzo go kochasz.

Jego głos jest urywany. Jego klatka piersiowa faluje. Wpatruje się we mnie gorącymi oczami i z zaciśniętymi szczękami, tak cholernie seksowny i męski, że jestem bezwstydnie chętna zrobić wszystko, czego zażąda.

Może miał rację, mówiąc, że to przymus, bo czuję, jakbym straciła nad tym kontrolę.

Z radością pozwalam, by teraz napędzało nas to, co jest między nami.

Ssę, liżę i głaszczę, aż jego ręce drżą przy mojej głowie, gdy wbija się w moje usta. Po dłuższej chwili wysuwa się, przewraca mnie na brzuch, podciąga na dłonie oraz kolana i wymierza mi klapsy w tyłek.

Krzyczę, szarpiąc się.

Mal pochyla się i całuje miejsca, w które uderzył. Następnie kładzie rękę między moimi łopatkami, popychając mnie, tak że moja twarz zostaje przyciśnięta do materaca, a tyłek jest wypięty w jego stronę. Klęka za mną, nachyla się, a potem obejmuje piersi, kciukiem dotykając twardych sutków. Przesuwa dłonie w dół mojej klatki piersiowej i nad talią, ściskając biodra.

– Riley Rose – mówi szorstko, przesuwając główką kutasa tam i z powrotem po mokrej cipce. – Moja piękna obsesja. Ten potwór należy do ciebie, słodka dziewczyno. Jestem związany łańcuchami u twoich stóp.

Jego twarde pchnięcie sprawia, że zatapia się we mnie.

Kiedy jęczę, delikatnie zaciska wielką, szorstką dłoń wokół mojego gardła.

Pieprzy mnie mocno, wbijając się raz po raz. Jego jaja uderzają o moją cipkę, jego ochryple jęki odbijają się echem w moich uszach.

Czuję wszystko tak mocno. Krew pędzącą przez żyły. Prześcieradło ocierające się o policzek. Wilgoć na udach. A także palce Mala wbijające się w moje biodra.

I w moją szyję.

Krzyczę, chwytając się pościeli. Widzę przed oczami eksplodujące fajerwerki, zbliżając się do punktu kulminacyjnego.

Mal opada z powrotem na pięty i przyciąga mnie do swojej klatki piersiowej. Trzyma mnie, gdy szarpie się i sapię, bezradnie go obejmując. Po chwili wkłada rękę między moje nogi, aby poczuć pulsującą cipkę. Powtarza coś w kółko, mrucząc do mojego ucha.

– *Ty moya. Ty moya. Ty moya, dorogoya*²⁰.

Kołysana w jego ramionach, czując w sobie jego penisa, dochodzę tak mocno, że ogarniają mnie emocje. Zaczynam szlochać.

– Wiem – szepcze Mal. – Och, kurwa, kochanie, ja, kurwa, wiem. – Kiedy odrzuca głowę do tyłu, krzyczy, patrząc na sufit i dochodzi ze mną.

Wtedy zdaję sobie sprawę, że wszelkie wcześniejsze myśli, by się przed nim chronić, są bezużyteczne.

Niezależnie od tego, jak szalone lub złe może to być, jestem już w to za bardzo zaangażowana.

Teraz mogę jedynie trzymać się i jechać tym rollercoasterem do końca, gdziekolwiek nas to zaprowadzi.

ROZDZIAŁ 40

RILEY

Mal i ja leżymy spleceni ze sobą w ciemnościach przez długi czas. W końcu mężczyzna przerywa ciszę.

– Wszystko w porządku? – pyta ponuro, jakby martwił się, że zrobił coś złego.

– Nie skrzywdziłeś mnie, jeśli o to ci chodzi.

– A twoje gardło...?

– Mogłeś ścisnąć dwa razy mocniej i nie poczułabym bólu – zapewniam.

Wzdycha z ulgą.

– Zabawa z podduszaniem może być niebezpieczna. Powinniśmy byli najpierw o tym porozmawiać. Ustalić jakieś hasło bezpieczeństwa.

Dobry Boże, usłyszenie, jak mówi „zabawa z podduszaniem” i „hasło bezpieczeństwa” sprawia, że moja wyobraźnia szaleje. Przychodzi mi na myśl wiele fantazyjnych scenariuszy, według których ludzie mogą się bawić, w parach, trójkątach lub większych grupach.

Wyobrażam go sobie pośród wijącego się stosu nagich ciał w seksklubie, boskiego i lśniącego, kiedy pieprzy każdą przypadkową dziurkę w zasięgu wzroku. Czuję, jakbym miała zaraz zemdleć.

– Oto hasło bezpieczeństwa: „Nie jestem zainteresowana słuchaniem o twoich przeszłych doświadczeniach seksualnych. Myśl o tym, że robiłeś to, co właśnie zrobiliśmy, z inną kobietą, sprawia, że mam ochotę wbić ci topór w klatkę piersiową, a następnie ją podpalić” – oznajmiam.

Moment później Mal mówi:

– To zbyt długie. Trudne do zapamiętania w ferworze chwili. – Słyszę śmiech w jego tonie.

Drań.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Tak, wiem – mruczy, obejmując mnie. – Jesteś zazdrosna.

– Pfff.

– Zaprzeczaj temu, ile chcesz, ale nie wspomniałem nic o mojej przeszłości. Po prostu zasugerowałem, że musimy rozmawiać o tym, co robimy razem, a ty nagle zaczęłaś mi grozić śmiercią.

Zakłopotana, bo ma rację, chowam twarz w zagłębieniu jego szyi. Kiedy delikatnie całuje mnie w szyję, szepczę:

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Doskonale wiem, jak się czujesz.

– Naprawdę?

– Może wspomnisz znowu o swoim blond ochroniarzu i zobaczysz, jak to przyjmę?

To zmniejsza moje wzburzenie do możliwego do opanowania stopnia. Wtulam się w Mała jeszcze bardziej, zamykając oczy.

– Nie, dzięki. Ale możemy porozmawiać o tym, co się stało na kolacji – proponuję.

Składa delikatne pocałunki na mojej szyi i wzdłuż obojczyka.

– Stało się to, że napyskowałaś królowi Bratwy, a on cię za to polubił.

– Jesteś pewien, że nie zmieni zdania?

– Jestem pewien. Ten człowiek dotąd nie spotkał nikogo, kto ośmieliłby się chociaż podnieść na niego głos. Przez całe dwadzieścia lat to się nie wydarzyło. Twoja gniewna przemowa bardzo go rozbawiła – kwituje Mał.

– Nie mogę zrozumieć, dlaczego był na ciebie tak wściekły.

Przerywa całowanie mnie, aby powiedzieć w zamyśleniu:

– Ja też nie.

– A może chodzi o to, że nie wolno ci porywać ludzi?

Wybuch śmiechem, co biorę za przeczącą odpowiedź.

– O czym rozmawialiście po rosyjsku?

– Głównie o interesach – mówi.

– Powiedział ci, jak się o mnie dowiedział?

– Nie. Zapytałem, czy zdradził mu to człowiek, do którego wysłał mnie w Nowym Jorku, żeby pomógł mi znaleźć Declana, ale

odpowiedział, że nie. Stwierdził, że to jakiś trup, jego stary przyjaciel, który znał wszystkich i wszystko.

– Trup? Martwy człowiek? Czy spędza dużo czasu na tablicy Ouija, rozmawiając z duchami?

– Ja też tego nie rozumiałem, ale Pakhan poinformował, że chce mnie mu przedstawić. – Jego głos staje się niższy. – Teraz, kiedy poznał ciebie.

– Mnie? A co ja mam z tym wspólnego?

– Nie wiem.

– To wszystko jest bardzo dziwne – mamroczę.

– Tak. Szczególnie ta część, w której kazał mi wziąć urlop.

Podnoszę głowę i patrzę na niego.

– Urlop? Wakacje?

– Miesiąc wolnego – odpowiada, kiwając głową.

– Czy kiedykolwiek wcześniej dał ci wolne?

– Nigdy.

– Nie uważasz, że to dziwne?

– Uważam.

– Więc co zamierzasz z tym zrobić?

Unosi kąciki ust.

– Wziąć miesiąc wolnego.

Przechodzi mnie dreszcz, uczucie niepokoju, jakbym stała na krawędzi niebezpiecznie blisko wysokiego klifu, patrząc w dół. Siłąc się na nonszalancję, pytam:

– Gdzie się wybierzesz?

Jego uśmiech jest pobłażliwy.

– Spójrz na siebie, starasz się udawać niewiniątko. Dobrze wiesz, gdzie się wybiorę. – Składa najdelikatniejszy z pocałunków na moich ustach. – I z kim.

– Do domku – szepczę, odwzajemniając pieszczotę. – Ze mną.

Przewracając się na mnie, zaczyna mnie całować głęboko, aż czuję żar. Całując mnie coraz namiętniej, przykładą rękę do mojego gardła i lekko zaciska palce.

– Tak, z tobą – mówi ochryłym tonem. – Mój mały, pyskaty niewolniku.

Owijam ramiona wokół jego pleców, drżąc z rozkoszy w reakcji na uczucie dużego, silnego ciała Mała tuż przy swoim.

– Twoja mała, zniszczona rzecz, niczym brudna chusteczka trzymana zbyt długo w kieszeni.

– Moja uparta wojowniczką.

– Twój bezdomny myszo-jeleń z różkami przypominającymi kły.

– Mój świat. – Te słowa Mał wymrukuje, wpatrując się głęboko w moje oczy z wyrazem uwielbienia.

Przełykam ślinę, a moje serce bije szybciej.

– Czy mogę teraz coś powiedzieć?

– Nie.

– To superkomplement, poważnie. Spodoba ci się.

– Już wiem, kochanie. Widzę to w twoich oczach.

– Och. Okej. Więc to uczucie jest odwzajemnione? – pytam z nadzieją.

– Kurwa mać, kobieto. Zamknij się.

Ponownie łączy nasze wargi, dając mi bardzo dobry powód, bym wreszcie zamilkła.

Rano wracamy do domku w lesie.

Jadąc z lotniska wyboistą, polną drogą, zbieram się na odwagę i pytam Mała o Spidera. Mam nadzieję, że skoro nie jesteśmy w łóżku, nie będzie się tak wściekał.

Mylę się.

Gdy wymieniam jego imię, natychmiast sztywnieje.

– On żyje.

– Czy to się nie zmieni?

– Zmieni, jeśli ciągle będziesz mnie o niego pytać.

– Pytam tylko dlatego, że od jakiegoś czasu nic mi nie powiedziałeś. Ostatnim, co słyszałam na jego temat, było to, że go odurzyłeś i kazałeś mu opuścić kraj, ale on tego nie zrobił – przypominam.

Milczy przez dłuższą chwilę. Nie jestem pewna, czy mi odpowie, jednak ostatecznie zaczyna mówić. Jego szczęki są zaciśnięte. Mał

wygląda przez przednią szybę, skupiając się na prowadzeniu samochodu.

- Nadal jest w Moskwie. Węszy jak pies.
- I co planujesz z nim zrobić? – dociekam.
- Nic.

Przyglądam się jego profilowi, lecz nie mogę się zorientować, o czym Mal myśli. To tak, jakby patrzeć na mur z cegieł.

Na ceglany mur, który w danym momencie pragnie coś rozwalić.

– Przepraszam, że ta rozmowa cię wkurza, ale muszę wiedzieć, że nic mu się nie stanie.

Z powolną, precyzyjną dykcją odpowiada:

- Dlaczego to jest dla ciebie takie ważne?
- Mal, spójrz na mnie.

Zamiast tego jeszcze mocniej zaciska szczęki.

- No dalej. Tylko na chwilę – proszę spokojnym tonem.

Bierze przesadnie długi wdech, wypuszcza powietrze, a następnie zerka w moim kierunku.

Wtedy nasze oczy się spotykają.

– Nie żywię do niego żadnych uczuć. Nigdy tego nie robiłam. Przysięgam. Ale lubiłam go i był dla mnie naprawdę miły. Nie chcę, żeby stało mu się coś złego. Dobrze? – wyjaśniam, nie przerywając kontaktu wzrokowego.

Mal odwzajemnia spojrzenie jeszcze przez moment, po czym patrzy z powrotem przez przednią szybę.

Chwilę jedziemy w milczeniu. Pozwalam mu to przemyśleć, nie dręcząc go, i w końcu zostaję nagrodzona, kiedy mówi niechętnie:

– Już dałem słowo, że jest nietykalny. Nikt nie może go dotknąć. Jeśli coś złego mu się stanie, to nie będzie nasza sprawa.

Z ulgą przesuwam się na siedzeniu i chowam pod ramieniem Mala. Przytulając się do niego, całuję go w policzek i szepczę:

- Dziękuję, kochanie.
- Nienawidzę tego irlandzkiego skurwiela – odpięra stanowczo.
- Wiem.
- Ty też powinnaś. On cię postrzelił! – przypomina z irytacją.
- To był wypadek. Jestem pewna, że czuje się okropnie z tego powodu.

Warczy w reakcji na moje słowa. Ponownie całuję go w policzek, a on przyciska mnie bliżej do swojego boku.

Postanawiam zostawić swoje pytania dotyczące przyszłości Declana na później.

W głębi serca i tak znam odpowiedzi.

Gdyby Mal zamierzał zabić Declana, już by to zrobił.

Dojeżdżamy do chaty akurat w momencie, kiedy Poe ląduje na drewnianej poręczy na ganku, skrzecząc do nas niecierpliwie w prośbie o smakołyki.

Kolejne tygodnie są jak błogi sen.

Śnieg na łące zaczyna topnieć. Z rozmarznętej ziemi wyrastają kwiaty. Doskonale umiejętności strzeleckie i uczę się strzelać z łuku, jednak wyłącznie do drzew. Rozpoczynam nawet pracę nad książką – projektem, o którym zawsze marzyłam, ale na który nigdy nie miałam czasu.

Kiedy Mal pyta mnie, co to za historia, mówię mu, że jest o dziewczynie, która nie wie, że nie żyje.

– Jak w tym filmie, w którym bohater widział martwych ludzi – kwituje.

Uśmiecham się do niego.

– Nie, to jest historia miłosna.

– Historia miłosna z duchami? – Krzywi się.

– Rób dalej taką minę, a nigdy nie pozwolę ci jej przeczytać.

Wybucham śmiechem, całuje mnie i na tym kończy.

Kładziemy się wcześniej i śpimy do późna, czasami zostajemy w łóżku cały dzień. Kochamy się wszędzie, w całym domku, także pod wszystkimi ścianami. Nigdy nie byłam szczęśliwsza.

Obiecuję sobie, że kiedy Mal będzie musiał wrócić do pracy, zadzwonię do siostry i zajmę się „prawdziwym” życiem. Ale jeszcze nie teraz.

Po raz pierwszy jestem szczęśliwa, kompletna i całkowicie spokojna. Czuję się, jakbym w końcu została odnaleziona w dzicy,

po której do tej pory błędziłam. Chcę mieszkać w domku w lesie już zawsze.

Aż do dnia, w którym Mał jedzie do miasta uzupełnić zapasy i wszystko rozpada się na kawałki.

Powinnam była wiedzieć, że coś tak pięknego jest zbyt idealne, by mogło trwać.

ROZDZIAŁ 41

MAL

Zauważam go od razu po wejściu do spożywczaka, bo nikt stąd tak nie wygląda.

Nikt z żadnego miejsca tak nie wygląda.

Opierając się o ścianę przy toaletach na zapleczu, z rękami założonymi na pokaźnej klatce piersiowej i wykałaczką wetkniętą między zęby niczym gwiazda filmowa, emanuje naturalnym spokojem.

Jest wysoki, umięśniony i ma wytatuowane rękawy na obu ramionach, na które opadają ciemne włosy. Ma kanciastą szczękę superbohatera i dumną postawę jak torreador.

W obcisłej, białej koszulce z krótkim rękawem, wyblakłych dżinsach, kowbojskich butach oraz lustrzanych okularach wygląda jak owoc miłości Jamesa Bonda i Elvisa Presleya, z domieszką pirata Czarnobrodego.

Nienawidzę go od pierwszego wejrzenia.

Wiem też instynktownie, że nie pojawił się tutaj przypadkiem.

Znajduje się tu z mojego powodu.

Najdziwniejszy jest fakt, że on nie próbuje tego ukryć. Chce, żebym go widział. To oczywiste. Sądząc po sposobie, w jaki opiera się o ścianę, arogancki niczym diabeł, pragnie, żeby wszyscy go widzieli.

Zdejmuje okulary przeciwsłoneczne i patrzy na mnie z góry do dołu.

Z satysfakcją obserwuję, jak zaciska usta w niezadowoleniu.

– *Dobroye utro*²¹, Malek – mówi starsza kobieta za ladą po mojej lewej stronie.

– Dzień dobry, Alina – odpowiadam po rosyjsku, odwracając się do niej. Podchodzę swobodnie do lady, upewniając się, że gwiazda filmowa widzi mój zrelaksowany uśmiech. – Jak się dzisiaj czujesz? Jak kolano?

– Doskonale! Nie mogę uwierzyć, jak dobrze. W końcu mam za sobą lata kuśtykania, to już koniec tej dolegliwości. – Pstryka palcami. – Bóg mi sprzyjał, bo zostałam przesunięta na sam początek kolejki do operacji.

To nie Bóg przesunął ją na przód długiej listy oczekujących Ministerstwa Zdrowia, ale nie wspomina o tym.

– Miło mi to słyszeć. Czy masz już gotowe moje zamówienie?

– Vanya właśnie je kompletuje. Jeszcze tylko kilka minut. Usiądź i napij się, czekając.

Gestem wskazuje samoobsługowy bar kawowy po przeciwnej stronie sklepu. Za nim znajduje się ściana szkła z widokiem na ulicę za nią.

– Tak zrobię. Dziękuję.

Nie patrząc na gwiazdę filmową, która wciąż dumnie pręży się pod ścianą w pobliżu toalet, obserwując mnie, podchodzę do baru, wyciągam z koszyczka papierowy kubek i robię sobie dużą kawę.

Nigdy nie używam do tego napoju cukru ani śmietanki, ale dzisiaj postanawiam to zmienić.

Celowo długo zastanawiam się nad wyborem słodzika, przeglądając kolorowe, papierowe opakowania w małym, metalowym pojemniku, jakbym miał nadzieję znaleźć sztabkę złota. Pogwizdując, mieszam słodzik z kawą. Potem w zamyśleniu upijam łyk, kręcę głową, odstawiam naczynie na drewniany blat i dodaję hojną porcję świeżej śmietanki.

Ponownie pociągam łyk. Kiedy wydaję głośne, zadowolone: „Ach!”, obok mnie rozbrzmiewa głos.

– Jezu, Maryjo i Józefie, wybrałaś dla siebie zły zawód. Powinieneś rozważyć aktorstwo, stary. To zasługiwało na cholernego Oscara.

Jego ton jest suchy, natomiast akcent irlandzki. Mam ochotę wbić temu facetowi nóż w pierś.

Wsuwa się na metalowy stołek obok mnie i kładzie okulary przeciwsłoneczne na ladzie. Wtedy zauważam tatuaże na knykcjach

jego lewej dłoni: gwiazdy, kwiaty, inicjały, czaszka ze sztyletem przebijającym ją na wylot. Czarny kwadrat, który wygląda, jakby zakrywał coś jeszcze.

Moje ciało nieruchomieje.

Znam te tatuaże. Widziałem je już wcześniej. W tej konkretnej kolejności na każdym palcu.

Wpatruję się w nie od szesnastu lat.

– Pakhan pozdrawia – mówi cicho po rosyjsku.

Ten Irlandczyk mówi po rosyjsku. Zna Pakhana. Nosi na skórze ten sam tusz. Wiedział, gdzie mnie znaleźć i o której dokładnie godzinie będę w tym sklepie.

Powoli odstawiam kawę, poświęcając chwilę, by się skupić.

Kiedy odwracam się i patrzę na niego, obserwuje mnie z czujnym wyrazem twarzy, być może pełnym szacunku, ale bez śladu strachu.

– Kim jesteś?

– Przyjacielem. Albo wrogiem. Wszystko zależy od ciebie – odpiera nonszalancko.

Przypominam sobie coś, co Pakhan powiedział mi podczas kolacji, i odnoszę wrażenie, jakby nad moją głową zapaliła się żarówka.

– Martwy człowiek, który wie wszystko.

Krzywi się lekko, następnie znów przechodzi na angielski.

– Ach, tak mnie teraz nazywają? Brzmi, jakbym pochodził z jakiegoś filmu klasy B.

Po chwili, w której tylko na niego patrzę, wskazuje stołek obok mnie.

– Usiądź, koleżko. Nie lubię wyciągać szyi. Jesteś cholernym wieżowcem.

Zajmuję wskazane miejsce i gapię się na niego. Szczęrzy się, jak gdyby udzielał wywiadu w telewizji. W jego policzku jest dołeczek, w który chciałbym wbić widelec.

– Więc? Od czego mam zacząć? – pyta, zupełnie rozluźniony.

– Twoje imię.

– Killian.

– Nazwisko?

– Podam ci nazwisko, jeśli zdecydujemy, że nie będziemy się zabijać – odpowiada.

– Gdybym chciał, żebyś był martwy, już byś nie żył – zapewniam.
Uśmiecha się.

– To mój tekst. Już cię lubię.

– O co chodzi?

– W dużym skrócie: o przyszłość narodów – odpowiada z kamienną twarzą, jakbym mógł mieć jakiegokolwiek pieprzone pojęcie, co to znaczy.

– Mhm. Brzmi poważnie.

– Nie ma potrzeby używać sarkazmu – zaznacza.

– Czy jesteś jedną z tych irytujących osób, które nigdy nie potrafią przejść do rzeczy?

– A teraz mnie obrażasz. – Kręci głową. – Kiedy Pakhan stwierdził, że brakuje ci uroku, nie żartował.

Walcząc z chęcią wzięcia jego czaszki w ręce i zmiążdżenia jej, mówię powoli:

– Przejdź. Do. Pierdolonego. Sedna.

Jego ton jest pozbawiony emocji, gdy odpiera:

– Skoro tak ładnie prosisz. – Podnosi mój kubek z kawą, po czym upija łyk. – Hmm. Całkiem dobra.

Już mam mu rozwalić pięścią nos, kiedy oznajmia:

– Pakhan ma raka. Trzustki. Zostało mu kilka miesięcy, maksymalnie.

Ta informacja mnie zaskakuje i zmusza do analizowania. Myślę nad nią przez moment, trawiąc ją w milczeniu.

Killian obserwuje mnie oczami czujnymi jak u jastrzębia.

– Dlaczego mi tego nie powiedział?

– Powie. To znaczy, jeśli będziesz jeszcze żył do czasu, gdy nastąpi ta konwersacja.

– Zagroź mi jeszcze raz, a zobaczysz, co się stanie – odpowiadam. Swobodnie wzrusza ramionami.

– To nie jest groźba. To fakt. Jeśli nasze spotkanie nie pójdzie zgodnie z planem, będziesz martwy.

Parskam śmiechem.

– Możesz uchodzić za najgłupszą osobę, jaką kiedykolwiek spotkałem – stwierdzam, kręcąc głową.

– Nie spodziewałbym się, że będziesz się bał, ale mówię ci prawdę. Jestem bardzo dobry w tym, co robię.

– Nie tak dobry jak ja – kwituję.

Uśmiecha się do mnie tak, jak ludzie uśmiechają się do dziecka.

– W porządku. Przechodząc dalej: czy nadal planujesz spróbować zabić Declana O'Donnella?

– Spróbować? – powtarzam przez zaciśnięte zęby.

– To nie była obelga. Muszę tylko wiedzieć, gdzie jest twoja głowa.

– Masz dokładnie dziesięć sekund, zanim stracę cierpliwość i wyślę cię na spotkanie ze Stwórcą – warczę.

To może być moja wyobraźnia, lecz wydaje mi się, że ten sukinsyn chce przewrócić oczami.

– Pakhan polecił cię jako swojego następcę.

Prawie spadam ze stołka.

– O, patrzcie – mówi Killian, rozbawiony. – Godzilla jest zaskoczony.

– Następcę? – Udaje mi się wydusić.

– Tak, ale w tym tkwi szkopuł, Malek. Pakhan nie robi tego, co myślisz, że robi. Ta praca, którą ma? Wielki szef Bratwy? To tylko na pokaz. To, czym naprawdę się zajmuje, jest o wiele ważniejsze. Przestań mrużyć oczy. To nie pomoże ci niczego lepiej zrozumieć.

Po chwili mówię:

– Jeśli to pieprzony żart, zupełnie mnie nie bawi.

Killian znów uśmiecha się protekcjonalnie.

– Wydaje się, że brakuje ci poczucia humoru, ale nie, to nie jest żart.

Patrzemy na siebie. Podczas gdy ja decyduję, co powiedzieć, on wypija więcej mojej kawy.

– Więc to ty poinformowałeś Pakhana o Riley – bardziej stwierdzam, niż pytam.

Jego głos się ociepla.

– Ach, tak. Riley. Chciałbym się z nią spotkać. Myślę, że ona i moja żona naprawdę by się dogadały. Mają ze sobą wiele wspólnego. Juliet jest córką człowieka, który kilka razy próbował mnie zabić. Jednego z moich najgorszych wrogów. Może o nim słyszałeś: Antonio Moretti.

Kojarzysz? Był kiedyś szefem Cosa Nostry w Nowym Jorku, ale już nie żyje. – Zaczyna się śmiać. – Znaczy, jest martwy jak ja.

Im dłużej trwa ta rozmowa, tym bardziej prawdopodobne staje się, że pęknie mi mózg.

– Pakhan był bardzo zaniepokojony, że źle cię ocenił, kiedy usłyszał, że porwałeś Riley. Nie uważał cię za gwałciciela. Stwierdził, że coś mu tu nie pasuje. Nie trzeba dodawać, że z ulgą odkrył, że ta mała nie tylko nie ucierpiała, ale wręcz cię polubiła.

– Nie ucierpiała? – pytam, zdumiony. – Polubiła?

Macha lekceważąco ręką.

Widziałem, jak Riley wykonywała ten sam gest, gdy myślała, że jestem wrzodem na tyłku.

– Uratowałeś jej życie. W końcu przecież została szwagierką mordercy twojego brata. Człowieka, którego przysięgałeś zabić dla zemsty. To wszystko jest bardzo szekspirowskie, nie sądzisz? Jak ja i Juliet. – Wzdycha, po czym uśmiecha się ponownie, a to gest, który zdecydowanie wykonuje za często. – Czy nie jesteś fanem dobrych tragedii romantycznych?

Patrząc na niego, mówię:

– Kocham dobre morderstwo.

– Ach. Nie jesteś zabawny.

– Skąd mam wiedzieć, że to wszystko jest prawdą? – pytam wprost.

– Zadzwoń do Pakhana. On ci to wyjaśni. – Puszczą do mnie oczko.

– Dlaczego chciałby mnie jako swojego następcę? Zabiłem jego kuzyna – przypominam.

– Ten dzieciak był dupkiem. Wszyscy tak myśleli. A ty byłeś niesamowicie lojalny i skuteczny. Poza tym masz w sobie tę dobroczynną stronę. Pakhan uważa, że nadajesz się do tej roboty.

– Dobroczynną stronę?

– Broniłes swojego młodszego brata, który był prześladowany. Próbowales ratować prostytutki hojnymi datkami pieniężnymi. Kolano Aliny – wymienia. – To tylko kilka z licznych przykładów.

– Skąd, do kurwy nędzy, wiesz o tych rzeczach?

Uśmiecha się z zadowoleniem.

– Nie bez powodu nazywają mnie człowiekiem, który wie wszystko.

Z wyjątkiem Declana O'Donnella nigdy nie znałem nikogo, kogo chciałem zabić bardziej.

– Dlaczego Pakhan nie powiedział mi tego wszystkiego osobiście?

– Musiałem cię przeświecić.

– Przeświecić mnie?

– Przestań powtarzać wszystko, co mówię.

– Gdybyś mówił z sensem, nie musiałbym tego robić – odburkuję z irytacją.

Killian wypuszcza powietrze, następnie bierze zirytowany wdech.

– Słuchaj. Jestem przywódcą wielonarodowej organizacji. Tajnej grupy trzynastu mężczyzn, którzy specjalizują się w szpiegostwie, geopolityce, walce partyzanckiej i zaawansowanym szpiegostwie, żeby udaremnić globalny terroryzm. To my jesteśmy prawdziwą siłą za tronami. Nie rób do mnie takiej miny, ty cholerny wielki gnojku.

– Po prostu snujesz naprawdę fascynującą opowieść. Proszę, kontynuuj.

Mamrocze coś po gaelicku.

– Jak już mówiłem – podejmuje – wszyscy pracujemy pod przykrywką w jakimś charakterze, maskując się jako królowie mafii, skorumpowani politycy, szemrani potentaci biznesowi, jak kto woli.

– Ohoho. I po co ta cała maskarada?

– By ratować świat.

Niewiarygodne. Wypowiada to tak lekko, nie zdając sobie sprawy, jak śmiesznie to brzmi. Jego pycha jest porażająca.

Postanawiam dać się na chwilę ponieść jego szaleństwu.

– Jak się nazywacie? Avengers?

– Trzynastka.

Prycham.

– Brzmi jak nazwa boysbandu.

– Pierdol się – kwituje.

– Niech zgadnę: to ty wymyśliłeś tę oszałamiającą nazwę?

Patrzy na mnie groźnie, a ja stwierdzam, że dobrze się bawię.

– I przypuszczam, że jesteś ich liderem, zgadza się? – dodaję.

– Wiesz, bardziej lubiłem cię, kiedy robiłeś show godne występu na Broadwayu z nalewania sobie tej cholerniej kawy.

– Kto jest Numerem Dwa? Bo to jest w ogóle niezręczne. Czy wszyscy chichoczą podczas spotkań, kiedy wywołuje się jego imię?

Mogę powiedzieć, że gość debatuje nad tym, czy powinien wstać i mnie zabić, a ja nie jestem w stanie powstrzymać uśmiechu.

Z drugiej strony sklepu Alina wywołuje moje imię.

– Twoje zamówienie jest gotowe!

– To moja wskazówka, Numerze Jeden. Zdajesz sobie sprawę, że pokazałeś się z naprawdę beznadziejnej strony? Jesteś ich głównym pajacem, kukiełką.

– Mówią tak tylko w USA – podkreśla.

– Nie, wszyscy to wiedzą.

– Nie, nieprawda.

– Tak, prawda.

Przez moment zgrzyta zębami, po czym podnosi się z miejsca. Z powrotem nasuwa okulary przeciwsłoneczne na nos i opiera ręce o biodra.

– Oczywiście nie interesujemy się tobą dla twojej osobowości, bo jest gówniana. Masz umiejętności, które możemy wykorzystać: broń, technikę, języki, przebrania, strategiczne myślenie. Długo mi zajęło znalezienie ciebie, co nigdy się nie zdarza, więc jesteś ekspertem w zacieraniu śladów. Potrafisz pilotować samolot. Umiesz obsługiwać drony. Jesteś biegły we wchodzeniu do zamkniętych pomieszczeń i wychodzeniu z nich.

– Możesz po prostu powiedzieć, że jestem zajebisty we wchodzeniu i wychodzeniu. Nie musisz być w tym tak dokładny.

Powoli, kontrolowanie wypuszcza powietrze. Doprowadzam go do szału.

Krzywię się, jakbym właśnie miał zjeść gówno.

Killian uznaje, że skończył się czas na uprzejmości, i ostrzega:

– Jeśli odmówisz przyłączenia się do nas, zginiesz.

Unoszę brwi.

– Niespecjalnie zachęcający slogan rekrutacyjny, zgodzisz się?

– To nie jest groźba bez pokrycia – oznajmia stanowczym tonem.

– Tak, widzę, że jesteś bardzo poważny. Twój dołeczek mruga do mnie.

– Jesteś aroganckim kutasem – mówi kwaśno po przerwie.

– Powiedziałbym, że trzeba kogoś dobrze poznać, by go oceniać, ale jestem przerażony, że wtedy stracisz panowanie nad sobą i mnie zamordujesz.

Kiedy zaciskam usta, żeby się nie uśmiechnąć, kręci głową z obrzydzeniem.

– Skontaktuję się z tobą ponownie za kilka dni. W międzyczasie porozmawiaj z Pakhanem – rzuca z niechęcią.

– Miło było cię poznać, Numerze Jeden. Baw się dobrze w azylu.

Mrucząc po gaelicku, idzie w kierunku wyjścia.

– Pozdrów ode mnie Numer Dwa! – wołam jeszcze.

Drzwi zatrząskują się za nim i już go nie ma.

Ładuję zakupy do ciężarówki, a potem wracam do domku. Po drodze dzwonię do Pakhana. Rozmawiamy przez całą godzinę, jaką zajmuje mi powrót do domu.

Gdy docieram na miejsce, Pakhan potwierdza wszystko, co powiedział mi Killian.

Umiera na raka.

Chce, żebym był jego następcą.

On i zarozumiały Irlandczyk z kompleksem Jezusa od lat pracują razem pod przykrywką, aby zinfiltrować i wyeliminować największe szczyry w gnieździe, wraz z innymi członkami Trzynastki, którzy zdecydowanie nie są boysbandem.

Wreszcie, co nie mniej ważne, moje opcje są ograniczone: mogę zaakceptować rolę, którą mi zaproponowano, albo spędzić resztę życia, unikając kul od tej irytującej, pieprzonej kreatury, zwanej Killianem, i jego ekipy dwunastu morderczych, świetnie wyszkolonych i dobrze usytuowanych finansowo dobroczyńców.

Wniosek jest taki, że niezależnie od tego, co się stanie dalej, nie mogę dłużej trzymać mojego ptaszka w klatce.

Będę albo martwym człowiekiem, albo królem Bratwy z tysiącem nowych celów na plecach i większą liczbą sekretów, niż jakikolwiek człowiek powinien mieć.

Istnieje wyłącznie jeden sposób, w jaki mogę ją teraz chronić.

Otworzyć drzwi jej klatki i pozwolić jej odlecieć.

Miłą od chaty zjeżdżam na pobocze i wyskakuję z ciężarówki. Przeklinając wściekle, wyładowuję magazynek broni w najbliższe drzewo. Przeładowuję, po czym opróżniam kolejny. Potem biorę siekiere, którą trzymam w skrzynce z narzędziami w ciężarówce, i rąbię parę innych drzew, aż się pocę oraz dyszę, a moje ręce są poranione.

Nic z tego nie pomaga. Nie ma nic, co pomogłoby mi pozbyć się tego bólu z organizmu.

Zdawałem sobie sprawę, że ten dzień nadejdzie, w ten czy inny sposób. Nadal nie jestem na niego przygotowany. Ale faktem jest, że dziewczyna taka jak Riley nie pasuje do mężczyzny takiego jak ja. Do człowieka, który wie, że na końcu bajki smok nigdy nie zyskuje księżniczki.

Każdy wie, że na końcu bajki smok nigdy nie zyskuje księżniczki.

Smok nie jest kimś, kto biegnie na ratunek.

Od tego są biali rycerze.

Rzucam siekiere na ziemię, następnie wypuszczam ciężko powietrze. Odchylam głowę do tyłu, zamykam oczy i stoję bez ruchu, jedynie oddychając, aż mam pewność, że mój głos będzie brzmiał zwyczajnie.

Wtedy wyciągam z kieszeni komórkę i wybieram numer hotelu Lenin w Moskwie. Kiedy zgłasza się kobieta z recepcji, mówię jej, żeby połączyła mnie z pokojem numer 427.

Później czekam, ze złamanym sercem oraz niesamowitym bólem brzucha, aż Spider odbierze telefon.

ROZDZIAŁ 42

RILEY

Mogę powiedzieć, że coś jest nie tak, kiedy Mal wchodzi przez drzwi.

Niesie papierowe torby z zakupami i widzę, jak bardzo jest spięty. Jego energia jest dziwna. On nawet na mnie nie spogląda.

Siedząc przy kuchennym stole ze swoim żółtym notatnikiem, patrzę, jak upuszcza torby na ladę, po czym odwraca się, by znowu wyjść.

– Mal?

Zatrzymuje się w pół kroku, jednak nie zwraca w moją stronę.

– Zapytam cię, co jest nie tak, a ty powiesz mi prawdę. Jesteś gotowy? – dodaję.

Nie odpowiada.

– Co jest nie tak?

Obserwuję, jak jego ramiona podnoszą się podczas wdechu. Kiedy się odzywa, jego głos jest niski i szorstki.

– Rozmawiałem z Pakhanem.

Żołądek mi się kurczy. Jeśli rozmawiał z Pakhanem, to musi oznaczać, że czas wracać do pracy. Jego wakacje się skończyły.

Nasza idealna mała bańka pękła.

Wstaję, podchodzę bliżej i zaciskam ręce na przodzie jego koszulki. Patrzę mu w oczy.

– Wszystko w porządku?

Zamyka oczy i oddycha nierówno.

– Twoje martwienie się o mnie sprawia, że to wszystko wydaje się o wiele gorsze – mówi żałośnie.

– Nic nie mogę na to poradzić. Lubię cię – wyznaję szczerze.

Unosi powieki i posyła mi udręczone spojrzenie.

– Okej, wow. Twój wyraz twarzy mnie przeraża.

Obejmuje moją twarz dłońmi, a potem łączy nasze usta. Pocałunek jest boleśnie czuły i przeraża mnie.

Moje serce zaczyna walić.

– Czy chodzi o to, że musisz wrócić do miasta? – pytam.

Kiedy przytakuje, odczuwam niewielką ulgę. Sposób, w jaki się zachowywał, sprawił, że odniosłam wrażenie, że chodzi o coś znacznie gorszego.

– Cóż, jeśli to cię uspokoi, mogę zostać tutaj, podczas gdy ty będziesz musiał iść do pracy. Jeżeli chcesz.

Mał po prostu wpatruje się we mnie w milczeniu. Wygląda na to, że czeka na więcej wyjaśnień.

– Chodzi mi o to, że teraz jestem zupełnie zdrowa. Wiem, jak strzelać z każdego rodzaju broni, na wypadek gdyby inny niedźwiedź zdecydował się na wizytę. I, jeśli mam być całkowicie szczerą, myśl o pozostaniu w tamtym opustoszałym mieszkaniu, kiedy ty będziesz w pracy, nie do końca mnie satysfakcjonuje. Wolę być tutaj. Nie chcę przebywać z dala od ciebie, ale mam też nadzieję, że już nigdy nie zobaczę Maszy, Złotej Bogini ani nie będę musiała zjadać przygotowanych wcześniej mrożonych posiłków. – Uśmiecham się do niego. – A ty zawsze wyjeżdżasz tylko na dzień lub dwa, więc myślę, że będziesz w stanie wytrzymać beze mnie tyle czasu.

– Tym razem będę musiał zostać dłużej – wyjaśnia zachrypniętym głosem.

– Takie poświęcenie. Pakhan musi być niezmiernie dumny – przekomarzam się.

Gdy przełyka ślinę, jego jabłko Adama podskakuje.

Wspinam się na palce, owijam ręce wokół jego szyi i całuję go.

– Wiem – szepczę tuż przy jego wargach. – Ja też nie chciałam, żeby to się skończyło. Ale może Pakhan da ci wkrótce kolejne wakacje. Skoro tak bardzo mnie lubi i w ogóle.

Z niewyraźnym jękiem bierze moje usta w desperackim pocałunku, obejmuje mnie w talii i pożera. Kiedy wychodzimy na powietrze, śmieję się.

– Powinnam częściej wysyłać cię do sklepu spożywczego! – rzucam, rozbawiona.

Mał znowu wpatruje się we mnie tym udręczonym wzrokiem, a następnie puszcza mnie gwałtownie i wychodzi.

Obserwując jego oddalającą się postać, zastanawiam się, czy powinnam pójść za nim, lecz decyduję się dać mu trochę przestrzeni. Wypakowuję zakupy, po czym wracam do pisania.

Tej nocy pieprzy mnie z taką intensywnością, aż mnie to przeraża.

Gdy później leżymy w ciemności, w ciszy, spoceni i spleceni kończynami, jego serce wali pod moim policzkiem. Chcę coś powiedzieć, ale nie wiem co, więc milczę i pozwalam, by Mał trzymał mnie w swoich silnych ramionach.

O świcie podnosi się z łóżka, a potem stoi nagi przy oknie, wpatrując się w malowniczy obszar. Jego ręce zaciskają się i rozluźniają, jakby musiał w coś uderzyć.

– Kochanie? Wracaj do łóżka.

Nie odwracając się, mruczy:

– Pozwól, że zadam ci pytanie, *malyutka*. Gdybyś miała wybór między utrzymaniem czegoś cennego dla ciebie w bezpieczeństwie, ale bezpieczeństwo oznaczałoby opuszczenie tego na zawsze, a utrzymaniem tego w ciągłym niebezpieczeństwie, ale posiadaniem tego blisko siebie, co byś wybrała?

– Hipotetycznie?

– Tak.

– Na przykład gdybyś to był ty?

Opiera dłoń o ścianę, pochyla głowę, po czym przytakuje. Jego postawa mnie przeraża. Wiem, że to nie jest proste, hipotetyczne pytanie. On rozważa wybór i ma to związek ze mną.

– Trzymałabym to w ciągłym niebezpieczeństwie – mówię stanowczo.

Jego śmiech jest niski, bezlitosny.

– Nie, nie zrobiłabyś tego. Nie jesteś taką egoistką – dodaje, kręcąc głową.

– Tak, jestem. Naprawdę.

Odwraca się, by na mnie spojrzeć. W szarym świetle budzącego się dnia jest tak samo piękny jak zawsze. Jego oczy płoną.

– Nigdy wcześniej mnie nie okłamałaś.

– Nigdy nie czułam, że to konieczne – odpieram. – Co się dzieje?

Nie odpowiada. Unikając mojego spojrzenia, idzie do garderoby, a po chwili wyłania się w pełni ubrany. Kiedy znika w kuchni, wyskakuję z łóżka, również się ubieram, po czym podążam za nim, starając się nie panikować.

Znajduję go stojącego przy zlewie, w który wpatruje się bez ruchu.

– Mal. Malek.

Wciąż milczy. To mnie królewsko wkurza.

– Będę tu stała, powtarzając twoje imię, dopóki nie powiesz mi, co się, do cholery, dzieje – zaznaczam.

– Muszę znów wrócić do miasta. Wczoraj zostawiłem coś w sklepie spożywczym – mówi, a w jego głosie wyczuwam nerwową nutę.

– Jadę z tobą.

Odwraca głowę i zerka na mnie. Jego wyraz twarzy jest trudny do zinterpretowania.

– Jadę – nalegam. – Jeśli myślisz, że zostawiasz mnie tutaj po rzuceniu tej bomby o tym, że pozwalasz, by coś cennego dla ciebie odeszło na zawsze, to jesteś nienormalny.

Moja panika zostaje odrobinę złagodzona, kiedy Mal się uśmiecha. Odpowiada łagodnie:

– W porządku, *malyutka*. Pojedziesz ze mną. – Wyciąga rękę.

Podchodzę bliżej i przytulam się do niego, owijając ramiona wokół jego pleców, po czym przyciskam twarz do jego piersi.

– Kiedy wrócimy, obiecujesz, że ze mną porozmawiasz? – Moje słowa są stłumione przez koszulę Mała.

Nabiera głęboko powietrza. Kiedy je wypuszcza, szepcze:

– Obiecuję.

Nie rozumiem, dlaczego brzmi to tak, jakby coś go bardzo dręczyło.

Jazda do miasta upływa w ciszy tak głośnej, aż ogłuszającej. Siedzę tuż obok Mala, trzymając go za dłoń, i od czasu do czasu rzucam zmartwione spojrzenie na jego profil.

Jest twardy niczym granit. Nieosiągalny. Wycofuje się gdzieś w głąb swoich myśli, gdzie najwyraźniej nie chce, żebym podążała.

Wiem, że ta oziębłość ma związek z jego rozmową z Pakhanem. Może Mal wpadł w kłopoty. A może został wyznaczony do czegoś wyjątkowo niebezpiecznego. Szczegóły nie mają dla mnie znaczenia, tak samo jak to, dlaczego woli ze mną o tym nie rozmawiać.

Jego milczenie jest najbardziej przerażające. Zamknął się w swojej głowie, bawi się ze swoimi potworami i nie chce mnie wpuścić.

Przyjeżdżamy do sklepu spożywczego, gdy otwierają drzwi. Mal parkuje ciężarówkę, wyłącza silnik i mówi:

– Zaraz wracam. Zostań tutaj.

– Do diabła, no akurat zostanę – mamroczę, otwierając drzwi po stronie pasażera.

Wyskakuję z samochodu, zatrzaszukuję za sobą drzwi, a potem czekam na Mala z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Wzdrygam się.

Przez chwilę wpatruje się we mnie przez przednią szybę, po czym kręci głową i wysiada.

Bierze mnie za rękę, następnie prowadzi do budynku.

Sklep spożywczy jest mały i uroczy. Panuje w nim rodzinna atmosfera. Po jednej stronie, naprzeciwko kasy, znajduje się lada kawowa, a z przodu duża wystawa warzyw w okrągłych koszykach. Poza nami i starszą panią, która odwraca szyld w oknie, nikogo tutaj nie ma.

Mal wita kobietę kilkoma słowami po rosyjsku. Ona kiwa głową, uśmiecha się i odchodzi w kierunku zaplecza.

– Muszę skorzystać z toalety. Trzymaj się z dala od kłopotów – oznajmia Mal.

Całuje mnie w skroń, przez moment wdycha zapach mojej skóry, ściska mnie, a później gwałtownie się odsuwa i oddala ku tylnej części sklepu.

Patrząc, jak wchodzi do męskiej toalety i zamyka drzwi, po czym odwracam się w stronę warzyw.

Po chwili nieprzyjemne uczucie sprawia, że włoski jeżą mi się na karku. Marszcząc brwi, spoglądam w górę, później rozglądam się dookoła, a na końcu biorę gwałtowny wdech.

Ubrany od stóp do głów w czarny sprzęt bojowy, łącznie z butami i kamizelką kuloodporną, Spider stoi bez ruchu obok kasy, wpatrując się we mnie.

Wygląda okropnie. Chudy, spięty oraz patrzący dziko jak ćpun. Poszarpana, różowa blizna ciągnie się dwa cale w dół jego skroni.

Z błyskiem przerażenia tak zimnym, że aż mnie zamraża, uświadamiam sobie, co Mal zrobił.

Wciągam powietrze.

– Nie.

Spider rusza się w tym samym momencie co ja. Nim zdążyłabym wyjść przez drzwi, on już mnie dopada.

– Mal! – krzyczę, szarpiąc się w ramionach Spidera. – Mal! Nie! Nie! Nie rób tego!

Spider coś do mnie mówi, szybko i spokojnie, gdy wyciąga mnie za drzwi, ale nie mogę skupić się na słowach, bo jestem zbyt zajęta krzyżeniem oraz próbą wyrwania się.

To mija się z celem. Chudszy czy nie, Spider wciąż jest o wiele silniejszy niż ja. Jego ramiona są jak żelazne pręty. Choć kopię i wykręcam się, on wpycha mnie do czarnej furgonetki, która stoi przy krawężniku, z otwartymi bocznymi przesuwными drzwiami, które zaraz potem zatrzaskuje.

Opadam na nie, dysząc i rzucając się, jednak nie chcą się otworzyć. Są zamknięte.

Na dłoniach i kolanach, po gołej, metalowej podłodze furgonetki, podążam do pary wahadłowych drzwi z tyłu. One też są zamknięte.

Spider odpala silnik. Samochód rusza, a moje ciało leci na tylną szybę.

Mal wychodzi ze sklepu.

Stoi bez ruchu, wpatrując się we mnie udręczonym wzrokiem, kiedy ja w kółko krzyczę jego imię i uderzam pięściami w szyby.

Krzyczę jeszcze długo po tym, jak on znika z mojego pola widzenia.

ROZDZIAŁ 43

DECLAN

Po uspokojeniu oddechu kończę rozmowę telefoniczną ze Spiderem i odwracam się, by spojrzeć na Sloane.

Moja narzeczona stoi nieruchomo jak posąg, przyglądając się uważnie mojej twarzy. Od chwili, gdy wczoraj dostaliśmy telefon, że Spider zlokalizował Riley i jedzie po nią, nie jadła, nie spała, nie odezwała się ani słowem. Jedyne, co robiła, to wykręcała ręce i bezcelowo krążyła po domu.

– Ma ją – mówię cicho.

Pada na kolana na dywan, chowa twarz w dłoniach, po czym zalewa się łzami.

Klękam obok niej i trzymam ją, kołysząc w ciszy w ramionach.

Kiedy najgorsze mija, a ona przestaje łkać, mruczę:

– Właśnie lecą samolotem. Będą tu za jakieś dziewięć godzin.

– Jak ona się czuje? Czy on coś powiedział? Czy jest ranna? – zasypuje mnie pytaniami.

– Podobno nie wyglądała na ranną. – Waham się, nie chcąc dolewać oliwy do ognia. – Ale Spider wspomniał, że była rozhisteryzowana.

Sloane podnosi głowę i wpatruje się we mnie zapłakanymi, czerwonymi oczami.

– No cóż, nic dziwnego! Po tym, co musiała przejść, histeryzuje z ulgi, biedne dziecko! Ona odchodzi od zmysłów z pragnienia, by wrócić do domu.

Spider ujął to w nieco inny sposób, jednak wstrzymam się z tym wyznaniem. Muszę osobiście spotkać się z Riley, żeby zobaczyć, w jakim jest stanie.

– Dlaczego nie spróbujesz się przespać?

– Będę spała, kiedy ona tu będzie – odpiera, zirytowana. – Gdybym się teraz położyła, tylko gapiłabym się w sufit. – Jęczy, a potem znów zakrywa twarz rękami. – O Boże. Ona mnie nienawidzi. Jestem tego pewna. To moja wina, że to wszystko się wydarzyło.

– Skupmy się na pozytywach, kochanie. Mamy ją. Riley wraca do domu. Chodź, zabierzemy cię na kanapę. Zrobię ci drinka.

Pomagam jej wstać, zaprowadzam ją do kanapy i całuję w czoło. Następnie idę do kuchni, aby nalać nam solidną porcję whiskey.

Podejrzewam, że będziemy jej potrzebować.

Dziesięć godzin później okazuje się, że miałem rację, kiedy Riley wpada przez drzwi przed Spiderem, emanując energią Katniss Everdeen z *Igrzysk śmierci* i samurajskiej zabójczyni z *Kill Billa*.

Gdyby obie były naćpane metamfetaminą i mieszkały na drzewie w lesie.

– Odeślijcie mnie tam! – krzyczy na powitanie. – Odeślijcie mnie z powrotem w tej pieprzonej chwili!

Staje na środku salonu z rozstawionymi szerzej nogami oraz rękami zaciśniętymi w pięści. Ciężko oddycha, warczy.

Sloane zastyga w szoku obok mnie. Jej usta są rozchylone, a oczy rozszerzone. Nie może uwierzyć w to, co widzi.

Doskonale ją rozumiem, bo jej mała siostrzyczka najwyraźniej nie jest już jej małą siostrzyczką.

Przemieniła się w jakąś punkową wersję Rambo.

Jej rozjaśnione włosy ukazują trzy centymetry ciemniejszych odrostów. Jest wyższa dzięki butom w wojskowym stylu, które nosi. Ma na sobie praktyczne spodnie, jak te noszone przez myśliwych – z mnóstwem kieszeni na rzepy na sprzęt – a obcisły, czarny T-shirt eksponuje zaskakująco dobrze rozwinięte mięśnie bicepsów.

I te oczy.

Chryste.

Wcześniej zawsze były ukryte za grubymi szklami, ale teraz okulary zniknęły, co sprawia, że jej oczy błyskają złoto-brązową furją w całym pokoju.

Sloane odzywa się nieśmiało:

– Riley?

Wściekłe spojrzenie przeszywa moją narzeczoną na wskroś. Jej siostra patrzy na nią z góry do dołu, po czym mówi kurtuazyjnie:

– Cześć, Hollywood. Powiedz swojemu facetowi, żeby w ciągu godziny wsadził mój tyłek w samolot powrotny do Rosji, albo spalę ten dom.

Do pomieszczenia powoli wchodzi Spider. Przerażona Sloane spogląda na niego w poszukiwaniu pomocy.

Ten kręci głową.

– Jest taka, odkąd ją odebrałem.

– Uprowadził mnie – poprawia Riley.

– Uratował cię – stwierdza Sloane.

– Naprawdę? A zapytał mnie, czy chcę wrócić? Bo jeśli tak, na pewno tego nie usłyszałam. Byłam zbyt zajęta kopaniem i krzyczeniem.

– Oczywiście, że chciałaś wrócić! Byłaś w Rosji!

– Tak. I wiesz co? Właśnie tam teraz mieszkam! – grzmi.

Sloane przykłada rękę do gardła i milczy przez moment, żeby wziąć się w garść.

– Okej, uspokójmy się na chwilę. Declan, podasz nam wszystkim drinka?

– Nie mogę już pić alkoholu – mówi Riley.

– Dlaczego nie?

– Bo brakuje mi nerki – odpiera.

To nie było skierowane do Spidera, lecz ten i tak sztywnieje.

– Wiesz, że to Malek powiedział mi, gdzie cię znaleźć, prawda? To on do mnie zadzwonił. Osobiście – rzuca.

Spojrzenie, jakie posyła mu Riley, mogłoby stopić stal.

– Oczywiście, że wiem, że to był on. Nikt inny nie jest tak bezinteresowny.

Twarz Spidera robi się czerwona, a on robi krok do przodu, jeżąc się.

– Bezinteresowny? Morderca, który włamał się do twojej sypialni i uciekł z tobą w środku nocy, jest bezinteresowny?

Riley patrzy na niego przez dłuższy moment, a później mówi spokojnie:

– Jesteś dobrym człowiekiem. I wiem, że przyleciałeś do Rosji, żeby mi pomóc, za co ci dziękuję. Ale zarówno ty, jak i twój szef zabijaliście ludzi, więc nie rzucaj słowem morderca, jakbyś sam był na jakiejś wyżynie moralności. Malek Antonov jest najlepszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Spider wygląda, jak gdyby właśnie otrzymał kopniaka w jelita.

Riley odwraca się z powrotem do mnie i posyła mi mordercze spojrzenie. Tak intensywne, że prawie się cofam.

– I ty.

– Ja? Co ja zrobiłem?

Potrząsa głową, jakby była mną głęboko rozczarowana.

– Praca, którą wykonujesz. To, co robisz, by zarabiać na życie. Pan Wielki Szef Mafii. Wybrałeś to życie, prawda?

Czuję, że to podchwytliwe pytanie, więc zakładam ręce na piersi i patrzę na nią z góry.

Nie wygląda na przestraszoną.

– Tak myślałam. – Kręci głową, uśmiechając się złośliwie. – Nikt cię do tego nie zmusił. Nikt nie przystawił pistoletu do głowy członka twojej rodziny, prawda? Nikt nie powiedział: „Zostań moim osobistym zabójcą albo wszyscy, których kochasz, zginą”. A właśnie to przydarzyło się Malowi. Wszystko, co kiedykolwiek zrobił, było po to, by kogoś ocalić. I to samo zrobił dla mnie.

– Nie patrz na niego przez różowe okulary, panienko. Pojechał na Bahamy, żeby mnie zabić, pamiętasz? Komu to służyło, jeśli nie jemu samemu? – odpieram.

Jej oczy błyszczą, a głos staje się niższy.

– Zabiłeś jego brata. Jego ostatniego żyjącego krewnego. Osobę, którą kochał i chronił przez całe swoje życie. Więc tak, przyjechał, by się zemścić, ale nie zrobił tego. Czy domyślasz się dlaczego? – Spogląda na mnie z wyższością, a kiedy nikt nic nie mówi, podnosi głos. – Powód stoi tuż przed wami. Prosiłam go, żeby was nie zabijał, ciebie i Spidera, obu, a on tego nie zrobił, bo nie chciał mnie, kurwa, zawieść. Tak że nie ma za co, nie musicie dziękować za uratowanie

wam życia. A teraz wsadźcie mnie w samolot i wyślijcie z powrotem do Rosji!

Po długiej chwili ciszy Sloane odwraca się i patrzy na mnie.

– Jak fajnie – stwierdza drętwo. – Syndrom sztokholmski jest chyba przekazywany w genach w tej rodzinie.

ROZDZIAŁ 44

RILEY

Zabawnie jest być zakochanym. Nie możesz tego zobaczyć z bliska. To zbyt masywne uczucie.

Dopiero kiedy znajdujesz się w samolocie, który leci pięć tysięcy mil dalej, wyłania się wielki obraz i zdajesz sobie sprawę, że osoba, którą zostawiasz, jest kimś, bez kogo nie możesz żyć. Zdajesz sobie z tego sprawę, ponieważ – mila po mili – twoje serce czuje się tak, jakby zostawało miażdżone, twój żołądek coraz bardziej się skręca, a wszystkie komórki w twoim ciele krzyczą imię tego człowieka na szczycie swoich małych komórkowych płuc.

Ból rozstania jest przytłaczający.

Czujesz się tak, jakbyś miał umrzeć.

Chcesz umrzeć, gdy dowiadujesz się, że nigdy więcej go nie zobaczysz. I ogarnia cię gniew. O Boże! Złość, że to on wymusił rozłąkę. On ze swoimi głupimi zasadami i nadmiernie rozwiniętym zamiłowaniem do poświęceń.

Gdyby tylko wiedział, że tym rozstaniem mnie zabije, a nie uratuje, może zastanowiłby się dwa razy.

Kiedy znowu go zobaczę, od razu skopię mu ten wielki tyłek.

Nieśmiałe pukanie do drzwi wyrywa mnie z zamyślenia.

Jestem w jednej z sypialni w tym nowym miejscu Sloane oraz Declana, po której ciągle krążę. Podejrzewam, że moje kroki pozostawią wyżłobienia w drewnianej podłodze.

W moim mózgu już jest wyżłobiony rowek, w którym powtarzam wszystko, co Mal powiedział mi przed wyjazdem do miasta.

Wiedział, że będę nalegać, aby jechać z nim. Wiedział też, że będę nalegać, by nie zostawać w ciężarówce przed sklepem. Mógł dokładnie przewidzieć, co zrobię. Jestem wkurzona na siebie za to, że byłam tak cholernie przewidywalna.

A jeszcze bardziej jestem wkurzona na niego, że nie zdradził mi, co wydarzyło się między nim a Pakhanem.

Co było tak strasznego, że musiał mnie odesłać?

– Wejdz.

Sloane otwiera drzwi, po czym zamyka je za sobą, kiedy jest już w środku. Opiera się o nie, wpatrując we mnie, gdy kontynuuję marsz tam i z powrotem, a w końcu docieram do łóżka.

– Hej, Maluchu.

– Hollywood.

– Wyglądasz... inaczej.

– To tylko szkła kontaktowe. – Znów zaczynam chodzić po pokoju.

– To wszystko – odpiera.

– Naprawdę? Od tego zaczynamy? Od mojego wyglądu?

Wyrzuca ręce w powietrze.

– A od czego mam zacząć?

Zatrzymuję się, następnie patrzę na nią. Ciemne kręgi gnieźdzą się w zagłębieniach pod jej oczami. Włosy są oklapnięte i potargane. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby siostra wyglądała na mniej niż idealnie zadbaną. Nawet kiedy miała piętnaście lat i nosiła czarnego irokeza, był on artystycznie zaczesany.

Fakt, że najwyraźniej martwiła się o mnie, roztopia trochę lodu z czubka góry lodowej, w którą zamieniły się moja uczucia do niej.

Łagodniejszym tonem mówię:

– Nic mi nie jest. Mal bardzo dobrze się mną zaopiekował. I dziękuję, że wysłałaś Spidera, by mnie uratował, mimo że nie potrzebowałam ratunku.

Milczy chwilę, jakby układając odpowiedź.

– Fakt. Nie wyglądasz na kogoś, kto by go potrzebował – mamrocze wreszcie.

Wpatrujemy się w siebie przez pokój, aż Sloane ponownie się odzywa:

– Brakuje ci nerki?

Kiwam głową.

– I śledziony.

– Jezu – szepcze.

– Tak, postrzał to naprawdę rewelacyjna sprawa.

Pociera dłonią twarz, wzdychając.

– Spider jest z tego powodu wrakiem.

– Nie musi się źle czuć. Poza głupią blizną i sporadycznymi koszmarami nic mi nie jest.

– Blizną po operacji?

Podciągam koszulę, a później rozpinam pasek spodni. Oczy Sloane rozszerzają się. Jej twarz blednie. Kładzie rękę na ustach i wpatruje się w mój brzuch, jakby próbowała nie wymiotować.

Pamiętając, jak Mal to opisał, mruczę:

– Dobrze się zagoiła. Ta blizna nie będzie zła.

– O mój Boże, Riley.

Opuszczam koszulkę, po czym macham ręką.

– Wygląda gorzej, niż było. – To kłamstwo, ale ona nie sprawia wrażenia osoby, która byłaby w stanie znieść prawdę, więc postanawiam jej tego oszczędzić.

Czując się jak zwierzę w klatce, ponownie zaczynam spacerować po sypialni.

– Więc... ten człowiek... Malek – odzywa się Sloane.

– Nie wymawiaj jego imienia, jakby paliło cię w usta.

– Przepraszam. Po prostu wszystko, co słyszałam przez ostatnie trzy miesiące, o tym, jak wielkim potworem jest i jakim...

– Czekał. Trzy miesiące? To nie trwało tak długo.

– Tak, trwało.

Myślę przez moment, usiłując poskładać harmonogram.

– Jaki mamy miesiąc? – pytam.

– Czerwiec. Jest osiemnasty czerwca – odpowiada spokojnie Sloane.

– Jasna cholera.

– Tak.

– I Spider był w Moskwie przez cały ten czas?

Milczy przez chwilę, następnie bierze oddech i potakuje.

– Wbrew woli Declana, tak.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że Declan zabronił mu tam lecieć. A Spider i tak to zrobił – wyjaśnia.

Jeśli Spider postąpił wbrew rozkazom szefa, to może oznaczać wyłącznie jedno: Mal miał rację, mówiąc, że ochroniarz coś do mnie czuje.

To jest dla mnie gigantyczny szok.

Przestaję chodzić w tę i z powrotem. Zamiast tego siadam na krawędzi łóżka i chowam twarz w dłoniach. Sloane podchodzi bliżej, zajmuje miejsce obok mnie, a później delikatnie przyciska dłoń do moich pleców. Trwamy tak przez moment, aż w końcu coś do mnie dociera.

– Co miałaś na myśli, mówiąc o syndromie sztokholmskim?

Odchrząkuje. Potem śmieje się lekko, z zakłopotaniem.

– Declan mnie porwał. W ten sposób się w sobie zakochaliśmy – wyznaje, nieco się rumieniąc.

Wpatruję się w nią, zszokowana.

– Nie ma mowy.

– Przysięgam na Boga – odpiera.

– Poważnie?

– Tak.

– Znowu puściłabym wiązkę przekleństw, ale byłoby to bezcelowe.

– Wiem. To jest niesamowicie dziwaczne. – Krzywi się nieznacznie, marszcząc nos.

Po chwili poświęconej na ułożenie sobie tego wszystkiego w głowie chichoczę.

– Spójrz na pozytywy: wreszcie mamy coś, co nas łączy.

Kiedy jej oczy wypełniają się łzami, jestem przerażona.

– Przysięgam, że nie powiedziałam tego, żeby być złośliwa – oznajmiam.

– Wiem. – Prycha, patrząc w dół. – Ale masz rację. I przez ostatnie kilka miesięcy karałam się za wszystko, w czym zawiodłam cię jako starsza siostra.

Panie, oto królowa dramatu.

Wzdycham ciężko.

– Stara. Zawiodłaś mnie jedynie wtedy, kiedy ukradłaś mi chłopaka – przypominam.

Podnosi głowę i wpatruje się we mnie.

– Co? Nie zrobiłam nic takiego!
– Tak, zrobiłaś.
– Nie, nie zrobiłam!
– Nie wiem, jaką historię stworzyłaś w swojej głowie, siostrzyczko, ale na pewno to zrobiłaś – szydę.

Oburzona, zeskakuje z łóżka. Wciąż na mnie spogląda.

– Kto to był? Kiedy?

– Naprawdę? Naprawdę chcesz się teraz w to zagłębiać?

– Tak! Właśnie teraz, kurwa! Zaczynaj mówić! – krzyczy.

Okej, *oto* Sloane, którą znam. Władcza, impulsywna, pewna siebie Sloane, która kiedyś poważnie rozważała wytatuowanie sobie słów *Pussy Power*²² nad cipką.

W pewnym sensie ulżyło mi. Ta druga, płaczliwa Sloane mnie przeraża.

– Chris. Moje dwudzieste pierwsze urodziny. – Puszczam do niej oczko.

Marszcząc brwi, myśli przez chwilę.

– Twoje przyjęcie z okazji dwudziestych pierwszych urodzin odbyło się w tym klubie w San Francisco. Chris był tym wysokim facetem, z którym się umawiałaś. Miał to dziwne leniwe oko.

– Widzę, że w końcu sobie wszystko przypominasz – mówię kwaśno.

– Nigdy nie umawiałam się z tym facetem – kwituje.

Tracę panowanie nad sobą i warczę na nią.

– Do kurwy nędzy, Sloane, powiedziałaś mi, że się z nim spotykasz!

Krzyżuje ręce na piersi i patrzy na mnie z góry.

– Bujda. Musiałaś być wtedy naćpana.

– Yyy, nie. Rozmawiałam z tobą przez telefon po tym, jak usłyszałam od mojej kumpeli, że wydawało jej się, że widziała was razem. Przyznałaś się do tego – oznajmiam, kręcąc głową z rezygnacją.

– To niedorzeczne! Nigdy nie umówiłabym się z gościem, który ma leniwe oko!

– Kobieto, naprawdę zastanawiam się nad twoimi priorytetami.

Ignorując tę wypowiedź, pyta:

– Czy masz pojęcie, z iloma facetami o imieniu Chris się umawiałam?

– Zgaduję, że trzeba liczyć w tysiącach – mamroczę.

– Właśnie! Jezu Chryste, Riley, nigdy bym ci tego nie zrobiła! Nigdy! – powtarza dla potwierdzenia swoich słów.

Patrzemy na siebie, aż jej twarz się wykrzywia.

– Nie wierzysz mi – stwierdza wreszcie.

– Nie waż się zacząć płakać, ty pieprzony mięczaku. To ja powinnam się tutaj rozpłakać, nie ty – rzucam.

Przygryza wargę i dużo mruga. Mam ochotę podejść do niej i ją uderzyć. Rozprasza mnie pukanie.

– Mogę wejść?

To Declan. Moje serce zaczyna bić niebezpiecznie szybko. Zrywam się na równe nogi, po czym gwałtownie otwieram drzwi, a gdy to robię, zauważam, że mężczyzna ma wymalowany ból na twarzy, jakby cierpiał na zaparcia.

– Czy zorganizowałeś już dla mnie lot? Kiedy startuję?

Zerka na Sloane. Kiedy wraca do mnie spojrzeniem, mówi:

– Muszę ci coś powiedzieć, panienko. Powinnaś usiąść i tego wysłuchać.

Macham na niego lekceważąco ręką.

– Lepiej myślę na stojąco. Po prostu powiedz mi, co się dzieje.

Znów posyła spojrzenie Sloane. To mnie denerwuje.

– Co?

– Jesteście tak bardzo podobne do siebie.

Cholera, tylko nie znowu ta zdarta płyta.

– Tak, ciągle to słyszę. Co się dzieje?

– Mogę wejść?

Odsuwam się i wpuszczam go do pokoju. Podchodzi prosto do Sloane, przytula ją i całuje, a potem przesuwa kciukiem po jej policzku, wpatrując się w nią czule. Wygląda na to, że zaraz zacznie sypać poezją.

Wyrzucam ręce w powietrze.

– Możesz w końcu zacząć?

Odwraca się do mnie ze Sloane, która jest w niego wtulona.

– Chcesz najpierw dobre czy złe wieści?

Patrzę na siostrę.

– Czy on nie wie, że jego życie jest w niebezpieczeństwie?

Sloane owija ramiona wokół jego talii i wpatruje się w niego.

– Powinieneś chyba od razu przejść do rzeczy, kochanie. Bardziej mi się podobasz bez śladów po ukłuciach na całym ciele.

Declan wzrusza ramionami.

– W porządku, skoro nalegasz. Malek jest nowym szefem rosyjskiej Bratwy.

To wyznanie pozbawia mnie tchu.

Więc to jest to. Powód, dla którego Mal postanowił się mnie pozbyć z Rosji.

Przypominam sobie jego hipotetyczne pytanie dotyczące trzymania czegoś cennego blisko, choć byłoby to niebezpieczne, i żałuję, że nie walnęłam go patelnią w głowę, żeby zmusić go do rozmowy.

To błąd, którego nigdy więcej nie popełnię.

Otrząsam się z fali emocji, przez którą mogłabym zaraz zemdleć, i odpieram:

– Co się stało z Pakhanem?

Declan unosi brew.

– Co wiesz o Pakhanie?

– Że dokonuje wątpliwych wyborów modowych, w tym nosi prawdziwe futra i nadmiar pierścionków. Co się z nim stało?

Declan unosi drugą brew, więc teraz gapi się na mnie w otwartym zdumieniu.

– Spotkałaś go?

– Tak. Zjedliśmy razem kolację. Jest naprawdę słodki. Co się z nim stało?

– Ma raka. Postanowił uczynić Maleka swoim protegowanym.

Rak. O nie. Był dla mnie taki miły.

Wspominając naszą kolację, mówię nieobecnie:

– Masz na myśli następcę.

– Słucham? – pyta Declan, przechylając głowę.

– Protegowany jest w trakcie szkolenia. Następcą przejmuje to, co ktoś zostawił.

– Ona ma jakieś dziwne przywiązanie do słów. Po prostu kontynuuj – wtrąca Sloane.

– Tak, to mam na myśli – potwierdza Declan.

Biorę się w garść, po czym pytam:

– Jakie są dobre wieści?

W jego oku pojawia się tajemniczy błysk, jakby miał jakiś sekret.

– Skąd wiesz, że to nie była dobra wiadomość?

Przenoszę wzrok na Sloane.

– Poważnie, kochanie – zwraca się do Declana. – Spójrz na tę twarz. I zacznij szanować swoje życie.

– Dzięki, siostra – rzucam.

Uśmiecha się do mnie.

– Nie ma za co – mówi szczerze.

– W porządku... Powiedzmy, że Malek i ja mamy teraz wspólnego przyjaciela.

Marszczę czoło.

– Masz na myśli faceta, którego Mal odwiedził w Nowym Jorku, żeby zdobyć informacje, jak cię znaleźć?

Declan stara się być spokojny.

– Jakiego faceta? – odpiera powoli.

– Jakiegoś faceta o imieniu Kazimir. Słyszałam, że Mal wypowiedział to imię podczas kolacji z Pakhanem, i zapytałam go o to później.

Declan sztywnieje. W jego oczach pojawia się mord.

– Kazimir powiedział Malekowi, jak mnie znaleźć? Żeby ten mógł mnie zabić? – cedzi.

Sloane gwizdże.

– Och, będzie miał tyle kłopotów.

– O czym nie wiem? – pytam.

Zerka na mnie z grymasem na twarzy.

– To narzeczony Nat.

– O! O cholera! Co, do kurwy nędzy?

– Kage-Kazimir jest szefem Bratwy tutaj, w USA.

Czuję, jak moje oczy powiększają się niczym w kreskówce.

– I Nat jest z nim zaręczona?

– To długa historia. Wyjaśnię ci później. Myślę, że w tej chwili nasza trójka musi odbyć telekonferencję.

– Nie będę rozmawiał przez telefon z tym cholernym dupkiem! – ryczy Declan.

Sloane poklepuje go po piersi.

– Miałam na myśli nas, trzy dziewczyny, kochanie.

Declan parska z wściekłości.

– Nie będziesz rozmawiać z Natalie! Zabraniam!

Sloane całuje go w policzek.

– To słodkie. – Wyciąga do mnie rękę. – Chodź. Im szybciej uda nam się to załatwić, tym szybciej jego ciśnienie krwi będzie mogło wrócić do normy.

Zostawiamy w pokoju Declana, który krzyczy po gaelicku coś, co nie brzmi, jakby miało cokolwiek wspólnego z jego ciśnieniem krwi.

ROZDZIAŁ 45

RILEY

Ostatecznie spędzam dwie godziny na rozmowie telefonicznej z Nat i Sloane.

– Dobra, wytłumacz mi to wszystko jak dziecku – zaczynam, zwracając się do tej pierwszej.

A ona dzieli się ze mną historią, która wyciska mi z oczu łzy.

Były narzeczony Nat, David, który zaginął w dniu ich ślubu lata temu i którego wszyscy uważali za zmarłego, był w rzeczywistości księgowym Bratwy o imieniu Damon. Zdefraudował pieniądze, wydał swoich szefów i trafił do programu ochrony świadków. Z nową tożsamością przeniósł się do Lake Tahoe, gdzie poznał Nat.

Przypominam tylko, że on zaginął, natomiast ona była w żałobie.

I wtedy do domu obok wprowadził się gorący nieznajomy Kage, a uśpione hormony Nat ożyły jak zombie poszukujące mózgow.

Mózgi to eufemizm dla wyjątkowo gorącego kutasa, którego z pewnością ma Kage.

Ale Kage, będąc ostrożnym, ukrywał przed Nat fakt, że tak naprawdę jest zabójcą wysłanym do zlokalizowania Damona i wszystkich pieniędzy, które ten ukradł Bratwie. Ukrywał także to, że następnie ma ją zabić.

To zrozumiałe, że nie wspomniał jej o tym, prawda?

Dla większości dziewczyn byłby to czynnik, który jest idealnym powodem do zakończenia znajomości.

Niemniej Nat, również pozostając ostrożna, domyśliła się, kim naprawdę są Kage i jej były – bo dodajmy, że gdzieś tam pojawił się jeszcze inny zabójca, który miał ją zabić, skoro Kage tego nie zrobił. Wyruszyła więc do Panamy, aby odnaleźć Damona, który w rzeczywistości nigdy nie umarł, tylko czekał, aż Nat znajdzie go dzięki tajnej wiadomości, którą zostawił na obrazie. Uciekł z miasta

w dniu ich ślubu, ponieważ FBI powiedziało mu, że Bratwa odkryła, gdzie się ukrywa.

Tyle że kiedy Nat go znajduje, okazuje się, że facet zdążył się już ożenić z inną kobietą.

Która też nie zna jego prawdziwego nazwiska ani nie wie, że był w mafii.

W każdym razie Kage i Nat pomijają wszystkie drażliwe sprawy pod tytułem „Zostałem Wysłany, Aby Cię Zabić” i przenoszą się razem do Nowego Jorku. Oczywiście Sloane musi odwiedzić swoją przyjaciółkę Nat na Manhattanie, bo liczba milionerów przypadających na jednego mieszkańca jest tam większa niż gdziekolwiek indziej w Stanach Zjednoczonych.

Kiedy pytam siostrę, skąd to wie, odpowiada, że sama to sprawdzała.

Szok.

Kage wysyła więc prywatny odrzutowiec dla Sloane – *och, błagam, ci gangsterzy oraz ich prywatne odrzutowce* – i Sloane udaje się do Nowego Jorku. Jednak gdy tylko wysiada z samochodu pod budynkiem Nat i Kage’a, Declan wkracza z irlandzką kawalerią, by ją porwać na polecenie ówczesnego szefa Diego. Ten chciał zdobyć informacje o Kage’u i strzelaninie, która miała miejsce w jakiejś meksykańskiej restauracji w Tahoe, gdzie zginęli Irlandczycy, a także Rosjanie, natomiast Sloane była tego przyczyną.

Potem Diego umiera – podobno, ale nie tak naprawdę – z kolei Declan zostaje nowym szefem mafii.

Wiem. Ja też ledwo nadążam za tym wszystkim.

Ale śledziłam część, w której Declan dostał o wiele więcej, niż się spodziewał po porwanej, bo w ciągu kilku dni cała jego ekipa jadła jej z wypielęgnowanej ręki, a jego samego Sloane owinęła sobie wokół palca.

Był jeszcze wątek poboczny o jakimś Stavrosie i innym odrzutowcu, lecz wtedy już odpłynęłam.

Najważniejsze jest to, że Sloane zakochała się w Declanie, zmieniła jako człowiek – bardzo starałam się nie parsknąć, gdy to powiedziała – i chciała naprawić relację z młodszą siostrą, z którą

nigdy nie była blisko, częściowo dlatego, że ta młodsza siostra *niesłusznie* myślała, że tamta kiedyś ukradła jej chłopaka.

Pod koniec tego całego wywodu jestem wyczerpana.

Po tym, jak kończymy rozmowę z Nat – która, jak słychać, ma zamiar zrobić coś brutalnego swojemu mężczyźnie za to, że przekazał Malowi informacje o Declanie – kładę się na podłodze.

– Więc podsumowując to wszystko: każda z nas trzech jest zakochana w innym potężnym gangsterze – mówię, patrząc w sufit.

– I wszyscy są wrogami. Tak – oznajmia Sloane.

– Dlaczego Mal i Kage mieliby być wrogami?

– Może „wrogowie” to nie jest właściwe słowo, ale ci faceci nie lubią dzielić się swoimi zabawkami – wyznaje.

– Czyli nie nienawidzą siebie nawzajem tak bardzo, jak nienawidzą Declana – stwierdzam.

Siostra kładzie się obok na podłodze i bierze mnie za rękę.

– Właśnie. Chociaż nie rozumiem, o co chodziło Declanowi, kiedy mówił, że on i Malek mają teraz wspólnego przyjaciela. Będę musiała go o to później zapytać.

Cokolwiek to znaczy, wiem, że ona to z niego wyciągnie. Ta kobieta urodziła się, by niszczyć niezależność mężczyzn.

– Wracając do tematu: jakim cudem Spider od początku wiedział, że jestem w Moskwie?

– Kage powiedział Declanowi w zamian za znacznik.

– Czy to jakiś gangsterski slang, który powinnam znać?

– To przysługa. Duża. Można zażądać odebrania jej w każdej chwili, a Declan nie może odmówić.

– Rajuśku.

– Właśnie. – Wzdycha ze smutkiem Sloane.

Źle się czuję z powodu tego wyrzutu złości, który skierowałam w stronę Declana, gdy tu dotarłam, jednak po chwili znowu coś mi nie pasuje.

– Czekaj, więc Kage i Declan są wrogami, ale pracują razem?

– Czasami. Innym razem próbują się nawzajem zabić.

To wyznanie sprawia, że się uśmiecham.

– Przypomina mi to naszą relację.

– Ha.

- Co z Diego? – dopytuję. – Czy nadal jest w szpitalu?
- Zamieszkał z siostrą w Nowym Jorku. Nadal nie pamięta nic z tego, co się stało. Pracuje w knajpie jako kucharz – informuje Sloane.
- Biedny facet.
- Nie jestem pewna, czy wyszło mu to na złe. Myślę, że może być mu lepiej.
- Dlaczego tak mówisz?
- Prawdopodobnie nie ma zbyt wielu ludzi próbujących zabić kucharzy.
- Słuszna uwaga. A Kieran? Martwiłam się o niego.
- Ten facet to po prostu czołg. Dostał trzy strzały w tors i przeżył!
- oznajmia głośno. – Declan dał mu urlop na jakiś czas, ale już wrócił do pracy. – Odwraca głowę i uśmiecha się do mnie. – Jest prawie tak twardy jak ty.
- Tak, my, myszo-jelenie z różkami przypominającymi kły, jesteśmy supertwarde. – Kiedy robi zdezorientowaną minę, dodaję: – Zapomnij o tym. Żart środowiskowy.
- Wzdycham, odczuwając smutek. Nagle jestem całkowicie przygnębiona i tęsknię za Malem tak boleśnie, że ledwo mogę złapać oddech.
- Pozwolił mi odejść. Pozwolił mi odejść – szepczę.
- To brzmi, jakby próbował cię chronić.
- Wiem, że tak było, ale co za dupek!
- Nie uważasz, że jest dupkiem – oponuje Sloane.
- Uważam, naprawdę! – bronię się.
- Wykrzywia usta i patrzy na mnie z ukosa.
- Pamiętasz tę scenę w *Zmierzchu*, kiedy Edward zostawił Bellę, żeby ją chronić, mimo że go to zabijało, a ty stwierdziłaś, że to najbardziej romantyczna rzecz, o jakiej kiedykolwiek słyszałaś?
- Nie! – krzyczę.
- Zamknij się. Z pewnością to pamiętasz – odpiera, kręcąc głową.
- Nienawidziłam tego filmu!
- Tak, ale kochałaś serię książek. I kochałaś Edwarda, Pana Zamyślonego Telepatycznego Wampira, który poświęciłby wszystko

dla swojej głupiej jak but ludzkiej dziewczyny, łącznie z własnym życiem.

Myślę o skłonnościach Mala do poświęcania siebie oraz jego zamiłowaniu do ostrego seksu i muszę przyznać, że Sloane może mieć rację.

– Więc twierdzisz, że to ja jestem głupią jak but ludzką dziewczyną w tym scenariuszu.

– Nie. Twierdzą, że tak naprawdę nie uważasz, że Mal jest dupkiem. Uważasz, że jest klawy.

– Kto tak mówi? Ile masz lat, osiemdziesiąt?

– Wiesz, co jest zabawne? Nikt nigdy nie wspomina, że Edward miał sto lat, a Bella tylko siedemnaście. Może warto przypomnieć o tym zboczeniu.

Krzywię się w reakcji na obraz mojego drogiego Edwarda Cullena jako pedofila.

– Dzięki za zrujnowanie mi mojej ulubionej serii książek.

– Ha! Wiedziałam, że kochasz *Zmierzch!*

– Nieważne – mamroczę. – I nie zostawił Belli aż do *Księżycy w nowiu*.

Leżymy tak w ciszy przez długi czas. W końcu siadam i przecieram twarz dłońmi.

– Boże, ta sytuacja jest popieprzona.

Sloane podpira się na łokciach i spogląda na mnie w zamyśleniu.

– Być może patrzymy na to w niewłaściwy sposób.

– Co masz na myśli? – dopytuję z zainteresowaniem.

– Cóż, tak między nami: ty, Nat i ja mamy trzech najpotężniejszych mężczyzn w Stanach Zjednoczonych i Rosji całkowicie zakochanych w naszych cipkach.

– Zawsze nieuleczalna romantyczka – mówię sucho.

– To znaczy, pomyśl, co mogłybyśmy osiągnąć!

Gdy dostrzegam błysk szaleństwa w jej spojrzeniu, wiem, że coś planuje. Na przykład obalenie wszystkich rządów świata i zostanie najwyższym władcą Ziemi.

Już widzę jej tron. Masywną strukturę wykonaną z męskich dusz i serc, które zmiążdżyła.

– Przede wszystkim muszę wrócić do Rosji.

– Może być z tym niewielki problem.

Sloane i ja odwracamy się w reakcji na dźwięk głosu Declana. Ten stoi w drzwiach, z dłonią na klamce, wpatrując się w nas z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Co masz na myśli? – pytam.

– Malek poinformował, że każdy, kto pomoże ci w próbie powrotu do niego, zginie.

– Co?! – krzyczę, zszokowana.

– Najwyraźniej dobrze cię zna.

Skaczę na równe nogi i patrzę na Declana, trzęsąc się ze złości.

– Najwyraźniej mnie nie zna! Bo jeśli nie będzie innego wyjścia, po prostu tam popłynę!

– Może tak będzie najlepiej, panienko – odpiera. – Teraz nie byłabyś z nim bezpieczna. Nie, kiedy zajmuje się tym, czym się zajmuje.

– A może porozmawiajmy o tym, że Sloane również nie jest przy tobie bezpieczna, ale wciąż tu jest? A może masz na myśli fakt, że Nat nie jest bezpieczna z Kage'em, ale nadal są razem?! – gramię.

Spogląda na mnie przez chwilę. Pomiędzy nami wisi milion niewypowiedzianych słów.

– Nie do końca – oznajmia.

Gdy nie kontynuuje, ostrzegam:

– Zaraz pozbawię cię możliwości oddychania, gangsterze.

– Kochanie, po prostu powiedz nam, co się dzieje – mówi Sloane, wstając.

Declan przenosi wzrok z niej na mnie i z powrotem. Chwilę później patrzy w sufit i wzdycha.

– Przestań się modlić i po prostu wyrzuć to z siebie! – rozkazuje mu.

– Jest taka grupa zwana Trzynastką... – zaczyna Declan.

– Grupa? Jak zespół muzyczny? – przerywa Sloane.

– Mówiłem mu, że ta nazwa to gówno – mamrocze Declan.

Wzdycha, po czym mówi głośniejszym głosem: – Nie są zespołem muzycznym.

Dalej opisuje fabułę filmu o Jamesie Bondzie. Źli faceci przebrani za dobrych, dobrzy faceci przebrani za złych, międzynarodowe

szpiegostwo, skorumpowane rządy. Nawet nie wiem, co jeszcze, bo w połowie przestaję słuchać.

– Jesteś w tej grupie? – pyta Sloane.

– Pomagamy sobie od czasu do czasu, ale nie jestem jednym z członków.

– A co z Kazimirem?

Declan wygląda na urażonego.

– Nie!

– Luzuj majtki. Tylko zapytałam. – Prycha moja siostra, a potem kręci głową.

– Okej, zamknijcie się wszyscy. Mam ważne pytanie – mówię.

Sloane i Declan patrzą na mnie.

– Czy z osób, które są w tej głupiej międzynarodowej szpiegowskiej grupie, ktokolwiek ma dziewczynę lub żonę?

– Oczywiście – odpowiada natychmiast Declan.

Uświadamia sobie swój błąd, kiedy piorunuję go wzrokiem. Wtedy podnosi ręce, jakby był zakładnikiem podczas napadu.

– Ja nie ustalam zasad, panienko.

– Wiesz co? To są bzdury. Chcę porozmawiać z Malem.

– Mówisz to tak, jakbyś myślała, że mam jego numer – odpiera.

– Wiem, że ty znasz kogoś, kto zna jego. Ten wasz wspólny znajomy. Więc zadzwoń do tego faceta i zdobądź numer Mala! – rzucam z wściekłością.

Wygląda, jak gdyby żałował całej tej konwersacji.

– Przecież nikt nie wyciągnie mi tego numeru z książki telefonicznej – oponuje.

– Mam numer twojego chłopaka.

Wszyscy się odwracamy. Za Declanem w korytarzu stoi Spider, wpatrując się we mnie spod opuszczonych brwi.

– Chcesz go? – Wykonuje gest palcem, pokazując, abym ruszyła za nim, po czym odchodzi bez słowa.

Kiedy znika z pola widzenia, Sloane pyta z niepokojem:

– Dlaczego mam wrażenie, że będzie trzeba za to zapłacić?

– Szantaż jest popularny nie bez powodu – mamroczę, następnie opuszczam pokój i podążam za Spiderem.

ROZDZIAŁ 46

RILEY

Spider prowadzi mnie korytarzem do kolejnej sypialni i zamyka za nami drzwi. Staje z ręką na klamce, odwrócony do mnie tyłem, po czym oznajmia cicho:

- Spraw, żebym to zrozumiał.
- Tu nie ma nic do zrozumienia.

Odwraca się do mnie przodem. To, co widzę w jego oczach, sprawia, że cofam się o krok.

Patrzymy na siebie w napiętej ciszy.

– Trzy miesiące – mówi szorstko. – Szukałem cię przez prawie trzy pieprzone miesiące.

Mogę już stwierdzić, że to będzie dramatyczna konwersacja, i przygotować się na najgorsze. Zwilżam usta, a potem odpowiadam:

- Wiem.

Spider jest napięty jak struna. Odsuwa się od drzwi i zbliża do mnie. Jego intensywne spojrzenie ani na moment nie opuszcza mojej twarzy.

– Wiesz? Wiesz, przez co przeszedłem? Wiesz, że nie mogłem jeść? Że nie mogłem spać? Wiesz, że nie mogłem nawet zamknąć na dłużej oczu, bo za każdym razem, kiedy to robiłem, widziałem wyraz twojej twarzy po tym, jak cię postrzeliłem?

- To był wypadek – odpieram łagodnie.
- Wypadek, który nigdy by się nie zdarzył, gdyby ten sukinsyn nie był z tobą w pokoju – mówi ostrzejszym tonem.

Na jego szyi pulsuje żyła. Oddech jest nieregularny. Spider wyraźnie się denerwuje, a część mnie chce go przytulić.

Zdaję sobie sprawę, że zrobienie tego byłoby katastrofą.

– A teraz myślisz, że jesteś w nim zakochana – dodaje z goryczą. – W mordercy, który przyszedł zabić Declana. W człowieku, który cię

porwał i wywiózł do innego kraju.

– Spider, proszę...

– W człowieku, który wyrzucił cię jak śmiecia, gdy z tobą skończył. To boli jak uderzenie pięścią w brzuch.

Kiedy widzi moją minę, zamyka oczy i mamrocze:

– Kurwa.

Odwracam się, obejmuję ramionami i staram się uspokoić oddech.

– Przepraszam – mówi.

– Jest w porządku.

– Nie, nie jest. Spójrz na mnie, panienko. Proszę.

Kiedy się nie odwracam, staje przede mną. Patrzy na moją postawę, na moje ręce owinięte wokół ciała, i wzdycha ciężko, przeciągając dłonią po włosach.

– Teraz się mnie boisz. Cholernie zajebicie.

– Nie boję się ciebie. Ale nie mogę zrozumieć, dlaczego mnie nie posłuchałeś, gdy błagałam cię, raz po raz, żebyś nie wsadzał mnie w samolot. Żebyś zabrał mnie z powrotem do sklepu. Nie przebierałam w słowach.

Milczy przez moment, następnie odpowiada ochrypłym głosem:

– Wiesz, dlaczego to zrobiłem. – Kiedy się nie odzywam, dodaje: – Prawda, panienko?

Waham się. Wreszcie przytakuję, przygryzając wargę.

Moje milczenie sprawia, że Spider staje się odważniejszy.

– Dlaczego? Powiedz to.

Płonąc ze wstydu, mówię:

– Proszę, nie utrudniaj mi tego bardziej.

Podchodzi jeszcze bliżej i zniża głos.

– Powiedz to. Powiedz mi, że wiesz, co czuję. Czego chcę. Powiedz to, a dam ci jego numer.

Gdy się nie odzywam, a on robi kolejny krok w moją stronę, moja wytrzymałość się kończy. Zatrzymuję go, kładąc mu dłoń na piersi.

– Wystarczy – oznajmiam, patrząc mu w oczy.

Pod moją ręką jego serce bije jak szalone.

Utrzymując łagodny ton, choć jestem wściekła, wyznaję:

– Jesteś moim przyjacielem i zależy mi na tobie. Nienawidzę świadomości, że żyłeś w piekle, z poczuciem winy...

– Nie wyobrażasz sobie nawet połowy tego, przez co przeszedłem.
– I dobija mnie to, że nie chcesz zaakceptować faktu, że nie winię cię za to wszystko. Że wiem, że nie chciałeś tego zrobić. I dziękuję ci, szczerze dziękuję, że próbowałeś mnie znaleźć, że poświęciłeś tyle czasu na poszukiwania. Nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś.

Spider przygląda mi się uważnie, ani na chwilę nie odwracając wzroku.

– Ale proszę, nie myśl, że możesz mnie zapędzić do kąta i zmusić do powiedzenia czegoś, czego nie chcę powiedzieć, lub zrobienia czegoś, czego nie chcę zrobić, ponieważ spędziłam ostatnie trzy miesiące, stając się osobą, która zna własną siłę – kontynuuję. – Spojrzałam śmierci prosto w twarz i powiedziałam jej, żeby poszła się pieprzyć. Nie będę już niczym popychadłem.

Stoi, wpatrując się we mnie. Jego nozdrza są rozszerzone, a mięsień w szczęce drga.

– Proszę, Spider. Proszę, czy możemy po prostu być przyjaciółmi i zostawić to za sobą?

– Jasne, będziemy przyjaciółmi – mówi beznamiętnie po dłuższej przerwie.

Cofa się o krok, po czym kieruje do drzwi. Obserwuję z przerażeniem, jak odchodzi.

– Rozumiem, że to oznacza, że nie dasz mi numeru Mała?

– Nigdy go, kurwa, nie miałem – rzuca przez ramię.

Wychodzi, otwierając drzwi tak mocno, że uderzają o ścianę.

Następny tydzień jest najdłuższym w moim życiu.

Zostaję z Declanem oraz Sloane w ich nowym mieszkaniu w Bostonie, błądząc apatycznie po korytarzach i wzdychając, aż siostra krzyczy, że doprowadzam ją do szału. W końcu wracam do sypialni, którą mi przydzielili, żeby pomyśleć w samotności.

Declan zgodził się przekazać wiadomość swojemu tajemniczemu przyjacielowi, by ten spróbował dotrzeć dla mnie do Mała, lecz nie obiecywał, że to się uda.

Wiadomość, którą miał przekazać, brzmiała: „Myszo-jelenie nigdy się nie poddają”.

Jednak do tej pory nie otrzymałam informacji zwrotnej.

Spędzam godziny przy komputerze, przeglądając mapy Rosji i wytyczając trasy w każdym kierunku, który mógłby mnie zaprowadzić do miasteczka oddalonego od Moskwy o dwie godziny lotu plus godzinę jazdy.

Są ich setki.

Nawet gdybym jakimś cudem dostała się do Rosji, mogłabym spędzić lata, próbując znaleźć domek w lesie. Ten kraj jest ogromny.

Gdybym tylko zdołała przypomnieć sobie słowo, które wypowiedział Mal, kiedy pierwszy raz obudziłam się w domku. Zapytałam go wtedy, dokąd mnie zabrał, a on powiedział słowo w języku rosyjskim. Myślę, że było ono nazwą jego miasta, ale moja pamięć nie chce go odtworzyć.

Mogłabym zacząć w Moskwie, poszukać wysokiego, szklanego budynku, w którym znajdowało się mieszkanie Mala, ale wątpię, czy bym go rozpoznała. Widziałam go tylko raz, w środku nocy. A poza tym – Moskwa jest ogromna. Nie wiem, jakie budynki znajdują się w pobliżu, co z kolei sprawia, że rozpoznanie terenu nie wchodzi w grę. I nie mogłabym nikogo zapytać, bo nie znam języka.

Natomiast każdy, kto pomógłby mi dotrzeć na miejsce, ryzykowałby życiem. Co noc mam koszmary. Długo nie mogę się z nich obudzić. A może nie chcę się obudzić, bo są tak żywe i występuje w nich Mal.

Zawsze jest taki sam. Jego twarz stopniowo znika za oknem, gdy Spider mnie od niego odciąga. Za każdym razem widzę jego udręczony wyraz twarzy.

Jego piękne, przepełnione emocjami oczy.

Przechodzę przez prawie wszystkie pięć etapów żałoby, ale wciąż nie mogę dotrzeć do ostatniego z nich – akceptacji. Zaczynam od zaprzeczenia, spędzam dużo czasu w gniewie, potem targuję się, w końcu kończę w depresji, gdzie taplam się, aż znowu się wkurzam i zaczynam od początku.

Robię się przez to chora. Dosłownie chora.

Przynajmniej raz dziennie wymiotuję.

Spider znika. Declan wymijająco informuje, że mężczyzna potrzebuje czasu dla siebie, a ja nie pytam o konkrety.

A później nie dzieje się nic.

Mija następny tydzień. I kolejny. Czerwiec staje się lipcem. Sloane pyta, czy chcę wrócić do San Francisco, bo zapłacili czynsz za moje mieszkanie, kiedy mnie nie było, ale mówię, że nie. To nie jest teraz mój dom.

Mój prawdziwy dom to domek w lesie z mężczyzną, który wolałby mnie widzieć w ramionach swojego wroga, niż trzymać przy sobie, jeśli miałyby to oznaczać, że będę bezpieczna.

Boże, jak ja go za to nienawidzę.

Rycerskość to bzdura.

Nagle los postanawia rzucić mi podkreconą piłkę.

I jeżeli myślałam, że wcześniej ze mnie kpił, dopiero teraz poszedł na całość.

– Wyglądasz jak gówno.

– Dzięki za informację – odpieram oschle. – Twoje wsparcie jak zawsze jest niezwykle pomocne.

– Nie, mówię poważnie. – Sloane obserwuje mnie zza kuchennego stołu. – Nie wyglądasz zdrowo, Maluchu. Nawet kolor twojej skóry nie jest zdrowy. Ciągle wymiotujesz. I wydaje mi się, że schudłaś, odkąd tu przyjechałaś.

Widelcem przesuwam pancakesy na stojącym przede mną talerzu. Chorobliwie słodki zapach syropu klonowego sprawia, że mój żołądek się skręca.

– To pewnie guz.

Wykazując się wielką wyrozumiałością, siostra powstrzymuje się przed uderzeniem mnie.

– To nie jest guz.

– W takim razie borelioza. Robaki zawsze uważały, że jestem smaczną przekąską.

– Czy możesz chociaż przez chwilę być poważna? Naprawdę się o ciebie martwię – burczy.

Gdy spoglądam w górę, zauważam, że patrzy na mnie z troską w oczach. Wzdycham.

– Nic mi nie jest, Pinky, przysięgam. To tylko... No wiesz. – Macham ręką, wykonując niezrozumiały gest, który ma na celu pokazanie, w jak beznadziejnej sytuacji się znalazłam. – Cała ta sytuacja. – Kiedy się krzywi, dodaję bez ogródek: – Nie jestem w ciąży, jeśli tak myślisz.

– Skąd wiesz?

– Biorę zastrzyki antykoncepcyjne.

Dopiero gdy mruży oczy, moje serce zaczyna szybciej bić.

Czekaj. Jak dawno robiłam ostatni zastrzyk?

Przełykam kwaśny smak żółci wzbierającej w gardle, gorączkowo wykonując w myślach obliczenia.

Byłam z Malem przez trzy miesiące. Od mojego powrotu minęły trzy tygodnie.

Na ile czasu przed wyjazdem do Rosji dostałam zastrzyk?

Mój mózg, który ostatnio jest dla mnie tak mało pomocny, radośnie udziela precyzyjnej odpowiedzi: sześć tygodni.

To był tydzień przed walentynkami, co oznacza, że zastrzyk byłby skuteczny do początku lub połowy maja.

Byłam z Malem do połowy czerwca.

Teraz jest drugi tydzień lipca.

I jeszcze nie miałam okresu.

O kurwa.

– Riley? – rzuca ostro Sloane.

– Tak. – Unikając jej wzroku, wpatruję się w swoje pancakesy, jakby w syropie znajdowały się zwycięskie numery loterii.

O kurwa, o kurwa, o kurwa.

– Więc jesteś zabezpieczona?

– Tak. Jestem. Biorę te zastrzyki, ale skoro do końca życia nie będę uprawiać seksu z nikim poza sobą, może powinnam przestać się tym przejmować.

Cholerakurwajapierdolę. Pierdolętowszystko, dokurwynędzy!

Sloane wzdycha głośno.

– Tak czy inaczej, powinniśmy zabrać cię do lekarza na badania. To nie jest normalne.

– Nic mi nie jest. Naprawdę. To tylko gorszy czas, nic więcej.

Po chwili milczenia siostra wstaje, okrąża stół i przytula mnie.

– Wszystko będzie dobrze – szepcze. – Nie zapominaj, że cię kocham.

Ta suka próbuje doprowadzić mnie do zawału. Nigdy wcześniej nie wyznała, że mnie kocha. Naprawdę tego nie zrobiła.

Głos mi się łamie, kiedy odpowiadam, że też ją kocham.

Wtedy uderza we mnie gorąca fala mdłości. Biegnę do zlewu i wymiotuję.

Oczy mi łzawią, gdy to robię. Pochylając się nad zlewem, patrzę na zawartość swojego żołądka i zastanawiam się, jak, do cholery, przemycę test ciążowy do tego monitorowanego domu.

Jak się okazuje, nie muszę kombinować. Znajduję trzy nieotwarte opakowania testów ciążowych w szufladzie w łazience Sloane, kiedy grzebię w poszukiwaniu butelki szamponu.

Wystarczy jeden z nich, aby odkryć prawdę.

Serce mi wali, gdy wpatruję się w dwie małe, różowe kreski w okienku na białym, plastikowym patyczku.

– Twój tata to palant, maluszkę – szepczę.

Potem robię jedyną rozsądną rzecz, jaka mi pozostała.

Wybucham płaczem.

ROZDZIAŁ 47

RILEY

Resztę dnia spędzam w otępieniu. Kładę się do łóżka, naciągam kołdrę na głowę i próbuję się skupić na myśleniu o tym, co powinnam dalej robić, jakie kroki podjąć.

Ale to bez sensu. Mój mózg jest zepsuty.

Równie zepsuty jak pewien organ wewnątrz mojej klatki piersiowej.

Teraz Mal będzie miał kolejny powód, by chcieć trzymać mnie z daleka.

Jeszcze potężniejszy powód. Stawką jest już nie tylko moje bezpieczeństwo.

Mam na pokładzie małego gangstera.

I jeśli Mal jest tak opiekuńczy, że trzyma mnie na dystans dla mojego własnego bezpieczeństwa, mogę sobie wyobrazić, jak bardzo by ześwirował, gdyby dowiedział się, że jestem w ciąży.

Pewnie przeniósłby się na inną planetę. Założyłby działalność na Merkurym i stamtąd prowadził rosyjską Bratwę.

Tej nocy w ogóle nie śpię. Rano dochodzę do wniosku, że muszę w końcu wziąć się w garść i zrobić pierwszy krok, czyli zająć się najbardziej oczywistą rzeczą.

Muszę powiedzieć siostrze, że zaszłam w ciążę, a ojcem tego dziecka jest morderca, który poprzysiągł zemstę za zamordowanie swojego brata mężczyźnie, którego ona kocha.

O święty Jezusku. Jak zacząć taką rozmowę?

Okazuje się jednak, że nie mam czasu na zbyt długie zastanawianie się nad tym, bo Sloane postanawia przekazać swoje ważne wieści.

Puka do moich drzwi, po czym wsuwa przez nie głowę, gdy nie odpowiadam.

– Obudziłaś się? – pyta.

Z trudem biorę oddech, nadal schowana pod kołdrą.

– Jestem zwarta i gotowa na kolejny dzień. Wejdz.

Materac ugina się pod jej ciężarem, a kołdra zsuwa się z mojej twarzy, ponieważ siostra ciągnie za materiał.

– Dzień dobry, słoneczko.

– Och. Nie uśmiechaj się tak. Ludzie pomyślą, że jesteś przywódcą jakiejś sekty – rzucam złośliwie.

– Nie bądź zrzędliva. Muszę ci coś powiedzieć i chcę, żebyś była z tego zadowolona – kwituję, cała w skowronkach.

– Czekał, niech zgadnę. – Przyglądam się jej niepokojącemu, szerokiemu uśmiechowi. – W *Bergdorf's* jest wielka wyprzedaż.

Zamiast odpowiedzieć, podnosi lewą rękę. Na palcu serdecznym lśni kawałek lodu, który mógłby służyć jako niewielkie lodowisko dla dzieci.

Wzdycham, podpierając się na łokciach.

– To pierścionek!

– Tak!

– W końcu się zgodziłaś!

– Tak! – piszczy.

– Jesteście oficjalnie zaręczeni!

– Wiem! Czy to nie jest niesamowite? – Drży z podniecenia.

Mój głos się załamuje, natomiast oczy łzawią, kiedy przytakuje entuzjastycznie.

– O cholera – mówi, a jej oczy się rozszerzają. – Jestem totalną idiotką.

– Nie, nie jesteś. Tak się cieszę! – Zaczynam płakać, bo to moje nowe ustawienie domyślne.

Obwiniam o to hormony.

Sloane chwytą mnie i przytula tak mocno, że na chwilę pozbawia mnie tchu.

– Boże, moje wycucie czasu. Zawsze miałam straszne wycucie czasu! Możesz uderzyć mnie w twarz, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej – proponuje.

Rozważam to przez moment, ale ostatecznie rezygnuję. Nie mogę rzucać się z pięściami na ciotkę swojego dziecka. Pomiędzy

wszystkimi wojującymi frakcjami mafii będziemy mieli wystarczająco dużo rodzinnych sporów.

– Nie. Cieszę się, że mi powiedziałaś. – Odsuwam się, pocierając oczy. – Jestem bardzo, bardzo szczęśliwa z waszego powodu. Czy ustaliliście już datę?

– Pojutrze – informuje.

Mrugam, zaskoczona.

– Och. Wow. *Carpe diem*.

– Właśnie. Kiedy cię nie było, zrozumiałam, że życie jest krótkie i pełne przypadkowych dupków. Trzeba chwycić to, co dobre, póki jest do wzięcia – oznajmia.

– Czekaj. Wiesz, że *carpe diem* oznacza „chwytaj dzień”, prawda?

– Nie, to oznacza „chwytaj dobro”. Znam gościa, który ma to wytatuowane na przedramieniu. Wyjaśnił mi.

– Aha. A czy ten uczonek miał jakiegokolwiek pojęcie, że ma na skórze wytatuowaną łacińską frazę pochodzącą z jedenastej ody Horacego, czy po prostu myślał, że to fajny mem z Instagrama?

Wzdycha.

– Jesteś w stanie przyprawić człowieka o udar mózgu.

– Nic dziwnego, że ludzie wciąż mówią mi, że jesteśmy do siebie tak bardzo podobne. Wracając do tego twojego ślubu: gdzie się odbędzie? – dopytuję z zainteresowaniem.

– W The Old North Church. To rodzinna parafia Declana.

Uważam za ciekawy fakt, że szef irlandzkiej mafii chodzi do kościoła, ale pewnie ma dużo spraw do załatwienia podczas spowiedzi.

– Czy tata przyjdzie?

Przez jej twarz przemyka cień smutku.

– Nie zaprosiłam go. I zanim zapytasz dlaczego, jest pewna historia, którą muszę ci opowiedzieć, ale mam zbyt dobry nastrój, żeby zrobić to teraz.

Wiem, że nie byli blisko od czasu, gdy Sloane była nastolatką, i że ona oraz nasza macocha nigdy się nie dogadywały, lecz brzmi to tak, jakby sprawy miały się gorzej, niż przypuszczałam.

Najlepiej zostawić to w spokoju i poczekać, aż sama będzie chciała o tym porozmawiać.

– Okej, następne pytanie. Co z Nat?

– Będzie.

– Z panem Jak-Mu-Tam?

Sloane uśmiecha się.

– Z panem Nie-Spuszczę-Jej-Ani-Na-Chwilę-Z-Oczu.

– Mam wrażenie, że brakuje mi tu głębszej logiki i o wielu rzeczach nie wiem.

– Powiedziałam Declanowi, że nie wezmę ślubu bez obecności swojej najlepszej przyjaciółki. A Nat powiedziała Kage’owi, że rozważy niewykastrowanie go za udzielenie Malowi informacji o Declanie, jeśli pojawi się na ślubie, by przeprosić – wyjaśnia, dzięki czemu w końcu zacznym coś rozumieć. Ściska moją dłoń. – Przepraszam, kochanie. Nie chciałam, żeby to zabrzmiało, jakby Mal był tym złym.

Macham na nią, zbyt zainteresowana rozwijającym się dramatem, aby się tym przejmować.

– Więc Nat oraz Kage przyjadą na ślub?

– Właśnie.

– I Declan nie ma nic przeciwko temu, że Kage tam będzie?

Śmieje się.

– Och, trudne pytanie. Ale są zasady, z jakimi ci mężczyźni żyją. I nie chodzi o to, że nigdy wcześniej nie przebywali w tym samym pokoju. – Robi przerwę, by się zastanowić. – Chociaż jestem pewna, że za każdym razem, gdy to się działo, ktoś dostawał kulkę.

– Wow. To powinno być całkiem zabawne wesele.

Odnoszę wrażenie, że siostra nie przejmuje się możliwością wybuchu masakry podczas jej zaślubin, kiedy mówi beztrąsko:

– Przez cały czas w pobliżu będzie ochrona, dla równowagi i zapewnienia bezpieczeństwa. Wszyscy zostaną przeszukani i pozbawieni broni przed wejściem do kościoła. Jestem pewna, że uda im się dobrze zachowywać przez trzydzieści minut. – W jej głosie słychać nadzieję.

Nie jestem co do tego przekonana, ale podziwiam jej pewność siebie.

– Co mam włożyć? Nie mogę pożyczyć kolejnego z twoich strojów, żeby iść w czymś nieodpowiednim na twój ślub. To mogłoby

przynieść pecha. To panna młoda ma nosić coś pożyczonego, nie goście.

– Mam zamówioną sukienkę dla ciebie. Krawcowa będzie tu jutro rano, żeby ją dopasować.

Jestem zaskoczona, lecz nie aż tak bardzo, biorąc pod uwagę mój prezent od Pakhana.

– To niesamowite, jak wy, gangsterzy, możecie sobie zorganizować suknie na zamówienie w każdej chwili.

– Nie mogę pozwolić, żeby moja drużna szła do ołtarza w spodniach myśliwskich, prawda? – Puszczam do mnie oczko.

Teraz jestem nie tylko zaskoczona, ale też zdumiona.

– Drużna... Drużna? Że ja?

– Ty i Nat.

– Masz dwie drużny? – Mój głos jest zduszony z emocji.

Oczy Sloane błyszczą, gdy mówi łagodnie:

– Jesteś moją siostrą, głuptasie. Oczywiście, że wybrałam cię na jedną z moich druhen.

Kiedy widzi łzy zbierające się w moich oczach, lituje się nade mną. Prostuje się i oznajmia wyniośle:

– Wszyscy mieliby mnie za sukę, gdybym tego nie zrobiła.

Próbując ukryć, jak bardzo jestem przytłoczona tym wszystkim, odpieram:

– Wszyscy i tak już mają cię za sukę.

Jej uśmiech jest pełen samozadowolenia.

– Nie bądź śmieszna. Wszyscy mnie kochają – stwierdza.

Opadam na materac i ponownie naciągam kołdrę na twarz. Tylko tym razem śmieję się.

Ciągle zapominam, że ten świat należy do Sloane. Reszta z nas, zwykłych śmiertelników, po prostu w nim żyje.

Moja suknia zostaje dopasowana do figury. Jest długa, jedwabna, bez rękawów i przylega do ciała jak rękawiczka.

Jest czarna, więc może służyć również jako strój pogrzebowy, jeśli wesele z udziałem wściekłych irlandzkich oraz rosyjskich

gangsterów zmieni się w batalię i zaczną do siebie strzelać.

Staram się nastawić optymistycznie, zachowując zdrowy rozsądek. Wydaje się, że to większy błąd niż ten popełniony przez dwanaście wydawnictw, które odrzuciły J.K. Rowling, zanim *Harry Potter* został w końcu wydany.

W dniu ślubu w naszym domu pojawia się około pięciuset irlandzkich gangsterów w smokingach.

Spider też jest wśród nich. Wygląda świetnie w smokingu. Usiłuje na mnie nie patrzeć, co boli, ale może wyjść na dobre.

Pomagam Sloane włożyć suknię – niesamowitą, szyfonową, ciągnącą się aż do podłogi, z dekoltem w szpic, który uwydatnia biust. Z przodu ma rozcięcie, co odsłania zgrabne nogi panny młodej, gdy ta się porusza.

Nie jest biała, bo mówimy o mojej siostrze.

Każda panna młoda nosi biel.

Suknia Sloane z kolei jest w żywym, odważnym kolorze. Krwistoczerwona.

Ociekając diamentami, z włosami spływającymi kaskadami na plecy i prawdziwą cholerną tiarą na głowie, Sloane wygląda jak bogini. Nigdy w życiu nie widziałam nikogo tak pięknego.

Kiedy jej to mówię, uśmiecha się.

– No nie? Declan jest takim szczęściarzem. Nie zasługuje na mnie – oznajmia.

– Jeśli zombie kiedykolwiek przejmą władzę, będziesz bezpieczna – mówię sucho.

– Co masz na myśli?

– One jedzą tylko mózgi – odpowiadam z powagą.

Jedziemy razem limuzyną do kościoła. Jesteśmy otoczeni z przodu, z tyłu i z boku przez czarne Cadillacy Escalade wypełnione uzbrojonymi gangsterami w smokingach, którym Sloane ciągle macha, jakby była królową Anglii na świątecznej paradzie.

Kiedy docieramy do pięknego, starego, kamiennego kościoła, jestem zszokowana, widząc, że na schodach od frontu stoi mnóstwo ludzi.

Patrząc przez okno limuzyny, gdy wjeżdżamy na parking, pytam:

– Eee... Sloane?

– Tak, kochanie?
– Dlaczego są tu jakieś cztery tysiące ludzi?
– Ponieważ to Boston, a szef irlandzkiej mafii bierze ślub. To ważne wydarzenie. Są tu ludzie z całego kraju, nawet zza oceanu – wyjaśnia.

Odwracam się i spoglądam jej w oczy.

– Myślałam, że powiedziałaś, że planujesz małą ceremonię? – przypominam.

– Bo planowałam. – Wskazuje swoje diamenty i suknię. – Ale wtedy cała ta piękność poszłaby na marne.

– Czy znasz tych wszystkich ludzi?

– Nie. To głównie znajomi Declana z pracy.

– Jego przyjaciele z pracy? To znaczy, że każdy z nich jest gangsterem?

– Tak, są jakoś powiązani. Nie patrz tak na mnie. Wszystko będzie dobrze – uspokaja.

– Faktycznie, nie ma się czym przejmować. Kościół katolicki wypchany uzbrojonymi mafiosami nadawałby się na jeden z seriali dokumentalnych *true crime*. I naprawdę coś może się wydarzyć!

Siostra klepie mnie po dłoni uspokajająco.

– Słuchaj. Declan ma wszystko pod kontrolą. Ochrona jest na najwyższym poziomie. Są nawet snajperzy. My musimy jedynie wyglądać oszłamiająco i cieszyć się uwagą. A jeśli coś się stanie, co nie nastąpi, po prostu się schowaj.

Spoglądam na nią.

– Schować się? To twoja rada na przetrwanie?

Wzrusza ramionami.

– W moim przypadku zawsze działa.

Dobry Boże. Ona mówi poważnie.

Biorę drżący oddech, zastanawiając się, czy zdołałabym ukraść pistolet jednemu z facetów, którzy kręcą się przed kościołem, zanim broń zostanie skonfiskowana przez ochronę.

Kiedy przechodzimy od limuzyny do kościoła, osłania nas trzech ochroniarzy. Spodziewam się wybuchu bomby, ale udaje nam się wejść do środka bez incydentów i zająć miejsca w pokoju zarezerwowanym dla panny młodej, który mieści się z tyłu.

Czekają tam nasze bukiety, schowane w białych pudełkach z bibuły i bawełny. Mój to idealna kula z perłowych kuleczek stefanotis. Pachnie niebiańsko.

Bukiet Sloane to dramatyczna kaskada przepięknych, różowych orchidei wysadzanych kryształami Swarovskiego. Jest olśniewający i przesadzony, tak jak ona.

Dwie minuty po naszym przybyciu dociera Nat.

W momencie, gdy wchodzi przez drzwi i widzi Sloane w sukni, jej twarz się marszczy, a ona zaczyna płakać.

– Wyglądasz jak księżniczka – łka.

Sloane uśmiecha się.

– Suko, jestem królową. Zabieraj tu swój tyłek.

Rozkłada ramiona, a Nat biegnie do niej. Stoją, przytulone, na środku pomieszczenia tak długo, że zastanawiam się, czy ślub trzeba będzie opóźnić.

Wtedy Nat odwraca się do mnie. Jej wypełnione łzami oczy rozszerzają się, kiedy mierzy mnie wzrokiem.

– Riley? Mała Riley? O ja piernicę.

Unoszę kąciki ust.

– Potraktuję to jako komplement.

Podchodzi i mocno mnie przytula. Nie widziałam jej tak długo, że prawie zapomniałam, jak wygląda. Czarne włosy, niebieskoszare oczy, szkarłatne usta... Jest cudowna.

– Wszystko w porządku? – szepcze.

– Ugh. I tak, i nie. Porozmawiamy o tym później. Jest tego zbyt wiele, by rozwodzić się nad tym w tym momencie.

– Okej, kochanie. Cieszę się, że cię widzę.

– Wzajemnie.

Sloane mówi ciepło:

– Och, dziewczyny, spójrzcie. Ten kościół jest wypełniony samymi głupimi badziewiami. Nawet ten smutny posąg, który mijaliśmy po drodze, wygląda jak kawał drewna.

– To był posąg Matki Boskiej – rzucam do niej nad ramieniem Nat.

– Więc mogę ją określić negatywnie z kobiecym akcentem: głupiutka rzeźba.

– Pójdiesz do piekła.

– Ha! Oni o tym marzą.

Nat odsuwa się i uśmiecha do mnie.

– Królowa jest dumna ze swoich służebnic.

– Prezentujemy się całkiem nieźle. A ty promieniejesz.

– To dlatego, że regularnie dostaje dużą kiełbasę z Bratwy – mówi Sloane.

Policzki Nat stają się lekko różowe.

– Ona naprawdę wie, jak dobierać słowa, prawda?

– Minęła się z powołaniem, bo z pewnością powinna pisać piosenki o miłości.

Sloane chichocze.

– Nat, twoja suknia wisi na drzwiach do łazienki. Mamy jakieś dziesięć minut, zanim przyjdzie po nas koordynator i będziemy musiały ruszyć do ołtarza.

Gdy Nat idzie do łazienki, aby się przebrać, pytam:

– Sloane, czy będziemy musiały iść do ołtarza w towarzystwie drużbów?

– Nie. Kieran i Spider będą czekać z Declanem przy ołtarzu – odpowiada.

– Och. Więc jaka jest kolejność?

– Kolejność czego?

– Na przykład czy Nat idzie przede mną, potem ja, a później ty?

Siostra podchodzi bliżej i kładzie dłoń na moim policzku.

– Nie, głuptasie. – Uśmiecha się. – Panna młoda ma iść do ołtarza z najważniejszymi osobami w jej życiu. Więc nasza trójka idzie razem, ramię w ramię.

Mój podbródek drży. Oczy wypełniają się łzami. Muszę przełknąć gulę, która powstała w moim gardle.

– Jeśli doprowadzisz mnie do płaczu, zerwę ci tę tiarę z głowy – ostrzegam.

– Jak na dziewczynę, która pojawiła się w moim domu, wyglądając jak coś z *Poradnika przetrwania w Backwoods*, jesteś wielkim mięczakiem.

– Myślałam, że wysiliz się na jakieś lepsze porównanie.

– Kochanie, przeszłaś od leniwca w dresie do G.I. Jane. To był ruch w bok, a nie w górę.

Nagle z toalety wyłania się Nat w sukience. Wygląda oszłamiająco. W ostatniej chwili dokonujemy kilku poprawek makijażu i fryzur, odbieramy nasze bukiety, po czym wychodzimy, kiedy puka koordynator.

I wiercie lub nie, ale ceremonia przebiega bez problemów. Declan prezentuje się wspaniale w smokingu. Sloane wygląda jak wyjęta z bajki. Wypowiadają przysięgę i całują się przy gromkich oklaskach.

Mądrze pomijają część, w której ksiądz pyta, czy ktoś się sprzeciwia.

Podczas zdjęć po ślubie następuje moment niezręczności, gdy Spider nie robi nic poza wpatrywaniem się we mnie z taką intensywnością, aż płoną mi uszy. Ale to chwilowa przeszkoda w skądinąd doskonałym wydarzeniu.

Dopiero na przyjęciu wszystko się rozpada.

ROZDZIAŁ 48

RILEY

Przyjęcie odbywa się w hotelu Four Seasons we wspaniałej sali balowej. Okna sięgają od podłogi do sufitu, na którym wiszą wielkie, błyszczące żyrandole. Całości dopełniają rozległe widoki na bujny, zielony Bostoński Ogród Publiczny.

Przed wejściem do środka każdy gość musi przejść przez wykrywacz metalu, a także poddać się ręcznemu sprawdzeniu przez Irlandczyków.

Dziwię się, że nie rozcinają ciał, aby zajrzeć również tam, skoro są tak dokładni w tym, co robią.

Sloane postanowiła zrezygnować z głównego stołu, przy którym siedzieliby wszyscy goście, co uważam za mądrą decyzję. Zamiast tego ona i Declan sami zajmują miejsca przy stoliku dla nowożeńców.

Siedzę przy stole z Nat, Kage'em oraz pięcioma śniadymi Sycylijczykami – którzy mają na sobie tyle wody kolońskiej, że aż czuję jej smak – podziwiając, że siostrze udało się to wszystko zorganizować w ciągu kilku dni.

Kieran i Spider zajmują miejsca przy stoliku po drugiej stronie parkietu.

Za każdym razem, gdy zdarza mi się spojrzeć w ich stronę, dostrzegam, że Spider gapi się na mnie.

Kiedy wszyscy już siedzą, Nat przedstawia mi swojego narzeczonego.

Jest niesamowicie przystojny. Ze zmierzwionymi, ciemnymi włosami, nieogoloną szczęką i masywnymi ramionami emanuje tą wielką, samczą energią, którą może poczuć każda osoba w tym pomieszczeniu.

Choć ma na sobie smoking, wydaje się, że o wiele lepiej czułby się w skórzanej kurtce i wojskowych butach, z chustką zawiązaną na szyi. Grube, srebrne pierścienie – jeden z nich jest w kształcie czaszki – zdobią jego kciuk, a także środkowy palec prawej ręki.

Wygląda tak, że pasowałby do *Piratów z Karaibów*.

– Miło cię poznać, Kage. Wiele o tobie słyszałam.

Jego spojrzenie jest identyczne jak u Mala. Charakteryzuje się taką samą przenikliwą, laserową intensywnością, która mogłaby przeciąć człowieka na pół. Ale jego oczy są ciemne, nie bladozielone.

– Założę się, że tak – mówi, przerzucając rękę przez oparcie krzesła Nat. – W waszym domu z pewnością toczy się dużo interesujących rozmów.

Uśmiecham się do niego.

– Nie martw się, nie uwierzyłam w ani jedno słowo. Jeśli Nat cię lubi, to musisz być dobrym człowiekiem i za takiego cię uważam.

Przechyla głowę, patrząc na mnie uważnie.

– Dobrze się czujesz? – pyta po chwili.

To niesamowite, ile rzeczy przekazał w tych trzech słowach, jak wiele emocji tam ukrył. Moje tętno przyspiesza.

Wiem, że to on przekazał Malowi informacje o Declanie, kiedy to wszystko się zaczęło, ale pamiętam też, że Sloane mówiła, iż rosyjska Bratwa i Bratwa w USA nie są w dobrych stosunkach.

Nie wiem, czy Kage i Mal nadal mają ze sobą kontakt.

W razie gdyby tak było, nie przepuszczę okazji, by przekazać mu wiadomość.

– Jeśli masz na myśli fizycznie, to tak. A jeżeli mentalnie, duchowo, emocjonalnie... umieram.

Pochyla głowę.

– Tak. Słyszałem, że twoje uczucia się rozpały, kiedy byłaś daleko.

– Jest o wiele gorzej, niż myślisz. – Przygląda mi się uważniej, a ja dodaję: – Sądzisz, że moglibyśmy porozmawiać po kolacji? Gdzieś, gdzie nie jest tak... – Zerkam na Sycylińczyków. – Głośno?

– Chcesz mi o czymś powiedzieć?

Kiwam głową, zaczynając drzeć.

– Declanowi się to nie spodoba. – Patrzy przelotnie na Nat. Jego ton staje się cierpki. – Już i tak mam wystarczająco dużo kłopotów.

Nat ściska jego udo.

– Jest w porządku, kochanie. Tu chodzi o coś innego.

Posyła jej spojrzenie, które jest zarówno gorące, jak i przepełnione niezadowoleniem.

– Nie chcę nikogo wpędzić w kłopoty. Nie powiem nic Declanowi, ale wątpię, żeby miał coś przeciwko, biorąc pod uwagę, że też próbował dla mnie przekazać wiadomość Malowi.

Kage mruży oczy.

– Próbował przekazać wiadomość od ciebie człowiekowi, który chce go zabić? – upewnia się.

– Mal nie zamierza zabić Declana – odpieram spokojnie, po czym wzdycham.

– Niby od kiedy?

– Od kiedy poprosiłam go, żeby tego nie robił – wyjaśniam.

Kage przez moment milczy, zdumiony, potem kręci głową i wybucha śmiechem.

– To jak samospełniająca się przepowiednia. – Ponownie kręci głową.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Nieważne. Po prostu przypomniałem sobie o czymś, co Malek mi kiedyś powiedział. Jasne, porozmawiamy po kolacji – dodaje radośnie, wciąż się nad czymś zastanawiając.

– Dziękuję.

Później jakoś tak się dzieje, że rozmawiam z Sycylijszymi. Tak bardzo chcą wiedzieć, czy jestem singielką, że obawiam się, iż zamierzają mnie sprzedać na czarnym rynku. Po kilku minutach jednak staje się jasne, że tak naprawdę chodzi im o sojusz z Declanem.

Jeden z mężczyzn bardzo chciałby wydać syna za jakąś kobietę z rodziny Declana. Drugi ma córkę w moim wieku – informuje mnie, że panna jest dziewicą i pochodzi z doskonałego rodu.

Mówi o tym tak, jakby był farmerem rozmawiającym o swoich hodowlanych kłaczkach. Wydaje mi się, że to całe aranżowane

małżeństwo nadal jest popularne i ma się dobrze w mafijnych szeregach.

Po kolacji zaczynają się tańce. Z tego, co wywnioskowałam, Kage jest jedynym członkiem Bratwy znajdującym się w tym pomieszczeniu. Wszyscy inni wyglądają albo na Irlandczyków, albo na Włochów, chociaż słyszę parę akcentów, których nie mogę rozpoznać.

Kiedy czuję rękę na swoim ramieniu, odwracam się, by zobaczyć, kto mnie dotyka. Wtedy zamieram.

Za moim krzesłem stoi Spider, wpatrując się we mnie.

– Chcesz zatańczyć? – pyta swobodnie.

Waham się, ale on jest zrelaksowany i uśmiechnięty, więc również unoszę kąciki ust, po czym przytakuję.

– Jasne.

Odsuwa moje krzesło, następnie prowadzi mnie na parkiet i bierze w ramiona.

Bo oczywiście ta pieprzona muzyka zmieniła się z popu na balladę. No przecież musiało tak być, prawda?

Zupełnie jakby los mnie nienawidził.

Kołysujemy się w ciszy, słuchając muzyki i nie patrząc na siebie, aż on mówi:

– Wyglądasz dziś pięknie.

– Dziękuję. Ty wyglądasz bardzo przystojnie w tym smokingu – komplementuję.

Spogląda na mnie. W jego szczęce napina się mięsień.

– Pamiętam, że określiłaś mnie tak w dniu, w którym się poznaliśmy. Przystojny.

– A ja pamiętam, jak bardzo twoja twarz zrobiła się czerwona w tamtej chwili – odpieram.

– To był pierwszy raz, kiedy się zarumieniłem – wyznaje.

Gdy obraca mnie dookoła, widzę Declana i Sloane przy stoliku ze słodyczami. Obserwują nas, ale potem Spider znów mnie obraca, co sprawia, że tracę ich z pola widzenia.

– Jestem ci winien przeprosiny za sposób, w jaki zachowałem się kilka tygodni temu. Byłem idiotą – oznajmia.

To, co mówi, brzmi szczerze, dzięki czemu czuję ulgę. Nie chcę jednak robić z tego wielkiej sprawy, więc siłę się na swobodny ton.

– To już nie ma znaczenia. Zapomnijmy o tym.

– Nie mogę. Próbowałem. – Jego ręka zaciska się wokół mojej talii. Głos z kolei staje się niższy i ochryPLY. – Nie mogę zapomnieć niczego, co wydarzyło się między nami.

Moja ulga znika. Motyle zaczynają szalony lot w żołądku, a ja odczuwam panikę.

Przez resztę piosenki tańczymy w ciszy. Kiedy tylko się kończy, odsuwam się, mruczę podziękowania i kieruję się do damskiej toalety, żeby się schować.

Zamykam się w kabinie, opieram o drzwi i przymykam powieki, usiłując wymyślić rozwiązanie sytuacji ze Spiderem. Nie planuję go kopnąć w jaja, ale nie mam pomysłu, co zrobić, aby go do siebie zniechęcić.

Po prostu przebrnij przez dzisiejszy wieczór. Później porozmawiaj z Declanem i Sloane i niech oni się tym zajmą. Spider na pewno ich posłucha.

Tyle że może stać się inaczej, biorąc pod uwagę, że wbrew woli Declana poleciał za tobą do innego kraju.

Wzdycham, korzystam z toalety, a potem idę do umywalki, by umyć ręce.

Kiedy zakręcam kran i sięgam po ręcznik papierowy, mimowolnie spoglądam w lustro nad umywalką.

I wtedy zamieram.

Bezpośrednio za mną stoi mężczyzna.

Jest ogromny.

Przerażająco wysoki i szeroki, stoi na rozstawionych nogach, a jego masywne ręce zwisają po bokach. Wszystko, co ma na sobie, jest czarne – łącznie z ciężkim, wełnianym płaszczem, którego kołnierz został wywinięty na wytatuowaną szyję.

Jego włosy i broda są gęste oraz ciemne. W jednym uchu błyszczą mały, srebrny kolczyk. Pod opuszczonymi brwiami dostrzegam oczy w zaskakującym odcieniu bladej zieleni.

To najpiękniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałam.

– Jesteś t-tutaj – dukam zdławionym głosem.

– Myślałaś, że pozwolę ci uczestniczyć w mafijnym ślubie i nie będę cię chronił? – odpira miękko Mal.

Boże, jego głos. Ten piękny, głęboki, bogaty głos, który hipnotyzuje. Wszystkie włosy na ramionach stają mi dęba. Tak samo jak każde zakończenie nerwowe. Przez moje ciało przebiega niebezpieczny dreszcz. Czuję, jakby ktoś poraził mnie prądem.

– Tak – szepczę.

– Dobrze wiesz, że to nieprawda.

– Jesteś pewny? Nawet nie chciałeś być w tym samym kraju co ja – dodaję z żalem.

Jego głos spada o oktawę.

– Doskonale wiesz, czego chcę.

– Wiem, że jesteś upartym głupcem, który powinien mieć trochę więcej zaufania do mnie.

Cały czas patrzymy na siebie w lustrze. Odwróciłabym się, ale nie mogę ruszyć nogami. W ogóle nie mogę się poruszyć.

– Zaufania do ciebie? – powtarza. – Mam do ciebie pełne zaufanie.

– Pakhan miał więcej.

Jego oczy błyszczą.

– Co to znaczy?

– Pamiętasz, co powiedział mi podczas naszej kolacji? „Imperiami nie władają potulni”. Teraz rozumiem, co miał na myśli. Nie mówił o tobie. Mówił o mnie. Zakładał, że będę u twojego boku, gdy przejmiesz władzę. – Mal cały czas mi się przygląda, a mój głos się łamie. – Ale ty zdecydowałeś się mnie oddać.

Iskra w jego oczach zamienia się w ogień. Mal podchodzi bliżej, przynosząc za sobą ten zapach, który tak dobrze znam. Sosny i światło księżyca, mgła, gałęzie oraz wiecznie zielone drzewa w starym lesie.

W moim lesie. W tym, w którym nauczyłam się, jak być szczęśliwą.

– Nie oddałem cię, *malyutka* – rzuca ze złością.

– Na pewno mnie nie zatrzymałeś.

– Jesteś pewna?

Emocje, które do tej pory sprawiały, że ledwo stałam na nogach, a w moich oczach gromadziły się łzy, nagle znikają. W ich miejsce

pojawia się furia. Odwracam się i patrzę na niego.

– Nie mam ochoty grać z tobą w słowne gierki. Lub jakiegokolwiek gierki wymagające interpretowania czegoś. Odpowiedź brzmi: „Nie, nie zatrzymałeś mnie”. Wsadziłeś mnie w samolot i wysłałeś jak ładunek! – krzyczę.

Jego spojrzenie jest przeszywające, równie gorące jak węgle. Mal patrzy na mnie wygłodniałym wzrokiem. Przygląda się mojemu wyrazowi twarzy, następnie sukience, a moment później wyciąga rękę w moim kierunku, przyciąga mnie do piersi i przyciska swoje usta do moich.

Cała chęć walki ulatnia się ze mnie, jakby ktoś wyciągnął wtyczkę.

Opieram się o niego, odwzajemniając pocałunki z desperacją. Jego zapach, jego smak, jego ciepło – jakim cudem byłam w stanie przeżyć choćby jeden dzień bez tego wszystkiego?

– Nigdy nie pozwoliłem ci odejść – mówi szorstko, z ustami wciąż przy moich nabrzmiąłych wargach. – Ani na jedną cholerną sekundę. Byłaś ze mną cały czas, prześladowając mnie swoją inteligencją, tymi pięknymi oczami i łamiącym serce uśmiechem, który zabija mnie za każdym razem, gdy go widzę. Nie wytrzymałem nawet tygodnia i przyleciałem tutaj, by cię zobaczyć.

– Czekał, co? – Mrugam gwałtownie, zdezorientowana. – Byłaś tutaj? Nie widziałam cię.

– To dlatego, że spałaś.

Po chwili zdumienia zaczynam się śmiać.

– Znowu włamałeś się do mojej sypialni?

– Zdarzyło się to ostatni raz. – Z prawej strony dobiega niski i zabójczy głos.

Kiedy się oglądamy, dostrzegamy stojącego w drzwiach Spidera.

W ręce trzyma pistolet.

Zamieram z przerażenia. W ustach czuję smak popiołu. Pod sukienką moja blizna mrowi i staje się gorąca, jakby właśnie się zapaliła.

Przez ułamek sekundy zastanawiam się, skąd ma broń, skoro wszyscy inni zostali przeszukani. Równie szybko uświadamiam sobie, że ochrona z pewnością nie przeszukałaby osobistego

ochroniarza Declana, a poza tym Spider i tak prawdopodobnie miał przy sobie zapasową broń na tę okazję.

Mal zastyga idealnie nieruchomo.

Spider natomiast gestykuluje pistoletem.

– Riley, odsuń się od niego.

– Nie.

Jego wściekłe spojrzenie nie odrywa się od twarzy Mala.

– Zrób to. Teraz. Nie chcę powtórki z ostatniego razu – dodaje.

Cała się trzęsę, mimo to wciąż udaje mi się utrzymać opanowany głos.

– Nie będziesz do niego strzelał. Odłóż broń i wyjdź.

Śmieje się krótko, jednak nie ma w tym krzty radości.

– Mógł ci obiecać, że mnie nie zabije, ale ja niczego takiego nie mówiłem w stosunku do niego. Odsuwaj od niego swój tyłek w tej chwili – żąda.

– Odezwij się do niej w ten sposób jeszcze raz, a z radością złamię swoją obietnicę – odpiera Mal takim tonem, że się wzdrygam.

– Pierdol się. – Głos Spidera jest donośny i pełen nienawiści. Odbija się echem od wyłożonych kafelkami ścian.

W sali balowej muzyka ciągle gra w najlepsze. Rozlega się wiwat. Przechodząca korytarzem kobieta śmieje się. Jej głos brzmi, jakby była pijana.

Mal puszcza mnie, poruszając się ostrożnie. Ustawia się przede mną, naprzeciwko Spidera, powstrzymując mnie, gdy próbuję się ruszyć, by wejść między nich.

Panika wdziera się do mojego gardła.

– Spider, proszę! Proszę, nie rób tego! Nie możesz tego zrobić! Ja...

– Nie chcę słuchać, że jesteś w nim zakochana – warczy.

– Nie, posłuchaj mnie...

– Odpierdol się od niej. Idź w kierunku drzwi. Zrobimy to na zewnątrz, żeby wszyscy widzieli. Zasługujesz na publiczną egzekucję. Hangman powinien zginąć, mając przy tym publiczność.

Odpychając mnie, Mal robi krok do przodu.

Czerwone plamy zasłaniają mi widok. Panikuję tak bardzo, że niemal widzę krew płynącą we własnych żyłach.

Nie rozumiem, dlaczego Mal słucha Spidera, dlaczego idzie za nim za drzwi łazienki. Potykam się, krocząc za nimi i wołając, żeby się zatrzymali. Muzyka zagłusza moje krzyki.

Niedługo później przepychamy się przez tłum na parkiecie. Ludzie odsuwają się, zaskoczeni. Ktoś widzi broń Spidera i krzyczy.

Zespół przestaje grać. Facet na gitarze basowej przerywa jako ostatni, szarpiąc strunę, gdy w końcu zauważa, że tylko on nadal gra, i patrzy w górę, mrugając ze zdziwienia.

Zapada cisza. Słyszę jedynie ryk swojego pulsu w uszach.

Nie wiem, gdzie są Sloane z Declanem. Nie wiem, co robią inne osoby. Mogę się skupić wyłącznie na Spiderze stojącym dziesięć stóp od Mala na środku parkietu i mierzącym z pistoletu w jego głowę.

Zbieram się na odwagę, biorę głęboki wdech i mówię z mocą:

– Spider, odłóż tę broń w tej chwili!

– Podaj mi jeden dobry powód, dla którego nie powinienem zastrzelić tej rosyjskiej świni, Riley! – wrzeszczy.

Dobrze, skoro nalegasz.

– Bo noszę jego dziecko!

Zaskoczenie rozchodzi się po tłumie. Kilka osób sapie.

Spider kręci głową i gapi się na mnie.

Nie mogę patrzeć na Mala. Całą energię kieruję w stronę Spidera, chcąc, żeby się wycofał.

– Wiesz, co to oznacza? – dodaję. – Jesteśmy teraz rodziną. Ja, Mal, Declan, Sloane... i ty też. Wszyscy jesteśmy rodziną. To dziecko łączy nas ze sobą. Irlandzka mafia i Bratwa są teraz połączone więzami krwi.

Cichy wiwat wznosi się gdzieś z sali.

Jestem prawie pewna, że to Nat.

Z wyciągniętą ręką i walącym sercem zbliżam się powoli do Spidera. Zastygły w szoku, obserwuje, jak do niego podchodzę. Ciężko oddycha, jest zdezorientowany. Każdy gwałtowny ruch może sprawić, że pociągnie za spust.

Kiedy znajduję się wystarczająco blisko, delikatnie kładę dłoń na jego nadgarstku. Wytrzymując jego dzikie spojrzenie, mówię łagodnie:

– Po prostu odłóż to. To już koniec.

Przełyka ślinę. Po przerwie, która wydaje się wiecznością, opuszcza rękę i pochyla głowę.

Declan pojawia się znikąd. Wrywa broń z ręki Spidera i pcha go w kierunku grupy Irlandczyków, którzy czekają z jednej strony. Gdy po sali zaczyna rozchodzić się szmer, odpędzają go.

Zostaję złapana i zamknięta w niedźwiedzim uścisku.

Mał podnosi mnie tak wysoko, że moje stopy wiszą w powietrzu.

– Jesteś w ciąży? – Słyszę jego chrapliwy głos tuż przy uchu.

– Tak.

– Będziesz miała moje dziecko? – pyta radośnie.

– Tak. I jeśli przeniesiesz się na Merkurego, by spróbować nas chronić, twoja nieogarnięta przybłęda, zwana też myszo-jeleniem, upoluje cię i zabije.

Jęczy, przyciskając mnie do piersi. Jeden z moich butów na obcasie spada.

Tkwimy tak, zamknięci w ciasnym uścisku, nie zwracając uwagi na szemrzący tłum, aż ktoś w końcu odchrząkuje.

Kiedy spoglądam w dół, widzę Declana i Sloane stojących ramię w ramię za Malem.

Siostra promienieje. Jej mąż natomiast wygląda, jakby potrzebował mocnego drinka.

– Postaw mnie, kochanie – szepczę. – Panna młoda chciałaby zamienić ze mną słowo.

– Panna młoda może poczekać na swoją pieprzoną kolej – warczy.

– Najpierw ja muszę zamienić słowo ze swoją kobietą.

Bierze mnie na ręce, po czym schodzi z parkietu. Nad jego ramieniem dostrzegam, że Nat i Sloane obejmują się, a Kage z Declanem stają naprzeciw siebie, nawiązując kontakt wzrokowy.

Zespół zaczyna grać *We Are Family*.

Jakby nic się nie stało, goście wracają na parkiet i tańczą.

Wow. Więc to było gangsterskie wesele.

Ogólnie rzecz ujmując, myślę, że poszło całkiem nieźle.

ROZDZIAŁ 49

RILEY

Nie wiem, dokąd mnie zabiera. Jedziemy przez chwilę samochodem, a niedługo później windą. Cały czas wtulam twarz w jego szyję i mam zamknięte oczy. Wdycham jego zapach, przywierając mocno do Mala.

Gdy docieramy do pokoju, mężczyzna kładzie mnie na łóżku.

Bez słowa zdiera ze mnie sukienkę, rozrywając jedwab niczym chusteczkę. Zdejmuje mi stanik, majtki oraz pozostały but. Klęka obok łóżka, między moimi rozłożonymi nogami, i przyciska rozpalony policzek do nagiego brzucha.

Moje serce pęcznieje jak balon. Zagłębiam palce w gęste włosy Mala i wzdycham ze szczęścia.

– Urodzisz moje dziecko – szepcze, a w jego głosie słychać zdumienie.

– Jeśli to będzie chłopiec, nazwijmy go Mik. Właściwie to imię byłoby również idealne w przypadku dziewczynki.

Wypuszcza powietrze. Owijając ręce wokół moich bioder, z zadumą całuje mój brzuch.

– Muszę przyznać, że jestem podekscytowany tym, że twój zastrzyk antykoncepcyjny nie wygrał starcia z moją supersperumą.

– Nie połam sobie ręki, poklepując się po plecach, ogierku. Mój zastrzyk stracił swoją ważność, gdy byłam w Rosji. Zabawne, jak ten czas pędzi, kiedy się dobrze bawisz. – Rozglądam się po nieznanym, ciemnym pokoju. – Gdzie jesteśmy?

– W hotelu. A teraz bądź cicho. Muszę cię zerznąć.

Z moich ust wydostaje się stłumiony śmiech.

– Ja też za tobą tęskniłam.

Zdejmuje swoje ubrania w rekordowym tempie, niecierpliwie rzuca wszystko na podłogę, po czym opuszcza się na mnie. Całuje

mnie, trzymając moją głowę w swoich rękach. Oddaje mi każdą cząstkę własnej pasji. Moc namiętności, uczuć.

Kiedy się odsuwa, ciężko oddycha. Wpatruje się we mnie z uwielbieniem błyszczącym w oczach, mrużąc coś po rosyjsku.

Kręcę głową.

– Nie. Tym razem powiedz to tak, żebym zrozumiała – proszę.

– To jest to samo, co mówię ci od początku, *malyutka* – odpiera łagodnie. – Jesteś piękna. Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Nie pamiętam swojego życia przed tobą. Oddałbym wszystko, żeby już zawsze móc cię kochać.

Moje gardło się zaciska. W oczach pojawiają się łzy. Biorę urywany oddech, odnosząc wrażenie, jakbym unosiła się w powietrzu.

– Więc mnie lubisz, co?

– Wielbię cię, moja słodka, pyskata mała królowo – szepcze tuż przy moich ustach.

– Udowodnij to. Nadal jestem na ciebie zła.

Mruczy, a później całuje mnie ponownie, tym razem mocniej. Jego twardy kutas pulsuje przy moim udzie.

Kiedy wsuwa się we mnie, sapię i wyginam się w łuk. Samotna łza spływa po moim policzku.

– Tatuś jest w domu – mówi mi do ucha Mal łagodnym głosem.

Śmieję się, ale szybko zamienia się to w jęk, gdy zaczyna pchać, opuszczając głowę, by pocałować mnie w szyję, po czym ugryźć. Owijam nogi wokół jego talii, a ręce wokół ramion. Trzymam się go, kiedy wypełnia mnie: moje ciało i duszę.

Wiem, że zawsze chciał zapewnić mi bezpieczeństwo. Chronić mnie, bez względu na to, ile mogłoby go to kosztować. Jednak to, z czego nie zdawał sobie sprawy, to fakt, że nigdy nie potrzebowałam rycerza na białym koniu, który by mnie uratował.

Potrzebuję smoka.

Potrzebuję go, na zawsze, i to wszystko, czego pragnę.

Jakiś czas później, spocona i spełniona, leżę w ramionach Mała, z policzkiem spoczywającym na jego piersi. Moje serce płonie.

– Co teraz będzie? – szepczę w ciemność pokoju hotelowego.

Mał porusza się, wrywając ze snu, a następnie składa pocałunek na czubku mojej głowy.

– A co chcesz, żeby się teraz stało?

– Chcę wrócić do twojego domku w lesie – odpowiadam pospiesznie.

Śmieje się w reakcji na to wyznanie.

– Masz na myśli naszą chatkę.

Uśmiecham się ze szczęścia.

– Tak przy okazji: Poe za tobą tęskni – dodaje.

– Ja też tęsknię za tym wielkim, głupim, zarozumiałym ptakiem.

– Nie pozwól, żeby usłyszał, że nazywasz go głupim ptakiem.

Ukradnie wszystkie twoje sznurówki i zrobi sobie z nich pelerynę.

– Założę się, że tak. Wiesz, czego jeszcze mi brakuje?

– Czego?

Unoszę kąciki ust.

– Tych kąpielii – wyznaję.

– Zaskoczył mnie fakt, że bohaterka twojej książki tak często się kąpie. To naprawdę dość osobliwe. – Słyszę radość w jego głosie.

Świadomość, że czytał moje niedopracowane teksty, gdy byliśmy osobno, sprawia, że serce znowu mi rośnie.

– To było coś, o czym nie mogła zapomnieć. Jeszcze z okresu, zanim umarła.

– To prawda. Nie wiedziała, że nie żyje – odpowiada, zamyślony.

– Sądząc po twoim tonie, czuję, że mój tekst może potrzebować kilku poprawek – oznajmiam.

Przesuwa otwartą dłoń po moich plecach, a drugą ręką odchyła moją głowę do pocałunku, obejmując podbródek.

– Nie – szepcze. – Jest idealny. Poza tym, że mężczyzna, w którym była zakochana za życia, przypomina goryla.

– On nie jest gorylem! Jest macho!

Patrzy na mnie ostro.

– Proszę, powiedz mi, że nie oparłaś jego charakteru na kimś, kogo znasz.

Uśmiecham się uroczo.

– Nigdy bym tego nie zrobiła. To pewnie i tak nielegalne – dodaję z miną niewiniątka.

– To, co jest nielegalne, to rozmiar jego kutasa. Założę się, że właśnie tak umarła, prawda? Przebił jej płuca?

– Dobra, wiesz co? Nie będziesz więcej czytał moich tekstów, do czasu, aż ich nie skończę.

Zaciska usta. Mogę powiedzieć, że stara się nie wybuchnąć śmiechem.

Szturcham go w żebra, chowam głowę pod jego brodą i wzdycham.

Kiedy ponownie się odzywa, jego głos jest poważny.

– To będzie niebezpieczne.

Ma na myśli swój styl życia. Jakbym już tego nie wiedziała.

– Jeśli potrafisz włamać się niezauważony do zabezpieczonych domów na całym świecie, otoczony przez uzbrojonych strażników, a nawet wbić się na ślub gangstera, jesteś też w stanie mnie chronić. Ufam ci. Dodatkowo spójrz na jasną stronę: wiem, jak strzelać z broni!

– Ale z dzieckiem...

– Mal – mówię ostrzegawczym tonem. – Zastanów się, zanim coś powiesz. Nie chcę słyszeć od ciebie kolejnych bzdur o tym, że nie możemy być razem, bo to zbyt niebezpieczne. Ten temat jest zamknięty.

Rechocze.

– A ty twierdzisz, że ja się rządę.

– Słuchaj, wiem, że to, co robi Trzynastka, to nie jest zabawa w przedszkole, jasne? Ci faceci mają żony i dziewczyny i udaje im się utrzymać swoich bliskich przy życiu. Ty również dasz radę.

– Kto ci powiedział o Trzynastce? – pyta po krótkiej chwili ciszy.

– Declan – odpieram.

Przewraca mnie na plecy i wpatruje się we mnie.

– Czy właśnie wypowiedziałaś imię innego mężczyzny w moim łóżku? – Jego głos jest poważny, ale miękki.

O cholera. Zaczynij się wycofywać.

– Hmm. Tak jakby zapytałeś o to. I jeśli nie jesteś właścicielem tego hotelu, technicznie rzecz ujmując, to nie jest twoje łóżko – bronię się.

– Niezła próba, kochanie. Jestem właścicielem tego hotelu – warczy.

– Co?

– Posiadam wiele nieruchomości na całym świecie. Pakhan bardzo dobrze mnie wynagrodził za to, co dla niego zrobiłem.

– Oczywiście nie na tyle dobrze, żebyś zatrudnił dekoratora wnętrz.

– Słucham? – Przechyla głowę.

– Twoje mieszkanie w Moskwie nie jest jednym z tych, które można by nazwać przytulnym, kochanie. Myślę, że szkielety by je polubiły, ale dla ludzi posiadających ciało, wiesz, skórę, jest trochę... zimne.

Jego oczy błyszczą, nozdrza się rozszerzają. Nie wie, czy się śmiać, czy dać mi klapsa.

Przytulam się do niego mocniej, uśmiechając się.

– Sprawiasz kłopoty, mały ptaszku. Wiesz o tym?

– Tak, ale ty lubisz kłopoty – kwituję.

Spojrzenie Mala staje się łagodne. Całuje mnie, jakbym była najcenniejszą rzeczą na świecie, a potem mówi szorstko:

– Właściwie to Kocham kłopoty. Kocham je bardziej niż cokolwiek innego.

To wszystko wyjaśnia i sprawia, że wpadam na nowy pomysł. Moim następnym tatuażem będzie słowo *kłopoty*.

Pozwolę Malowi wybrać miejsce na moim ciele, gdzie powinnam sobie zrobić ten napis.

– Wiesz, co Kocham ponad wszystko? – pytam niewinnie.

– Nie. Co?

– Tego goryla, którego spotkałam. Kiedy uda ci się pominąć tę przerażającą powierzchowność i całą tę jego markotność, okazuje się, że jest naprawdę słodki.

Uśmiech Mala jest tak promienny jak miłość błyszcząca w jego oczach.

– Słyszałam, że goryle po prostu tak mają.

Ponownie mnie całuje, tym razem namiętniej. Jego język zagłębia się w moje usta, a dłoń owija lekko wokół gardła.

Kładę swoją rękę na jego i sprawiam, że ściska mocniej.

Rechocze przy moich wargach i szepcze po rosyjsku coś, co brzmi naprawdę zbereźnie. Potem mówi po angielsku:

– Urodzisz moje dziecko. Będiesz moją żoną. Będiesz centrum mojego wszechświata i królową, która stoi u mojego boku. – Jego głos staje się niższy. – Ale najpierw znowu będę cię pieprzył i pokażę ci, kto jest twoim królem.

Przewraca mnie na brzuch, podnosi na kolana i wymierza mi pięć klapsów.

Chowam twarz w kołdrze, śmiejąc się.

Tak, tatuś jest w domu.

O, tak, jest.

EPILOG

SPIDER

Dwa tygodnie później

W gabinecie Declana siedzimy tylko we dwóch. Znajdujemy się po przeciwnych stronach biurka, trzymając szklanki z whiskey w rękach.

Jest noc, pierwszy dzień po powrocie z miesiąca miodowego mojego szefa w Grecji. Opalony i zrelaksowany Declan, w białej koszuli do garnituru i czarnych spodniach, opiera się o krzesło. Wygląda na tego, kim jest.

Wygląda jak człowiek, który ma wszystko, czego kiedykolwiek pragnął.

Gdybym spojrział w lustro, to, co bym zobaczył, byłoby jego przeciwieństwem.

Nie zawraca sobie głowy pogawędką. Żaden z nas nigdy nie był w tym dobry.

– Awansuję cię na zastępcę dowódcy – zaczyna, a kiedy widzi mój zszokowany wyraz twarzy, pyta: – Myślałeś, że cię zwolnię?

– Za zrujnowanie twojego ślubu? *Aye*. – Potwierdzam jego przypuszczenia.

– Nie dramatyzuj. Niczego nie zepsułeś. Jedyne, co zrobiłeś, to niewielkie przedstawienie.

– Czy twoja żona też tak uważa? – odpieram.

Krzywi się w reakcji na te słowa.

– Byłoby wspaniale, gdyby ktoś z mojego otoczenia choć raz udawał, że to moja opinia ma znaczenie – burczy.

Zerkam w dół, na szklankę w swojej dłoni. Ściskam ją tak mocno, że knykcie stają się białe.

Nie jestem w stanie wyrzucić z głowy nocy, w której odbył się ślub. Odtwarza się w pętli w moich myślach, nieustannie mnie dręcząc.

Ten cholerny rosyjski drań. Powinienem był go zastrzelić w łazience, kiedy miałem okazję.

Teraz jest rodziną. Pieprzoną *rodziną*.

Co za koszmar.

– Wrócili do Rosji? – pytam przez zaciśnięte zęby.

– Tak – oznajmia Declan po krótkim wahaniu. – I dobrze by było, gdybyś o tym wszystkim zapomniał.

Choć to niemożliwe, gryzę się w język, aby nie powiedzieć niczego niestosownego.

– Spider. Spójrz na mnie.

Spełniam polecenie.

– Jesteś dobrym człowiekiem. – Patrzy mi prosto w oczy. – Lojalnym i odważnym. Sytuacja nie jest idealna, ale musimy sobie z nią poradzić.

– Jak możesz być tak spokojny w takich okolicznościach? On chciał cię zabić!

– *Aye*. Nie mogę go jednak naprawdę winić, prawda? Gdyby zabił mojego brata, też chciałbym go zabić – stwierdza.

– Jakże wielkodusznie – mówię gorzko.

– Wracaj do interesów, kolego. Musisz być skupiony. Mamy do czynienia z cholernym gównem. Przez samego Kage'a i Włochów stracę zmysły.

– Co się dzieje z Kage'em? Biorąc pod uwagę, że uczestniczył w twoim ślubie, założyłem, że zawarliście porozumienie.

Podnosi się, podchodzi do okna, następnie zakłada ręce na piersi i wpatruje się w nocne niebo.

– Jestem mu winien przysługę. I w końcu o nią poprosił.

Marszczę czoło w zakłopotaniu.

– Poprosił o przysługę w zamian za zaproszenie na twój ślub? – upewniam się.

Declan śmieje się mrocznie.

– Nie, to była po prostu polityka.

Mruczę ze zrozumieniem.

– Twoja żona i jego.

– *Aye*.

– Więc jakiej przysługi zażądał? – dociekam.

– Żebym zabił jednego z jego ludzi – oznajmia.

Brutalne, jednak nie dziwi mnie to. Rosjanie to zwierzęta. Zjedliby własne młode, gdyby byli wystarczająco głodni.

– Za?

– Nielojalność – odpowiada.

– Dlaczego sam nie zabił tego nieszczęsnego chłopaka?

– Bo jest to człowiek, którego obiecałem Sloane, że nigdy nie skrzywdzę. – Odwraca się i spogląda na mnie. – Co czyni go doskonałym celem dla Kage’a.

– Stavros – mówię, na co Declan przytakuje. – Oj. Jeśli Sloane się dowie...

– Stracę jaja. Muszę przyznać, że ten sukinsyn wie, jak grać nieczysto. – Prycha, kręcąc głową.

– Co zrobisz?

Ponownie odwraca się do okna. Nikły uśmiech unosi kąciki jego ust.

– To, co zawsze robię, gdy jedyne dwie opcje są gówniane. Stworzę trzecią.

Nie wyjaśnia tego, a ja nie pytam. Gdyby chciał, żebym wiedział, powiedziałby mi.

– Co się dzieje z Włochami? – odzywam się po chwili.

Wzdycha ciężko, przesuwając dłonią po twarzy.

– Oni są cholernie szaleni, taki typ. Czy wiesz, że nadal zawierają aranżowane małżeństwa?

– Nie mogą zażądać, żebyś poślubił jedną z ich panienek!

– Nie, nie ja, oczywiście. Ale Caruso ma pomysł, żeby wydać swoją córkę za mąż za jednego z członków mafii.

Gianni Caruso jest szefem jednej z Pięciu Rodzin. Odkąd *capo* Cosa Nostry został zabity, Sycylijczycy walczą o pozycję. Nikt jeszcze nie wyszedł na prowadzenie.

– Dlaczego my?

– Bo jesteśmy tacy przystojni i czarujący – odpowiada sucho Declan.

– Albo dlatego, że mamy coś, czego oni chcą – mówię.

– Właśnie.

– Czy oni mają coś, czego my chcemy?

– Aye. Terytorium. Dystrybucję. Szlaki handlowe. Gotówkę. Zawarliśmy wstępne porozumienie, gdy Diego był u władzy, ale rozwiązało się ono, kiedy pamięć o nim odeszła w zapomnienie. Jednak to bez znaczenia, biorąc pod uwagę, że nie mam w rodzinie żadnego mężczyzny, którego mógłbym zrobić w aranżowane małżeństwo.

Trybiki w moim mózgu zaczynają się obracać.

– A gdybyś miał? – pytam niepewnie.

Declan patrzy na mnie ostro.

– Zastępca dowódcy jest w mafijnych szeregach prawie tak samo ważny jak syn czy brat – podkreślam.

Kiedy dociera do niego, co sugeruję, odpiera bez emocji:

– Zwariowałeś do reszty.

– Powiedziałeś, że chcesz, żebym się na czymś skupił. Nie ma to jak nowa cipka, by oderwać myśli od starej.

Unosi brwi.

– Teraz mnie przerażasz. Poza tym uważaj na słowa, kolego. Riley to moja szwagierka – oznajmia.

– Masz zdjęcie córki Caruso? – pytam, ignorując jego ostrzeżenie.

– Spider! Przestań!

Wypijam resztę whiskey, odstawiam szklankę na biurko, po czym wstaję.

– Pokaż mi jej zdjęcie.

– Nie mówisz serio!

– Spójrz na moją twarz. Czy wyglądam, jakbym żartował? – pytam śmiertelnie poważnie.

– To nie jest jak adopcja szczeniaka. Nie możesz oddać go z powrotem, jeśli się nie sprawdzi. To, o czym mówimy, to cholerne zobowiązanie na całe życie!

– Ty właśnie je podjąłeś. Dlaczego ja nie mogę? – odpieram.

– Bo nie jesteś zakochany! – krzyczy.

– Tu nie chodziłoby o miłość. Chodziłoby o biznes. I mówię to bez okazywania braku szacunku dla ciebie czy twojej żony. Z tego, co mogę stwierdzić, układ biznesowy bez uczuć byłby o wiele łatwiejszy.

– Udam, że tego nie powiedziałeś – mamrocze.

– Po prostu pokaż mi zdjęcie tej panny – żądam ponownie.

Podchodzi do biurka, kładzie ręce na blacie i pochyla się nad nim, spoglądając na mnie.

– Nie rozumiesz. Nie będziesz mógł się wycofać. Gdyby przytyła, wyrosły jej kurzajki albo śmiała się jak hiena, byłbyś z nią związany do końca życia. Gdyby spała z każdym cholernym mężczyzną, którego zobaczy, nadal byłbyś z nią związany. Na zawsze! Jej rodzina zabiłaby cię, jeśli spróbowałbyś odejść. A ja nie mógłbym nic z tym zrobić, bo wcześniej byś się na to zgodził! – Podkreśla wagę tego czynu.

Wytrzymuję jego rozwścieczone spojrzenie i mówię spokojnie:

– Po prostu pokaż mi cholerne zdjęcie. Jeśli ta panna ma kurzajki, nie będę więcej o tym wspominał.

Declan wpatruje się we mnie jeszcze przez kilka chwil, po czym przeklina i opada na swoje krzesło. Mamrocząc pod nosem kolejne przekleństwa, otwiera laptopa, klika przez moment, a następnie bez słowa patrzy w ekran.

– Więc? Kurzajki?

Zerka na mnie, potem znów przenosi wzrok na ekran.

– Nie do końca. – Obraca laptopa tak, że ekran jest skierowany w moją stronę.

Patrzę na zdjęcie młodej kobiety o długich, ciemnych włosach, ciemnych oczach oraz słodkiej twarzy w kształcie serca. Wygląda na dwadzieścia lat i jest niewinna jak łania.

– Nie do końca? – pytam szorstko.

Declan jęczy.

– Jezu Chryste.

– Ustaw to – rzucam.

– Jesteś, kurwa, szalony! – grzmi.

– Ustaw to, szefie. Pogadaj z Caruso. Zobacz, czy się zgodzi.

Odwracam się, a potem idę w stronę drzwi. Słyszę, jak Declan syczy i bluzga na mnie, lecz wiem, że rozważy to, gdy już nie będzie mnie w gabinecie.

Królowie muszą poruszać pionkami, które mają do dyspozycji. To jest właśnie to, co robią.

A co do pionków, cóż, może nie posiadają takiej mocy jak król, ale wciąż mogą się przydać.

I jeśli mają odpowiednią okazję, uda im się trochę zabawić.

Bycie dobrym facetem nie przyniosło mi do tej pory nic poza złamanym sercem.

Nadszedł czas, abym to ja stał się tym złym i w końcu zniszczył coś niewinnego.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję Sarah Ferguson, Letitii Hasser, Lindzie Ingmanson, Shannon Smith, Stephenie Meyer, Eleni Caminis, swojemu mężowi, Jayowi, wszystkim wspaniałym członkom Gangu Geissinger i Wam, swoim czytelnikom. Plus wszystkim innym, o których na pewno sobie przypomnę, gdy tylko to pójdzie do druku.

Jeśli nie czytaliście jeszcze cyklu „Niebezpieczne piękno”, wiedzcie, że właśnie tam pierwotnie występują Pakhan i Killian. Killian pojawia się również w serii „Piękni gangsterzy”.

Pełna lista książek i sugerowana kolejność czytania znajdują się na mojej stronie internetowej pod adresem: www.jtgeissinger.com.

O AUTORCE

J.T. Geissinger jest autorką dwudziestu ośmiu powieści, które zajmują szczytowe miejsca na listach bestsellerów na całym świecie. Jej książki – począwszy od zabawnych, przebojowych romansów po intensywne, trzymające w napięciu – sprzedały się w nakładzie ponad pięciu milionów egzemplarzy i zostały przetłumaczone na kilkanaście języków.

J.T. Geissinger jest trzykrotną finalistką RITA® Award w kategorii romansów współczesnych i paranormalnych. Otrzymała również najwyższe wyróżnienie w dziedzinie literatury romantycznej przyznawane przez Romance Writers of America®. Jest także laureatką Prism Award za najlepszy debiut oraz Golden Quill Award za najlepszą książkę Paranormal/Urban Fantasy.

Znajdź ją w sieci na stronie: www.jtgeissinger.com.

INNE POWIEŚCI AUTORSTWA J.T. GEISSINGER

Seria „Królowe i potwory”

(Romans mafijny)

Bezwzględne kreatury

Bezwzględne pragnienia

Seria „Piękni gangsterzy”

(Romans mafijny)

Piękny gangster

Piękny kryminalista

Seria „Niebezpieczne piękno”

(Romans)

Niebezpieczne piękno

Niebezpieczne pragnienia

Niebezpieczne zagrywki

Seria „Slow burn”

(Romans współczesny inspirowany baśniami)

Kontrakt Jacksona

Układ z Cameronem

Gra Matteo

PLAYLISTA

Sit Still, Look Pretty – Daya

Fantasy – Sofi Tukker

Supermassive Black Hole – Muse

Reviver – Lane 8

Boss Bitch – Doja Cat

Breathe – Telepopmusik

Damn It Feels Good To Be A Gangsta – Geto Boys

We Are Family – Sister Sledge

You're Mine – Raving George (feat. Oscar & The Wolf)

-
- ¹ Przekład Leona Urlicha w opracowaniu w ramach projektu Wolne Lektury realizowanego przez fundację Nowoczesna Polska (przyp. tłum.).
 - ² Transportation Security Administration – kwestie dotyczące kontroli pasażerów i bagaży na lotnisku, związane z wykluczeniem wszelkich zabronionych przedmiotów (przyp. tłum.).
 - ³ *Dick* – (z ang.) fiut, kutas (przyp. red.).
 - ⁴ *Dude* – (z ang.) facet, koleś (przyp. red.).
 - ⁵ *Daddy* – (z ang.) tatuś (przyp. red.).
 - ⁶ *Ty v bezovasnosti so mnoy, малыутка. Ya ne prichinu tebe vreda* – (z ros.) Jesteś ze mną bezpieczna, mała. Nie zrobię ci krzywdy (przyp. red.).
 - ⁷ Ecstasy (MDMA) – jeden z narkotyków zażywanych bardzo często na imprezach (przyp. tłum.).
 - ⁸ *Remember Rule Number One* – (z ang.) Pamiętaj o Zasadzie Numer Jeden (przyp. red.).
 - ⁹ *You can* – (z ang.) możesz (przyp. tłum.).
 - ¹⁰ *Big yikes* – wow (przyp. red.).
 - ¹¹ Tatuż w kształcie litery V jest skrótem od słowa *vengeance* – (z ang.) zemsta (przyp. tłum.).
 - ¹² „Prawo i porządek: Specjalny zespół dla ofiar” – amerykański serial kryminalny (przyp. tłum.).
 - ¹³ System HVAC odpowiada za sprawną wymianę powietrza w pomieszczeniach – doprowadza czyste, a usuwa zanieczyszczone, regulując w ten sposób poziom temperatury i wilgotności (przyp. red.).
 - ¹⁴ IED to bomba stworzona w sposób improwizowany, zawierająca niszczące, śmiertelne, trujące, pirotechniczne lub zapalające chemikalia i przeznaczona do niszczenia albo obezwładniania personelu lub pojazdów (przyp. red.).
 - ¹⁵ *Pinche pendejos* – (z hiszp.) jebani/pieprzeni idioci (przyp. red.).
 - ¹⁶ *Vato* – (z hiszp.) gość (przyp. red.).
 - ¹⁷ *Puto* – (z hiszp.) pedał, ciota (przyp. red.).
 - ¹⁸ *Homies* – (z ang.) ziomki (przyp. red.).
 - ¹⁹ *Privet* – (z ros.) cześć (przyp. red.).
 - ²⁰ *Ty moya. Ty moya. Ty moya, dorogoya* – (z ros.) Ty moja. Ty moja. Ty moja, kochanie (przyp. red.).
 - ²¹ *Dobroye utro* – (z ros.) Dzień dobry (przyp. red.).
 - ²² *Pussy Power* – (z ang.) Moc/Siła/Potęga Cipek (przyp. red.).